JOHN FLANAGAN
ZWIADOWCY
KSIĘGA 4
BITWA O SKANDIĘ

JOHN FLANAGAN

Zwiadowcy

Księga 4

Bitwa o Skandię

Przekład
Stanisław Kroszczyński

Jaguar

Tytuł oryginału: *Ranger's Apprentice. Oakleaf Bearers*
First published Random House Australia Pty Limited, Sydney, Australia
This edition published by arrangement with Random House Australia
Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2010

Skład i łamanie: EKART
Redakcja: Julia Holewińska, Tadeusz Lewandowski
Typografia na polskiej okładce: Andrzej Chojecki

ISBN 978-83-7686-093-0

Copyright © John Flanagan 2006
All rights reserved.

Cover design & illustration © www.blacksheep-uk.com
All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © 2010 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników w wieku 11 +

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar S.C.
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104
02-546 Warszawa
www.wydawnictwo-jaguar.pl

Wydanie pierwsze w wersji ebook
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2011

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Dla Leonie – która zawsze we mnie wierzyła

ARALUEN
i kraje sąsiednie
ROK 643 WSPÓLNEJ ERY
Morze Lodowe
Pustkowia Północy
Las Szarego Wschodu
OCEAN ZACHODNI
SKANDIA
Hallasholm
STEPY WSCHODU
SONDERLAND
Morze Białych Sztormów
Skorghyl
TEUTONIA
PICTA
Zamek Araluen
Morze Wąskie
La Rivage
Montsombre
ALPINA
ARALUEN
GALLIA
CELTIA
IBERION
TOSCANO
ASLAVA
OCEAN BEZMIERNY
Morze Spokojne
Morze Rostowskie
N

Odgłos miarowego stukania wybił Willa z błogiego snu.

Nie bardzo wiedział, kiedy właściwie zdał sobie z niego sprawę. Rytm przenikał do śpiącego umysłu chłopca, narastał i gęstniał w podświadomości, aż wreszcie przebił się do świata jawy. W końcu Will całkiem się rozbudził.

Stuk-stuk-stuk-stuk…

Cóż to za stukot? Dźwięk stracił już co prawda na sile, gdyż wtopił się w inne odgłosy, rozlegające się w ciasnym wnętrzu chatki, ale mimo to Will wciąż go słyszał.

Zza zasłony, uczynionej z rozprutego worka, dobiegał równy oddech Evanlyn. Stukanie najwyraźniej nie budziło dziewczyny. Na palenisku, cicho trzaskając, żarzyły się drwa, ten trzask nakładał się na wciąż dobiegający z zewnątrz dźwięk. Stuk-stuk-stuk…

Stukanie rozlegało się gdzieś w pobliżu. Will przeciągnął się i ziewnął, po czym siadł na twardej pryczy, którą sporządził z drewna i płótna. Uporczywy odgłos na moment ścichł, ale po chwili chłopak znów go usłyszał. Dochodził zza okna, bez wątpienia. Nasączone oliwą płótno zastępujące szybę przepuszczało światło – szary blask przedświtu – jednak niczego więcej nie sposób było dostrzec. Will uniósł się i przyklęknął na

pryczy, po czym odgiął haczyk, zdjął ramę i wysunął głowę na zewnątrz, by sprawdzić, co dzieje się na maleńkim ganku.

Do izby wtargnął powiew mrozu. Will usłyszał, jak Evanlyn poruszyła się niespokojnie, gdy zasłaniająca ją opończa pod wpływem powietrza wybrzuszyła się do wewnątrz. Węgle rozżarzyły się mocniej, po chwili zabłysnął mały, żółtawy płomyk.

Gdzieś pośród drzew samotny ptak witał pierwszy blask wstającego dnia, a jego śpiew znów zagłuszył stukot.

Wreszcie Will zorientował się, skąd dochodził jednostajny, drażniący dźwięk. Okap nad gankiem. Stamtąd dobiegał odgłos kapania. Woda ściekała po koniuszku długiego, zwisającego pod okapem sopla. Krople uderzały o odwrócone do góry dnem i pozostawione pod soplem wiadro.

Stuk-stuk-stuk… Stuk-stuk-stuk.

Will zmarszczył czoło. Wiedział, że zjawisko to ma jakieś szczególne znaczenie, ale jego wciąż jeszcze ospały umysł nie był w stanie niczego rozszyfrować. Wstał, przeciągnął się po raz kolejny. Wzdrygnął się, bo odrzucił ciepły koc, chłód zaś wyraźnie dawał się we znaki. Podszedł do drzwi.

Starając się nie obudzić Evanlyn, uniósł delikatnie drewniany skobelek. Drzwi otwierał powoli, bacząc, by nie szurały o podłogę – musiał w tym celu podtrzymać je ramieniem, bowiem skórzane zawiasy były mocno rozciągnięte.

Zamknąwszy drzwi za sobą, wyszedł na nagie deski ganku, wyczuwając bosymi stopami ich dojmujący chłód. Podszedł do miejsca, gdzie kapiąca woda bębniła nieustannie o dno wiadra; krople spadały też z innych sopli. To dziwne, bo przedtem kapania nie zaobserwował. Tak, z całą pewnością dotąd woda z lodowatych sopli nie kapała.

Spojrzał dalej, ku drzewom. Przez gałęzie prześwitywały pierwsze promienie porannego słońca.

Daleko w lesie rozległ się głuchy łomot; to śnieżna czapa osunęła się z podtrzymującej ją od miesięcy sosnowej gałęzi i opadła ciężko na ziemię.

Wtedy zdał sobie sprawę, dlaczego od samego początku kapiące krople wydały mu się tak ważne.

Drzwi za nim zaskrzypiały. Obejrzał się i ujrzał Evanlyn, solidnie rozczochraną i od stóp do głów owiniętą szczelnie kocem, który miał ją chronić przed zimnem.

– Co się tak zerwałeś? – spytała. – Coś cię zaniepokoiło?

Milczał przez krótką chwilę, wpatrując się z namysłem w powiększającą się wciąż kałużę wokół wiadra.

– Nadeszły roztopy – stwierdził.

Po skromnym śniadaniu oboje zasiedli na ganku w promieniach porannego słońca. Nie mieli ochoty rozwodzić się nad tym, co oznaczało nadejście wiosny. Doskonale wiedzieli, że niebawem zmuszeni będą opuścić dotychczasowe schronienie.

Spod śnieżnej pokrywy wokół chaty wyłaniała się już tu i ówdzie mokra, zbrązowiała trawa, a tąpnięcia spadającego z gałęzi śniegu rozlegały się coraz częściej.

Oczywiście wszędzie zalegała jeszcze gruba warstwa puchu, zwłaszcza między drzewami, lecz bez wątpienia nadeszła odwilż, a wraz z nią wiosna.

– Chyba wkrótce przyjdzie nam ruszać – odezwał się wreszcie Will, ujmując w słowa myśl, która zaprzątała umysły obojga.

– Nie masz jeszcze dość sił – zaprotestowała Evanlyn. Minęły ledwie trzy tygodnie, odkąd chłopak otrząsnął się z otępiającego działania ziela, za którego pomocą nadzorcy na dworze Ragnaka usiłowali podporządkować sobie krnąbrnych niewolników. Zagłodzony, przemarznięty do szpiku kości i wycieńczony morderczą harówką, Will stracił wiele sił, nim zdołali uciec. Od tamtej chwili odżywiał się co prawda znośniej, przynajmniej na tyle, by utrzymać się przy życiu – lecz nie dość solidnie, by odzyskać dawne siły i odporność. Żywili się bowiem głównie kaszą, plackami z mąki, suszoną wołowiną oraz suszonymi warzywami; jedynym urozmaiceniem tej diety była drobna zwierzyna, bo Evanlyn od czasu do czasu udawało się coś upolować lub schwytać w sidła.

Zwierząt jednak zimą spotykała niewiele, w dodatku upolowane przez nią ptactwo czy króliki okazywały się mocno wychudzone z braku paszy.

– Trudno – Will machnął ręką. – Jakoś sobie poradzę. Muszę.

W tym właśnie rzecz – musiał. Oboje zdawali sobie sprawę, że gdy tylko stopnieje śnieg na wysokich przełęczach, w górach znów pojawią się myśliwi. Evanlyn nie tak dawno zauważyła w lesie jakiegoś tajemniczego

jeźdźca – tego samego dnia, gdy chłopiec powrócił do rzeczywistości. Szczęśliwie od tamtego czasu nikt więcej się nie pojawił. Stanowiło to jednak ostrzeżenie. Wkrótce przybędą inni, a gdy tak się stanie, Will i Evanlyn powinni być już daleko stąd, w drodze na wschód, ku przełęczom prowadzącym do Teutonii.

Evanlyn, wciąż nie do końca przekonana, milczała przez chwilę, choć przecież Will miał rację. Niedługo będą musieli wyruszyć, niezależnie od stanu Willa. Trzeba iść, nawet jeśli chłopak nie odzyskał pełni sił, nawet jeśli trudy drogi okażą się bardzo dokuczliwe.

– Tak czy inaczej – odezwała się po chwili – mamy w zapasie parę tygodni. Dopiero zaczęło się ocieplać i kto wie, czy nie czeka nas jeszcze kolejny atak zimy.

To przecież możliwe – pomyślała. Owszem, mało prawdopodobne, ale niewykluczone.

Will skinął głową.

– Niby tak… – rzekł.

Znów zapadła cisza. Nagle Evanlyn wstała i otrzepała spodnie.

– Pójdę sprawdzić sidła – oznajmiła. Ale gdy Will chciał się podnieść, by jej towarzyszyć, powstrzymała go. – Ty zostaniesz – stwierdziła. – Od tej chwili musisz się oszczędzać. Zbieraj siły na drogę!

Will, choć niechętnie, musiał się z nią zgodzić.

Sięgnęła po worek, który służył jej za torbę myśliwską, i zarzuciła go na ramię. Uśmiechnęła się do przyjaciela i zniknęła pomiędzy drzewami.

Przygnębiony, w poczuciu własnej bezużyteczności, Will niespiesznie zebrał drewniane talerze, na których spożyli posiłek. Do tego tylko się nadaję – pomyślał. – Do zmywania garów!

W ciągu minionych trzech tygodni umieszczali wnyki coraz to dalej i dalej od chaty. Z początku drobna zwierzyna – króliki, wiewiórki, a czasem nawet śnieżny zając – wpadały w sidła dość często, ale wkrótce zaczęły się mieć na baczności. Musieli więc co kilka dni przenosić pułapki, lokując je w nowych miejscach i za każdym razem wciąż na nieco odleglejszych stanowiskach niż poprzednio.

Wedle oceny Evanlyn od najbliższych sideł dzieliło ją czterdzieści minut marszu wąską ścieżką pod górę. Gdyby mogła iść prosto, jak strzelił, trwałoby to oczywiście krócej, jednak ścieżka wiła się pośród drzew

i zahaczała o nierówności terenu, co sprawiało, że dziewczyna musiała pokonywać niemal dwukrotnie dłuższy dystans.

Wokół dostrzegała coraz to nowe oznaki odwilży. Zdała sobie sprawę, że biały puch nie skrzypi już sucho pod jej stopami. Stał się cięższy, wilgotniejszy, zapadała się weń głęboko. Skórzane buty szybko przemiękły od topniejącego śniegu, a przecież, gdy szła tędy ostatnio, nie roztapiał się, był sypki i oprószał buty niczym suchy, biały piasek.

Dostrzegła w lesie także inne przejawy nowego życia: raz i drugi nad jej głową przeleciał jakiś ptak, a potem spłoszyła królika, który skrył się w pośpiechu pośród ośnieżonych jeżynowych krzewów.

Evanlyn przyszło na myśl, że może dzięki roztopom rośnie szansa, by w sidła złapała się jakaś godniejsza uwagi zdobycz.

Zauważyła dyskretny znak, który Will uczynił na korze jednej z sosen; zeszła ze ścieżki, kierując się do miejsca, gdzie razem zastawili pierwszą pułapkę.

Przypomniała sobie, jak wdzięczna była losowi, gdy Will otrząsnął się z narkotykowego amoku i okazało się, że dysponuje niemałymi umiejętnościami w dziedzinie sztuki przetrwania. Evanlyn wcześniej nawet nie przyszło na myśl, by polować, używając pułapek, tymczasem Will od razu zabrał się za sporządzanie wnyków, wykazując przy tym niemałą zręczność oraz pomysłowość. Na efekty nie trzeba było długo czekać – monotonna dieta porządnie wzbogaciła się o smakowite królicze mięso, które wspólnie gotowali w kociołku.

Will wyjaśnił przy okazji, że zakładanie wnyków należało do zestawu bardzo licznych umiejętności, w których kształcił go Halt. Evanlyn pamiętała, jak zamglił się jego wzrok na wspomnienie nauczyciela i jak głos chłopaka załamał się ledwie dostrzegalnie, gdy wypowiedział imię mistrza. Oboje poczuli wtedy – który to już raz? – że znaleźli się bardzo, bardzo daleko od rodzinnych stron.

Gdy pokonała wreszcie okryte śniegiem zarośla, zresztą solidnie przy okazji przemoczona, poczuła przypływ zadowolenia. Oto bowiem już w pierwszej z zastawionych pętli tkwił nie lada łup. Trafiła jej się kuropatwa, odmiana dzikiego drobiu trochę co prawda mniejszego od kury, lecz już kiedyś udało im się coś takiego złowić, wiedziała zatem, iż mięso ma wyjątkowo smaczne. Ptak, skuszony garstką ziaren, wetknął łepek w pętlę, a ta zacisnęła się bezlitośnie; podczas rozpaczliwej

szamotaniny, której ślady widniały na śniegu, a która trwać mogła wiele godzin, kurak rzucał się i tarzał, aż w końcu drut go udusił. Evanlyn uśmiechnęła się z niejaką goryczą na myśl, że jeszcze niedawno nie wyobrażała sobie siebie samej w roli choćby świadka, a cóż dopiero sprawczyni myśliwskiego okrucieństwa. Teraz cieszyła ją tylko perspektywa smacznego posiłku.

Zdumiewające, do jakiego stopnia głód może wpłynąć na zmianę punktu widzenia – pomyślała, rozluźniając pętlę na szyi ptaka, po czym wsadziła zwłoki nieszczęsnego stworzenia do worka. Zastawiła wnyki na nowo, nasypała nieco świeżego ziarna, a potem wstała. Zmarszczyła brwi, bo ku swej irytacji stwierdziła, że gdy przyklęknęła w mokrym śniegu, na kolanach jej spodni utworzyły się dwie mokre plamy.

Raczej wyczuła, niż dosłyszała jakieś poruszenie za sobą.

Nie zdążyła się jednak odwrócić. Coś pochwyciło ją za gardło żelaznym uściskiem, a okrzyk przerażenia stłumiła futrzana rękawica, cuchnąca dymem, potem i brudem.

Dwaj jeźdźcy wyłonili się spośród drzew, wyjeżdżając na polanę.

Tutaj, w Teutonii, u stóp gór, wiosnę dawało się dostrzec o wiele wyraźniej, niż na wyżynach pozostałych za nimi. Trawy już się zieleniły i tylko gdzieniegdzie, w miejscach przez większość dnia zacienionych, bielały rozleglejsze plamy śniegu.

Ktoś, kto przypadkiem ujrzałby owych jeźdźców, zwróciłby prawdopodobnie uwagę, że każdy prowadzi zapasowego wierzchowca. Z pewnej odległości wziąłby ich zapewne za kupców, którzy pragnęli jak najwcześniej przekroczyć przełęcz prowadzącą do Skandii. Mogli teraz akurat liczyć na spore zyski. Bowiem w krainie odciętej przez całą zimę od reszty świata każdy przedsiębiorczy przyjezdny właśnie wczesną wiosną miał prawo liczyć na korzystniejsze niż kiedy indziej ceny przywożonych towarów.

Jednak gdyby ów hipotetyczny ciekawski przyjrzał się obydwu jeźdźcom z nieco bliższego dystansu, zorientowałby się szybko, że ma do czynienia nie z handlarzami, lecz obserwuje dwóch uzbrojonych wojowników.

Niższego, brodacza, spowijał dziwaczny, zielonoszary płaszcz, mieniący się w dość szczególny sposób, zwłaszcza kiedy jeździec poruszał się zgodnie z rytmem swego wierzchowca. Brodacz dysponował długim

łukiem przerzuconym przez ramię, a do siodła przytroczył kołczan wypełniony strzałami.

Jego towarzysz prezentował się bardziej krzepko i wyglądał na młodszego. Jego kark oraz ramiona okrywał brązowy, prosty płaszcz, na którym połyskiwała kolcza zbroja. Spod płaszcza wychylała się pochwa długiego miecza. Na plecach jeźdźca był umocowany okrągły puklerz, przyozdobiony dość nieudolnie wymalowanym liściem dębu.

Wierzchowce też się od siebie różniły. Wyższy ze zbrojnych dosiadał potężnego gniadosza, mocnego bojowego rumaka o długich nogach, krzepkim zadzie i mocarnej piersi. Za nim, na uwięzi, szedł stępa drugi, zbliżonej postury, lecz maści karej.

Natomiast wierzchowiec, którego dosiadał brodacz w pelerynie, wywodził się z całkiem innej rasy – kudłaty, o beczułkowatym tułowiu, bardziej przypominał kucyka niż wierzchowca. Tyle że prawdziwy znawca stwierdziłby bez chwili wahania, iż jest to z pewnością koń silny i bardzo wytrzymały. Z tyłu stępował drugi, całkiem podobny konik, objuczony niezbyt ciężkimi sakwami, zawierającymi tylko przedmioty najpotrzebniejsze w trakcie długiej podróży. Co ciekawe, zwierzak wyraźnie nie potrzebował uprzęży, by dreptać za swym panem niczym wierny pies.

Horace zadarł głowę, usiłując spojrzeć na wierzchołek najwyższej turni spośród piętrzącego się przed nimi ogromu. Zmrużył nieco oczy, bowiem oślepiał go blask słońca odbitego od śniegu, który wciąż zalegał wyższe partie górskiego pasma.

– I co, naprawdę przejedziemy szczytami? – spytał, pełen niedowierzania.

Halt zerknął na niego z ukosa, chyba nawet uśmiechnął się lekko pod wąsem. Jednak Horace nie zauważył spojrzenia Halta, wpatrzony w piętrzące się majestatycznie góry.

– Szczytami? – powtórzył zwiadowca. – Skądże znowu. Doliną.

Horace zmarszczył brwi, rozważając odpowiedź.

– Jest jakiś tunel albo co?

– Przełęcz – wyjaśnił cierpliwie Halt. – Następnie spotkamy wąski przesmyk, wijący się pośród gór. Nim dotrzemy do serca Skandii.

Towarzysz Halta potrzebował chwili lub dwóch, by przetrawić informację. Następnie Halt dojrzał, że ramiona młodzieńca uniosły się, bo

chłopak wziął wdech. Zwiadowca dobrze wiedział, że stanowi to nieomylną zapowiedź kolejnego pytania. Zamknął oczy, wspominając dobre czasy, odległe jak dawne wieki, gdy przemierzał świat samotnie i nie musiał wciąż wszystkiego wyjaśniać.

W skrytości ducha musiał przyznać, że obecny stan rzeczy chyba bardziej mu odpowiada. Jednak czekając na owo kolejne pytanie, musiał zapewne wydać z siebie jakiś niekontrolowany, poirytowany pomruk, bowiem, ku jego zdumieniu, Horace zacisnął usta, a na obliczu młodzieńca pojawił się wyraz determinacji. No tak, chłopak wyczuł zniecierpliwienie i postanowił, że oszczędzi Haltowi kolejnej serii pytań. Przynajmniej do czasu.

W rezultacie Halt zaczął zachodzić w głowę, czegóż to takiego Horace chciał się bezzwłocznie dowiedzieć. Coś przecież pozostało niedopowiedziane i wciąż wisiało w powietrzu. Niedopowiedzenie zakłócało rześką harmonię pięknego poranka. Próbował zignorować to uczucie, ale bez powodzenia. Akurat teraz jednak Horace potrafił zdusić w sobie niepohamowaną zazwyczaj potrzebę zasięgania języka u swego towarzysza.

Halt odczekał minutę, jednak nie doszedł go żaden odgłos, prócz stukotu końskich kopyt i skrzypienia skórzanej uprzęży. W końcu nie wytrzymał:

– No, co?

Wypowiedział pytanie głośniej i gwałtowniej, niż zamierzał; krótka kwestia rozbrzmiała niczym wybuch niezrozumiałego gniewu. Wrzasnął o wiele za głośno, bo gniadosz Horace'a spłoszył się i cofnął zalękniony o kilka kroków.

Horace rzucił starszemu mężczyźnie spojrzenie pełne wyrzutu, uspokoił wierzchowca i znów zrównał się z Haltem.

– Co z czym? – spytał, a wówczas niższy od niego towarzysz podróży westchnął ciężko.

– O to właśnie pytam – rzekł z irytacją w głosie. – Co takiego?

Horace popatrzył na niego jak na kogoś, kto ze szczętem postradał zmysły. Osiągnął tyle, że Halt rozzłościł się jeszcze bardziej.

– Co jakiego? – zdumiał się Horace, nic już nie pojmując.

– Przestań mnie przedrzeźniać! – wrzasnął Halt. – Przestań powtarzać za mną! Pytałem: „co?", więc powiedz mi co. Zrozumiałeś?

Horace rozważał w myśli pytanie przez chwilę lub dwie, po czym odparł rzeczowo:

– Nie.

Halt wziął głęboki wdech, przy czym jego brwi utworzyły krzaczastą literę V, a oczy zaczęły ciskać gniewne iskry. Nim wszakże się odezwał, Horace uprzedził go:

– To znaczy, co za „co”? – a następnie, by wyrazić się jaśniej, sprecyzował: – To znaczy, dlaczego „co”?

Nadludzkim wysiłkiem, odzyskując panowanie nad sobą, acz bynajmniej nie kryjąc przy tym własnej irytacji, Halt wycedził:

– Chciałeś zadać mi pytanie.

Horace uniósł brwi.

– Tak?

Halt skinął głową.

– Owszem. Widać to było po tobie.

– Rozumiem – odrzekł Horace. – A jakie pytanie?

Halta zamurowało i to na dłuższą chwilę. Otworzył usta, zamknął je – otwarł znowu, nim zdołał wykrztusić:

– Właśnie o to cię pytałem – warknął. – Spytałem: „co?”, bo chciałem wiedzieć, o co chcesz mnie zapytać.

– Nie chciałem cię pytać o żadne „co” – obruszył się Horace, a Halt rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. Przyszło mu do głowy, że młodzieniec kpi sobie z niego w żywe oczy i w duchu śmieje się zeń do rozpuku. Jeśliby tak rzeczy się miały, Halt wolałby nie znajdować się w skórze Horace'a. Nikt nie naśmiewa się bezkarnie ze zwiadowców. Jednak, spoglądając na szczere oblicze chłopaka oraz wpijając wzrok w niewinne błękitne oczy, uznał, że zbytnio folguje swej wrodzonej podejrzliwości.

– A więc, jeśli wolno mi raz jeszcze użyć tego słowa, o co chciałeś mnie zapytać?

Horace zaczerpnął tchu, ale zawahał się.

– Zapomniałem – wyznał. – A o czym rozmawialiśmy?

– Nieważne – rzucił Halt i spiął Abelarda kolanami, by wysforować się o parę kroków przed swego towarzysza.

Przez jakiś czas pomrukiwał coś półgłosem sam do siebie, zresztą dość niewyraźnie, lecz Horace wyłowił z mruczenia zwiadowcy kilka gniewnych stwierdzeń, takich jak „dzisiejsza młodzież”, „pyta jeden z drugim, a nawet

nie wie, o co" oraz „co, co…". Pojął tyle, że Halt był bardzo niezadowolony z rozmowy, jaką przed chwilą odbyli. Ale nie pojmował, dlaczego. Miał niejasne poczucie winy, że powinien przecież pamiętać, o co chciał zapytać, i próbował cofnąć się myślami do początku rozmowy. Swoją drogą, dziwne. Halt miał mu za złe, że pytanie nie padło, a przecież zawsze pytania Horace'a tak go irytowały. Z tym zwiadowcą czasem trudno dojść do ładu – pomyślał młodzieniec. A potem, jak często się zdarza, gdy tylko przestał drążyć swą pamięć w poszukiwaniu zapomnianego pytania, od razu je sobie przypomniał.

Tym razem, nim zdążył zapomnieć lub choćby ugryźć się w język, zawołał:

– A ile jest tych przełęczy?

Zwiadowca gwałtownym ruchem odwrócił się w siodle, by zgromić go spojrzeniem.

– Co? – wrzasnął.

Horace uznał, że lepiej będzie nie roztrząsać już zawiłości wiążących się z rzeczonym słowem. Wskazał ręką na piętrzące się przed nimi masywy górskie.

– Pytałem, czy wiele jest takich przejść prowadzących do Skandii.

Halt pohamował nieco Abelarda, pozwalając także Kickerowi zrównać się z nimi.

– Trzy albo cztery – odpowiedział.

– Skandianie ich nie strzegą? – zdziwił się Horace, bo na zdrowy rozum zdawało mu się, że powinni trzymać tam nieustanną straż.

– Oczywiście, że ich pilnują – rzekł Halt. – Ten łańcuch górski stanowi podstawową gwarancję bezpieczeństwa ich kraju.

– Jak więc zamierzasz uporać się ze strażami?

Właśnie. Odkąd ruszyli w drogę, zostawiwszy za sobą Chateau Montsombre, pytanie dotyczące sposobu ominięcia straży spędzało zwiadowcy sen z powiek. Gdyby był sam, bez trudu przekradłby się niepostrzeżenie; rzeczy jednak miały się całkiem inaczej, gdy podróżował w towarzystwie Horace'a, którego, jak Halt zdawał sobie sprawę, trudno będzie przemycić, nie wspominając już nawet o jego rosłym wierzchowcu. Miał co prawda na podorędziu kilka pomysłów, ale żadnego dotąd nie wybrał. – ia – – Coś wymyślę – rzucił, a Horace skwitował odpowiedź milczącym skinieniem głowy, w głębokim przekonaniu, iż, w rzeczy samej,

Halt z pewnością coś wymyśli. W mniemaniu Horace'a tym właśnie powinni zajmować się zwiadowcy – myśleniem – a najlepszą rzeczą, jaką może uczynić rycerski czeladnik, jest nie przeszkadzać i zająć się swoją częścią zadania, to jest rozbijaniem po drodze łbów tym, którym łby rozbijać należało. Rozsiadł się wygodnie w siodle, zadowolony z losu, jaki przypadł mu w udziale.

Także Halt odetchnął, bo przestały go dręczyć wątpliwości związane z pytaniem, jakie chciał mu zadać Horace. Chyba że...

Mimo woli znów zaczął się zastanawiać, a wahania powróciły ze zdwojoną siłą. Czy więc padło pytanie, które chłopak początkowo zamierzał zadać, czy może zadał jakieś inne? Halt uznał, że musi tę sprawę wyjaśnić raz na zawsze.

– O to właśnie chciałeś spytać?

Nieco zaskoczony, Horace łypnął na niego.

– Co... – zaczął, ale ugryzł się w język i czym prędzej się poprawił: – To znaczy: słucham?

Halt znów westchnął ciężko.

– Chodzi mi o twoje pytanie, o pytanie o przełęcze. O to właśnie chciałeś mnie spytać przedtem? – rzucił tonem osoby, która zna właściwą odpowiedź, lecz na wszelki wypadek chce się upewnić.

– Chyba tak – odrzekł Horace z wahaniem. – Nie jestem już pewien, bo... tego, trochę się w tym wszystkim pogubiłem – zakończył niezręcznie.

Halt wysforował się do przodu, a do uszu Horace'a trafiły słowa zgoła nienadające się do powtórzenia.

Erak, dowódca wilczego okrętu i jeden ze starszych rangą skandyjskich jarlów, zmierzał nisko sklepionym korytarzem do Wielkiej Sali dworu Ragnaka. Na jego twarzy malował się posępny wyraz. Bo przecież zbliżał się sezon wiosennych wypraw, okręt zaś wciąż wymagał całego mnóstwa drobnych napraw oraz licznych poprawek. Przede wszystkim zaś należałoby kilka dni spędzić na morzu, co pozwoliłoby wykryć wszelkie istniejące niedomagania, a następnie je usunąć.

Tymczasem Ragnak właściwie bez przerwy wzywał do siebie jarla, wywracając tym samym jego plany do góry nogami. Eraka drażniło to tym bardziej, że audiencje zawdzięczał Borsie, hilfmannowi, czyli zarządcy dóbr oberjarla. Gdy Borsa pojawiał się na horyzoncie, najczęściej wynikało z tego jakieś niby błahe, lecz uciążliwe zadanie dla Eraka. Albo i nie takie znów błahe – pomyślał rozgniewany jarl.

Dawno minęła pora śniadania, toteż gdy zjawił się w sali jadalnej, kręciło się po niej już tylko kilku zajętych sprzątaniem służących. Naprzeciwko wejścia, u szczytu pomieszczenia, stał tron Ragnaka. Tę funkcję spełniało wyższe nieco od pozostałych, masywne krzesło, w którym zasiadał skandyjski władca podczas oficjalnych uroczystości. Obok tronu, przy stole z prostych desek, Ragnak i Borsa pochylali się nad stosem pergaminów. Erak natychmiast rozpoznał owe pergaminy, bowiem

widywał je już wielokrotnie. Były to rejestry podatkowe, zestawienia dochodów pochodzących z rozmaitych miast i okręgów całej Skandii – w sumie istna obsesja Ragnaka oraz treść życia Borsy. Borsa ślęczał nad papierzyskami przez całe dnie, a też śniły mu się one po nocach. Biada nieszczęsnemu jarlowi, który dałby się przyłapać na próbie uszczuplenia sum należnych Ragnakowi, bowiem Borsa, przeczesując wciąż na nowo kwity oraz rachunki, z szatańską precyzją wyławiał winowajców, których czekały surowe kary.

Zobaczywszy, co się dzieje, Erak nie miał już żadnych wątpliwości. Westchnął cicho; wezwanie i stosy szpargałów mogły znaczyć tylko jedno. Czekała go kolejna wyprawa, podczas której będzie musiał wyegzekwować zaległe podatki.

A przecież ściąganie należności nie należało do ulubionych zajęć Eraka. Był urodzonym wilkiem morskim, piratem i wojownikiem. Szczerze mówiąc, zazwyczaj większą sympatią darzył niesfornych podatników niż Borsę, tego skrzętnego liczykrupę pozostającego na usługach oberjarla. Tak się jednak złożyło, że podczas poprzednich misji związanych z poborem Erak spisał się aż nazbyt dobrze, bowiem – na swoje nieszczęście – za każdym razem zgarniał niezapłacone lub zaległe podatki. Od jakiegoś czasu, gdy choć cień podejrzenia padał na mieszkańców jakiejś osady lub na lokalnego władcę, pierwszą myślą Borsy było, by posłać tam Eraka, który raz dwa załatwi sprawę.

Na domiar złego stosowane przez Eraka metody czyniły zeń nad wyraz skutecznego poborcę, więc tym chętniej Borsa się nim wyręczał. Erak uważał tego rodzaju poczynania za tyleż nudne, co poniżające, a przy tym wprawiały go one w zakłopotanie – toteż z niezbędnymi czynnościami starał się uporać możliwie szybko. Brakowało mu cierpliwości, by wieść zawiłe spory, czy zagłębiać się w skomplikowane obliczenia. Sposób wypróbowany w takich razach przez Eraka sprowadzał się do tego, że jarl zamierzał się toporem o podwójnym ostrzu, grożąc, że rozłupie łeb pechowcowi, który miał nieszczęście narazić się Borsie – o ile wszystkie podatki nie zostaną natychmiast zapłacone.

W całej Skandii Erak cieszył się reputacją niezrównanego wojownika, lecz, ku jego ubolewaniu, nikt nie miał dość odwagi, by sprawdzić słuszność powszechnego sądu. Oporni podatnicy z miejsca przy Eraku

miękli niczym wosk, zawsze wyszperali gdzieś należną sumę, a często dorzucali i nieco więcej, nie spierając się przy tym ani nie ociągając.

Władca oraz jego rękodajny spojrzeli znad stołu ku zbliżającemu się jarlowi. Wielka Sala, zwana też jadalnią, miała wiele zastosowań – tu właśnie Ragnak i jego wojownicy spożywali posiłki, lecz tutaj również odbywały się wszystkie oficjalne zebrania, a także uroczystości. Natomiast niezbyt wielka otwarta wnęka, w której zasiadali teraz Ragnak i Borsa, studiując podatkowe rejestry, pełniła rolę osobistego gabinetu oberjarla. Trudno by ją nazwać gabinetem prywatnym, bowiem do sali jadalnej o każdej porze dnia mieli dostęp wszyscy członkowie wielkiej i małej Rady Wojennej. Ragnakowi jednak to zupełnie nie przeszkadzało, dawał bowiem w ten sposób wszem i wobec do zrozumienia, że nie ma nic do ukrycia.

– O, jesteś, Eraku – oznajmił Borsa rzecz dla wszystkich oczywistą, jak to było w jego zwyczaju.

– Dokąd tym razem? – spytał jarl zrezygnowanym tonem. Wiedział doskonale, że nie uda mu się wymigać od kolejnej poborczej misji, więc im prędzej będzie miał ją z głowy, tym lepiej dla niego. Może, przy odrobinie szczęścia, wyznaczą mu jakieś miasteczko usytuowane na wybrzeżu, tak że po drodze będzie mógł popracować nad niedostatkami okrętu, a przy okazji wzmocni ducha załogi.

– Ostkrag – rzekł oberjarl, a wówczas Erak stracił wszelką nadzieję, iż wyprawa przyniesie jakiekolwiek korzyści. Miejscowość Ostkrag położona była w głębi lądu, daleko na wschód od Hallasholm. Chodziło właściwie o małą osadę, przycupniętą w odległym krańcu łańcucha górskiego, tworzącego skalny kręgosłup Skandii; dotrzeć tam dawało się tylko przez góry, kilkoma wąskimi i krętymi przesmykami.

W najlepszym razie, podsumował jarl, czeka go niewygodna podróż na końskim grzbiecie, a tego środka transportu wyjątkowo nie lubił. Gdy pomyślał o górskim masywie, wznoszącym się nad Hallasholm, na krótką chwilę wróciło do niego wspomnienie dwojga araluеńskich niewolników, którym wiele miesięcy wcześniej pomógł uciec. Ciekawe, co się z nimi stało – czy udało im się dotrzeć do domku myśliwskiego w górach, a jeśli tak, to czy przeżyli zimę. Nagle zdał sobie sprawę, że Borsa i Ragnak czekają na jego odpowiedź.

– A, Ostkrag – odparł beznamiętnie.

Ragnak, komentując, aż kipiał od gniewu.

– Zalegają z kwartalną wpłatą. Chcę, żebyś tam pojechał i ich pogonił – ryknął oberjarl. Erak mimochodem zwrócił uwagę na chciwy błysk w oczach Ragnaka, który pojawiał się za każdym razem, gdy mowa była o pieniądzach, dochodach, podatkach, wpływach. Mimo woli westchnął.

– Może i zalegają, ale przecież nie więcej niż tydzień – machnął lekceważąco ręką. Lecz nie z Ragnakiem takie argumenty. Potrząsając pięścią w powietrzu, oberjarl darł się:

– Co najmniej dziesięć dni! – wrzeszczał. – I to już nie pierwszy raz! A przecież ich ostrzegałem – zwrócił się ku Borsie, biorąc zarządcę na świadka swych słów; hilfmann gorliwie pokiwał głową.

– Tamtejszym jarlem jest Sten Żelazna Ręka – stwierdził, jakby owo imię mówiło samo za siebie. Erak nie zrozumiał, więc Borsa wyjaśnił: – Powinien raczej się zwać Sten Lepka Ręka! Bo już i wcześniej bywało, że należne oberjarlowi pieniądze kleiły mu się do palców, a nawet gdy płacił wszystko, co do grosza, czynił to z wielkim opóźnieniem. Pora, byśmy dali mu porządną nauczkę.

Erak uśmiechnął się pod wąsem, spoglądając na zacietrzewionego zarządcę, który był mizernego wzrostu i nie zaliczał się do mocarzy. Borsa istotnie staje się człowieczkiem bardzo groźnym – pomyślał – o ile znajdzie się ktoś, kto jego groźby wprowadzi w życie.

– Chcesz rzec, że nadeszła pora, żebym to ja dał mu nauczkę? – upewnił się, ale Borsa nie wyczuł kpiny w jego głosie.

– Tak jest! – oświadczył. Jednak Ragnak wykazał się większą spostrzegawczością:

– Bądź co bądź, Eraku, przecież chodzi o moje pieniądze! – rzekł niemal płaczliwym tonem. Erak uważnie popatrzył mu w oczy. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że Ragnak się starzeje. Płomiennorude ongiś włosy oberjarla straciły swój blask i zaczęły siwieć. Eraka zaskoczyło własne spostrzeżenie. Stanowczo nie czuł się jeszcze przygnieciony brzemieniem wieku, a przecież Ragnak był niewiele od niego starszy. Gdy uważniej przyjrzał się swemu władcy, dostrzegł też i inne zmiany. Prócz siwiejących włosów – obwisłe policzki, wyraźnie zarysowana wypukłość w pasie… Przyszło mu do głowy, że może i on sam, Erak, nie prezentuje się już tak wyśmienicie, jak dawniej, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Nie dostrzegał na swej twarzy żadnych zmian, a przecież spoglądał na nią co rano

w lustrze z wypolerowanej blachy. Uznał więc, że to zapewne ciężar odpowiedzialności wiążącej się ze sprawowaniem stanowiska oberjarla przydał Ragnakowi lat.

– Mieliśmy surową zimę – rzekł na głos. – A pod sam jej koniec spadło niemało śniegu. Może przejścia przez góry są wciąż nieprzejezdne?

Podszedł do wielkiej mapy Skandii wiszącej na ścianie za stołem Ragnaka. Odszukał na niej Ostkrag i przejechał palcem aż do najbliższej przełęczy.

– Wężowy Szlak – mruknął, właściwie do siebie samego. – Najpierw te śniegi, a potem nagła odwilż… Mogło osunąć się jakieś zbocze. – Odwrócił się do Ragnaka i Borsy, nie odrywając palca od mapy. – Może posłańcy nie zdołali jeszcze tam dotrzeć?

Ragnak potrząsnął głową i Erak spostrzegł na jego twarzy rozdrażnienie, które często ujawniało się ostatnimi czasy, gdy ktokolwiek ośmielał się sprzeciwić oberjarlowi lub poddawać w wątpliwość jego sąd.

– Nie, na pewno nie. – W głosie władcy słychać było upór. – To sprawka Stena, wiem dobrze. Gdyby o kogo innego szło, może i bym się z tobą zgodził, Eraku. – Jarl skłonił się lekko, wiedząc zarazem, że słyszy kłamstwo rzucane w żywe oczy. Ragnak rzadko kiedy zgadzał się z kimś, kto ośmielał się mieć inne zdanie niż on. – Jedź tam i wyrwij Stenowi moje pieniądze. Jeśli będzie się sprzeciwiał, aresztuj go, a potem przywieź tutaj. Właściwie, aresztuj go tak czy inaczej, nawet jeśli nie będzie stawiał oporu. Weź ze sobą dwudziestu ludzi. Niech się wreszcie przekona, kto rządzi w tym kraju. I wszyscy inni też. Mam już dosyć tego, że jacyś zadufani w sobie jarlowie biorą mnie za durnia.

Erak, zaskoczony, spojrzał na Ragnaka. Pozbawienie wolności jarla w jego siedzibie to nie przelewki – zwłaszcza gdy chodziło o tak drobne wykroczenie. Pośród Skandian miganie się od podatków stanowiło praktykę nagminną, stając się czymś w rodzaju narodowego sportu. Gdy kogoś przyłapano, kładł uszy po sobie i płacił, na tym koniec. Erak nie przypominał sobie, by kiedykolwiek karą stało się tak hańbiące upokorzenie. Skandianie, z natury dumni i niepokorni, wielce się tymi cechami chlubili. Zaś ludzi każdego jarla łączyła silniejsza więź z własnym przywódcą niż poczucie lojalności wobec dalekiego, sprawującego władzę w Hallasholm Ragnaka.

– Sądzę, iż proponujesz nierozsądny ruch – stwierdził spokojnie Erak. W odpowiedzi władca łypnął na niego z wściekłością.

– Ja decyduję, co jest rozsądne, a co nie! – warknął. – Ja tu jestem oberjarlem, nie ty.

Zabrzmiało to wręcz obraźliwie. Zgodnie z obowiązującą od niepamiętnych czasów tradycją, jarlom zawsze wolno było wyrażać swe zdanie wobec władcy, zwłaszcza gdy chodziło o kogoś tak wysoko postawionego jak Erak – choćby i zdanie wyrażał wbrew opinii oberjarla. Przygryzł wargi, by powstrzymać się od gniewnej repliki, która sama cisnęła mu się na usta. Nie było sensu kłócić się z Ragnakiem, kiedy był w podłym nastroju.

– Wiem, że ty jesteś oberjarlem, Ragnaku – odparł spokojnie. – Tyle że Sten jest jarlem w Ostkrag i należy sprawdzić powody, dla których opóźnił wpłatę. Jeśli postąpimy z nim tak, jak teraz proponujesz, być może niepotrzebnie wywołamy jakieś rozruchy.

– Powiadam ci, do wszystkich diabłów, żadnych ważnych powodów tam nie znajdziesz! – Oczy Ragnaka zwęziły się od złości, aż od niej kipiał. – To złodziej i trzeba przykładnie go ukarać. Niech inni zobaczą!

– Ragnaku… – rozpoczął znów Erak, próbując po raz ostatni przemówić oberjarlowi do rozumu. Tym razem przerwał Borsa:

– Jarlu Eraku, otrzymałeś rozkazy! A teraz czas je wykonać! – krzyknął. Erak, z wolna odwróciwszy głowę ku zarządcy, popatrzył mu zimno w oczy.

– Słucham poleceń oberjarla. Nie twoich, hilfmannie.

Borsa zdał sobie sprawę, że się zagalopował. Nie wiadomo jakim cudem zdołał się bardziej skurczyć. Trochę nawet żałował, że od Eraka nie dzieli go ogromny stół. Spuścił wzrok. Na chwilę zapadło ciężkie milczenie. Ragnak zdał sobie chyba sprawę, że powinien mimo wszystko wycofać się, odstąpić choćby o krok – lecz ani kroku dalej.

– Eraku, posłuchaj – odezwał się poirytowany – jedźże do Ostkrag i wydobądź te pieniądze od Stena. A jeśli będzie stawiał opór, natychmiast przywieź go tu, bym go osądził. Tak czy nie?

– A jeśli zwleka z jakichś ważnych powodów? – nie ustępował Erak.

Oberjarl machnął ręką, by zażegnać w końcu ich absurdalny spór.

– Jeśli rzeczywiście zwleka z jakichś ważnych powodów, daj mu spokój. Może być?

Erak skłonił się.

– Jeśli tak, może być, oczywiście – zgodził się.

Ragnak, który nigdy nie wiedział, kiedy powinien ustąpić, dorzucił kąśliwym tonem:

– Och, co ty powiesz, doprawdy? Jak to miło z twojej strony, jarlu Eraku. Może więc zechciałbyś ruszyć w drogę już teraz, nim nadejdzie lato, co?

Erak sztywno skinął głową i odwrócił się na pięcie. Dopiął swego, czyli uzyskał pewną swobodę manewru. W myślach skonstatował, że Ragnak stał się tak nudnym starym sknerą, że już sam ten fakt wystarczałby za powód, by nie płacić mu podatków. A przynajmniej nie spieszyć się z tym zbytnio.

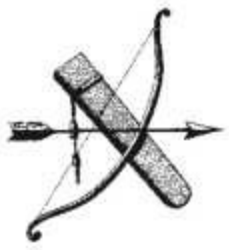

Will ocknął się nagle. Od razu zdał sobie sprawę, że siedzi na ganku, grzejąc się w słońcu, i że znów zasnął. Zauważył, że ostatnio sypia bardzo wiele. Evanlyn twierdziła, że nic w tym dziwnego, bo przecież musi odzyskać siły. Zapewne miała rację.

Zresztą, niewiele było do roboty w chacie, która, odkąd uciekli ze skandyjskiej niewoli, służyła im jako tymczasowe schronienie. Zmył i wytarł naczynia po śniadaniu, później posłał łóżka i z nudów starannie poustawiał niezbyt liczne meble. Wszystko to zajęło mu ledwie pół godziny, więc zajął się kucykiem zamieszkującym przybudówkę. Wyczesał mu sierść tak, że aż lśniła. Konik spoglądał na niego – i na siebie – z lekkim zdziwieniem. Pewnie dotąd nikt nie poświęcił tyle troski i czasu jego wyglądowi.

Potem Will już tylko snuł się bez celu po chacie i po małej polance, przyglądając się miejscom, w których zeszłoroczna trawa zaczęła wyglądać spod śniegu. Naszła go chęć, żeby sporządzić jeszcze kilka wnyków, ale zaraz potem odrzucił tę myśl. I tak mieli więcej pułapek, niż potrzebowali. Przygnębiony, w poczuciu własnej bezużyteczności, zasiadł na ganku, by czekać, aż wróci Evanlyn. Chyba ciepłe promienie słońca sprawiły, że ponownie zapadł w drzemkę.

Gdy się na dobre przebudził, nie było już tak ciepło. Zdał sobie sprawę, że słońce przemierzyło spory odcinek na nieboskłonie i domek znajdował się obecnie w cieniu rzucanym przez sosny. Z pewnością minęło południe.

Zmarszczył brwi. Przecież Evanlyn wyruszyła sprawdzać pułapki dobrze przed południem. Co prawda rozstawiali teraz wnyki dalej, ale i tak miała dość czasu, by do nich dojść, sprawdzić, co trzeba, i wrócić. Nie było jej co najmniej trzy godziny, a może i dłużej.

Chyba że w międzyczasie nadeszła, zobaczyła, że śpi i nie chciała go budzić. Wstał, rozprostowując zesztywniałe stawy, i zajrzał do środka chatki. Nic nie wskazywało, by przyszła, kiedy on spał. Worka na zwierzynę oraz jej grubego wełnianego płaszcza nigdzie nie dostrzegł. Will zaniepokoił się na serio. Przechadzając się tam i z powrotem po polance, zaczął się zastanawiać, co powinien właściwie zrobić. Żałował, że nie wie dokładnie, od jak dawna Evanlyn nie wraca, i beształ się w duchu, że usnął. Lęk ściskał mu żołądek, gdy rozważał, co też mogło przytrafić się jego towarzyszce. Istniało kilka możliwości.

Mogła po prostu się zgubić i obecnie błądzi pośród gęsto rosnących sosen, próbując odnaleźć drogę powrotną. Owszem, możliwe, lecz niestety mało prawdopodobne. Oznaczył ścieżki prowadzące do wnyków dyskretnymi znakami, a Evanlyn wiedziała, gdzie ich szukać.

Może przytrafił jej się jakiś wypadek – na przykład przewróciła się i skręciła kostkę. Ścieżki miejscami wiodły stromiznami, po drodze nie brakowało rozmaitych muld oraz nierówności, toteż taka sytuacja zdawała się całkiem prawdopodobna. Może dziewczyna leży teraz w śniegu, nie daje rady wstać i jęczy z bólu, a przecież wkrótce zacznie zapadać zmierzch.

Trzecia możliwość była taka, że się na kogoś natknęła. Niestety, każdy w tych górach okazałby się najprawdopodobniej ich wrogiem. A jeśli schwytali ją Skandianie? Gdy Will o tym pomyślał, serce zabiło mu gwałtownie. Wiedział, że ze zbiegłą niewolnicą nie obejdą się łaskawie. Erak co prawda już raz im dopomógł, lecz istniała niewielka szansa, by uczynił to powtórnie – nawet gdyby trafiła się po temu sposobność.

Snując ponure rozważania, przygotowywał się jednocześnie do poszukiwań. Napełnił jeden ze skórzanych bukłaków źródlaną wodą, którą przynosił codziennie do chaty, zgarnął kilka kawałków suszonego mięsa, które upchnął w podręcznym woreczku, po czym włożył wysokie buty,

sięgające mu prawie do kolan, zasznurował je pospiesznie i sięgnął po wiszącą na haku przy drzwiach baranicę.

W gruncie rzeczy, najbardziej prawdopodobna wydawała się druga możliwość. To znaczy, Evanlyn z takiego czy innego powodu nie może chodzić. Nie przypuszczał bowiem, żeby pojmali ją Skandianie – po prostu nie mieli czego szukać w tej akurat okolicy. Jedynym rozsądnym powodem, by zapuszczać się w góry, było polowanie, tymczasem gruba zwierzyna wyniosła się stąd na czas zimy w niżej położone rejony. Komu zaś by się chciało przedzierać przez wysokie zaspy, wciąż zalegające większość dróg, by ustrzelić kilka nędznych królików? Zatem nie, najprawdopodobniej Evanlyn była względnie bezpieczna, choć przydarzyło jej się coś niedobrego.

Jeśli więc nie mogła sama wrócić do domu, to – logicznie rzecz biorąc – najlepiej od razu założyć konikowi uzdę i go osiodłać. Kiedy bowiem odnajdzie Evanlyn, dziewczyna będzie mogła powrócić do chaty na jego grzbiecie. Co do tego, że ją odnajdzie, nie miał najmniejszych wątpliwości. Był już przecież wytrawnym tropicielem, choć może nie dorównywał jeszcze Haltowi czy Gilanowi. Natomiast odnalezienie śladu dziewczyny w śniegu wydawało mu się sprawą łatwą.

W końcu zdecydował się pozostawić konika w stajni. Kucyk robiłby niepotrzebny hałas, a coś podpowiadało Willowi, że na wszelki wypadek lepiej zachować ostrożność. Nie przypuszczał, by Evanlyn została przez kogoś pojmana, chociaż nie mógł również tego wykluczyć.

Rozsądniej więc będzie poruszać się dyskretnie i wywęszyć, co istotnie zaszło. Podjąwszy decyzję, zgarnął z łóżek koce i zwinął je w rulon, który zarzucił na ramię. Być może przyjdzie mu spędzić noc na dworze, lepiej więc być przygotowanym. Wrzucił do kieszeni hubkę i krzesiwo, leżące zazwyczaj przy palenisku.

Teraz był już naprawdę gotów do drogi. Zatrzymał się w drzwiach, by raz jeszcze rzucić okiem za siebie i rozejrzeć się po wnętrzu chaty. Chciał sprawdzić, czy nie znajdzie się tam coś jeszcze, co mogłoby mu się przydać. Mały myśliwski łuczek i kołczan ze strzałami leżały przy drzwiach. Tknęło go coś, więc schylił się, chwycił łuk, przerzucił go przez ramię. Wpadła mu do głowy jeszcze jedna myśl. Cofnął się do paleniska i wyciągnął osmoloną szczapę.

Na zewnętrznej stronie drzwi napisał wielkimi literami: „Poszedłem cię szukać. Czekaj tu na mnie".

Możliwe przecież, że Evanlyn zjawi się już po jego odejściu. Wtedy to ona zacznie go szukać, stwierdzając, iż Will gdzieś zniknął. Niepotrzebnie, bo skoro ona tu powróci, to i on z łatwością trafi z powrotem po jej śladach.

Zdjął z pleców łuk, poświęcił kolejnych kilka sekund, by założyć cięciwę. Przypomniał sobie słowa Halta: „Łuk bez cięciwy to tylko jeszcze jedna rzecz do dźwigania. Łuk naciągnięty to broń". Skrzywił się. Ten akurat łuczek trudno było określić mianem broni. Nie miał jednak nic innego, prócz małego noża, który zatknął za pas. Na skraju polany odnalazł świeży trop Evanlyn. Ślady rozmazały się już trochę, bo ich krawędzie stopiło rankiem wiosenne słońce, wciąż jednak były wyraźne. Will ruszył, zagłębiając się w las równomiernym krokiem.

Bez trudu podążał śladem jej stóp. Rozpoczynając wędrówkę rankiem, zmierzała w stronę wyższych partii zalesionego masywu górskiego.

Will wkrótce musiał zwolnić. Nie był w stanie biec dłużej; zdał sobie sprawę, że wciąż jest w kiepskiej kondycji. Kiedyś potrafił przez całe godziny biec truchtem. Teraz zaś, po ledwie dwudziestu minutach, był zdyszany i wycieńczony. Przeklinając własną słabość, szedł dalej tropem Evanlyn.

Okazało się to tym łatwiejsze, że świetnie wiedział, dokąd dziewczyna zamierzała się udać. Przecież razem z nią zastawiał wnyki kilka dni wcześniej. Wtedy poruszali się wolniej i robili częste postoje, by on mógł odpocząć. Evanlyn uważała zresztą, że w ogóle nie powinien wypuszczać się aż tak daleko, lecz nie miała wyboru – sama nie potrafiłaby zastawić pułapek – a ściślej mówiąc, nie umiałaby znaleźć tych miejsc, które dawały największą szansę na schwytanie ofiary. Tymczasem Will, jako ekspert w dziedzinie przetrwania, potrafił odszukać i rozpoznać niedostrzegalne dla niej znaki, wskazujące ulubione żerowiska królików oraz ptactwa.

Jak stwierdził, rankiem Evanlyn dotarła do pierwszej pułapki po około czterdziestu minutach. Will pokonał tę samą odległość w godzinę i piętnaście minut, zatrzymując się tym częściej, im bardziej zbliżał się do

wnyków. Złościł się, bo wiedział, że z każdym postojem traci światło dzienne, ale nic nie mógł poradzić. Nie było sensu zmuszać się do nieustannego parcia naprzód i pod górę, jeśli miałoby go to przyprawić o skrajne wyczerpanie. Musiał zachować nieco sił, jeśli chciał zapewnić Evanlyn odpowiednią pomoc, kiedy ją odnajdzie.

Gdy dotarł do oznaczonego nacięciem drzewa, słońce zwisało nisko nad górskim grzbietem. Dotknął ręką kory i odwrócił się, by spojrzeć na ścieżkę wiodącą pośród sosen, gdy nagle ujrzał kątem oka coś, co sprawiło, że serce podeszło mu do gardła.

W śniegu dojrzał wyraźne odciski końskich kopyt, które nakładały się na ślady pozostawione przez Evanlyn. Ktoś więc jednak podążał jej tropem.

Zapomniawszy o zmęczeniu, Will, skulony wpół, pobiegł aż do miejsca, gdzie zastawili pierwsze sidła. Tu na śniegu zapisała się cała historia; Will opadł na kolana, by ją odczytać.

Po pierwsze: puste sidła. Evanlyn zastawiła je na nowo i wygładziła śnieg dookoła, po czym nasypała garstkę świeżego ziarna. We wnyki złapało się jakieś zwierzę.

Potem ogarnął wzrokiem szerszą przestrzeń i zobaczył odciski stóp kogoś, kto się za nią skradał, podczas gdy ona klęczała, zaabsorbowana ponownym stawianiem wnyków, pewnie też zadowolona ze zdobyczy. Już przedtem zauważył, że ślady kopyt urywają się jakieś dwadzieścia metrów wcześniej. Bez wątpienia koń przyuczony został, by poruszać się jak najciszej – czyli zupełnie jak konie zwiadowców. Poczuł się nieswojo. Wróg, który dysponował tego rodzaju umiejętnościami, napawał go prawdziwym niepokojem – a teraz już wiedział, że napastnik na pewno jest wrogiem. Ślady nierównych zmagań między przybyszem a Evanlyn były aż nadto czytelne dla jego wyćwiczonego oka. Jakby widział mężczyznę – zakładał bowiem, że to mężczyzna – który bezgłośnie zaszedł dziewczynę od tyłu, chwycił ją i pociągnął, ona zaś wyrywała się z całych sił.

Znaki na śniegu jasno informowały, że Evanlyn szarpała się i kopała. Potem nagle walka ustała i już tylko dwie wąskie koleiny towarzyszyły śladom wroga, który powrócił do swego wierzchowca. Koleiny wyżłobione zostały jej piętami wtedy, kiedy napastnik wlókł ją, nieprzytomną.

Nieprzytomną, czy nieżywą? Na samą myśl przeszył go zimny dreszcz. Jednak otrząsnął się stanowczo.

Po co tamten miałby ją zabierać ze sobą, gdyby ją zabił? – zastanowił się. Niemal uwierzył we własną logikę, ale wciąż w żołądku czuł nieznośny ucisk. Dopadł go strach, kiedy wracał końskim tropem do głównej ścieżki, a potem w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przybył.

Dobrze przynajmniej – pomyślał – że zabrałem koce.

Czekała go długa, mroźna noc. Pochwalił sam siebie, bo nie zapomniał i o łuku, choć nadal żałował innego łuku, rzeczywiście solidnego, lecz utraconego bezpowrotnie, kiedy podchodził Skandian w Celtii, przy spalonym moście. Żywił bowiem graniczące z pewnością przeczucie, że w najbliższym czasie broń będzie mu bardzo potrzebna.

Tamta broń była bez porównania lepsza niż słaby, myśliwski łuczek.

Świat stanął na głowie i trząsł się niemiłosiernie.

Evanlyn powracała pomału do przytomności; zdała sobie jednak sprawę, że zwisa czaszką w dół, a jej twarz dzieli tylko kilka centymetrów od końskiego boku. Lewego boku. Znajdowała się w odwróconej pozycji, więc puls łomotał jej w skroniach, a rytm końskich kroków jeszcze to łomotanie wzmagał. Koń był kasztanowej maści – zauważyła – o długiej i skołtunionej sierści, której już dawno nikt nie czesał. Niewielki fragment końskiej skóry, jaki znajdował się w zasięgu wzroku dziewczyny, ukazywał sierść zlepioną potem oraz grudami zaschniętego błota.

Coś twardego wbijało jej się w brzuch przy każdym stąpnięciu wierzchowca, więc w pewnej chwili spróbowała zmienić pozycję, ale natychmiast poczuła mocne uderzenie w tył głowy. Wystarczająco jasny komunikat, by zaprzestała dalszych prób i poddała się losowi.

Gdy odwróciła nieco głowę, zdołała ujrzeć lewą nogę jeźdźca, skraj sięgającego kolan futrzanego płaszcza oraz buty z miękkiej skóry. Niżej przesuwała się ośnieżona powierzchnia drogi. Uświadomiła sobie, że kiedy była nieprzytomna, napastnik rzucił ją przed sobą na koński grzbiet i że owo coś, co tak boleśnie wbija jej się w brzuch, to łęk siodła.

Nagle przypomniała sobie wszystko: cichy szelest z tyłu, który wyczuła raczej, niż usłyszała; chciała się odwrócić, ale jakieś cuchnące potem, dymem i futrem łapsko zatkało jej usta i nie mogła krzyczeć. Zresztą, nawet gdyby zdołała zawołać o pomoc, w pobliżu nie znalazłby się nikt, kto by usłyszał – pomyślała z goryczą.

Walczyła zawzięcie, choć krótko. Napastnik pociągnął ją do tyłu, pozbawiając równowagi. Usiłowała mu się wyrwać, kopała i gryzła – ale bez skutku; zęby nie zdołały przebić grubej rękawicy, kopnięcia zaś trafiały w pustkę. A potem już tylko chwila ogłuszającego bólu, tuż za lewym uchem, i nastała ciemność.

Dojmujące pulsowanie obejmowało nadal lewą część głowy. Nie dość, że leżała bezradna, w wyjątkowo niewygodnej pozycji, podczas gdy jakiś obcy uwoził ją w nieznanym kierunku, to na dodatek właściwie niczego nie widziała. Nie mogła nawet spojrzeć na człowieka, który ją pojmał. Wisząc twarzą w dół, oglądała tylko but oraz kawałek końskiego boku; żadnych charakterystycznych szczegółów, które pomogłyby jej odnaleźć drogę powrotną – o ile oczywiście udałoby jej się jakimś cudem uciec.

Spróbowała dyskretnie przekręcić głowę w bok, by przynajmniej zerknąć na siedzącego tuż za nią jeźdźca. Porywacz jednak wyczuł ten ruch, choć starała się uczynić go niepostrzeżenie, i w następnej chwili uczuła kolejne silne uderzenie w tył głowy. No pięknie, tego mi tylko brakowało – pomyślała gniewnie.

Uświadomiwszy sobie wreszcie, że nie ma co dodatkowo wywoływać kolejnego ataku agresji ze strony napastnika, opadła bezwładnie, starając się rozluźnić mięśnie w nadziei, że dzięki temu łatwiej jej przyjdzie znieść niewygodę. Nie na wiele się to zdało, ale przynajmniej, gdy pozwoliła opaść bezwładnie głowie, odczuła coś na kształt ulgi w karku i w napiętych mięśniach ramion.

Koń przyspieszył lekko, przechodząc w krótki kłus; kopyta wzbijały śnieg, spod którego wyłaniały się brązowe plamy przegniłej trawy. Zdała sobie sprawę, że jadą w dół zbocza. W pewnej chwili, na bardziej stromym odcinku, jeździec ściągnął wodze, zwalniając znów do stępa. Odchylił tułów, a ona zsunęła się bliżej ku końskiej szyi i gdy przemieścił ciężar swego ciała, by zachować równowagę, ujrzała jego stopy w strzemionach.

Tuż przed nimi – co zarejestrowała kątem oka – znajdowała się połać zlodowaciałego śniegu, który wcześniej musiał stopnieć w słońcu, a teraz

zamarzł na nowo. W następnej chwili poczuła na sobie końskie kopyta; zwierzak, z rozstawionymi szeroko nogami, zaczął się ześlizgiwać. Usłyszała gniewne stęknięcie jeźdźca, który odchylił się jeszcze bardziej, mocno ściągając wodze, by zapanować nad przerażonym wierzchowcem. Koń zaparł się i zjeżdżał, łomocząc tylnymi kopytami, gdy szukał dla nich oparcia. Ślizgał się jeszcze przez chwilę, aż w końcu znalazł pewniejszy grunt. Jeździec popędził wierzchowca, który znów przeszedł do równomiernego stępa.

Evanlyn odnotowała to w pamięci. Jeśli podobna sytuacja się powtórzy, być może nadarzy się okazja do ucieczki.

Bądź co bądź, nikt nie przywiązał jej do konia, leżała przerzucona luźno przez grzbiet, niczym naręcz starych szmat. Gdyby koń upadł, mogłaby zerwać się i umknąć, zanim jeździec zdołałby się podźwignąć. Tak przynajmniej sądziła.

Szczęśliwie dla niej koń jednak nie upadł. Ze swej pozycji nie mogła bowiem dojrzeć łuku przewieszonego przez bark jeźdźca ani też dostrzec kołczanu pełnego strzał, przytroczonego do siodła po prawej stronie. Na kolejnych stromiznach koń ślizgał się znów, ale ani jeździec nie stracił już nad nim kontroli, ani też koń nie wpadł więcej w panikę.

Wreszcie dotarli do celu. Uświadomiła to sobie, gdy koń nagle się zatrzymał. I w tej samej chwili poczuła rękę na kołnierzu. Ręka zgarnęła ją, a potem cisnęła na mokry śnieg. Upadła ciężko, kuląc się przy tym; musiało upłynąć dobrych kilka sekund, nim zdołała odzyskać przytomność umysłu i rozejrzeć się wokół.

Znajdowali się na polanie, gdzie dostrzegła niewielkie obozowisko. Mogła wreszcie przyjrzeć się porywaczowi, który zeskoczył już z siodła. Niski, krzepki mężczyzna w futrzanym odzieniu – długi i szeroki futrzany płaszcz okrywał prawie całe jego ciało. Na głowie miał dziwną spiczastą czapkę, także z futra. Spod płaszcza wystawały – wetknięte w sięgające do kolan skórzane buty – szerokie spodnie, uszyte z czegoś, co przypominało filc.

Porywacz podszedł do niej kołyszącym się krokiem, typowym dla kogoś, kto większość życia spędził w siodle. Miał ostre rysy – i skośne oczy, jakby na trwałe pozostały zmrużone w następstwie długich lat wpatrywania się w horyzont bezkresnych przestrzeni, zmrużone od wiatru i oślepiającego blasku słońca. Skórę miał ciemną, przypominającą prawie orzechowy

odcień opalenizny czy raczej kojarzącą się z ogorzałością, wydatne zaś kości policzkowe nadawały twarzy drapieżny wygląd.

Do tego nos krótki, płaski i szeroki, cienkie wargi. Pierwsze wrażenie podpowiadało Evanlyn, że spogląda w twarz znamionującą okrucieństwo. Jednak po chwili dziewczyna zmieniła zdanie. Twarz napastnika wyrażała wyłącznie obojętność. W skośnych oczach nie dostrzegła współczucia ani nawet zainteresowania, gdy schylił się i znów szarpnął ją za kołnierz, zmuszając, by wstała.

– Stój – rzekł oschle.

Mówił niskim, gardłowym głosem, ale rozpoznała słowo. Użył języka skandyjskiego. Skandyjski był bardzo zbliżony do araluеńskiego, a poza tym spędziła długie miesiące w towarzystwie Skandian, więc całkiem nieźle rozumiała ich mowę. Nie stawiała oporu, kiedy ją podnosił i stawiał na nogi. Z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że są prawie takiego samego wzrostu. Jednak, choć niski, miał silne ramiona. Od razu to zauważyła, gdy ją dźwigał z ziemi.

Dostrzegła też łuk i kołczan. Zdała sobie naraz sprawę, że próba ucieczki wcześniej, w drodze, prawdopodobnie skończyłaby się dla niej fatalnie. Nie wątpiła, że mężczyzna, który popycha ją przodem, jest wytrawnym łucznikiem. W ogóle, sprawiał wrażenie kogoś, kto posiadł wiele umiejętności; był spokojny, lecz stanowczy, biła od niego pewność siebie. Sądząc tylko po łuku, można by go uznać za myśliwego, ale długi, krzywy miecz w pochwie z mosiężnymi okuciami u pasa zdradzał wojownika. Bez żadnych wątpliwości.

Na widok przybyłych od strony obozowiska poniósł się gwar. Dojrzała jeszcze pięciu innych wojowników, podobnie odzianych i uzbrojonych. Ich wierzchowce, również niewysokie i kudłate, przytroczone były do wspólnej liny, rozciągniętej między dwoma drzewami. Na polanie wznosiły się trzy namioty z materii, która z daleka przypominała filc. W małym kamiennym kręgu pośrodku polany płonął ogień, wokół którego siedzieli mężczyźni. Ujrzawszy ją, natychmiast wstali.

Jeden z nich wystąpił o krok przed resztę; po rozkazującym tonie domyśliła się, iż jest dowódcą tej małej grupki. Zaczął mówić coś szybko do wojownika, który ją pojmał. Nie rozumiała nic, jednak w głosie dowódcy wyraźnie pobrzmiewał gniew.

Choć pierwszy odezwał się przywódca grupy, to ten, który ją tu sprowadził, także miał coś do powiedzenia; nie dał się bowiem zakrzyczeć i odpowiedział równie wartkim potokiem słów, wymachując przy tym rękami i wskazując w jej stronę. Mężczyźni stali twarzą w twarz, kłócąc się coraz głośniej. Niewątpliwie właśnie ona była przedmiotem sporu, bo co jakiś czas któryś z nich podkreślał swoją wypowiedź szerokim gestem i wskazywał ją palcem.

Evanlyn przyjrzała się ukradkiem czterem pozostałym wojownikom. Przestawszy interesować się branką, ponownie zasiedli wokół ognia. Kłótni przysłuchiwali się z zaciekawieniem, ale raczej bez szczególnych emocji. Jeden z nich powrócił do przerwanej czynności, czyli do obracania nad ogniem patyków, na które nabito kawałki świeżego mięsa. Skapujący do ognia tłuszcz skwierczał, a wokół unosił się aromatyczny dym.

Evanlyn zaburczało w brzuchu, ślina napłynęła jej do ust. Nie jadła nic od porannego skromnego śniadania, spożytego w towarzystwie Willa, tymczasem, sądząc po pozycji słońca na niebie, musiało już dochodzić późne popołudnie. Według jej obliczeń jechali przez co najmniej trzy godziny.

Wreszcie spór został rozstrzygnięty, najwyraźniej na korzyść jej porywacza. Dowódca krzyknął coś na zakończenie, krzyk poparł gniewnym gestem, po czym odwrócił się, podszedł do ogniska, i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Spojrzał na nią raz jeszcze, następnie machnął ręką i rzekł coś do pozostałych.

Evanlyn odetchnęła, bo przynajmniej przestali się nią zajmować – choć w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, o co chodzi. Odniosła jednak wrażenie, że dowódca miał ochotę pozbyć się jej w ten czy inny sposób, natomiast porywacz upierał się, by zatrzymać ją w niewoli – tylko po co?

Gdy pomyślała, co może ją czekać, zadrżała z lęku.

Ale na razie nie dowiedziała się niczego. Wojownik odczepił przytroczoną do siodła linę splecioną z rzemieni i szybkim ruchem owinął ją dwukrotnie wokół talii Evanlyn. Potem zaciągnął dziewczynę do pnia dużej sosny rosnącej na skraju polany. Pień opasał drugim końcem liny. Zostawił jej więc pewną swobodę ruchów, lecz niezbyt wielką. Bezceremonialnie szarpnął brankę, pochwycił obie jej ręce, zmuszając Evanlyn, by skrzyżowała nadgarstki. Domyślała się, co zaraz nastąpi, więc odruchowo próbowała się wyrwać. Odpowiedzią był kolejny silny cios

wymierzony w tył głowy. Następnie porywacz związał jej ręce krótszym rzemieniem. Skrzywiła się i stęknęła głośno, bowiem więzy boleśnie wpiły się w ciało. Błąd: kolejne uderzenie pouczyło ją, że ma być cicho.

Stała niepewnie, ze skrępowanymi rękami, przywiązana do drzewa. Zastanawiała się, jak zdoła usiąść. Lecz ten problem rozwiązano za nią. Jeździec kopnięciem podciął jej nogi i pozbawił równowagi. Runęła w śnieg, wzbudzając niejakie rozbawienie wśród mężczyzn skupionych przy ogniu.

Przez następnych kilka godzin siedziała w bardzo niewygodnej pozycji, a ręce drętwiały jej coraz bardziej, gdyż więzy utrudniały przepływ krwi. Z czasem sześciu wojowników przestało zwracać na nią jakąkolwiek uwagę. Jedli i pili, racząc się ze skórzanych bukłaków jakimś mocnym trunkiem. Im więcej zaś pili, tym hałaśliwiej się zachowywali, ale zauważyła, że choć byli pijani, ani przez chwilę nie przestawali mieć się na baczności, wciąż zachowując czujność. Jeden z nich zawsze pełnił straż poza kręgiem światła padającego od ogniska i krążył wokół polany, sprawdzając każdy fragment przestrzeni, gdzie mogłoby pojawić się zagrożenie. Zauważyła też, że strażnicy zmieniali się cyklicznie oraz że żaden z wojowników nie ociągał się, gdy przyszła jego kolej.

Gdy noc zapadła na dobre, mężczyźni udali się do swych namiotów, tak niskich, iż musieli się do nich wczołgiwać, przeciskając się przez mały właz osłonięty klapą. Na pewno w środku było ciasno, ale z pewnością o wiele cieplej niż na dworze.

Ogień przygasł. Jeden z wojowników – lecz nie ten, który ją pojmał – podszedł do niej kołyszącym się krokiem i narzucił na Evelyn ciężką baranicę. Baranica była szorstka i cuchnęła tak samo, jak ich konie, jednak zapewniała choć odrobinę ciepła. Odrobinę, lecz przecież zbyt mało. Bo noce, mimo zbliżającej się wiosny, wciąż jeszcze były bardzo chłodne. Evanlyn przywarła do pnia, usiłując otulić się baranicą. Musiała przemóc wstręt, by za pomocą zębów podciągnąć śmierdzące futro pod samą szyję. Wiedziała, że czeka ją ciężka noc.

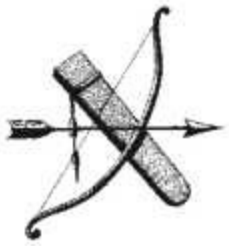

Halt krytycznym okiem ocenił własne dzieło. Ocena musiała wypaść korzystnie, skoro rzucił z zadowoleniem:

– Doskonale. To powinno załatwić sprawę.

Horace przyglądał się, demonstrując powątpiewanie; jego wzrok wędrował od zadowolonego z siebie oblicza Halta ku dokumentowi. Dokument, który zwiadowca właśnie skończył podrabiać, wyglądał jak urzędowe rozporządzenie.

– Czyja pieczęć jest tam, na dole? – spytał po chwili. Znak przedstawiał byka wspinającego się na tylne nogi, a odciśnięty został w sporym kawałku wosku, umocowanym do prawego dolnego rogu pergaminu. Halt dotknął wosku palcem, by sprawdzić, czy stwardniał już na dobre.

– No cóż, jeśli w ogóle czyjaś, to chyba moja – wyznał. – Ale mam nadzieję, że nasi skandyjscy przyjaciele będą przekonani, iż należy do króla Gallii, Henryka.

– Tak właśnie wygląda królewska pieczęć? – zdziwił się Horace, a Halt jeszcze raz przyjrzał jej się uważnie.

– Z grubsza – odparł. – Wydaje mi się, że w rzeczywistości byk jest nieco smuklejszy, jednak fałszerz, od którego ją kupiłem, dysponował dość niewyraźną odbitką, która posłużyła mu za wzór.

– Ale... – zaczął Horace i umilkł.

Halt uniósł brwi.

– Ale? – powtórzył pytającym tonem. Horace tylko potrząsnął głową. Czuł, że Halt wyśmieje jego skrupuły.

– Nieważne – rzekł po chwili. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że zwiadowca nadal czeka na jego słowa, więc szybko zmienił temat:

– Mówiłeś chyba, że w Gallii nie ma króla? – odezwał się niepewnie.

Halt potrząsnął głową.

– Niezupełnie. Król jest, choć słaby – wyjaśnił. – Dziedzicznym władcą Gallii jest właśnie król Henryk, który jednak nie dysponuje prawdziwą władzą. Panuje wyłącznie nad południową częścią kraju, gdzie rezyduje jego dwór, natomiast nie daje rady sprawować kontroli nad resztą terytorium; w rezultacie miejscowi magnaci panoszą się i czynią, co im się żywnie podoba.

– To akurat zauważyłem – wtrącił Horace, mając na myśli ich perypetie z panem Deparnieux, które zatrzymały obu Araluеńczyków w drodze przez Gallię.

– Można więc rzec, że król Henryk jest jakby papierowym tygrysem – perorował dalej Halt. – Jednak zdarza mu się od czasu do czasu wysyłać posłańców do sąsiednich krajów. Dlatego też… – zawiesił głos i wskazał dłonią płachtę pergaminu, którą powiewał łagodnie w powietrzu, by atrament wysechł, a woskowa pieczęć stwardniała.

Horace nie wytrzymał.

– Uważam, że źle czynisz! – wybuchnął, nim zdołał ugryźć się w język. Halt uśmiechnął się cierpliwie i wyrozumiale, po czym dmuchnął, by wysuszyć jakieś literki, które zdawały się jeszcze połyskiwać wilgocią.

– Źle? Starałem się, jak mogłem, lepiej już nie potrafię – stwierdził spokojnie. – Poza tym wątpię, by przeciętny Skandianin pełniący straż na granicy dopatrzył się jakichś niedociągnięć – zwłaszcza jeśli wdziejesz tę kosztowną gallijską zbroję, którą odziedziczyłeś po Deparnieux.

Lecz teraz, skoro sprawa została postawiona już całkiem otwarcie, Horace nie zamierzał dawać za wygraną.

– Nie to miałem na myśli – stwierdził i dodał: – A ty dobrze o tym wiesz.

Halt uśmiechnął się pogodnie na widok zatroskanego oblicza swojego młodego przyjaciela.

– Twe wygórowane pojęcie o moralności niekiedy mnie zdumiewa – wyznał. – Rozumiesz chyba, że musimy jakoś przedostać się przez granicę,

o ile oczywiście nadal chcemy odnaleźć Willa i tę dziewczynę?

– Evanlyn – podpowiedział machinalnie Horace.

Halt machnął ręką.

– Tak, tak. – Horace wciąż nazywał księżniczkę Cassandrę, córkę króla Araluenu, imieniem, pod którym poznał ją, gdy spotkali się w Celtii. – Zatem zdajesz sobie sprawę, że jakoś musimy przekroczyć granicę, prawda?

Horace westchnął ciężko.

– Oczywiście, pewnie że tak. Tylko twój sposób jest… no, chyba nieuczciwy.

Halt uniósł brwi wyżej niż zazwyczaj.

– Nieuczciwy?

Horace zmieszał się, ale brnął dalej:

– Zawsze uczono mnie, że herby i pieczęcie mają wielkie znaczenie… że są w pewnym sensie święte i pod żadnym pozorem nie wolno ich podrabiać. – Wskazał palcem sylwetkę byka odciśniętą w wosku. – Przecież to znak króla.

Halt skrzywił się po chwili namysłu.

– Co z niego za król? – mruknął.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o zasadę, nie rozumiesz? Przecież to tak, jak by to powiedzieć… – urwał, szukając właściwego porównania, aż wreszcie znalazł odpowiednie słowa: – Wiem, przecież to tak, jakbyś przejął cudzą pocztę.

W Araluenie służby odpowiedzialne za przesyłki pocztowe podlegały bezpośrednio Koronie, a każdemu, kto próbowałby zakłócać ich działanie, groziły surowe kary. Mimo to w przeszłości, nawet we własnej ojczyźnie, Halt nie wahał się przed dokonywaniem pewnych istotnych korekt, które naruszały obowiązujący porządek prawny. Uznał jednak, że chwila nie jest po temu, by zwierzać się z tego akurat Horace'owi – o ile stosowny moment do zwierzeń w ogóle nadejdzie. Rzecz jasna, zdawał sobie sprawę, że rycerskie obyczaje wpajane kadetom Szkoły Rycerskiej na Zamku Redmont cechowała nieco mniejsza elastyczność niż zasady przyświecające zwiadowcom. Zresztą właśnie rycerze królestwa poczytywali sobie za zaszczyt obowiązek pełnienia opieki nad nietykalnością królewskiej poczty, toteż siłą rzeczy rygorystyczną postawę starano się w nich kształtować od samego początku szkolenia.

– Zapewne… – odezwał się po krótkiej chwili. – Tylko jak w takim razie mamy dokonać tego, co mamy dokonać? W jaki sposób przekroczymy granicę?

Horace wzruszył ramionami. Najbardziej przypadały mu do gustu najprostsze rozwiązania.

– Możemy przebić się siłą – stwierdził.

Halt na tę myśl uniósł oczy ku niebu.

– A więc za niemoralny uznasz czyn, dzięki któremu przedostaniemy się, używając fortelu, w dodatku przy pomocy tego oto urzędowego dokumentu… – zaczął, ale Horace poprawił go:

– Sfałszowanego dokumentu. I zaopatrzonego w fałszywą pieczęć.

Halt nie zamierzał się spierać o słowa.

– Zgoda: przedostaniemy się przy pomocy tego oto urzędowego sfałszowanego dokumentu. Otóż, twoim zdaniem, postąpimy nagannie. Czy jednak na pewno postąpilibyśmy słusznie, gdybyśmy przekroczyli granicę, siekąc mieczem i strzelając do wszystkiego, co się rusza? Czy sądzisz, że to lepsze rozwiązanie?

Przy takim ujęciu tematu, Horace musiał przyznać, że w jego rozumowaniu istotnie występuje pewna luka.

– Nie chciałem bynajmniej powiedzieć, że powinniśmy wszystkich pozabijać – sprzeciwił się. – Szło mi o to, żeby przedrzeć się przez straże i nic więcej. Tak jest uczciwiej i szlachetniej, a według mnie na tym właśnie powinno polegać rycerskie postępowanie. Ma być uczciwe i szlachetne.

– Wszelako dobrze byłoby czasem odróżniać szlachetność od głupoty – mruknął Halt pod nosem, jednak nie na tyle cicho, żeby Horace go nie usłyszał.

Zdawał sobie sprawę, że chłopak hołduje młodzieńczym ideałom, które wpojono mu zgodnie z obowiązującym rycerskim kodeksem. Na to właśnie kładziono szczególny nacisk w trakcie pierwszych lat kształcenia przyszłych wojowników. Dopiero z upływem lat mieli się przekonać, że szczytne zasady warto czasami nieco nagiąć dla osiągnięcia jeszcze szczytniejszego celu.

– Posłuchaj – odezwał się ugodowym tonem. – Spróbuj spojrzeć na nasz postępek z tej oto strony: jeśli przebijemy się przez granicę i ujdziemy przy okazji z życiem, a następnie wyruszymy do Hallasholm, straż graniczna powiadomi o naszym przybyciu wszystkich oraz każdego. Utracimy

bezpowrotnie przewagę wynikającą z zaskoczenia, a zarazem znajdziemy się w poważnych tarapatach – oględnie mówiąc. Jeśli postanowimy przedrzeć się z użyciem siły, możemy dopiąć swego tylko takim sposobem, że nie oszczędzimy nikogo, kto mógłby przekazać wiadomość o naszym najeździe. Zrozumiano?

Mocno niezadowolony, Horace niechętnie skinął głową. Oczywiście, rozumowanie Halta było jak najbardziej logiczne. Zwiadowca zaś ciągnął swój wywód:

– Tymczasem, gdy postąpimy dyplomatycznie, że tak powiem, nikomu nie stanie się krzywda. Wystąpisz w roli wysłannika wiozącego list od samego króla Henryka.

Mieć będziesz na sobie zbroję po Deparnieux, zbroję typowo gallijską – a poza tym masz zadzierać nosa, pozostawiając rozmowę z prostakami strzegącymi granicy swemu słudze. Czyli mnie. Właśnie takiego postępowania spodziewać się będą strażnicy po zadufanym gallijskim rycerzu. Nikt nie uzna za stosowne powiadamiać Ragnaka, że dwaj cudzoziemcy przekroczyli granicę – bo przecież i tak się do niego udajemy.

– A co jest w tym liście, który mam rzekomo przekazać Ragnakowi od króla? – spytał Horace.

Halt nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu.

– Przykro mi, lecz to rzecz poufna. Nie chciałbyś chyba, bym naruszył tajemnicę pocztową? – Horace jednak zareagował tak zbolałym spojrzeniem, że zwiadowca nie miał już serca nad nim się pastwić. – No, dobrze. W gruncie rzeczy chodzi o raczej prostą sprawę. Interesy. Król Henryk wyraża w swym liście chęć wynajęcia trzech skandyjskich okrętów, nic więcej.

Horace popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Czy to nie będzie wyglądać trochę dziwnie? – upewnił się, ale Halt potrząsnął głową.

– Ani trochę. Skandianie to najemnicy. Jest więc rzeczą zupełnie zwyczajną, że ten czy inny władca chciałby skorzystać z ich usług. Udajemy, że król Henryk pragnie nająć kilka okrętów wraz z załogami, aby dokonać wypadu przeciwko Arydom.

– Arydom? – zdziwił się Horace, a Halt rozłożył ręce w przesadnie bezradnym geście.

– Wiesz co? Coś mi się wydaje, że Rodney lepiej by zrobił, poświęcając nieco więcej czasu na nauczanie was geografii, być może kosztem lekcji rycerskich obyczajów.

Arydzi to lud zamieszkujący pustynne ziemie na południu – spojrzał na Horace'a i spostrzegł, że wiadomość ta nie zrobiła na szlachetnym młodzieńcu szczególnego wrażenia. – Po drugiej stronie Morza Spokojnego – dodał.

Horace postanowił udać, że wie, o czym mowa.

– Ach, ci – rzucił wymijająco.

– Ci sami – podchwycił Halt. – Rozumiem jednak, że nie chcesz zaprzątać sobie nimi głowy. Cóż może dla ciebie znaczyć tych kilkanaście milionów Arydów?

– Milionów?! Ale nam z ich strony nic nie grozi, prawda? – upewnił się.

Halt zaśmiał się krótko.

– Jak dotąd, nie – przyznał. – I módlmy się, aby tak pozostało. Lepiej dla nas, aby zbytnio się nami nie interesowali.

Horace zorientował się, że Halt szykuje dłuższy wykład na temat stosunków międzynarodowych, strategii oraz dyplomacji. Tego rodzaju wywody zazwyczaj sprawiały, że doznawał zawrotów głowy po pierwszych kilku minutach, próbując nie pogubić się, kto z kim pozostaje w sojuszu, a kto spiskuje przeciw któremu ze swych sąsiadów i co zamierza w ten sposób osiągnąć. Wolał wykłady w stylu sir Rodneya: dobre, złe; czarne, białe; a potem dobyć mieczy, ciąć i rąbać. Doświadczenie nauczyło Horace'a, że najlepszym sposobem, by powstrzymać Halta od głoszenia kazań, jest się z nim jak najprędzej zgodzić.

– W porządku, chyba masz rację, jeśli chodzi o to całe fałszerstwo – stwierdził na głos. – Przecież, bądź co bądź, posługujemy się podrobioną pieczęcią gallijskiego króla.

To zupełnie co innego, niż gdybyśmy sfałszowali pieczęć króla Duncana, prawda? Tak daleko nawet ty byś się chyba nie posunął.

– Ależ oczywiście, że nie – zapewnił Halt. Zwinął swój fałszerski warsztat składający się z piór, inkaustów oraz innych przydatnych przedmiotów. Dobrze się stało, iż bez trudu wygrzebał ze swej sakwy podrobioną gallijską pieczęć, bo w przeciwnym razie musiałby wyciągać wszystkie, a wówczas Horace miałby szansę zauważyć niemal doskonałą kopię pieczęci króla Duncana. – Teraz zaś, jeśli nie masz nic przeciwko,

zechciej przywdziać na siebie swą gustowną blaszaną szatę, byśmy mogli odbyć przyjazną pogawędkę ze skandyjskimi strażnikami pilnującymi granicy.

Horace żachnął się, ale wstał, by wykonać polecenie. Wtedy jednak do głowy przyszła Haltowi jeszcze inna myśl – coś, co nie dawało mu spokoju już od dłuższego czasu.

– Horace! – zawołał, a chłopak zatrzymał się. Z głosu zwiadowcy zniknął pogodny ton i kandydat na rycerza wyczuł, że Halt ma mu do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

– Tak?

– Kiedy znajdziemy Willa, nie mów mu o… tym drobnym nieporozumieniu między mną a królem. Dobrze?

Przed miesiącami, gdy Haltowi nie udzielono zgody na wyprawę w poszukiwaniu Willa, zwiadowca uciekł się do iście desperackiego fortelu. Dopuścił się publicznej obrazy majestatu królewskiego, za co został skazany na roczną banicję. Krok ów kosztował go niemało, bowiem jako wygnaniec został tym samym usunięty z sze regów królewskich zwiadowców. Odebranie mu zwiadowczej odznaki, srebrnego liścia dębu, było dla niego najboleśniejszą karą, ale zniósł bez szemrania upokorzenie; skoro taka miała być cena za możliwość ocalenia Willa, gotów był ją zapłacić.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział Horace. Jednak akurat tym razem Halt uznał, że konieczne jest dodatkowe wyjaśnienie:

– Chcę mu to sam powiedzieć, po swojemu i w odpowiednim czasie. Zgoda?

Horace wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz – powtórzył. – A teraz jedźmy już, żeby pogadać ze Skandianami.

Jednak żadnej rozmowy nie było. Obaj jeźdźcy wraz z towarzyszącymi im wierzchowcami wjechali w wijący się między wysokimi górami przesmyk, którym dotarli do granicy. Halt spodziewał się, że za chwilę usłyszy rozlegający się ze szczytu niewysokiej wieży okrzyk, by zsiedli

z koni i dalej szli pieszo. Tak zazwyczaj bywało. Jednak graniczny posterunek nie dawał żadnego znaku życia.

– Brama jest otwarta – stwierdził półgłosem Halt, gdy podjechali bliżej.

– Ilu ludzi zazwyczaj pilnuje takiego posterunku? -zainteresował się Horace.

– Kilku. Dziesięciu, może dwunastu?

– Jakoś ich nie widać – stwierdził Horace, na co Halt łypnął na niego spode łba.

– Zdziwisz się, ale też ów fakt zauważyłem – burknął, a potem nagle zawołał: – A to co takiego?

W cieniu, wewnątrz otwartej bramy, ich oczom ukazał się jakiś dziwny kształt. Powodowani tym samym odruchem, obaj popędzili wierzchowce, by jak najszybciej pokonać odległość dzielącą ich od fortu. Halt wiedział już, co zastaną.

Martwy Skandianin leżał w kałuży własnej krwi.

Po drugiej stronie bramy naliczyli jeszcze dziesięciu innych, wszyscy zostali zabici w ten sam sposób. Obaj jeźdźcy zsiedli ostrożnie, by przyjrzeć się ciałom z bliska.

– Kto mógł zrobić coś tak strasznego? – odezwał się Horace przejęty grozą na widok przerażającej sceny. – Ktoś zadał tyle pchnięć.

– To nie są pchnięcia – poprawił go Halt. – Te rany to ślady po strzałach. Po rzezi zabójcy pozbierali strzały – oprócz tej jednej.

Uniósł złamane drzewce, dotąd przywalone którymś ciałem. Skandianin przypuszczalnie złamał strzałę, próbując wyszarpać ją sobie z rany. Druga połowa nadal tkwiła głęboko w jego udzie. Halt przyjrzał się piórom bełtu i widniejącym na drzewcu znakom, jakie czyni większość łuczników, by móc rozpoznać własne pociski.

– Potrafisz stwierdzić, kto uczynił taką rzecz? – spytał cicho Horace, a gdy zwiadowca podniósł na niego wzrok, chłopak dostrzegł w oczach starszego towarzysza wyraz głębokiej troski. Wiedział, że nie wystarczy byle drobiazg, aby zbić Halta z tropu.

– Owszem, chyba wiem – odparł zwiadowca. – I wcale mi się to nie podoba. Mam wrażenie, że Temudżeini znów opuścili swoje stepy.

Ślady prowadziły na wschód. Taki przynajmniej był ich zasadniczy kierunek, bo nieznany jeździec, zmierzając w dół zbocza, zakręcał i lawirował pośród drzew oraz nierówności terenu. Jednak za każdym razem, gdy nadarzała się okazja, skręcał na wschód.

Choć Will już po godzinie odczuwał śmiertelne znużenie, szedł uparcie dalej, potykając się niekiedy w śniegu; przewracał się, leżał przez chwilę, stękając głucho – i wstawał znowu.

Upadł po raz kolejny. Tak łatwo byłoby tu zostać – pomyślał. – Pozwolić rozejść się bólowi zgromadzonemu w osłabionych mięśniach, pozwolić, by zwolnił oszalały puls w skroniach… odpocząć.

Jednak, gdy ogarniała go zgubna pokusa, za każdym razem wspominał Evanlyn i przywoływał wspomnienie, jak przywiozła go w te góry. Powtarzał sobie, że tylko dzięki niej uniknął śmierci niechybnej, śmierci powolnej, śmierci okrutnej, śmierci niewolnika. I że potem opiekowała się nim i że to dzięki niej uwolnił się od złowrogiego nałogu. Myśl o niej i o tym, jak wiele dziewczynie zawdzięcza, pozwalała mu za każdym razem odnaleźć w sobie nowy zapas sił oraz determinacji. Jakimś cudem znów dźwigał się na nogi i dalej brnął przez śnieg śladem nieznanego jeźdźca.

Wlókł się noga za nogą, wpatrzony w trop. Nie widział nic innego, na nic innego nie zwracał uwagi. W jego głowie istniały w tej chwili tylko

odciski końskich kopyt w śniegu.

Słońce skryło się za górskim grzbietem. Od razu zrobiło się chłodno. Will poczuł dojmujący ziąb, który przenikał go tym dotkliwiej, że całe ubranie miał doszczętnie przepocone. Szczęście, że zabrałem ze sobą koce – pomyślał – bo kiedy zatrzymam się wreszcie na noc, przesiąknięte wilgocią ubranie mogłoby stać się śmiertelną pułapką. Gdyby nie ciepłe i suche koce, w które się owinę, mógłbym po prostu zamarznąć.

Cienie stawały się coraz głębsze; wiedział, że wkrótce zapadnie noc. Wciąż jednak szedł i zamierzał iść tak długo, jak długo będzie w stanie śledzić ślady kopyt na szlaku. Był zbyt wycieńczony, by zauważyć, że miejscami odciski kopyt były głębsze lub tworzyły bruzdy – tam, gdzie zwierzę ześlizgiwało się po zlodowaciałym zboczu. Zważał na te akurat miejsca o tyle tylko, że sam najczęściej tam się przewracał. Nie potrafił już odczytać wszystkich niuansów i utajonych wiadomości, czytelnych wyłącznie dla wtajemniczonych w sekrety sztuki tropicielskiej, dla takich jak on. Dobrze przynajmniej, że w ogóle te ślady widział.

Tylko do tego był w tej chwili zdolny.

Ściemniało się coraz bardziej i coraz trudniej było dostrzec trop. Will postanowił jednak brnąć dalej, przynajmniej dopóty, dopóki nie było jak zejść ze szlaku, dopóki nie natrafi na jakieś rozwidlenie, gdzie trzeba będzie określić, w którym kierunku śledzony przez niego jeździec się udał. Dopiero kiedy zupełnie straci orientację, w którą stronę pójść, zatrzyma się na noc. Owinie się kocami. Może nawet zaryzykuje i rozpali małe, dobrze osłonięte ognisko, przy którym będzie mógł osuszyć przemoknięte ubranie. Ogień da ciepło. Wypoczynek. Światło.

I dym.

Dym? Tak, wyczuł jego zapach, dokładnie wtedy, gdy o dymie pomyślał. Dym sosnowy – wszechobecny zapach życia w Skandii, aromatyczną woń płonącej żywicy ściekającej z rozgrzanych drew i skwierczącej w ogniu. Zatrzymał się. Chwiał się na nogach. Zaraz. Pomyślał o ogniu i natychmiast wyczuł zapach dymu. Jego znużony umysł próbował powiązać ze sobą te dwa fakty, potem zaś zdał sobie sprawę, że żadnego związku nie ma, zachodzi natomiast zbieg okoliczności. Poczuł zapach dymu nie dlatego, że o nim pomyślał, lecz dlatego, że gdzieś w pobliżu płonął ogień.

Usiłował myśleć. Ogień oznaczał obozowisko. To zaś niemal z pewnością prowadziło do konkluzji, że wreszcie udało mu się dogonić Evanlyn i tego kogoś, kto ją porwał. Byli tu gdzieś w pobliżu, zatrzymali się na noc. Teraz wystarczyło odnaleźć ich i...

– I co? – spytał sam siebie głosem zachrypłym od zmęczenia. Upił długi łyk wody z bukłaka, który trzymał przytroczony do paska. Potrząsnął głową, by odzyskać jasność myślenia. Przez długie godziny skupiał się, jak dotąd w pełni, na jednym tylko zadaniu – chciał dogonić porywacza. Obecnie, gdy niemal już tego dokonał, zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego planu, według jakiego mógłby postępować dalej. Jedno było pewne, samą siłą nie zdoła ocalić Evanlyn. Zataczał się ze zmęczenia, bliski utraty przytomności. W tym stanie nie pokonałby nawet wróbla.

– Co zrobiłby Halt na moim miejscu? – zadał sobie pytanie. Od miesięcy powtarzał je wielokrotnie – za każdym razem, kiedy nie był pewien, co uczynić w danej sytuacji. Próbował wyobrazić sobie, że jego nauczyciel jest tuż obok, zerka na niego z ukosa i, jak to on, oczekuje od Willa, że chłopak sam rozwiąże problem. Z początku wszystko dokładnie przemyśli, potem podejmie działanie. Tak jakby słyszał głos, który pamiętał tak dobrze:

„Najpierw zobacz. Potem działaj". Była to jedna z ulubionych maksym Halta.

Will bezwiednie skinął głową. Znalazł już rozwiązanie, co prawda tylko tymczasowe, ale zawsze.

– Najpierw zobaczyć – powtórzył ochrypłym szeptem. – Potem spać. Potem działać.

Pozwolił sobie na kilka minut odpoczynku, które spędził skulony, oparty o pień sosny. Potem raz jeszcze dźwignął się i wyprostował, rozciągając obolałe mięśnie. Ruszył dalej widocznym wciąż śladem, teraz jednak mając się na baczności i kryjąc.

Zapach dymu stawał się coraz wyraźniejszy. Wyczuł w nim jeszcze jakiś inny – rozpoznał woń smażonego mięsa. Skradając się dalej, dotarł aż do miejsca, z którego widać było czerwonawą poświatę. Płomienie odbijały się od białego śniegu, rozświetlając las. Od ogniska dzieliła go jeszcze pewna odległość, szedł więc dalej. Gdy znajdował się ledwie o pięćdziesiąt metrów od źródła światła, zszedł z drogi i skrył się bezszelestnie pośród drzew, przedzierając się przez sięgający mu do kolan śnieg.

Im bliżej polany, tym drzewa rosły rzadziej. Ujrzał obozowisko rozstawione wokół ognia. Ukryty w głębokim cieniu sosen, opadł do pozycji leżącej i zaczął się czołgać. Zatrzymał się, by przyjrzeć się dokładniej obozowisku. Ognisko, trzy namioty. Nie dostrzegał żadnego ruchu. Najwyraźniej aromat smażonego mięsa zawisł w nieruchomym powietrzu i pozostał, lecz posiłek dawno już spożyto. Postanowił zbliżyć się jeszcze bardziej, gdy nagle dostrzegł poruszenie za namiotami. Jakiś człowiek zjawił się w zasięgu światła. Krępy, ubrany w futro. Twarzy nie sposób było dostrzec, gdyż futrzana czapa ocieniała rysy mężczyzny. Był jednak uzbrojony. Will dostrzegł krzywy miecz wiszący u jego pasa i smukłą lancę, którą tamten trzymał w prawej dłoni, wbiwszy jej drzewce w śnieg.

W oczy rzucały się kolejne szczegóły. Sześć koni uwiązanych do liny między drzewami. A więc było ich sześciu. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zdoła odbić Evanlyn. Zmarszczył brwi; jak dotąd nie wiedział nawet, gdzie dziewczyna się znajduje. Rozglądał się dalej po obozowisku. Pewnie w którymś z namiotów.

Aż wreszcie ją ujrzał.

Skuloną pod drzewem, przykrytą starą, wytartą baranicą. Wytężając wzrok, dostrzegł więzy. Bolały go oczy, przetarł je wierzchem dłoni, potem ucisnął palcami grzbiet nosa, usiłując przywrócić oczom ostrość widzenia. Ale obraz rozmazywał się, rozpływał. Will był u kresu sił, przegrywał walkę ze zmęczeniem.

Zaczął cofać się w głąb lasu, by poszukać jakiegoś miejsca, gdzie będzie mógł ukryć się i odpocząć. Nic nie wskazywało, by tamci mieli wyruszyć przed świtem, a on koniecznie musiał odzyskać siły, nim podejmie jakąkolwiek próbę działania.

Najpierw więc musi odpocząć, a w tym celu trzeba znaleźć miejsce na tyle odległe, by pozostawać niezauważonym i na tyle bliskie, by usłyszeć, kiedy mieszkańcy obozowiska zaczną się zwijać. Oczywiście, rozpalenie ognia nie wchodziło w grę. Niestety, czekała go noc w chłodzie, ale na szczęście zabrał z chaty chociaż te dwa koce.

Znalazł zagłębienie pod rozłożystymi gałęziami potężnej sosny. Mógł tylko mieć nadzieję, że jeźdźcy nie zechcą przed wyruszeniem w drogę przeszukiwać dalszych okolic obozowiska, bo wówczas mogliby natrafić na jego ślady. Lecz obecnie nie był w stanie zrobić nic, żeby temu zaradzić.

Rozwiązał rzemień, którym uprzednio związał zrolowane koce i otulił się nimi, oparty o drzewo.

Nie dałby nawet grosza, czy przypadkiem nie usnął, nim zdążył zamknąć oczy. Być może nastąpiło to w tej samej chwili.

Już poprzedniego wieczoru Evanlyn zorientowała się, że między dwoma wojownikami wywiązał się spór. Rankiem ów spór sięgnął zenitu.

Nie mogła wiedzieć, co ich tak bardzo poróżniło, ale była świadkiem kolejnego spięcia między dwoma mężczyznami. Sześcioosobowy oddział zwiadowczy był jednym z wielu, które przekroczyły granicę Skandii. Kilka tygodni wcześniej Evanlyn widziała już w pobliżu chaty, w której mieszkała z Willem, innego temudżeińskiego wojownika przeprowadzającego wstępne rozpoznanie.

Ten, który ją pojmał, nazywał się Ch'ren, a wywodził się z jednego ze znaczniejszych temudżeińskich rodów. W państwie temudżeińskim panował zwyczaj, że młodzi potomkowie najznamienitszych klanów służyli przez rok jako zwykli żołnierze – potem zaś, rzecz jasna, zostawali dowódcami i oficerami. At'lan, dowódca patrolu, wywodził się zaś z prostego ludu i choć służył już od wielu lat oraz posiadał doprawdy niemałe doświadczenie, doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie stanie się nikim więcej, jak zwykłym sierżantem. Drażniło go więc, że uparty i arogancki Ch'ren wkrótce osiągnie pozycję, o jakiej on mógł tylko marzyć. Ch'ren z kolei nie mógł znieść, że rozkazy wydaje mu człowiek wywodzący się z klasy, którą uważał za niższą od swojej. Poprzedniego dnia wyruszył w góry samowolnie, by okazać dowódcy lekceważenie.

Pojmał Evanlyn dlatego, że naszła go taka chętka, i nie zastanawiał się ani przez chwilę nad dalszymi konsekwencjami swego czynu. Postąpiłby o wiele lepiej, gdyby pozostał w ukryciu, jej zaś pozwolił swobodnie odejść. Przeprowadzającym rozpoznanie oddziałom nakazano surowo, by przemykały się niepostrzeżenie; nie wolno było brać jeńców. Więzień stanowi bowiem dodatkowe obciążenie, poza tym trzeba go pilnować, zaś patrolujący Temudżeini mieli co innego do roboty.

At'lan doszedł więc szybko do wniosku, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem będzie zabicie dziewczyny. Dopóki żyła, istniało ryzyko, że ucieknie i ktoś się dowie o ich obecności na terenie Skandii. Gdyby zaś do tego doszło, At'lan zapłaciłby za niezręczność życiem – i wiedział o tym doskonale. Nie czuł sympatii do branki. Ani też niechęci. Nie żywił wobec niej żadnych uczuć, była mu obojętna. Nie należała do Ludu, zatem w zasadzie nie zaliczał jej nawet do istot ludzkich.

Nakazał więc Ch'renowi, by ten ją zabił. Ch'ren odmówił – nie ze względu na Evanlyn, ale po prostu dlatego, że miał ochotę postawić się dowódcy.

Evanlyn przyglądała się im z niepokojem, nasłuchując kłótni. Tak jak i poprzednio, nie miała wątpliwości, że spór dotyczy właśnie jej. Mężczyźni bowiem wciąż wskazywali ją sobie palcami. Było też jasne, że w miarę jak spór narastał, dziewczynie groziło coraz większe niebezpieczeństwo. W końcu starszy z dwóch wojowników uderzył młodszego w twarz; tamten zachwiał się i cofnął o kilka kroków. Dowódca zaś odwrócił się i ruszył stanowczym krokiem w stronę Evanlyn, dobywając jednocześnie miecza.

Ujrzała krzywą głownię i dostrzegła zdecydowanie na twarzy obcego. Nie gniew, nie okrucieństwo, ale spokojną determinację kogoś, kto właśnie z takiego czy innego powodu postanowił pozbawić ją życia.

Otwarła usta do krzyku. Jednak nie krzyknęła, przerażenie bowiem sparaliżowało brankę, głos zamarł jej w gardle. To dziwne – pomyślała – że wlekli ją aż tutaj, zostawili na noc i dopiero potem postanowili zabić.

Śmierć już zaglądała jej w oczy. Śmierć bez sensu, bez celu.

Halt rozglądał się we wszystkie strony, badając splątane ślady, odciśnięte w miękkim śniegu. Marszczył brwi, próbując zorientować się w tym chaosie. Horace czekał, zaciekawiony.

Po chwili Halt powstał z kolan, dokonawszy oględzin kawałka gruntu szczególnie mocno zrytego kopytami.

– Co najmniej trzydziestu – mruknął. – Albo więcej.

– Halt? – spróbował Horace.

Nie wiedział, czy może dowiedzieć się od zwiadowcy czegoś jeszcze, ale ciekawość nie dawała mu spokoju i nie mógł dłużej wytrzymać. Halt tymczasem ruszył innym tropem, zmierzającym w stronę gór.

– Mały oddział, może pięciu albo sześciu ludzi, wyruszył w głąb Skandii. Reszta zaś wróciła tam, skąd przyszła.

Wskazywał kierunki końcem łuku. Przemawiał raczej do siebie niż do Horace'a, porządkując w myślach wnioski, jakie wyciągnął z dostrzeżonych znaków na ziemi.

– Kim oni są? – spytał szybko Horace, chcąc wyrwać zwiadowcę z zadumy. Halt postąpił jeszcze kilka kroków w stronę, w którą udał się patrol.

– To Temudżeini – rzucił zwięźle przez ramię.

Horace jęknął cicho.

– Już o nich wspominałeś – przypomniał. – Ale kim są ci Temudżeini?

Halt zatrzymał się i odwrócił, żeby na niego spojrzeć. Horace był już pewien, że za chwilę usłyszy kolejne uszczypliwe uwagi na temat gigantycznych luk w swoim wykształceniu. Jednak zwiadowcy coś musiało przyjść na myśl, bo całkiem życzliwym tonem stwierdził:

– No tak, w końcu skąd miałbyś o nich wiedzieć.

Horace nie śmiał się odezwać, rozłożył tylko ręce.

– Są to jeźdźcy ze Wschodnich Stepów – wyjaśnił krótko zwiadowca. Horace zmarszczył brwi.

– A co to takiego, te stepy?

Halt uśmiechnął się lekko.

– Stepy to porośnięte trawą równiny na wschodzie – rzekł. – Co do Temudżeinów, nikt właściwie nie wie, skąd się wzięli. Z początku stanowili bezładną zbieraninę małych plemion – dopóki nie zjednoczył ich Tem'gal, który stał się pierwszym sha'shanem.

– Słucham? – przerwał nieśmiało Horace, bo nigdy przedtem równie dziwacznego słowa nie słyszał. Halt wyjaśnił cierpliwie:

– Przywódca każdego szczepu zwany był shanem. Kiedy Tem'gal objął władzę nad nimi wszystkimi, przybrał tytuł sha'shana, co znaczy „shan shanów". Czyli wódz wodzów.

– Aha. – Horace skinął głową. – Ale kim u licha był ten Tem'gal? – spytał, po czym dodał szybko: – To znaczy, skąd się wziął?

Halt wzruszył ramionami.

– Tego nie wie nikt. Legenda głosi, że z początku był zwykłym pastuchem. Jednak tak się jakoś stało, że z czasem został przywódcą jednego z klanów, potem przyłączył się do niego drugi, trzeci. Pod wodzą Tem'gala Temudżeini stali się narodem wojowników i stworzyli najlepszą lekką jazdę na całym świecie. Są nieustraszeni, doskonale zorganizowani podczas bitwy, a przy tym bezlitośni. O ile się nie mylę, nigdy jeszcze ich nie pokonano.

– A co robią tutaj? – spytał Horace, Halt zaś popatrzył na niego poważnie, przygryzając dolną wargę i zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Dobre pytanie – stwierdził. – Być może powinniśmy udać się śladem mniejszego oddziału i spróbować się czegoś dowiedzieć. Zwłaszcza że na razie zmierzają w tym samym kierunku co my.

To rzekłszy, przerzucił łuk przez lewe ramię, podchodząc do czekającego cierpliwie Abelarda, którego wodze zwisały niedbale ku ziemi. Horace czym prędzej ruszył w ślady zwiadowcy, wskakując na siodło czarnego rumaka, którego dosiadł, by uczynić należyte wrażenie na granicznych strażnikach. Jednak teraz, wobec rzezi, jakiej byli świadkami, wszystkie ich starania, by w przebraniu zmylić skandyjskie patrole, zdawały się niestosownym żartem. Spiął karego ostrogami i ruszył za Haltem.

Za nimi podążyły dwa pozostałe wierzchowce – jego własny Kicker, prowadzony na podwodzie, oraz Wyrwij, który truchtał w tyle, a któremu nie trzeba było ani uwięzi, ani żadnego polecenia.

Halt pochylił się, spoglądając z końskiego grzbietu na śnieg.

– No proszę, jednak wrócił – rzekł półgłosem.

Horace podjechał bliżej i popatrzył w to samo miejsce, któremu przyglądał się uprzednio zwiadowca. Nie potrafił wszakże dojrzeć tam niczego, prócz splątanych odcisków kopyt końskich, szybko zacierających się w miękkim, mokrym śniegu.

– Co się stało? – spytał.

Halt odpowiedział, nie podnosząc wzroku znad śladu.

– Pojedynczy jeździec, jeden z Temudżeinów, wyraźnie odłączył się od grupy i z początku udał się w głąb Skandii, podczas gdy reszta zmierzała dalej zakolem na północny wschód, utrzymując stałą odległość od granicy. Teraz jednak samotny wędrowiec powrócił na wspólny szlak, by przyłączyć się do towarzyszy.

Cóż, to nam ułatwia zadanie. Nie musimy już się martwić, że dopadnie nas z tyłu, kiedy tropimy pozostałych – pomyślał Halt. Ruszył do przodu, ale niemal natychmiast zatrzymał się, mrużąc oczy w skupieniu.

– A to dziwne – odezwał się, zeskoczył z siodła i przyklęknął w śniegu na jedno kolano. Przez chwilę przyglą – dał się śladom z bliska, potem spojrzał za siebie, w kierunku, z którego nadjechał pojedynczy jeździec. Mruknął coś pod nosem, wstał i otrzepał kolano ze śniegu.

– Co znowu? – spytał Horace.

Halt skrzywił się. Nie był całkiem pewien, w jaki sposób ma interpretować to, co odczytał w śladach, a niepewności w tym względzie bardzo nie lubił.

– Samotny jeździec nie dołączył tu do swych towarzyszy. Oni przejechali tędy co najmniej dzień przed nim – rzekł po krótkiej chwili milczenia.

Horace wzruszył ramionami. Nie widział w takim postępowaniu niczego dziwnego.

– Po prostu, jechał za tamtymi, żeby dogonić ich w jakimś umówionym miejscu – wyraził przypuszczenie. Halt skłaniał się ku temu samemu zdaniu.

– Najprawdopodobniej tak. Grupa, której śladem podążamy, to zwiadowcy, a on dokonał samotnego wypadu rozpoznawczego. Nie wiemy, po co to uczynił. W tej chwili to jednak bez znaczenia. Podstawowe pytanie brzmi: kto szedł za nim, jakby go śledząc?

Horace uniósł brwi.

– A ktoś go śledził? – zdziwił się.

Halt sapnął niecierpliwie, zirytowany faktem, że nie zyskał, jak dotąd, całkowitej pewności.

– Głowy bym nie dał, ale na to wygląda – odparł. – Śnieg szybko się roztapia, więc ślady nie są zbyt wyraźne. Odciski kopyt widać jeszcze dość dobrze, tylko że ten ktoś idzie pieszo. O ile nie pomyliłem się i o ile rzeczywiście za nim idzie – dodał gwoli ścisłości.

– To… – zaczął Horace – co robimy?

Halt w jednej chwili podjął decyzję.

– Jedziemy ich tropem – oznajmił, wsiadając z powrotem na Abelarda. – Nie zaznam spokoju, dopóki się nie dowiem, co tu się dzieje. Nie znoszę nierozwiązanych zagadek.

Zagadka skomplikowała się jeszcze bardziej po godzinie, kiedy Wyrwij, który dotąd dreptał za nimi potulnie, nagle odrzucił głowę do tyłu i głośno zarżał. Było to tak nieoczekiwane, że i Halt, i Horace odwrócili się gwałtownie w siodłach, starając się zobaczyć, co się dzieje z wierzchowcem. Wyrwij zarżał znów, wydając przeciągły, wznoszący się dźwięk, w którym brzmiał niepokój; udzielił się on prowadzonemu przez Horace'a luzakowi, który szarpnął się na wodzy i także głośno zarżał. Horace zdołał przezornie uciszyć karosza, na którym jechał, zaś Abelard jak zwykle zachował ciszę.

Gniewnym gestem Halt nakazał Wyrwijowi milczenie. Konik natychmiast ucichł. Pozostałe także po chwili się uspokoiły.

Jednak Wyrwij dalej stał pośrodku drogi z szeroko rozstawionymi przednimi nogami, uniesioną głową i rozdętymi nozdrzami, węsząc w mroźnym powietrzu. Drżał na całym ciele. Nietrudno było po nim poznać, że tylko dzięki doskonałemu wytrenowaniu powstrzymuje się od wydania kolejnego alarmującego odgłosu.

– Co, u diabła… – zaczął Halt, nie dokończył, zsunął się szybko z siodła i podszedł do Wyrwija. – Cicho bądź, maleńki – rzekł półgłosem, poklepując go delikatnie po szyi. – Już, spokój. Co cię tak niepokoi?

Spokojny, monotonny głos i łagodny dotyk ręki zrobiły swoje, konik uspokoił się nieco. Opuścił głowę, potarł pyskiem o pierś Halta. Zwiadowca delikatnie i pieszczotliwie miętosił jego uszy, wciąż przemawiając do zwierzęcia miękkim, łagodnym głosem.

– No tak, tak. Gdybyś tylko umiał mówić. Rozumiem, coś wiesz. Coś wyczułeś, prawda?

Horace przyglądał się ciekawie; przemowa Halta wyraźnie odniosła skutek, bo drżenie konika ustało. Widział jednak, że Wyrwij wciąż strzygł nerwowo uszami i nasłuchiwał. Był już spokojniejszy, ale gdyby porównać go do człowieka, Horace rzekłby tak: koń zapanował nad sobą, lecz przyczyna niepokoju nie zniknęła.

– Nigdy nie widziałem, żeby któryś z waszych wierzchowców tak się zachowywał – rzekł cicho chłopak, a Halt spojrzał w jego stronę; w oczach zwiadowcy Horace dojrzał coś dziwnego.

– Ja też nie – stwierdził brodaty mężczyzna. – To właśnie mnie martwi.

Horace przyglądał się uważnie Wyrwijowi.

– Chyba trochę się uspokoił – rzekł, choć bez większego przekonania.

Halt wciąż gładził zwierzę po boku.

– Jest napięty jak cięciwa, ale chyba możemy jechać dalej. Do zmroku jeszcze godzina lub coś koło tego, a ja chcę zobaczyć, gdzie nasi przyjaciele zatrzymali się na noc.

Pogłaskał raz jeszcze Wyrwija po szyi, wskoczył na grzbiet Abelarda, po czym znów ruszyli w drogę.

Skryty w cieniu sosny, owinięty dwoma zbyt cienkimi kocami, Will spędził niespokojną noc, raz przysypiając, raz znów budząc się od chłodu i gonitwy myśli.

Najbardziej dręczyło go poczucie zupełnej bezsilności. Musiał uwolnić Evanlyn z rąk nieprzyjaciela, ale nie miał ani cienia pomysłu, w jaki sposób mógłby tego dokonać. Oddział wroga liczył sześciu doskonale uzbrojonych i zdecydowanie groźnie wyglądających wojowników. On zaś był zaledwie kilkunastoletnim chłopcem, a jedyna broń, jaką dysponował, to kiepski myśliwski łuczek oraz krótki sztylet. Jego strzały nadawały się tylko do polowania na drobną zwierzynę; nie miały żelaznych grotów, ich czubki opalił po prostu w ogniu, po czym zaostrzył.

W żaden sposób nie przypominały liściastych ostrzy, które nosił w swym kołczanie jako uczeń zwiadowcy. W Araluenie powiadano, że zwiadowca trzyma w swym ręku życie dwóch tuzinów ludzi, co odnosiło się do legendarnej celności, w której bezustannie doskonalili się członkowie elitarnego korpusu oraz do faktu, że zazwyczaj zwiadowcy mieli przy sobie po dwadzieścia cztery strzały. On zaś mógłby teraz unicestwić co najwyżej kilka królików lub wiewiórek.

Wciąż się budził i wciąż próbował znaleźć jakiś sposób. Był przecież zwiadowcą. I jako zwiadowca powinien odznaczać się także zmysłem

strategii, powinien zdobywać się na wymyślanie niesłychanych forteli, powinien przewidywać z góry ruchy przeciwnika i, wreszcie, powinien je uprzedzać. Coś jednak podpowiadało Willowi, że akurat tym razem ma do czynienia z sześcioma godnymi siebie, jeśli nie przewyższającymi go, przeciwnikami. Miał poczucie, że zawiódł Evanlyn, skoro nie udało mu się dotąd wpaść na żaden błyskotliwy pomysł. I że zawiódł nie tylko ją. Oczyma duszy, w półśnie, widział także brodate oblicze Halta, jego uśmiech, ledwie dostrzegalny, lecz wyczekujący. On, Will, jest zwiadowcą, więc powinien mieć już jakiś plan. Potem uśmiech Halta zanikał, przechodząc w grymas gniewu, a wreszcie rozczarowania. Czasem znów przypominał mu się Horace, wierny towarzysz podróży przez Celtię, z którym wspólnie przedzierali się do mostu zbudowanego przez Morgaratha. Młody osiłek, przyszły rycerz, ufał Willowi bezgranicznie, gdy szło o snucie planów za nich obu. I właśnie to wspomnienie przepełniało czarę goryczy. Okazał się niegodny zaufania, jakie pokładał w nim najlepszy przyjaciel, liczący na przebiegłość Willa. Może utracił spryt z powodu zażywania tego przeklętego ziela, które osłabiło mu umysł. Tak, pewnie liście cieplaka wyżarły zdolność skutecznego myślenia, odebrały mu inwencję.

Setki razy tej nocy zadawał sobie nieśmiertelne pytanie: „Co Halt zrobiłby na moim miejscu?". Ale o ile w przeszłości ów prosty zabieg sprawiał, że najpierw dystansował się do rozważanego zagadnienia, a następnie odnajdywał odpowiedź, teraz wypróbowany koncept zawodził. Żaden wewnętrzny głos ani żadna intuicja nie przynosiły Willowi podpowiedzi. Żadnej rady, żadnej pomocy. Znikąd.

A przecież sprawy przedstawiały się całkiem inaczej. Bo wobec sytuacji, w jakiej się znalazł, Will po prostu nie mógł nic zrobić. Właściwie bezbronny, w obliczu miażdżącej przewagi przeciwnika, na nieznanym sobie terenie i prawie u kresu sił, był w stanie tylko obserwować obozowisko wroga. Pozostawała mu jedynie nadzieja, że okoliczności w cudowny sposób się odmienią, że wydarzy się coś, dzięki czemu zdoła zakraść się aż do pnia, przy którym skrępowano Evanlyn, że jakoś ją uwolni, a potem ukryją się w cieniu drzew.

Wreszcie, gdy zdał sobie sprawę, iż nie zdoła już usnąć, wyczołgał się spod sosny, ściskając kurczowo w ręku bezużyteczny właściwie łuczek. Gdy

spojrzał na gwiazdy, zorientował się, że dzieli go mniej więcej godzina od chwili, gdy blask świtu przedrze się przez szczyty drzew.

– Przynajmniej potrafię jeszcze określić poprawnie czas – odezwał się w głos, zresztą nie pierwszy raz tej nocy. Stwierdzenie zabrzmiało dziwnie żałośnie.

Wahał się przez chwilę, po czym podjął decyzję i zaczął się skradać się w kierunku obozowiska. Kto wie, przecież coś mogło się tam zmienić. Strażnik mógł zasnąć albo oddalić się do lasu – wówczas Will zyskałby szansę uwolnienia przyjaciółki.

Nie bardzo na to liczył, ale gdyby jednak pojawiła się jakaś iskierka nadziei, powinien być na miejscu, żeby z niej skorzystać. Tyle przynajmniej wiedział, toteż, najciszej, jak potrafił, czołgał się w stronę namiotów, zarzuciwszy na ramiona jeden z koców w charakterze płaszcza.

Minęło dziesięć minut, nim znalazł się na skraju lasu. Niestety, wszystkie jego nadzieje okazały się płonne. Strażnik wciąż pilnował obozowiska; zresztą po kilku chwilach zmienił go drugi, wyspany i wypoczęty. Tak jak poprzednik, obchodził niespiesznym krokiem całą polanę, zbliżając się w regularnych nawrotach na odległość około dwudziestu metrów do miejsca, w którym chłopak czaił się, leżąc za pniem jakiegoś drzewa. Pełniący wartę wojownik nie pozwalał sobie ani na chwilę nieuwagi czy roztargnienia; rozglądał się czujnie na wszystkie strony, nigdy nie koncentrując wzroku zbyt długo na jednym punkcie, wciąż sondując oczami okalający obozowisko las w poszukiwaniu jakiegoś podejrzanego ruchu.

Will z zawiścią spoglądał na potężny refleksyjny łuk przewieszony przez prawe ramię wojownika. Jego własny łuk, który otrzymał od Halta na rozpoczęcie nauki w Korpusie Zwiadowców, wyglądał bardzo podobnie. Jak przez mgłę przypominał sobie słowa Halta, który wspomniał coś o tym, że nauczył się sztuki budowania takiej broni od wojowników ze Wschodnich Stepów. Czyżby właśnie natknął się na kilku z nich?

Tak, łuk strażnika był prawdziwą bronią, w przeciwieństwie do zabawki, którą on aktualnie dysponował. Gdyby tylko dostał w swoje ręce tamten łuk wraz ze strzałami, których pierzaste bełty sterczały z kołczanu zawieszonego na plecach wojownika – wówczas mógłby coś wskórać. Przez chwilę rozważał, czy nie uda mu się pokonać strażnika i odebrać mu broni, musiał jednak odrzucić ten pomysł.

Nie było sposobu podejścia wartownika w taki sposób, żeby ten nie dostrzegł go lub nie usłyszał. Zresztą, nawet gdyby się to udało, chłopak miał nikłe szanse na pokonanie uzbrojonego, silnego mężczyzny. Cóż mógł wskórać z krótkim sztyletem przeciwko szabli? Zwyczajne samobójstwo. Może zaryzykować rzut nożem? Ale ten nóż był kiepsko wyważony, o zbyt lekkiej rękojeści i nie dawał żadnej gwarancji, że trafi w cel.

Leżał więc w śniegu u stóp drzewa, czekając na okazję, która się nie nadarzyła. Widział skuloną postać Evanlyn. Drzewo, do którego ją przywiązano, rosło na odkrytej przestrzeni. Nie było sposobu, żeby zbliżyć się do niej, i nie zostać zauważonym przez strażnika. Sytuacja przedstawiała się katastrofalnie.

Musiał usnąć na jakiś czas, zmęczony niespokojną nocą, jaką miał za sobą, bo obudził go dźwięk ludzkich głosów.

Świt. Poranne słońce rzucało długie cienie na polanę. Dwaj wojownicy stali nieco na uboczu, kłócąc się zawzięcie. Will nie rozumiał ani słowa, jednak bez trudu domyślił się, co stanowiło przedmiot sporu – bowiem obaj wciąż wskazywali sobie palcami Evanlyn, nadal przywiązaną do drzewa i skuloną pod baranicą czy derką, teraz jednak rozbudzoną i przyglądającą się im uważnie.

Kłótnia stawała się coraz bardziej zaciekła, a obaj mężczyźni krzyczeli coraz głośniej. Wreszcie starszy postanowił położyć kres sprzeczce w taki sposób, że spoliczkował swego rozmówcę; tamten zachwiał się i cofnął. Wówczas ów starszy odwrócił się do Evanlyn, sięgając po szablę.

Will zamarł na ułamek chwili. Wojownik tak obojętnym gestem ujął broń, że aż trudno było uwierzyć, iż zamierza uczynić dziewczynie coś złego. A jednak w następnej chwili wzniósł klingę. Evanlyn otworzyła usta, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Will zdał sobie sprawę, że zabicie branki dla krępego wojownika o krzywych nogach jest czymś absolutnie zwyczajnym, ot, jak zdmuchnięcie świecy.

Ręce Willa, działając niezależnie od jego świadomości, wydobyły strzałę i nałożyły ją na cięciwę. Krzywa klinga błysnęła w słońcu, a Evanlyn skurczyła się i skuliła jeszcze bardziej, próbując bezradnie zasłonić się przed morderczym ciosem. Will wyszedł zza drzewa z naciągniętym już łukiem, a jego umysł dokonywał błyskawicznej oceny sytuacji.

Ta strzała nie zabije. W istocie nie była niczym innym, jak tylko zaostrzonym patykiem, choć jej czubek utwardzony został w ogniu. Istniała obawa, że jeśli wyceluje w tułów wojownika, lekka strzała w ogóle nie zdoła przebić się przez grube futro oraz skórzany bezrękawnik, który tamten miał na sobie. Istniał tylko jeden odkryty punkt na jego ciele, dla Willa wszelako zasadniczy, bowiem trafienie w to miejsce dawało szansę, żeby powstrzymać morderczy cios szabli. Otóż, kiedy mężczyzna uniósł rękę, odsłonił nadgarstek, niewielki obszar nagiego ciała, nieosłonięty futrzanym rękawem. Will wymierzył więc właśnie w nadgarstek, dokonując w jednym ułamku sekundy wyliczenia uwzględniającego krzywiznę toru lotu pocisku. Machinalnie wstrzymał oddech.

Następnie wypuścił strzałę.

Łuk furknął cicho, świsnęła cięciwa, strzała pomknęła ku celowi. Wbiła się głęboko w nadgarstek.

Will usłyszał zduszony okrzyk bólu, a jego ręce wykonały tymczasem wyuczoną serię czynności, zapowiadających wypuszczenie kolejnej strzały. Szabla wypadła z ręki wojownika w gęsty śnieg; Evanlyn cofnęła się gwałtownie, gdyż krzywa klinga omal nie musnęła jej ramienia. Drugi pocisk ugrzązł w futrze rękawa, nie czyniąc żadnej szkody, podczas gdy wojownik ściskał lewą dłonią nadgarstek, a krew tryskała na biały śnieg.

Choć zaskoczony i raniony boleśnie, mężczyzna od razu spojrzał w stronę, z której nadleciała strzała i dostrzegł ruch, gdy Will wystrzelił drugą. Zauważył drobną postać tkwiącą na tle drzew. Wydał z siebie gniewny pomruk, a już w następnej chwili przestał się chwytać za obolały nadgarstek i sięgnął lewą ręką po długi, zakrzywiony, zatknięty za pas puginał. Poniechał na krótką chwilę Evanlyn, zawołał swych ludzi, wskazując im kierunek, w którym znajdował się Will, wydał rozkaz, by biegli za nim, po czym sam także ruszył w stronę chłopaka.

Trzecia strzała powstrzymała go na krótko, bo rzucił się w bok, by jej uniknąć. Jednak natychmiast znów zerwał się do biegu, a za nim jeszcze dwóch jego ludzi. Jednocześnie Will ujrzał czwartego, który zmierzał w stronę Evanlyn i serce ścisnęło mu się, bo zrozumiał, że zawiódł. Już bez nadziei, posłał ostatnią strzałę, wiedząc, że wszystko na nic. Rzucił bezużyteczny łuczek na ziemię i dobył sztyletu, zwracając się ku nadbiegającemu wojownikowi.

A wtedy usłyszał dźwięk z przeszłości, dźwięk dziwnie znajomy i przywodzący mu na myśl długie godziny spędzone w lasach otaczających Zamek Redmont.

Z tyłu za nim coś brzęknęło i zaświszczało, gdy ciężki grot przeszył powietrze z niewiarygodną prędkością i siłą. Rozległo się głuche uderzenie, kiedy strzała trafiła w cel.

Jakby znikąd, jej czarne drzewce i bełt z szarych piór pojawiły się nagle pośrodku piersi nadbiegającego wojownika. Nim mężczyzna zdążył upaść na wznak, świst rozległ się znowu i kolejny pocisk powalił drugiego Temudżeina. Trzeci nie czekał, lecz natychmiast odwrócił się i popędził do uwiązanych koni. Stukot kopyt uświadomił Willowi, że dwaj pozostali zdążyli już umknąć, nie zamierzając ryzykować trafienia strzałą z długiego łuku, który w mgnieniu oka wysłał w zaświaty aż dwóch ich towarzyszy.

Will na krótką chwilę znieruchomiał, w jego myślach zapanował dziwny zamęt. Instynktownie wiedział, co się wydarzyło. Lecz jak do tego doszło? Nie miał pojęcia. Odwrócił się i dostrzegł jakieś trzydzieści metrów za sobą postać w szarozielonym płaszczu, dzierżącą wielki długi łuk, gotowy do oddania następnego strzału.

– Halt! – zawołał łamiącym się głosem. Już miał rzucić się ju niemu, kiedy nagle uświadomił sobie, że Evanlyn wciąż grozi niebezpieczeństwo. Odwrócił się znów ku niej i usłyszał szczęk stali o stal. Dziewczyna zdołała pochwycić krzywą szablę, która upadła na ziemię obok niej i odparowała pierwsze uderzenie.

Jednak w ten sposób powstrzymała przeciwnika tylko na krótką chwilę; miała wciąż ograniczoną swobodę ruchów – ze skrępowanymi nadgarstkami i uwiązana do drzewa. Wskazał ręką w jej stronę i chciał krzyknąć do Halta, żeby ten czym prędzej strzelał, ale zdołał wydać z siebie tylko nieartykułowany bełkot, a potem zdał sobie sprawę, że zwiadowca nie mógł widzieć tej sceny, bowiem zasłaniały ją drzewa.

Jednak pojawiła się jeszcze inna postać, która długimi susami dopadła atakującego dziewczynę wojownika. Postać wysoka i barczysta, dziwnie znajoma, okryta kolczugą i białą tuniką, którą zdobił osobliwy herb, najbardziej przypominający stylizowany liść dębu.

Długi i prosty miecz powstrzymał uderzenie zakrzywionej klingi. Znalazł się między Evanlyn i człowiekiem, który usiłował ją zabić i w jednej chwili serią błyskawicznych uderzeń zmusił go do cofnięcia się. Miecz

zadawał ciosy tak szybkie, że nie zawsze można było je dostrzec, od razu zyskując w widoczny sposób przewagę nad szablą przeciwnika. Obcy bronił się coraz bardziej rozpaczliwie, uczynił jeszcze desperacki wypad, klinga jego szabli została odbita bez trudu, stracił równowagę i runął do przodu; długi miecz już miał go dosięgnąć.

– Nie zabijaj! – krzyknął Halt w samą porę, by Horace zdążył obrócić dłoń w nadgarstku, tak by w tył głowy jego przeciwnika uderzył płaz, a nie ostrze miecza. Tamten opadł bezwładnie na ziemię, nieprzytomny.

Miał szczęście, bo od nieuchronnej śmierci dzieliła go tylko szerokość klingi.

– Przyda nam się jeniec – uzupełnił spokojnym głosem zwiadowca. W następnej chwili stęknął, bo zderzyła się z nim drobna postać, która biegła ku niemu. Ktoś objął go w pasie ramionami; szlochając i wyrzucając z siebie słowa pozbawione sensu, Will witał w ten sposób swego mistrza, nauczyciela i przyjaciela. Halt poklepał go łagodnie po plecach, a stwierdził przy tym, ku własnemu zdziwieniu, że po jego policzku również spłynęła łza.

Horace rozciął więzy Evanlyn ostrzem miecza i delikatnie pomógł jej wstać.

– Nic ci nie jest? – spytał z niepokojem w głosie, a potem, upewniwszy się, że wszystko w porządku, uśmiechnął się szeroko.

– Horace, dzięki Bogu! – dziewczyna rozpłakała się i zarzuciwszy mu ręce na szyję, ukryła twarz na jego piersi. Przez chwilę Horace nie wiedział, jak się zachować. Chciał również ją objąć, ale zdał sobie sprawę, że ciągle trzyma w ręku miecz, więc poruszył się tylko niezgrabnie. Jednak w następnej chwili podjął decyzję, wbił broń w śnieg i otoczył dziewczynę ramionami, wciągając w nozdrza zapach jej włosów i skóry.

Uśmiech młodzieńca stał się jeszcze szerszy, choć wydawało się to niemożliwe. Właśnie w tym momencie zdał sobie sprawę, że czasami naprawdę warto być bohaterem.

Powiadasz więc, że Horace okrył się w Gallii sławą? – dopytywał się Will z niedowierzaniem, podejrzewając, że Halt i Horace chcą się zabawić jego kosztem. Jednak zwiadowca odpowiedział jak najpoważniejszym tonem:

– Tak jest. Sławą zdobytą w niejednym pojedynku – stwierdził.

Evanlyn dotknęła ręki młodego wojownika.

– Wierzę – oznajmiła. – Widzieliście, jak sobie poradził z Temudżeinem, który chciał mnie zabić? – W jej oczach lśnił niezwykły blask, który sprawił, że Will poczuł lekkie ukłucie zazdrości, ale natychmiast skarcił się w duchu, wstydząc się tak niegodnego uczucia wobec przyjaciela.

Gdy już rozprawili się z Temudżeinami, Halt chciał jak najszybciej opuścić ich obozowisko. Nie mogli wiedzieć, czy w pobliżu nie przebywają liczniejsze siły stepowych wojowników; można też było się spodziewać, że ci, którzy uciekli, wrócą tu, sprowadzając posiłki.

Wycofali się więc tą samą drogą, którą przybyli Halt i Horace, zawracając w kierunku przejścia granicznego, gdzie wcześniej natrafili na pierwsze ofiary temudżeińskiej napaści. Około południa znaleźli wzgórze, z którego rozciągał się widok na okolicę, na szczycie zaś znajdowała się niecka, w której się ukryli – mogli więc prowadzić obserwacje bez ryzyka,

że ktoś ich zauważy. Halt zdecydował, iż w tym miejscu rozłożą obozowisko, on zaś zastanowi się, co czynić dalej.

Rozniecili maluteńkie ognisko za zasłoną z młodych sosen i przyrządzili posiłek. Starali się przy tym, by dym, jaki unosił się wokół, był jak najmniej widoczny.

Evanlyn i Will rzucili się łapczywie na smakowitą potrawkę przygotowaną osobiście przez zwiadowcę i na chwilę zapadło milczenie, przerywane tylko odgłosami chrupania niewyszukanej, lecz wybornej strawy.

A potem przyszedł czas na opowieści. Przecież nie widzieli się od tak dawna i tak wiele się zdarzyło od dnia wielkiej bitwy z armią wargalów na równinie Uthal. Willowi aż szczęka opadła ze zdumienia, gdy Halt opowiedział mu, jak Horace pokonał w pojedynku straszliwego lorda Morgaratha.

Horace czerwienił się i wiercił niespokojnie, toteż Halt, widząc jego skrępowanie, zmienił niepostrzeżenie ton i zrelacjonował sam przebieg walki niemal żartobliwie, pokpiwając sobie z Horace'a, który jakoby wpakował się niezdarnie pod kopyta wierzchowca niosącego na grzbiecie Morgaratha, choć w rzeczywistości właśnie dzięki owemu desperackiemu, lecz skutecznemu posunięciu młody wojownik zdołał zniweczyć przewagę przeciwnika, wysadzając go z siodła. Gdy Halt skończył, rycerski czeladnik nie omieszkał wtrącić, że udało mu się zwyciężyć w tej walce tylko dzięki zasłonie, ustawionej z użyciem ułomka miecza i sztyletu, więc przy zastosowaniu „technik dwóch noży", której nauczył się od Gilana, a którą potem ćwiczył razem z Willem całymi godzinami w trakcie ich wędrówki przez Celtię. Wyraźnie starał się, by zabrzmiało to tak, jakby i Will poniekąd miał swój udział w jego zwycięstwie. Słysząc to, Will oparł się wygodnie o pień i pomyślał, że Horace naprawdę zmienił się nie do poznania. Kiedyś, kiedy jeszcze obaj byli podrostkami w zamkowym sierocińcu, był jego wrogiem i prześladowcą; teraz stał się najbliższym przyjacielem.

Ściślej mówiąc, jednym z najbliższych przyjaciół. Czyjś kudłaty pysk wciąż dotykał lekko ramienia Willa. Odwrócił się i sięgnął ręką za siebie, by podrapać Wyrwija między uszami. Ulubiona pieszczota jego konika. Zwierzak parsknął cicho, zachwycony. Odkąd znów się spotkali, Wyrwij

chodził za nim krok w krok, jak pies, nie oddalając się od Willa dalej niż na metr czy dwa.

Halt spoglądał na tych dwóch ponad płomieniami ogniska i uśmiechał się w duchu sam do siebie. Gdy wreszcie odnalazł swego zaginionego ucznia, ogarnęła go przemożna ulga. Spadł mu z serca kamień poczucia winy, bowiem przez te długie miesiące, jakie upłynęły od chwili, gdy wilczy okręt zniknął mu z oczu, oddalając się od araluеńskiego wybrzeża i unosząc na pokładzie Willa, odczuwał nieznośne wyrzuty sumienia, jakby w jakiś sposób zawiódł tego chłopaka. Teraz, gdy znów miał go pod swoją opieką, mógł wreszcie odetchnąć swobodniej. Co prawda wydarzenia minionych dwóch dni przysporzyły mu nowych trosk i dawały powody do dociekań, ale kłopoty mogły zaczekać jeszcze trochę; teraz radował się z jakże długo wyczekiwanego spotkania.

– Ciekawe, czy zdołasz namówić swojego wierzchowca, żeby przez chwilę albo dwie zadowolił się towarzystwem innych koni – rzucił z udawaną powagą Halt. – W przeciwnym razie dojdzie w końcu do wniosku, że jest jednym z nas.

– Wyrwij doprowadzał Halta do szału, odkąd tylko znaleźliśmy twoje ślady – stwierdził Horace, zadowolony, że przestano rozpamiętywać jego wyczyny. – Na pewno rozpoznał twój zapach i wiedział, że to właśnie twoim tropem idziemy, choć Halt nie zdawał sobie z tego sprawy.

Zwiadowca uniósł brwi.

– Halt nie zdawał sobie sprawy, powiadasz? – burknął. – Za to ty pewnie od samego początku o tym wiedziałeś?

Horace wzruszył ramionami.

– Jestem tylko wojownikiem. Właściwie tylko uczniem, który może kiedyś wojownikiem zostanie – poprawił się. – Myślenie to nie moja rzecz. Pozostawiam je wam, zwiadowcom.

– Muszę przyznać, że zupełnie nie mogłem go zrozumieć – przyznał Halt. – Nigdy nie widziałem, żeby któryś ze zwiadowczych koni zachowywał się w taki sposób. Nawet gdy nakazałem mu ciszę i uspokoiłem go, widać było wyraźnie, że coś mu chodzi po głowie. A kiedy wyszedłeś zza drzewa i zacząłeś strzelać, myślałem, że natychmiast puści się ku tobie cwałem.

Will dalej drapał kudłaty łeb, przytulony do jego ramienia. Z uśmiechem powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych wokół ogniska

przyjaciół. Po raz pierwszy od niepamiętnego czasu czuł się bezpieczny i naprawdę spokojny – teraz, gdy znów był przy nim Halt, a na dodatek jeszcze wszystkie inne bliskie mu istoty.

Potem odezwała się Evanlyn i opowiedziała o ich podróży przez Morze Białych Sztormów oraz o pobycie na wysepce Skorghijl.

Horace obdarzył Willa spojrzeniem pełnym podziwu, gdy dziewczyna opowiedziała, jak młody zwiadowca upokorzył w mrocznej i cuchnącej dymem chacie skandyjskiego rozbójnika, wprawiając go w nieme przerażenie celnym rzutem noża. Halt rzucił tylko spojrzenie swemu uczniowi i jeden, jedyny raz skinął ku niemu głową. To zaś znaczyło dla Willa o wiele więcej niż całe tony pochwał wygłoszonych przez kogoś innego.

Potem nastąpiła jednak ta część historii, z której Will wcale nie był dumny, bo Evanlyn zaczęła mówić o ich przybyciu do Hallasholm i o tym, jak wpadł w szpony uzależnienia od ziela zwanego cieplakiem. Obawiał się słów potępienia ze strony Halta, ale gdy dziewczyna opowiedziała o swej rozpaczy, i o tym, w jakim stanie był Will, pozbawiony zdolności do samodzielnego myślenia i działania, zwiadowca znów skłonił głowę, lecz tym razem warknął:

– Do diabła z ludźmi, którzy faszerują kogokolwiek tym świństwem.

Po czym przez moment milczał z opuszczoną głową, by następnie popatrzeć Willowi głęboko w oczy. Chłopak dojrzał w tym spojrzeniu smutek i współczucie.

– Przykro mi, że musiałeś przez to przejść – rzucił krótko, a Willa ogarnęło poczucie ulgi.

W końcu nadszedł kres opowieści. Pozostało jeszcze wiele rzeczy niedopowiedzianych, które wyjaśnią się w ciągu nadchodzących tygodni, i nie mniej takich spraw, rzeczy, o których po prostu zapomnieli. Teraz wiedzieli już jednak z grubsza, co działo się ze wszystkimi podczas długich miesięcy rozłąki.

Jedna rzecz tylko została przemilczana, a mianowicie kwestia wygnania Halta z królestwa. Ani Will, ani Evanlyn nie dowiedzieli się, że Halta skazano na banicję i wykluczono z Korpusu Zwiadowców. Jak widać, Horace, kiedy było trzeba, potrafił trzymać język za zębami – a o to właśnie Halt go prosił, nim przekroczyli granicę Skandii. Skoro zwiadowca

zamierzał opowiedzieć całą historię Willowi na swój sposób, młody rycerz przyjął to po prostu do wiadomości i uszanował wolę starego mistrza.

Gdy cienie zaczęły się wydłużać, Halt podszedł do związanego jeńca. Najpierw rozsupłał więzy na jego rękach, odczekał kilka minut, bawiąc się niedbale ciężką saksą; temudżeiński wojownik stęknął – jakby z wdzięcznością – po czym zaczął poruszać palcami i rozcierać dłonie. Nie próbował opierać się, gdy zwiadowca skrępował je na nowo. Wiedział już, że w następnej chwili tej samej ulgi doznają jego stopy, bowiem Halt poluźniał więzy już kilkakrotnie, odkąd go pojmali. W ten sposób jeńcowi nie groziło trwałe okaleczenie z powodu ograniczonego dopływu krwi, a jednocześnie Halt miał pewność, że nie zdoła sam rozluźnić sznura. Choć wiedział, że nie uzyska żadnej odpowiedzi, Halt spytał Temudżeina jeszcze raz o imię i nazwę jednostki, do której należy. Co prawda ongiś sporo czasu spędził pośród Ludu – jak mówili o sobie ci wojownicy – był wśród nich przez dobrych kilka lat i całkiem nieźle posługiwał się ichniejszym językiem, nie widział jednak powodu, by się z ową językową sprawnością zdradzać akurat wobec jeńca. Odzywał się więc doń we wspólnej mowie, mowie uproszczonej, pozbawionej jakiejkolwiek gramatyki czy składni, lecz znanej wszystkim na tej Półkuli – czyli mieszaniną języka gallijskiego, teutońskiego oraz temudżeińskiego.

Jak Halt się spodziewał, Temudżein na pytania znów zareagował milczeniem. Halt nie przejął się tym szczególnie i odszedł, głęboko zamyślony. Horace siedział przy ogniu, pracowicie polerując ostrze swojego miecza. Evanlyn pełniła straż na szczycie wzgórza, obserwując zbocza. Jeszcze pół godziny i czas na zmianę warty – pomyślał odruchowo Halt. Zaczął przechadzać się tam i z powrotem, rozważając nękającą go kwestię, aż zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Odwrócił się i uśmiechnął na widok Willa, który kroczył za nim, owinięty w zwiadowczy płaszcz, który Halt wiózł dla niego przez całą drogę, ze sporządzonym przezeń łukiem na ramieniu i regulaminową saksą u pasa. Co prawda pochwa na dwa noże stanowiła część wyposażenia dostępnego tylko zwiadowcom, a wykluczony z ich szeregów Halt nie zdążył się o takową dla chłopca wystarać, ale na razie Will nie wspomniał o tym ani słowem.

– Co cię dręczy? – spytał chłopak, widząc, że mistrz na niego spogląda.

Halt odwrócił się na pięcie, stając z nim twarzą w twarz, unosząc też brew w grymasie dobrze chłopcu znanym.

– Dręczy? – powtórzył.

Will obdarzył go uśmiechem, nie zamierzając dać się zbić z tropu.

Przez ten rok mały naprawdę dorósł – pomyślał Halt, pomny, jak ongiś ów prosty grymas wprawiał jego ucznia w zakłopotanie.

– No tak. Kiedy przechadzasz się niczym tygrys w klatce, zazwyczaj coś cię dręczy – rzekł Will.

Halt w zamyśleniu ścisnął usta.

– Aha… Mam więc rozumieć, że widziałeś już w swym życiu niejednego tygrysa – rzekł – i potrafisz bezbłędnie określić różnicę w zachowaniu zwierzęcia w klatce oraz na wolności, tak?

Will uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A kiedy próbujesz mnie zbyć, odpowiadając pytaniem na pytanie, wtedy jestem już całkiem pewien, że nad czymś rozmyślasz.

Halt sapnął gniewnie. Nie przypuszczał, że jest taki przewidywalny. Zanotował ów fakt w pamięci, by na przyszłość zwrócić nań uwagę, po czym dopadła go wątpliwość, czy aby nie jest za stary na zmienianie własnych przyzwyczajeń, którym wszak hołdował tylko wtedy, gdy nie miał do czynienia z bezpośrednim zagrożeniem, gdy czuł się odprężony.

– No cóż, owszem – odpowiedział. – Muszę przyznać, że to i owo zaprząta moją myśl. Nic ważnego. Nie przejmuj się.

– To znaczy, czym mam się nie przejmować? – spytał bezczelnie jego uczeń, a Halt przechylił głowę.

– Pozwól, niech ci wyjaśnię – rzekł. – Kiedy mówię „nie przejmuj się”, chcę powiedzieć, że nie zamierzam z tobą rozmawiać o zaprzątającym mnie problemie.

– To wiem – odezwał się niesforny uczeń, wciąż z uśmiechem. – Ale w czym rzecz?

Halt odetchnął głęboko.

– Istniało kiedyś coś takiego, jak szacunek dla starszych, ale chyba ta cnota przeminęła bezpowrotnie – stwierdził, zwracając się w przestrzeń.

Następnie, zdawszy sobie sprawę, że niezrażony Will wciąż spogląda na niego wyczekująco, dał za wygraną:

– No dobrze. Chodzi o tych Temudżeinów – wyznał. – Ciekawi mnie, co tak naprawdę knują? – Spojrzał w stronę związanego jeńca. – A od naszego tu obecnego gościa usłyszę raczej niewiele.

– Czy to takie ważne? – zdziwił się Will. – Przecież to nie nasza sprawa, niech Skandianie się tym martwią.

Halt zastanowił się przez chwilę, drapiąc się po brodzie kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki.

– O ile rozumiem, wyrażasz pogląd streszczający się starym powiedzeniem: „Nieprzyjaciel mojego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem"?

Will znów wzruszył ramionami.

– No, nie. Tego powiedzonka nie znałem – stwierdził. – Chociaż muszę przyznać, że w naszej sytuacji brzmi ono całkiem trafnie. Dopóki Skandianie zajęci będą walką z Temudżeinami, z pewnością nie będą nas nękać swoimi najazdami, prawda?

– Do pewnego stopnia masz rację – przyznał Halt. – Istnieje jednak też i inne stare powiedzenie: „Lepiej wiedzieć za wiele niż zbyt mało". Może to przynajmniej słyszałeś?

– Owszem. Powiadasz więc, że Temudżeini mogą być groźniejsi niż Skandianie?

– O, tak. Jeśli uporają się ze Skandianami, nic i nikt ich nie powstrzyma w marszu na Teutonię i Gallię – a wkrótce zechcą też zdobyć Araluen.

– Tyle że najpierw będą musieli pokonać Skandian, prawda?

Will wiedział, bo miał okazję przekonać się o tym na własne oczy, że Skandianie byli nieulękłymi wojownikami, z którymi mało kto mógł się równać. Wyobraził więc sobie, że będą stanowili znakomitą osłonę dla jego kraju przed temudżeińskim najazdem i innymi napastnikami z zachodu; prowadząc ze sobą wojnę, obie strony konfliktu osłabią się wzajemnie, a przez to w najbliższej przyszłości nie będą stanowić zagrożenia dla Araluenu. Strategicznie rzecz biorąc, było to dla jego ojczyzny rozwiązanie idealne – uznał. Jednak następne słowa Halta pozbawiły go świeżo nabytej wiedzy strategicznej.

– Och, pokonają Skandian, co do tego nie ma wątpliwości. Nie łudź się. Dojdzie do krwawej i okrutnej wojny, ale Temudżeini bez wątpienia odniosą w niej zwycięstwo.

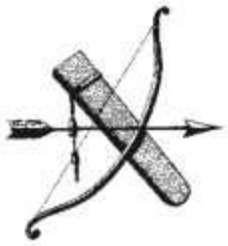

Po wieczornym posiłku Halt zwołał wszystkich. Wraz z nadejściem zmierzchu wiatr wzmógł się i świstał pośród górskich szczytów. Noc była bezchmurna, półksiężyc świecił jasno, gdy zgromadzili się przy ogniu.

– Rozmawiałem właśnie z Willem – oznajmił Halt – i uważam, że sprawa dotyczy ogółu tu zebranych, powinniście zatem wiedzieć, co mnie niepokoi.

Horace i Evanlyn spojrzeli po sobie. Sądzili dotąd, że mistrz i uczeń, których okoliczności rozdzieliły na tak długo, po prostu nadrabiali stracony czas. Teraz jednak okazało się, że snuli jakieś plany.

– Oczywiście, chodzi mi przede wszystkim o to – ciągnął Halt, upewniwszy się, że słuchają go uważnie – by ciebie, Willu, oraz kró... – tu urwał, ugryzłszy się w język wcześniej, nim wypowiedział tytuł przysługujący Evanlyn. Mocą niepisanej i niewyrażonej słowami umowy starali się nazywać prawowitą dziedziczkę araluеńskiego tronu jej przybranym imieniem. Odchrząknął więc i poprawił się: – Moim celem jest, powiadam, by wyprowadzić Willa oraz Evanlyn poza granice Skandii. Ciebie, Horace, oczywiście również, jednak weź pod uwagę, że oni, jako zbiegli niewolnicy, ryzykują znacznie więcej, dopóki znajdują się na

terytorium tego kraju. Przy czym, jak wszyscy wiemy, największe niebezpieczeństwo grozi Evanlyn.

Cała trójka słuchaczy doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Will wyjawił Haltowi i Horace'owi, czego dowiedział się o złowieszczym ślubowaniu Ragnaka, tak więc zgromadzeni wiedzieli doskonale, co stać się może, jeśli wyjdzie na jaw pochodzenie Evanlyn. Oberjarl zaprzysiągł złowieszczym Wallom, boginiom zemsty, śmierć araluеńskiego władcy oraz całej jego rodziny.

– Jednak, z drugiej strony – ciągnął Halt – bardzo niepokoi mnie pojawienie się Temudżeinów u granic Skandii. Stepowi wojownicy nie zapuszczali się tak daleko już od dwudziestu lat, a kiedy zdarzyło się to ostatnim razem, groza zawisła nad całym światem Zachodu.

Teraz słuchali już naprawdę uważnie. Horace i Evanlyn pochylili się, by niczego nie uronić. W blasku płomieni Halt dostrzegł zdziwienie na twarzy młodego wojownika.

– Halt, chyba przesadzasz? – odezwał się Horace.

– Też tak myślałem – rzekł Will do przyjaciela – ale chyba sprawa rzeczywiście jest poważna.

Halt stanowczo potrząsnął głową.

– Niestety, nie przesadzam. Kiedy Temudżeini mobilizują swe siły, oznacza to zagrożenie dla wszystkich naszych krajów, także dla Araluenu.

– A co takiego wydarzyło się poprzednim razem? – Evanlyn zadała pytanie z wyraźną troską w głosie. – Czy byłeś tam, walczyłeś z nimi?

Halt przez chwilę nie był pewien, czy powinien wyjawiać tajemnice, które dotyczyły przecież przebiegu jego służby. Rozmawiał jednak, bądź co bądź, z córką swojego władcy. Zdecydował się więc:

– Walczyłem u ich boku, a potem przeciwko nim – stwierdził beznamiętnym tonem. – Chcieliśmy nauczyć się od nich pewnych rzeczy i w tym właśnie celu mnie do nich posłano.

– Czego mogłeś się od nich nauczyć? – zdziwił się Horace. – I czego w ogóle nasi zwiadowcy mogliby dowiedzieć się od jakichś stepowych dzikusów?

Trzeba przyznać, że Horace miał nieco zbyt wygórowane mniemanie o zakresie wiedzy, jaką dysponowa li zwiadowcy. Krótko mówiąc, jego zdaniem wiedzieli właściwie wszystko, co warto było wiedzieć.

– Chciałeś dowiedzieć się, w jaki sposób sporządzają swoje łuki, prawda? – zdał sobie nagle sprawę Will. Pamiętał broń używaną przez stepowych jeźdźców – i jak bardzo była ona podobna do jego własnego łuku.

– To także. Istniała jednak jeszcze ważniejsza sprawa. Posłano mnie mianowicie do nich, abym przywiózł do Araluenu nieco temudżeińskich klaczy i ogierów. Konie, na których teraz jeździmy, są potomkami tych, które sprowadziłem – wyjaśnił. – Łuki refleksyjne faktycznie wydały nam się interesujące, jednak kiedy wziąć pod uwagę, jak trudno je wykonać i ile czasu to trwa, a także jeśli uwzględnimy, że w istocie nie zapewniają osiągów lepszych niż nasze proste łuki, gra okazuje się niewarta świeczki. Natomiast konie to już zupełnie inna historia.

– Chętnie ci je sprzedali? – spytał Will. Spojrzał na swojego kudłatego wierzchowca, który stał kilka kroków w tyle; Wyrwij, czując spojrzenie swego pana, zarżał cichutko. Teraz, gdy Halt o tym powiedział, chłopak dostrzegał wyraźne podobieństwo własnego konika do koni, które widział w temudżeińskim obozie.

– Niechętnie – poinformował go Halt. – To zresztą mało powiedziane. Strzegli swych stad nad wyraz czujnie. Obawiam się, że pośród temudżeińskiego ludu nadal pamiętają mnie jako koniokrada.

– Ukradłeś je? – spytał Horace z ledwo dostrzegalnym tonem przygany w głosie.

Halt ukrył uśmiech.

– Nie całkiem. Zostawiłem zapłatę. Sumę, którą uznałem za godziwą. Temudżeini byli jednak nieco innego zdania, ponieważ nie chcieli sprzedać koni za żadną cenę.

– No dobrze – Willa nie obchodziło, czy konie zostały uczciwie nabyte, czy skradzione – ale co zdarzyło się ostatnim razem, gdy ich wojska dokonały napaści? Jak daleko dotarli?

Halt poruszył drwa ogniska długim kijem, aż z żaru wystrzeliło kilka płomiennych jęzorów.

– Wtedy kierowali się raczej na południe – rzekł. – Właściwie z marszu podbili Ursalów i Średnie Królestwa. Nic nie było w stanie ich powstrzymać. Wówczas dopiero przekonaliśmy się, jak doskonałymi są wojownikami. Poruszali się szybko, cechowała ich niewiarygodna odwaga, ale przede wszystkim byli wyjątkowo zdyscyplinowani. Zawsze walczyli w większych oddziałach, podczas gdy armie, usiłujące stawić im czoło,

operowały jednostkami liczącymi zazwyczaj nie więcej niż dwunastu zbrojnych.

– W jaki sposób udaje im się sprawnie dowodzić dużymi grupami? – spytała Evanlyn. Z zasłyszanych od dowódców podlegających jej ojcu opowieści wiedziała, że najpoważniejszym problemem jest utrzymanie skutecznego kontaktu z podwładnymi. Zwłaszcza po rozpoczęciu bitwy. Halt spojrzał na nią z zainteresowaniem; domyślił się, że nie zadała pytania powodowana pustą ciekawością.

– Stworzyli system sygnałów, dzięki któremu głównodowodzący może koordynować działania wszystkich podległych mu oddziałów i nakazywać im wykonywanie określonych manewrów – wyjaśnił. – Do przekazywania rozkazów używają różnych zestawień kolorowych flag. Działa to również w nocy – dodał. – Tylko że wtedy posługują się kolorowymi latarniami zamiast flag. No i cóż, krótko mówiąc, nie było armii, która zdolna byłaby im się oprzeć, gdy parli w kierunku morza. Przebyli wschodnią część Teutonii, a potem znaleźli się na terenie Gallii. Rozbijali w puch każdą armię, która ośmieliła się im przeciwstawić. Wielokrotnie mieli do czynienia z miażdżącą przewagą liczebną przeciwnika, ale dzięki lepszej taktyce i zdyscyplinowaniu okazywali się niepokonani. Od gallijskiego wybrzeża dzieliło ich już tylko trzy dni jazdy, gdy wreszcie się zatrzymali.

– Zatrzymali się, czy ktoś ich zatrzymał? – spytał Will. Gdy Halt opowiadał o niepowstrzymanym marszu stepowych wojowników, troje młodych słuchaczy przeszedł dreszcz niepokoju.

W odpowiedzi na to pytanie zwiadowca zaśmiał się.

– Zatrzymała ich polityka – odpowiedział. – A także talerz nieświeżych małży.

– Polityka? – parsknął Horace. Jako wojownik z krwi i kości miał w głębokiej pogardzie politykę oraz polityków.

– Działo się to wtedy, gdy sha'shanem był Mat'lik. Otóż musicie wiedzieć, że pośród ludów takich jak Temudżeini pozycja naczelnego wodza jest bardzo niepewna. Zdobywa ją po prostu najsilniejszy. Bardzo niewielu sha'shanów zmarło śmiercią naturalną. Tymczasem, co ciekawe, akurat Mat'lik odszedł z naszego świata we własnym łożu – dodał z namysłem, nim podjął: – Tak więc, naturalną koleją rzeczy, ewentualnych konkurentów władcy starają się trzymać z daleka od siebie. W tamtym czasie najbardziej prawdopodobnymi kandydatami byli: brat Mat'lika, jego

siostrzeniec, a także kuzyn sha'shana, toteż ich właśnie posłał na wojenną wyprawę. W rezultacie chytrego fortelu władcy rywale nie tylko przestali mu zagrażać, ale też pilnowali się wzajem.

– Czy z punktu widzenia Mat'lika powierzenie kontroli nad armią potencjalnym rywalom nie wzmogło dlań zagrożeń? – zdziwił się Will.

Halt uznał, że to dobre pytanie.

– W normalnej sytuacji – owszem. Tylko że struktura dowodzenia została tak opracowana, iż żaden z nich nie miał całkowitej kontroli nad ogółem wojsk. Brat Mat'lika, Twu'lik pełnił funkcję głównego stratega. Natomiast jego siostrzeniec mianowany został rachmistrzem, a kuzyn – kwatermistrzem. W rezultacie jeden ich prowadził, drugi im płacił, a trzeci ich żywił. Wszyscy trzej, choć nie ufali sobie za grosz, w takim samym stopniu mogli liczyć na lojalność żołnierzy. Trzymali się więc nawzajem w szachu.

– A co z tymi pstrągami, czy jak im tam? – przypomniał Horace. Jedzenie zawsze go interesowało. Halt usadowił się wygodniej i oparł o pniak.

– Mat'lik wprost przepadał za małżami – opowiadał dalej. – Tak bardzo, że kazał je przyrządzić swojej żonie, życzył sobie spożyć wielką michę, choć nie był na nie sezon. Wygląda na to, że mu zaszkodziły, bo jeszcze nim wstał od stołu, nagle krzyknął głośno, chwycił się za gardło, osunął się – i zapadł w głęboką śpiączkę. Nikt nie miał wątpliwości, że już z niej nie wyjdzie.

Oczywiście, gdy wieść dotarła do armii, wszyscy trzej pretendenci do tronu rzucili się na wyścigi ku ojczyźnie, by jak najprędzej znaleźć się w stolicy. Wyboru następcy dokonuje bowiem rada starszyzny klanowej, czyli co znamienitsi shanowie. Trójka pretendentów wiedziała, że jeśli nie będzie ich na miejscu, nikt ich nie wyręczy przy wręczaniu łapówek i kupowaniu głosów – więc kto inny zgarnie całą pulę.

– I po prostu zaprzestali inwazji? – Will nie mógł w to uwierzyć. – A przecież zaszli tak daleko!

Halt rozłożył ręce.

– Cóż chcesz, wszyscy trzej byli wyrachowanymi pragmatykami. Wiedzieli, że Gallia im nie ucieknie. Skoro raz już tu doszli i nikt nie był w stanie im przeszkodzić, to z bronią w ręku przedrą się i po raz drugi. Tymczasem taka okazja, jak wybór nowego sha'shana, mogła się już nigdy więcej nie powtórzyć.

– Cała zachodnia półkula ocalała więc dzięki kilku zepsutym małżom! – zdumiała się Evanlyn. Szpakowaty zwiadowca uśmiechnął się niewesoło.

– To nie do wiary, jak często na bieg historii wpływa coś równie błahego.

– A gdzie byłeś, kiedy to wszystko się działo? – spytał swego mistrza Will.

Halt uśmiechnął się do wspomnień.

– To jedna z tych chwil, których nigdy się nie zapomina – stwierdził. – Zmierzałem dość pospiesznie ku wybrzeżu, pędząc ze sobą małą stadninkę… – zerknął z ukosa na Horace'a – …uczciwie zakupionych koni, a temudżeiński patrol deptał mi po piętach. Prawdę mówiąc, doganiali mnie. Aż tu nagle pewnego ranka przestali mnie ścigać. Nawet widziałem ich z daleka; ściągnęli wodze i tylko przyglądali się, jak odjeżdżam galopem. Widocznie ktoś powiadomił ich o zaniechaniu inwazji. Chwilę później zawrócili konie i ruszyli w długą drogę powrotną do swej ojczyzny.

Gdy skończył opowieść, przez chwilę panowało milczenie. Halt jednak był pewien, że nie potrwa ono długo. Co więcej, gotów byłby się założyć, że kolejne pytanie padnie z ust Willa. Uczeń nie zawiódł go:

– A który został sha'shanem? – spytał. – Brat, siostrzeniec czy kuzyn?

– Żaden z nich – odparł Halt. – Wybrano kogoś zupełnie innego, wodza jednego z plemion, który dążył raczej do ekspansji na wschód. Natomiast tych trzech skazano na śmierć za to, że porzucili dowodzone przez siebie wojska.

Znów poruszył drwa w ognisku.

– Teraz zaś Temudżeini powrócili – dodał po namyśle. – Ciekaw jestem, co też knują.

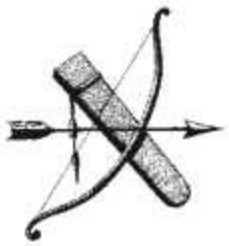

Wczesnym rankiem następnego dnia zwinęli obozowisko, by ruszyć przesmykiem prowadzącym z powrotem do granicy. Horace odstąpił Evanlyn wspaniałego czarnego rumaka, który ongiś należał do Deparnieux. Gdy zaprotestowała, mówiąc, że jest to przecież znacznie lepszy wierzchowiec niż gniadosz, którego dosiadał chłopak, Horace uśmiechnął się nieśmiało:

– Może i tak. Ale jestem przywiązany do Kickera, a i on chyba trochę mnie lubi.

Na tym dyskusja się zakończyła. Więzień dosiadał jednego z koni zdobytych na Temudżeinach. Drugi ze zdobycznych wierzchowców dźwigał sakwy z zapasami żywności, które dotąd podróżowały na grzbiecie Wyrwija.

Teraz dumny i szczęśliwy zwiadowczy konik służył oczywiście za wierzchowca nie mniej zachwyconemu Willowi.

Gdy zbliżali się do linii drzew u stóp wzgórza, Wyrwij raz jeszcze postanowił wyrazić swą radość; potrząsnął łbem i zarżał. Halt odwrócił się z uśmiechem.

– Cieszę się, że jest zadowolony – stwierdził. – Mam jednak nadzieję, że nie zamierza tak się zachowywać przez całą drogę do domu.

Will zaśmiał się i poklepał ulubieńca po kudłatej szyi.

– Wkrótce się uspokoi – zapewnił.

W odpowiedzi na dotyk Wyrwij wykonał taneczny ruch i znów potrzasnął głową. Co dziwne, Abelard uczynił to samo.

– Jemu też się udzieliło – zauważył Halt, mocno zdziwiony. – Najwyraźniej konie darzą cię szczególną sympatią. Myślałem… – urwał nagle, nie kończąc zdania.

Nawet nie drgnął, ale wprawne oko Willa dostrzegło zmianę w jego postawie. Był teraz spięty, gotowy do błyskawicznego działania. Spoglądał, nie poruszając głową, na boki – po obu stronach rosły drzewa, a on usiłował dojrzeć, co się pośród nich kryje.

– Do diabła – mruknął cicho. Odwrócił się do Horace'a i Evanlyn, którzy jechali za nimi i prowadzili konia wiozącego więźnia, nim jednak zdążył się odezwać, zza drzew, które już minęli, wysunęła się grupa uzbrojonych wojowników, odcinając im odwrót.

Halt, przez moment odwrócony, błyskawicznie skierował spojrzenie przed siebie; teraz druga grupka pojawiła się przed nimi. Zmierzali w stronę jeźdźców, rozszerzając szereg tak, by otoczyć zwiadowcę i jego towarzyszy ze wszystkich stron.

– Skandianie! – zawołał Will, który rozpoznał rogate hełmy i okrągłe drewniane tarcze milczących wojowników.

– Owszem. Konie próbowały nas ostrzec. A ja, stary głupiec, nie mogłem pojąć, czemu tak dziwnie się zachowują.

Krzepka postać w wielkim rogatym hełmie i z ogromnym bojowym toporem o dwusiecznym ostrzu opartym niedbale na ramieniu wysunęła się przed pozostałych wojowników. Za sobą Halt usłyszał złowrogi świst, gdy Horace dobył miecza. Nie odwracając się, rzucił przez zęby:

– Schowaj broń, Horace. Obawiam się, że jest ich nieco zbyt wielu, nawet jak dla ciebie.

Na widok obnażonej klingi Skandianin błyskawicznym ruchem uniósł topór nad głowę. Uczynił to z taką łatwością, jakby dzierżył w dłoni zabawkę, a nie morderczą broń. Gdy się odezwał, Will drgnął na dźwięk znajomego głosu.

– Lepiej nam się będzie gawędzić, kiedy zsiądziecie z koni. Natychmiast, jeśli można prosić.

– Erak! – wykrzyknął Will mimo woli.

Tamten postąpił jeszcze krok do przodu, wpatrując się w twarz zasłoniętą kapturem. Zrazu nie poznał go, ale teraz mógł lepiej przyjrzeć się rysom chłopca. Zmarszczył brwi, zdawszy sobie sprawę, że jeszcze jedna z postaci wydaje mu się dziwnie znajoma. Evanlyn z początku nie rozpoznał, bo dziewczyna dla ochrony przed chłodem zasłoniła częściowo twarz szalikiem, który podarował jej Horace. Teraz jednak był pewien, że to ona. Zaklął cicho pod nosem, ale opanował się natychmiast.

– Zsiadać! – rozkazał. – Wszyscy.

Ruchem ręki dał znak swym towarzyszom, by się cofnęli; czwórka jeźdźców zeskoczyła tymczasem na ziemię. Z pewnym zdziwieniem stwierdził, że piąty jest związany i nie może wykonać jego polecenia. Kazał więc dwóm ze swych ludzi zdjąć go z siodła.

Halt odrzucił kaptur. Erak wpatrywał się przez chwilę w posępną twarz brodacza. Teraz, gdy zsiadł z konia, okazało się, że jest zaskakująco niski, zwłaszcza w porównaniu z rosłym jarlem. Will podniósł rękę, by także zdjąć kaptur, ale Erak powstrzymał go szybkim ruchem.

– Zaczekaj z tym – szepnął. Nie wiedział, czy któryś z jego ludzi nie rozpozna zbiegłego przed wieloma miesiącami niewolnika i wolał nie ryzykować. Rzucił Evanlyn ostrzegawcze spojrzenie. – Ty też – rozkazał, ona zaś pojęła w lot, o co mu chodzi, i pochyliła głowę.

Erak zwrócił się znów do Halta.

– Gdzieś cię już widziałem – stwierdził.

Halt skinął głową.

– Jeśli jesteś jarlem Erakiem, to spotkaliśmy się kiedyś na araluеńskim wybrzeżu, za mokradłami – wyjaśnił.

Teraz jarl już wiedział, z kim ma do czynienia. Bardziej niż twarz Halta, znajoma wydawała mu się raczej jego sylwetka, sposób poruszania się – no i potężny, długi łuk.

Halt dodał:

– Dzieliła nas jednak wtedy pewna odległość.

– Nie tak wielka. W każdym razie do pokonania dla strzał z twego łuku – zauważył, a Halt skinął głową potwierdzająco. Twarz Skandianina pociemniała od gniewu, gdy znów spojrzał na łuk i kołczan ze strzałami u pasa Halta.

– Tylko że coś mi się wydaje, iż tym razem twoje strzały okazały się celniejsze. Paskudna sprawa – rzekł ponuro. – Chociaż pojąć nie mogę, co

ci dwoje mają wspólnego z twoimi zamiarami – wskazał kciukiem Willa i Evanlyn.

Teraz z kolei na twarzy Halta odmalowało się zdumienie.

– Moje strzały? Co masz na myśli?

Erak skrzywił się ze wstrętem.

– Widziałem, jak sobie radzisz z tym łukiem. Wiem, na co cię stać. No i widziałem, czego dokonałeś w Wężowym Przesmyku.

Teraz wreszcie Halt zrozumiał. Dobrze pamiętał podziurawione grotami strzał trupy strażników przy granicznym posterunku. Z pewnością o nich właśnie mówił Skandianin, choć zwiadowca nie znał nazwy, którą wymienił Erak. Skoro cała załoga została wystrzelana z łuków, a Erak znał Halta jako łucznika, wysnuł szybko wnioski – tyle że nielogiczne i po prostu błędne.

– To nie nasza robota – oświadczył stanowczo.

Erak podszedł do niego bliżej.

– Czyżby? Widziałem ich. Wszyscy zginęli od strzał. Potem zaś podążyliśmy waszym śladem.

– Zapewne, zapewne – rzekł zimno Halt – ale jeśli jesteś tak wytrawnym tropicielem, to chyba zorientowałeś się, że było nas tylko dwóch. Gdy przybyliśmy, cała załoga posterunku już nie żyła. Dostrzegłeś też z pewnością tropy większego oddziału. To oni rozprawili się ze strażnikami na granicy, my zaś udaliśmy się po ich śladach.

Erak zawahał się. Nie był tropicielem. Był żeglarzem i wojownikiem. Jednak jeden z ludzi, których wziął ze sobą, dysponował jako myśliwy pewnymi umiejętnościami, choć nie potrafił wyczytać ze śladów tak wiele, jak wytrawny zwiadowca. Stwierdził on, że najprawdopodobniej w Wężowym Przesmyku pojawiły się dwie grupy jeźdźców. Prawdę mówiąc, Erak dopiero teraz sobie o tym przypomniał.

– To znaczy… – rzekł powoli, zaskoczony nieoczekiwanym zwrotem w rozmowie – że nie ty? W takim razie kto?

Halt wskazał spojrzeniem związanego więźnia.

– On. On i jego towarzysze. Wczoraj natknęliśmy się na temudżeiński patrol zwiadowczy, złożony z sześciu wojowników. Na posterunek napadł o wiele większy oddział, który się wycofał. Pozostałych sześciu ruszyło w głąb Skandii.

– Temudżeini, powiadasz? – Erak rzecz jasna wiedział doskonale, jak groźnymi przeciwnikami są wojownicy ze wschodu, lecz od całych dziesięcioleci nie pojawiali się oni w granicach jego kraju.

– Zabiliśmy dwóch – rzekł Halt. – Trzech uciekło, jednego udało nam się pojmać.

Erak podszedł do jeńca; skośnooki wojownik, choć związany, spoglądał wyzywająco na otaczających go rosłych Skandian. Jarl przyjrzał się ogorzałemu obliczu brańca i jego futrzanemu odzieniu.

– To Temudżein, bez dwóch zdań… Ale co oni tu robią? – rzekł, właściwie sam do siebie.

– Nad tym właśnie i ja się zastanawiam – odpowiedział Halt.

Erak rzucił mu gniewne spojrzenie. Nie znosił takich komplikacji; był zwolennikiem prostych rozwiązań – prostych jak cios topora.

– Skoro już o tym mowa – warknął – może zechciałbyś wyjaśnić, czego ty tutaj szukasz?

Halt spojrzał mu w oczy, nie zważając na gniewny ton, jakim Skandianin zadał pytanie.

– Przyjechałem po tego chłopaka – odpowiedział spokojnie.

Erak popatrzył na niego, potem na drobną postać stojącą obok zwiadowcy, której twarz wciąż ocieniał szary kaptur. Gniew jarla zniknął równie prędko, jak się rozpalił.

– A, tak – mruknął. – Mówił, że tak właśnie uczynisz.

Jak większość Skandian, Erak cenił ponad wszystko lojalność i odwagę. Zastanowiło go coś jeszcze, coś, co nie dawało mu spokoju od dłuższego czasu:

– Wtedy, na brzegu, skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

– Jeden z twoich ludzi był śmiertelnie ranny. Zostawiłeś go na polu bitwy. To on mi powiedział.

W to Erak nie potrafił uwierzyć.

– Nordel? Prędzej przegryzłby ci gardło ostatkiem sił, niżby miał mnie zdradzić.

– Chyba uznał, że jest mi coś winien – odpowiedział cicho Halt. – Umierał, a miecz wysunął mu się z ręki. Podałem mu go.

Erak chciał coś powiedzieć, ale umilkł. Wedle skandiańskich wierzeń, wojownik winien stawić czoło śmierci z bronią w ręku. Widać Halt o tym wiedział.

– W takim razie… to ja mam wobec ciebie dług wdzięczności – odezwał się po chwili. Umilkł, po czym dodał: – Choć nie wiem, co to zmienia w obecnej sytuacji. – Podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Spoglądał na temudżeińskiego wojownika, wyglądającego niczym spętany jastrząb, który nie zważając na nic, nade wszystko pragnąłby rozszarpać szponami ofiarę. – A zwłaszcza chciałbym wiedzieć, co ma do powiedzenia ten skośnooki łeb i co zamierzają jego rodacy.

– Nad tym właśnie się zastanawiałem – powiedział Halt. – Zamierzałem odprowadzić do Teutonii moich towarzyszy, a potem może tu wrócić, wiozący ze sobą mojego jeńca i dowiedzieć się czegoś więcej.

Erak parsknął pogardliwie.

– Myślisz, że on ci powie? Przyznaję, że nie znam się zbyt dobrze na Temudżeinach, ale to jedno wiem na pewno: możesz go zakatować na śmierć, a on i tak nic ci nie zdradzi.

– Nie byłbym tego taki pewien – stwierdził Halt. – Być może znajdzie się jednak i na niego jakiś sposób.

– Jakiś sposób, powiadasz? – rzucił kpiącym tonem jarl. – A jaki to sposób, jeśli można wiedzieć?

Halt rzucił okiem w stronę stepowego wojownika. Widać było, że przysłuchuje się ich rozmowie z zainteresowaniem. Zwiadowca wiedział, że jeniec najprawdopodobniej całkiem dobrze zrozumiał tę wymianę zdań. Bądź co bądź przydzielono go do oddziału rozpoznania, więc pewnie władał sprawnie wspólną mową. Chwycił więc jarla pod ramię, odprowadził go dobrych kilka metrów na bok, nim wyjawił:

– Tak sobie pomyślałem, że dobrze byłoby pozwolić mu uciec.

Stali obok siebie i przypatrywali się więzom leżącym w śniegu. Erak zacisnął usta, po czym odezwał się do Halta:

– No cóż, jak dotąd wszystko idzie po twojej myśli – zauważył. – Ten wyskrobek rzeczywiście uciekł, gdy tylko Olak udał, że śpi na warcie. – Spojrzał koso na potężnego Skandianina, który miał pilnować jeńca. – Bo przecież tylko udawałeś, że śpisz, prawda? – rzucił kpiącym tonem.

Wojownik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Był rozkaz, żeby udawać, to udawałem – oznajmił.

– Nie było łatwo, ale jakoś dałem radę. Myślę, że nieźle się sprawiłem i mam całkiem dobre zadatki na wędrownego komedianta.

Erakowi nie było jednak do śmiechu.

– I co teraz? – spytał Halta.

– Teraz udam się jego śladem, licząc, że doprowadzi mnie do głównych sił Temudżeinów – odpowiedział spokojnie zwiadowca. – Tak jak to wczoraj ustaliliśmy.

– Przemyślałem tę sprawę – oświadczył Erak – i postanowiłem, że postąpimy inaczej. O tyle inaczej, że będziemy go tropić razem. We dwóch.

Halt ruszył już w stronę uwiązanych koni, ale zatrzymał się, stając naprzeciwko skandyjskiego wodza.

– Przecież zgodziliśmy się co do tego zeszłej nocy. Sam przyznałeś, że ja sam uporam się z tym szybciej.

– Nie. Ty sam to uzgodniłeś i przyznałeś – poprawił go Erak. – Może nawet masz rację, ale będziesz musiał pogodzić się z faktem, że wszystko pójdzie wolniej i mniej sprawnie, ponieważ będę ci towarzyszył.

Halt już miał coś powiedzieć, ale Erak uprzedził go:

– Bądź rozsądny – powiedział. – Rzeczywiście, zgadzamy się co do jednego: tak się złożyło, że zupełnie niechcący i chwilowo staliśmy się sojusznikami.

– I tak bardzo ufamy sobie wzajemnie, że zatrzymujesz moich towarzyszy jako zakładników – rzucił zjadliwym tonem Halt, ale Erak tylko wzruszył ramionami.

– Oczywiście. To jedyna gwarancja, że wrócisz. Postaw się jednak w moim położeniu. Myślisz, że Ragnak byłby zachwycony, gdyby dowiedział się, że o potencjalnym ataku Temudżeinów usłyszałem przypadkiem od jakiegoś nieznajomego wędrowca? Muszę ich zobaczyć na własne oczy. Tak więc – ruszam z tobą. Bez ciebie pewnie nie potrafiłbym wytropić uciekiniera, ale jeśli jest coś do obejrzenia, muszę zobaczyć to sam.

Umilkł, czekając na reakcję Halta. Zwiadowca nic jednak nie odpowiedział, więc Erak odezwał się znowu:

– Bo widzisz, zapewne wróciłbyś, mając na uwadze los zakładników. Tylko skąd miałbym wiedzieć, że zdasz mi dokładny raport z tego, co ujrzysz – ba, czy po prostu mnie nie okłamiesz?

Halt rozważał jego słowa przez kilka chwil. Takie rozwiązanie też mogło mieć swoje dobre strony.

– No dobrze – zgodził się. – Ale skoro wyruszamy razem, nie ma potrzeby przetrzymywać moich towarzyszy w charakterze zakładników i gwarantów mojego powrotu. Pozwól im przekroczyć granicę, my zaś tymczasem wytropimy Temudżeinów.

Erak uśmiechnął się i powoli pokręcił głową.

– Nie sądzę – odparł. – Oczywiście, wolałbym ci zaufać, ale niby jakie mam po temu podstawy? Natomiast, dopóki twoi przyjaciele są w rękach moich ludzi, mniej będę się obawiał, że dźgniesz mnie którymś ze swoich noży, gdy tylko znikniemy za pierwszym wzgórzem.

Halt przybrał niewinny wyraz twarzy.

– Czyżbyś się obawiał takiego pokurcza jak ja? Ty, rosły i potężny wilk morski?

Erak odpowiedział mu kwaśnym uśmiechem.

– W uczciwej walce zmiażdżyłbym cię, ani chybi. Idzie mi raczej o to, żebym mógł spokojnie usnąć w nocy i bez obawy odwrócić się do ciebie plecami.

Halt nie mógł powstrzymać nikłego uśmiechu, który pojawił się na jego ustach.

– Niech ci będzie – zgodził się. – A teraz może byśmy już wyruszyli, dopóki ślad jest świeży – czy może wolisz kłócić się ze mną dalej, aż śniegi stopnieją?

Erak wzruszył ramionami.

– To ty się ciągle ze mną wykłócasz – stwierdził. – W drogę.

Abelard ostrożnie kroczył po stromym zboczu. Halt obejrzał się za siebie; jadący za nim Erak chwiał się niebezpiecznie w siodle temudżeińskiego wierzchowca. Nie chodziło co prawda o to, by doścignąć uciekiniera – który szedł pieszo – lecz by, po zbadaniu sytuacji, jak najprędzej powrócić, dlatego też Halt zdecydował, że wyprawę odbędą konno. Uznał, że koń temudżeiński będzie dla Eraka odpowiedniejszy niż któryś z bojowych rumaków Horace'a. Skandianie, jak to było w ich zwyczaju, wędrowali pieszo, nie mieli więc własnych koni.

– A mówiłeś, że umiesz jeździć wierzchem – westchnął z wyrzutem w głosie. Rzeczywiście, jarl, wczepiony kurczowo obiema rękami w końską grzywę, trzymał się na grzbiecie wierzchowca raczej z pomocą siły, niż zachowując równowagę albo dostrajając własne ruchy do rytmu końskich kroków.

– Mówiłem, mówiłem – rzucił Erak przez zaciśnięte zęby. – Tylko nie mówiłem, że jeżdżę bardzo dobrze.

Cały dzień podążali śladami zbiegłego temudżeińskiego wojownika. Przez jakiś czas trop prowadził Wężowym Przesmykiem, potem jednak skręcił po łuku, oddalając się od teutońskiej granicy jakieś trzydzieści

kilometrów w głąb Skandii. Halt potrząsnął głową, po czym znów zajął się drobiazgowymi oględzinami ledwo dostrzegalnych śladów.

– Niezły jest – rzekł z uznaniem.

– Kto taki? – spytał Erak i stęknął, bo akurat w tej chwili jego koń poślizgnął się. Halt wskazał trop. Skandianin jednak niczego nie dostrzegł.

– Nasz zbieg – wyjaśnił Halt. – Zaciera za sobą ślady. Obawiam się, że twój myśliwy nie potrafiłby ich wypatrzyć. Uciekinier w oczywisty sposób próbuje nas zmylić.

Zawarta między Haltem i Erakiem ugoda sprowadzała się do tego, że zwiadowca postanowił sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja i co zamierzają uczynić Temudżeini; Skandianina interesowało dokładnie to samo, dlatego potrzebował tropicielskich umiejętności Halta. Zdawał sobie sprawę z ograniczeń swoich ludzi w zakresie zwiadu.

– Wiem – warknął. – Właśnie dlatego ty tu jesteś, a nie on.

– Owszem – uśmiechnął się ponuro Halt. – Natomiast dlaczego i po co ty się uparłeś jechać ze mną, tego nadal nie jestem pewien.

Erak nie miał ochoty się spierać. Postanowił skupić się raczej na tym, by nie spaść z grzbietu kudłatego wierzchowca, który z trudem piął się pod górę, tym bardziej, że niósł na grzbiecie ciężar znacznie większy niż zwykle – zwalisty Skandianin ważył pewnie tyle, co dwóch Temudżeinów.

Gdy znaleźli się wreszcie na grzbiecie góry, konie przyspieszyły nagle, rozchlapując mokry śnieg, aż musieli je powstrzymać.

W dole rozciągała się rozległa równina, nad którą unosiły się niezliczone smugi dymów z ognisk – było ich tysiące i ciągnęły się, jak okiem sięgnąć, a wokół każdego wznosiły się małe filcowe namioty. Zaleciał ich zapach dymu. Nie był to jednak żywiczny aromat palonej sośniny. Ten dym pachniał jakoś inaczej, ostro i nieprzyjemnie. Erak skrzywił się, marszcząc nos.

– Co oni tam palą? – spytał.

– Suszony koński nawóz – wyjaśnił Halt. – Źródło opału mają zawsze ze sobą. Spójrz.

Wskazał w stronę, gdzie Temudżeini spędzili swoje wierzchowce w jedno wielkie stado, tworzące bezkształtną i wciąż poruszającą się masę, niczym żywe jezioro na dnie doliny.

– Na zęby Gorloga! – zawołał Erak, na którym widok ów wywarł ogromne wrażenie. – Ile ich tu może się kręcić?

– Dziesięć, może dwanaście tysięcy – odpowiedział rzeczowo Halt.

Skandianin gwizdnął cicho.

– Aż tylu? Skąd wiesz?

Erak zadał może niezbyt błyskotliwe pytanie, ale był tak zdumiony widokiem, który ujrzał, że odezwał się właściwie tylko po to, by nie zapomnieć języka w gębie. Halt zerknął nań z ukosa.

– Stara kawaleryjska sztuczka – stwierdził kwaśno.

– Jeźdzcy mają swoje sposoby. Wystarczy policzyć końskie kopyta i podzielić przez cztery.

Erak spojrzał spode łba na prześmiewcę.

– Ja tylko rozmyślałem na głos, zwiadowco – rzekł.

– Chyba lepiej, żebyś to robił po cichu – zaproponował Halt.

Przez chwilę obaj w milczeniu przyglądali się obozowi nieprzyjaciela.

– Chcesz powiedzieć, że jest tam dziesięć do dwunastu tysięcy wojowników? – upewnił się po chwili Erak.

Byłaby to ilość wręcz powalająca. Skandia, gotując się do odparcia napaści w takiej skali, zdołałaby wystawić armię liczącą co najwyżej tysiąc pięciuset zbrojnych. Może dwa tysiące – ale tylko jakimś heroicznym wysiłkiem, graniczącym z cudem. Znaczyłoby to, że na jednego Skandianina przypadać będzie od sześciu do siedmiu wrogów.

Halt jednak potrząsnął głową.

– Samych wojowników jest pięć do sześciu tysięcy – stwierdził. – Każdy z nich ma co najmniej dwa wierzchowce. Poza tym wojsku towarzyszy jeszcze cztery do pięciu tysięcy ciurów obsługujących tabory, kuchnie i tak dalej – ale oni nie będą brali udziału w walce.

Czyli trochę lepiej – pomyślał Erak. Oznaczało to trzech do czterech na jednego. Czyli rzeczywiście trochę lepiej. Ale i tak kiepsko.

A mówiąc ściślej: fatalnie.

Zaczekaj tu na mnie – rzucił Halt. – Zejdę na dół trochę się rozejrzeć.

– Nie mam zamiaru na ciebie czekać – obruszył się Erak. – Idę razem z tobą.

Halt spojrzał na rosłego Skandianina. Wiedział, że na upór nie ma lekarstwa, zwłaszcza w tak trudnym przypadku, ale mimo wszystko jeszcze raz spróbował perswazji:

– Pewnie nie zrobi na tobie wrażenia, gdy ci powiem, że trzeba poruszać się ostrożnie, dyskretnie i niepostrzeżenie?

Erak roześmiał się.

– Najmniejszego. Powtarzam: nie zamierzam zawozić mojemu oberjarlowi wyłącznie garści zasłyszanych plotek. Chcę przyjrzeć się z bliska tym ludziom i sprawdzić, na co się zanosi.

– Zdam ci sprawozdanie, na co się zanosi – westchnął znużonym tonem Halt.

– Wolę zobaczyć sam. – Jarl ani myślał kapitulować.

Nie było rady. Halt machnął ręką.

– Trudno. Skoro musisz. Ale stawiaj kroki ostrożnie i staraj się nie robić zbyt wiele hałasu. Wiesz, Temudżeini nie są głupcami i z pewnością rozstawili wokół obozu liczne czujki.

– Wystarczy, że mi powiesz, gdzie są, a będę ich unikał – odparł zniecierpliwiony już Erak. – Potrafię się kryć, jeśli zechcę.

– Zapewne nie gorzej niż jeździć konno – mruknął pod nosem Halt. Skandianin udał, że nie dosłyszał i patrzył wyczekująco. – No cóż, w takim razie ruszamy – zdecydował zwiadowca.

Uwiązali konie na drugim zboczu góry, po czym zaczęli skradać się w dół, ku dolinie. Gdy uszli kilkaset metrów, Halt odwrócił się do Skandianina.

– Czy w tych górach są niedźwiedzie?

Tamten skinął głową.

– Oczywiście. Tylko że o tej porze roku jeszcze śpią. Dlaczego pytasz?

Halt westchnął przeciągle.

– Ach, nic takiego. Miałem nadzieję, że kiedy Temudżeini usłyszą, jak hałasujesz, wezmą cię za niedźwiedzia.

Erak uśmiechnął się zimno i przeszył rozmówcę morderczym spojrzeniem.

– Jakież zabawne – prychnął. – Chętnie rozłupałbym ci łeb toporem.

– Może i nie miałbym nic przeciw temu, jeśli zdołałbyś machnąć odpowiednio cicho – skwitował Halt, po czym odwrócił się i dalej podążał przodem w dół zbocza. Przemykał niczym duch, od drzewa do drzewa, od jednej plamy cienia do drugiej, nie poruszając po drodze ani jednej gałązki.

Erak próbował naśladować ruchy zwiadowcy, ale szło mu to nad wyraz nieudolnie. Za każdym skrzypnięciem śniegu pod ciężarem wielkiej stopy, za każdym trzaśnięciem łamanej gałęzi Halt coraz mocniej zaciskał zęby. Właśnie przyrzekał sobie, że zostawi Skandianina w tyle, gdy znajdą się już w pobliżu temudżeińskiego obozu, gdy nagle zauważył coś wśród drzew po swej lewej stronie. Uniósł szybko rękę, dając znak Erakowi, by ten się zatrzymał. Jednak rosły Skandianin nie zrozumiał nakazującego gestu Halta i szedł dalej, dopóki się nie zrównał ze zwiadowcą.

– Co jest? – spytał. Starał się mówić półgłosem, ale w uszach Halta ciche słowa zabrzmiały jak odbijający się donośnym echem wrzask.

Odpowiedział szeptem, ledwie dosłyszalnym, zbliżając usta do ucha Skandianina:

– Czujka. Nasłuchiwacze. Dwóch.

Była to metoda powszechnie stosowana przez Temudżeinów. Gdziekolwiek zakładali obóz, rozstawiali wokół ukryte dwuosobowe

posterunki, polecając wartownikom wypatrywać i nasłuchiwać, by udaremnić wszelką próbę ataku z zaskoczenia. Halt i Erak minęli właśnie jeden z takich posterunków, który znajdował się teraz po ich lewej stronie i nieco z tyłu. Przez chwilę Halt zastanawiał się, czy iść dalej, ale uznał, że to zbyt ryzykowne. Straże rozstawiano w przemyślny sposób i fakt, że minęli właśnie jedną z czujek, wcale nie musiał oznaczać, że gdzieś z przodu nie kryje się druga. Najlepsze, co mogli w tej chwili zrobić, to wycofać się jak najciszej, licząc, że skryją ich zapadające ciemności. Nie udało im się co prawda obejrzeć z bliska temudżeińskich wojsk, ale nic na to nie można było poradzić. Poza tym i tak nie udałoby im się dojść dużo bliżej, bo wkrótce któryś ze strażników zauważyłby Eraka – czy raczej go usłyszał. Halt wszeptał znów w ucho swego towarzysza:

– Najpierw ja, potem ty za mną. Powoli. I uważaj, gdzie stawiasz stopy.

Śnieg pod drzewami usiany był szyszkami i suchymi gałęziami. Niejednokrotnie, gdy schodzili w dół, Halt krzywił się boleśnie, słysząc jak chrust trzaska, łamamy ciężkimi stopami Eraka; doświadczony zwiadowca odnosił wrażenie, że hałas czyniony przez Skandianina obudziłby umarłego.

Halt przemknął bezszelestnie do następnego drzewa, potem do kolejnego; po jakichś pięćdziesięciu krokach ukrył się w cieniu. Spojrzał za siebie i skinął na Eraka. Przez chwilę przyglądał się z rosnącym niepokojem, jak tamten usiłuje iść na palcach, chwiejąc się przy tym niebezpiecznie. Wreszcie nie mógł już znieść żałosnego widoku, więc spojrzał w lewo, żeby sprawdzić, czy pełniący straż nie dostrzegli ich lub nie usłyszeli.

W tej samej chwili rozległ się głośny trzask i stłumione przekleństwo. Erak zamarł na chwilę w bezruchu, a przed nim leżała wyjątkowo gruba złamana gałąź.

– Nie ruszaj się – szepnął Halt w rozpaczliwej nadziei, że drągal wykaże dość rozsądku, by tak właśnie postąpić. Jednak nie, Erak popełnił kolejny błąd, jakiego powszechnie dopuszczają się ludzie niewprawni w sztuce podchodów. Postanowił mianowicie jak najprędzej się ukryć, licząc, że szybkość zastąpi ostrożność. Ten właśnie nagły ruch dostrzegli strażnicy.

Rozległ się okrzyk z góry i natychmiast w drzewo, za którym schował się Skandianin, wbiło się kilka strzał. Halt wyjrzał ze swojej kryjówki. W półmroku dostrzegł dwie sylwetki. Jeden ze strażników biegł już

w stronę obozu, dmąc w róg. Drugi czekał z naciągniętym łukiem, aż Skandianin poruszy się, by posłać mu śmiercionośny pocisk.

Tak więc Halt musiał w jakiś sposób stworzyć Erakowi szansę ucieczki. Zawołał cicho:

– Odwrócę jego uwagę. Ty w tym czasie biegnij do następnego drzewa.

Skandianin skinął głową. Zebrał się w sobie, gotów biec, jakby gonili go wszyscy diabli.

– Tylko do następnego drzewa – szepnął zwiadowca. – Nie dalej.

Skandianin znów przytaknął. Widział przecież, jak szybko i celnie temudżeińscy strażnicy wypuścili pierwsze strzały. Zastanowił się, jakim cudem zdoła dotrzeć dalej niż do następnego drzewa. Sztuczka Halta, polegająca na odwróceniu uwagi strażnika, mogła udać się przecież tylko raz. Miał nadzieję, że zwiadowca ma jeszcze jakiś sposób w zanadrzu. Dźwięki rogu rozlegały się coraz ciszej, gasły w miarę, jak drugi strażnik oddalał się, biegnąc w dół zbocza po posiłki. Cokolwiek Halt zamierza uczynić – pomyślał Erak – lepiej, żeby się pospieszył.

Erak ujrzał czarną sylwetkę zwiadowcy, która oderwała się od pnia drzewa. Odczekał jeszcze ułamek sekundy, a potem puścił się biegiem, grzęznąc w śniegu; w ostatniej chwili dał nura, upadając za pniem. W tej samej chwili strzała świsnęła tuż nad jego głową. Serce biło mu jak oszalałe, choć przebiegł nie więcej niż dziesięć metrów pod górę. Spojrzał w stronę Halta. Zwiadowca ukrył się znowu, jakieś pięć metrów dalej. Zdjął łuk i założył strzałę na cięciwę. Na jego twarzy widać było skupienie. Wyczuł spojrzenie Skandianina i zawołał cicho:

– Wyjrzyj. Tylko ostrożnie, nie pokazuj mu się na tyle, żeby miał w co celować. Sprawdź, czy jest w tym samym miejscu i czy nie zmienił pozycji.

Erak przytaknął, po czym wysunął nieco głowę. Temudżeiński wojownik znajdował się tam, gdzie przedtem, z gotowym, na pół naciągniętym łukiem. Miał przewagę nad nimi, jako że mógł wypuścić strzałę w każdej chwili, gdyby którykolwiek z nich dwóch pokazał się lub poruszył. Tymczasem Halt musiałby wyjść zza drzewa, odszukać przeciwnika w gąszczu gałęzi, wycelować i dopiero potem wystrzelić. Nim zdążyłby to zrobić, dawno już by nie żył.

– Nie poruszył się – odpowiedział Erak.

– Powiedz mi natychmiast, gdyby to zrobił – polecił cicho Halt. Leżąc brzuchem na śniegu, z twarzą tylko odrobinę wysuniętą zza drzewa, Erak

ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Tymczasem skryty za drugim drzewem Halt oparł się plecami o pień i zamknął oczy, oddychając głęboko. Przywołał w umyśle obraz ciemnej sylwetki Temudżeina odcinającej się od jaśniejszego tła śniegu. Przypomniał sobie dokładnie jego pozycję, odtworzył ją w myśli, pozwalając, by to wyobrażenie przejęło kontrolę nad jego ruchami, by celowanie i oddanie strzału odbywało się w jednym instynktownym ciągu. Oddychał coraz wolniej, bardziej równomiernie, spokojniej. Pośpiech jest zaprzeczeniem prędkości – powtórzył w myśli maksymę – a więc nie spieszmy się. W myślach wyliczył tor lotu strzały, potem wyobraził go sobie jeszcze raz, a potem znów, aż strzała stała się jakby częścią jego ciała, naturalnym jego przedłużeniem.

A wówczas, jak w transie, jednym płynnym ruchem wysunął się zza drzewa, tak że jego lewe ramię skierowało się w stronę celu, prawa ręka naciągnęła cięciwę, przy czym lewa prostowała się w tej samej chwili. W jednej sekundzie łuk gotowy był do strzału. Halt wycelował i zwolnił cięciwę na pamięć. Nawet nie dojrzał sylwetki tamtego; przeciwnik Halta zmaterializował się dopiero wtedy, kiedy pocisk zmierzał już nieuchronnie do celu.

A kiedy zwiadowca go wreszcie zobaczył, wiedział już, że nie chybił.

Temudżein upadł na plecy, w śnieg, wystrzeliwszy o chwilę za późno. Jego strzała poszybowała wysoko ku szczytom sosen, a w następnej chwili upadła na pobielałą ziemię, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Erak wstał pospiesznie, zerkając przy tym z niekłamanym uznaniem na niewysokiego mężczyznę w szarym płaszczu.

Zorientował się, że na cięciwie już ułożona została druga strzała, choć nie widział, by zwiadowca ją zakładał.

– Na bogów – mruknął, opierając ciężką dłoń o ramię tamtego – rad jestem, mając cię po swojej stronie.

Halt otrząsnął się, powracając błyskawicznie z transu do rzeczywistości. Rzucił Skandianinowi gniewne spojrzenie.

– Mówiłem, żebyś uważał, gdzie stąpasz – wypomniał mu.

Erak skrzywił się.

– I uważałem – zapewnił. – Tylko tak się zapatrzyłem pod stopy, że walnąłem w tę gałąź głową. No i pękła.

Halt uniósł brwi.

– Rozumiem, że gałąź, nie głowa? – zatroskał się żartobliwie.

Erak zdziwił się:

– Oczywiście, że gałąź. Łeb mam twardy.

– A szkoda, byłaby mniejsza strata – stwierdził zgryźliwie Halt, po czym wskazał ku górze. – A teraz zmykajmy stąd jak najprędzej.

Na wzgórzu Halt zatrzymał się, by spojrzeć za siebie. Erak stanął także, lecz zwiadowca pchnął go prędzej w stronę koni.

– Ruszaj! – zawołał.

Z doliny poniżej dochodziły odgłosy rogów alarmowych i oddalone jeszcze okrzyki. Dużo bliżej, pośród drzew na stoku, też widział poruszenie – to ożywili się ci Temudżeini, którzy dotąd, pełniąc straż, pozostawali w ukryciu. Teraz ruszali pod górę, ścigać intruzów.

– Przeklęte gniazdo szerszeni – mruknął do siebie. Według jego oceny po zboczu wspinało się w ich kierunku już sześciu jeźdźców. Co najmniej sześciu. W obozie z pewnością formowano większy oddział, który będzie miał za zadanie objechać wzgórze u podstawy, zachodząc jego i Eraka z drugiej strony.

Gdyby był sam, z pewnością na grzbiecie Abelarda zdołałby się im wymknąć i to bez najmniejszego trudu. Jednak z balastem w postaci Skandianina nie czuł się już tak bezpiecznie. Miał przecież okazję przekonać się, jak ten człowiek radzi sobie w siodle – otóż właściwie nie radził sobie prawie wcale. Erak utrzymywał się na końskim grzbiecie głównie dzięki potężnej sile woli, przy całkowitym braku wyczucia równowagi. Halt wiedział, że będzie musiał w jakiś sposób opóźnić pościg,

by zyskać na czasie i móc razem z jarlem dotrzeć do reszty Skandian oraz do swoich podopiecznych.

Choć z formalnego punktu widzenia byli wrogami, nawet przez myśl mu nie przeszło, by pozostawić Skandianina na pastwę nadjeżdżających Temudżeinów.

Spojrzał w stronę uwiązanego konia Eraka – Abelard, rzecz jasna bez uwięzi, pozostawał tam, gdzie mu kazano. Nie bez ulgi stwierdził, że wilk morski zdołał już wdrapać się na siodło swojego wierzchowca; siedział teraz sztywno, jakby zupełnie nie na swoim miejscu. Halt zamachał w jego kierunku.

– Nie czekaj! – krzyknął. – Jedź!

Erakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać komendy. Skierował konia we właściwą stronę, choć podczas brania zakrętu o mało nie spadł. Utrzymał się tylko dzięki temu, że silnymi, długimi nogami objął mocno beczułkowaty korpus zwierzęcia, a rękami złapał go za grzywę. Następnie, jakimś cudem, poprowadził temudżeińskiego konika w dół. Zwierzak ślizgał się i zapadał w miękkim śniegu, w dodatku musiał lawirować między drzewami.

W pewnej chwili Erak nie przylgnął na czas do końskiego grzbietu, gdy przejeżdżali pod wielką sosnową gałęzią obciążoną śnieżną czapą. W następnej chwili i koń, i jeździec pokryci byli od stóp do głów białym puchem.

Halt wskoczył zwinnie na grzbiet Abelarda, a konik zawrócił w miejscu i niemal natychmiast ruszył galopem. W odróżnieniu od Eraka, Halt trzymał się w siodle wyśmienicie; ani drgnął, kiedy z kolei Abelard poślizgnął się, zjechał kawałek i odzyskał równowagę. Z każdą chwilą Halt na Abelardzie zbliżali się do poprzedzającego ich niezdarnego jeźdźca.

Będzie miał szczęście, jeśli ujedzie jeszcze choć pięćdziesiąt metrów – pomyślał Halt, spoglądając w stronę Eraka. Wyglądało na to, że w każdej chwili koń i jeździec mogą rozbić się z całym impetem o któryś z pni okolicznych drzew.

Spiął Abelarda, przynaglając go kolanami; konik natychmiast przyspieszył. Zrównali się z nieszczęsnym jarlem, a wówczas Halt pochylił się i chwycił zwisające luźno wodze temudżeińskiego konia. Erak porzucił je niemal od razu, trzymając się z całych sił, obiema rękami, przedniego łęku siodła.

Teraz przynajmniej Halt mógł jakoś sensowniej poprowadzić galopującego dotąd na oślep drugiego konia. Zręczny i pewnie stąpający Abelard sam bezbłędnie odnajdował właściwą drogę między drzewami, Halt wiedział, że może mu całkowicie zaufać. Impet szarpnął nim do tyłu, gdyż koń niosący Eraka opierał się przez chwilę. Halt nie wypuścił jednak rzemienia z dłoni i po chwili udało mu się skierować niewprawnego jeźdźca śladami Abelarda, który tymczasem, jak go wyszkolono, wyszukiwał trasę najkrótszą i zarazem najdogodniejszą. Pokonali już dwie trzecie drogi w dół i Halt zaczynał nabierać nieco wiary, że jednak zdołają się wymknąć, gdy nagle dobiegła doń wrzawa ludzkich głosów i dźwięk tych przeklętych rogów. Obejrzał się szybko, lecz w gęstwinie drzew nic nie było widać. Wiedział jednak, że nagła fala dźwięku oznacza, iż goniący ich Temudżeini osiągnęli już górski grzbiet.

Wiedział, że reszta jest tylko kwestią czasu; prędzej lub później dogonią ich, tak samo jak on bez trudu dogonił Skandianina.

Poczuł smagnięcie gałązki na policzkach, aż łzy napłynęły mu do oczu – jakby za karę, że przestał spoglądać w kierunku jazdy. Poruszył głową, żeby otrząsnąć śnieg, który przy okazji wylądował na jego twarzy, po czym, upewniwszy się, że mają przed sobą wolną drogę, znów odwrócił się na krótką chwilę, by rzucić Erakowi słowo zachęty:

– Trzymaj się! – zawołał, a Skandianin natychmiast uczynił coś wręcz przeciwnego, bowiem puścił jedną ręką łęk, by dać nią znak, że zrozumiał.

– O mnie się nie martw! – zawołał. – Dam sobie radę!

Grymas wykrzywił usta Halta. Erak w siodle przypominał mu przede wszystkim wór kartofli. Nie do wiary, że ten sam Skandianin potrafił bez trudu utrzymać równowagę na chwiejnym okrętowym pokładzie. Halt zauważył, że drzewa rosną coraz rzadziej. Zaraz potem usłyszał przeraźliwy ryk temudżeińskich rogów po lewej stronie. Zdał sobie sprawę, że w rogi dmie drugi ścigający ich oddział, ten, który posłano dołem i który stara się usilnie odciąć im drogę. Halta i Eraka czekał więc prawdziwy wyścig; za żadne skarby nie wolno było dać się osaczyć. Halt ucisnął kolanami boki Abelarda. Konik przyspieszył biegu. Usłyszał za sobą, że Erak zaklął szpetnie, gdyż o mało znów nie wypadł z siodła. Ale kiedy zwiadowca szybko rzucił okiem w tył, przekonał się, że Skandianin jakoś się jeszcze trzyma. Wypadli na płaski teren między wzgórzami.

Miał rację. Czekał ich wyścig, i to wyścig morderczy. Pierwsi jeźdźcy z drugiego temudżeińskiego oddziału poruszali się w odległości zaledwie dwustu metrów. Wciąż ciągnąc za sobą Eraka, Halt wjechał teraz na ślady, jakie uczynili wcześniej tego dnia. Tu wreszcie mógł obejrzeć się swobodnie, bo nie groziły mu nisko zwisające gałęzie. Ujrzał co najmniej dwunastu jeźdźców. Przez chwilę miał niejasne poczucie déjà vu, jakby powtórzyła się sytuacja sprzed wielu lat, kiedy pędził ze stadem ukradzionych koni, a za nim oddział Temudżeinów żądnych jego krwi. Przez myśl raczej niż przez usta przemknęło mu coś na kształt gorzkiego uśmiechu. Oczywiście, że ukradł konie. Tylko, po prostu, nie miał serca ranić wrażliwego sumienia Horace'a, opowiadając mu o swoim poprzednim spotkaniu ze stepowymi jeźdźcami. Miał wrażenie, że sumienie kandydata do rycerskiego stanu należy na wszelki wypadek raczej oszczędzać, bowiem ostatnimi czasy bywało wystawiane na niełatwe próby.

Zwolnił troszeczkę, lecz na tyle tylko, żeby drugi wierzchowiec zrównał się z Abelardem, po czym rzucił wodze skandiańskiemu jarlowi, podskakującemu niczym piłka w siodle. O dziwo, Erak złapał je bez trudu. Haltowi przemknęło przez myśl, że jeśli chodzi o orientację i szybkość ruchów, Skandianinowi nic nie można zarzucić.

– Jedź dalej! – zawołał do towarzysza.

– Co… za… mie… rzasz? – Erak nieustannie odbijał się od siodła, więc tylko w tak urywany sposób mógł przemawiać.

– Postaram się, żeby trochę zwolnili – rzucił Halt. – Tylko nie zatrzymuj się, żeby popatrzeć. Pędź, co koń wyskoczy!

Erak zacisnął zęby, znów uderzając ciężko siedzeniem o twardą skórę siodła.

– Prę… dzej… nie mogę! – wyjąkał.

Ale Halt trzymał już w ręku łuk, który zsunął z ramienia. Erak zrozumiał, na co się zanosi, lecz zbyt późno, żeby zapobiec nieuniknionemu.

– Nie! – zaczął. – Tylko nie…!

Ale właśnie w tej chwili ciężkie łęczysko opadło na koński zad z głośnym trzaśnięciem, a przerażony zwierzak skoczył do przodu, jakby coś go ugryzło.

Obelga, jaką Erak zamierzał rzucić Haltowi, przerodziła się w przeciągły ryk, gdy w panice gorączkowo chwycił się znów łęku, by nie spaść z konia. Jeszcze przez sekundę lub dwie nie posiadał się ze wściekłości, ale potem uświadomił sobie, że mimo wszystko nie spadł, a to dowodziło, że może utrzymać się na końskim grzbiecie nawet przy tak zawrotnej prędkości. Toteż gdy koń zaczął zwalniać, klepnął go z całej siły wielkim łapskiem w zad, skłaniając do dalszego pośpiechu.

Halt, ku własnej satysfakcji, stwierdził, że jego towarzysz oddala się w znośnym tempie, a nawet pogania swojego wierzchowca. Po kilku sekundach Erak zniknął za zakrętem drogi, która wiła się teraz dnem doliny pośród wzgórz.

W następnej chwili, odpowiadając na wyuczony sygnał, przekazany kolanami jeźdźca, Abelard wspiął się na tylne nogi i wykonał na nich coś w rodzaju niepełnego piruetu, wytracając prędkość i odwracając się bokiem do dotychczasowego kierunku jazdy.

W jednej krótkiej chwili koń niemal zastygł w miejscu. Ani drgnął, gdy jego pan wzniósł się w strzemionach, ze strzałą założoną już na cięciwę potężnego, długiego łuku.

Halt wiedział, że jego broń ma większy zasięg niż mniejsze łuki refleksyjne Temudżeinów. Odczekał, aż pościg zbliży się jeszcze nieco, oceniając prędkość, z jaką się poruszali jeźdźcy, by móc przewidzieć tor pocisku i wybrać właściwą chwilę, kiedy wypuści strzałę. Powinna znaleźć się dokładnie w tym samym miejscu i czasie, co jeździec pędzący na przedzie. Uczynił, co należy, bez udziału świadomości, instynktownie, ruchem wyćwiczonym przez długie lata bezustannej praktyki. Nie do końca nawet zdając sobie z tego sprawę, wystrzelił i strzała wnet poszybowała płaskim łukiem w stronę napastników.

Oddział znajdował się w odległości stu pięćdziesięciu metrów, kiedy trafiała dowódcę w sam środek piersi. Jeździec zsunął się z siodła na ziemię, usiłując ostatkiem sił utrzymać w rękach wodze, więc pociągnął też za sobą konia. Następny, który galopował tuż za nim, całkowicie zaskoczony, nie miał żadnych szans, by ominąć przeszkodę. Wpadł więc na przewracającego się wierzchowca i także upadł; utworzyła się bezładna plątanina ciał i kończyn, ludzkich oraz końskich.

Jadący za nimi poszli w zupełną rozsypkę, gwałtownie ściągając wodze i usiłując jakoś przejechać wśród powalonych jeźdźców. Konie stawały

dęba, z głośnym rżeniem cofały się, wpadając na siebie. Nim jeszcze całe zamieszanie rozpętało się na dobre, Halt galopował już w swoją stronę i błyskawicznie zniknął za tym samym zakrętem, co Erak.

Minęło sporo czasu, nim Temudżeini opanowali sytuację. Koń dowódcy dźwignął się na nogi, ale biegał w kółko, dziko parskając i prychając. Za to jeździec leżał w śniegu, który zabarwił się na czerwono. Pozostali mogli przyjrzeć się przyczynie zamieszania: była nią długa, ciężka strzała o czarnym drzewcu. Przyzwyczajeni, że dzięki mistrzowskiemu władaniu łukami zyskiwali przewagę nad większością wrogów, zorientowali się nagle, że mają do czynienia z kimś, kto może ich pokonać ich własną bronią. Mało tego, strzały Temudżeinów nie dosięgłyby nikogo z odległości, z której tak celnie strzelił nieznajomy. Zdali więc sobie sprawę że szalony pościg na łeb, na szyję niekoniecznie okazał się dobrym pomysłem. Temudżeini nie byli tchórzami, ale nie zaliczali się też do głupców. Właśnie przed momentem przekonali się na własne oczy, że nie ścigają bezbronnej ofiary, lecz że mają do czynienia z nad wyraz groźnym nieprzyjacielem. Pościgu nie zaniechali, lecz zwolnili nieco tempa, a ich zapał znacznie ostygł.

Temudżein, który wpadł na dowódcę, został w tyle. Jego własny wierzchowiec skręcił kark podczas zderzenia, więc teraz pechowy jeździec usiłował schwytać spłoszonego konia, którego uprzednio dosiadał aktualny nieboszczyk. Nie okazywał przy tym bynajmniej przesadnego pośpiechu.

Halt zatrzymywał się jeszcze dwa razy, by opóźnić pościg. Zsiadał z konia i pozwalał Abelardowi skryć się za następnym zakrętem drogi.

Potem czekał, ukryty w cieniu sosen, korzystając z maskowania, jakie zapewniał mu szarozielony płaszcz.

Gdy temudżeińscy jeźdźcy pojawiali się w polu widzenia, wypuszczał dwie strzały z największej możliwej odległości. Za każdym razem jeźdźcy orientowali się, że są pod ostrzałem dopiero wówczas, gdy kolejni dwaj ich współplemieńcy spadali z siodeł w śnieg.

Halt starannie dobierał miejsca zasadzek. Zawsze tak, by zachować dobry widok na przebytą już drogę, choć nie w każdym miejscu miał dobre warunki do strzału.

W rezultacie, po trzecim ataku, nauczeni bolesnym doświadczeniem Temudżeini zwalniali na każdym zakręcie, bezskutecznie wypatrując, czy gdzieś nie czai się wróg, który za chwilę porazi ich czarnymi, spadającymi z nieba, strzałami.

Widzieli go tylko raz, gdy pozbawił ich dowódcy; po każdym następnym ataku umykał niepostrzeżenie. Ponieważ nie znali drogi i w każdej chwili spodziewali się dalszego ostrzału, zwolnili z galopu aż do bardzo powolnego, ostrożnego stępa. Jednocześnie uznali, że w ten sposób prowadzony pościg traci jakikolwiek sens. Poza tym stwierdzili, że ci dwaj

szpiedzy nie są aż tak groźni, a nawet jeśli nieco przedwcześnie powiadomią skandyjskiego władcę o zagrożeniu, to i tak nic się w istocie nie stanie. Temudżeini wiedzieli, że dysponują ogromną przewagą, zarówno liczebną, jak i taktyczną. Nie wątpili, że zwyciężą w bitwie, do której prędzej czy później dojdzie.

Na to właśnie liczył Halt. Ostrzelawszy dwukrotnie Temudżeinów, nie zatrzymywał się już więcej. Wskoczył na grzbiet Abelarda i popędził galopem. Wkrótce dogonił Eraka. Skandianin na odgłos końskich kopyt odwrócił się, oczekując, że ujrzy za sobą groźnych wojowników. Odetchnął więc z ulgą na widok drobnej postaci w szarozielonym płaszczu. Gdy tylko przestał poganiać konia, ten zwolnił; w następnej chwili Abelard znalazł się u jego boku.

– Gdzie… żeś się po…dziewał? – wykrztusił Erak w taki sam urywany sposób jak poprzednio.

Halt wskazał za siebie.

– Kupiłem dla nas trochę czasu. Za cenę paru strzał – wyjaśnił. – Myślisz, że ten twój wałach mógłby trochę przyspieszyć?

Erak był urażony. Uważał, że całkiem dobrze sobie radzi.

– Zapewniam cię, że jestem już naprawdę wyśmienitym jeźdźcem – oświadczył sztywno. Halt spojrzał przez ramię. Pogoni nie dostrzegł, ale nie mógł wiedzieć, jak prędko Temudżeini dojdą do wniosku, że jednak nie czeka na nich za każdym zakrętem. Jeśli Erak dalej będzie jechał w tak ślimaczym tempie, wojownicy wkrótce nadrobią stracony czas. Przewaga, jaką udało się Haltowi zyskać, mogła okazać się wcale nie aż tak wielka.

– Nie wątpię, że uważasz się za doskonałego jeźdźca – zawołał – ale za nami jest coś ze dwudziestu Temudżeinów, którzy naprawdę urodzili się w siodle. A więc – jazda!

Erak ujrzał wzniesione łęczysko, ale tym razem nie tracił czasu na próżne okrzyki, tylko od razu chwycił się kurczowo końskiej grzywy. W następnej sekundzie ciężkie drzewce trzasnęło w zad nieszczęsne zwierzę, które pogalopowało w panice przed siebie. Waląc boleśnie tylną częścią ciała o siodło, skandyjski wódz pocieszał się myślą, że gdy będzie już po wszystkim, jeszcze bardziej, bo o głowę, skróci i tak niewysokiego zwiadowcę.

Mknęli przez dłuższy czas, przy czym Halt dokładał starań, by temudżeiński wierzchowiec utrzymywał należyte tempo, tłukąc go

niemiłosiernie po zadzie, gdy tylko zaczynał zwalniać. Wreszcie znaleźli się w Wężowym Przesmyku i oczom ich ukazał się graniczny posterunek. U palisady zbitej z sosnowych bali czekało na nich dwudziestu Skandian Eraka, wraz z Evanlyn, Willem i Horace'em. Na odgłos końskich kopyt Skandianie powstali i dobyli broni.

Halt zatrzymał Abelarda obok trojga swych towarzyszy. Erak spróbował dokonać tego samego, lecz jego koń biegł jeszcze przez jakieś dwadzieścia metrów w bezładnym galopie, aż wreszcie jarlowi udało się go zawrócić. Wtedy jednak zwierzak stanął nagle jak wryty, a jeździec oczywiście przeleciał przez jego łeb i spadł w śnieg.

Dwóch czy trzech Skandian roześmiało się nieopatrznie; ich rechot nie uszedł uwagi Eraka, który dźwignął się prędko na nogi. Rzucił swoim podwładnym lodowate spojrzenie i zapamiętał sobie ich twarze. Śmiech natychmiast zamarł.

Halt przerzucił nogę przez koński grzbiet i zsunął się na ziemię. Pogładził Abelarda po szyi; konik sapał nieco, lecz wywodził się przecież z rasy, której przedstawiciele mogli kłusować z małymi przerwami przez cały dzień. Zwiadowca dostrzegł wyczekujące spojrzenia.

– I co, znaleźliście jakiś większy oddział Temudżeinów? – spytał Will.

Halt ponuro skinął głową.

– Można tak rzec.

– To nie oddział, tylko wielotysięczna armia – sprostował Erak. Skandianie wydali okrzyk zdumienia. Erak uciszył ich gestem ręki.

– Liczy pięć do sześciu tysięcy zbrojnych i prawdopodobnie zmierza właśnie w naszą stronę.

Pośród Skandian znów rozległy się pomruki niedowierzania i zaskoczenia, a jeden z nich postąpił krok naprzód.

– Ale o co im chodzi? – spytał. – Co oni tu robią, Eraku, czego chcą?

Jednak na to pytanie odpowiedział zwiadowca:

– Chcą tego, czego chcą zawsze. Waszej ziemi. I przybyli tu, żeby wam ją odebrać.

Zgromadzeni spoglądali po sobie. Wreszcie Erak uznał, że czas przejąć panowanie nad sytuacją.

– No cóż, przekonają się, że z nas twardy orzech do zgryzienia – oświadczył. Ruchem bojowego topora wskazał drewniane umocnienia granicznego fortu. – Zatrzymamy ich tutaj, a tymczasem jeden z nas uda

się do Hallasholm z wiadomością. Może i jest ich sześć tysięcy, ale w przesmyku nie zmieści się zbyt wielu naraz. Myślę, że możemy się tu bronić co najmniej cztery albo i pięć dni.

Jego rodacy wyrazili swe uznanie, wznosząc okrzyki i potrząsając toporami. Ich jarl także poczuł się pewniej, skoro miał już określony plan działania. A był to taki właśnie plan, jaki Skandianie lubili najbardziej: prosty, nieskomplikowany, łatwy do wprowadzenia w życie i prowadzący do zawziętej rąbaniny. Rzucił okiem na Halta, który przypatrywał mu się w milczeniu, oparty o łęczysko, którego długość była niemal równa jego wzrostowi.

– Poprosimy cię raz jeszcze o pożyczenie konia – wskazał temudżeińskiego wierzchowca, na którym przybył. – Poślę jednego z mych ludzi do Hallasholm, a ja i reszta mojej załogi zostaniemy tu, by walczyć – słowa te powitał ryk entuzjazmu ze strony Skandian. Jarl przemawiał dalej. – Co do was, możecie zostać i walczyć razem z nami lub ruszać swoją drogą. Jest mi to obojętne.

Halt potrząsnął głową.

– Niestety. Jest już za późno, byśmy mogli odjechać w swoją stronę – odparł. A zwracając się do trojga swoich towarzyszy, wyjaśnił: – Przykro mi, ale główne siły Temudżeinów odcięły nam już drogę do Teutonii. Nie mamy wyboru, musimy zostać.

Will, Evanlyn i Horace spojrzeli po sobie. Will poczuł, że coś dławi go w gardle. Tak mało brakowało, tak bliscy byli celu, już prawie byli w domu.

– To moja wina – ciągnął Halt. – Powinienem był od razu was stąd zabrać, ale podkusiło mnie, żeby sprawdzić, co Temudżeini zamierzają. Przypuszczałem, że w najgorszym razie chodzi o silny oddział rozpoznania, żadną miarą nie spodziewałem się całej armii, a tym bardziej inwazji.

– Daj spokój, Halt – mruknął Will. Nie mógł znieść, że j ego mistrz tłumaczy się, biorąc na siebie winę. W oczach Willa Halt nie mógł postąpić niesłusznie. Horace był najwyraźniej tego samego zdania:

– Zostaniemy tu i pomożemy Skandianom powstrzymać napaść – oświadczył, czym zasłużył sobie na jowialne klepnięcie w plecy przez jednego ze Skandian.

– Tak trzymać, chłopie! – Inni również wyrazili okrzykami swą aprobatę. Jednak Halt pokręcił głową.

– Nikt nie powinien tu zostać. To bezcelowe.

Erak uciszył gniewne i szydercze wrzaski swoich rodaków, po czym podszedł bliżej do zwiadowcy, spoglądając nań z góry.

– Owszem, to ma sens – zaprzeczył złowieszczo spokojnym głosem. – Zatrzymamy ich tu i wytrwamy, dopóki Ragnak nie zmobilizuje naszych głównych sił i nie przyjdzie nam z odsieczą. Jest nas dwudziestu. Nie damy się zaskoczyć, tak jak wcześniej załoga naszego granicznego fortu, a zresztą ich było tylko dwunastu. Powstrzymamy tę nawałnicę albo padniemy w boju. To bez znaczenia, byle zatrzymać ich na trzy albo cztery dni.

– Nie powstrzymacie ich nawet na trzy godziny – odparł zimno Halt. Po jego replice zapanowała pełna napięcia cisza. Dla Skandian lekceważenie przez cudzoziemskiego zwiadowcę ich zdolności do walki stanowiło straszliwą potwarz; po prostu nie wiedzieli, jak na nią odpowiedzieć. Pierwszy otrząsnął się Erak.

– Jeśli tak sądzisz – warknął ponuro – to nie widziałeś jeszcze walczących Skandian, przyjacielu – ostatnie słowo wprost ociekało pychą i pogardą. Również i pozostali Skandianie odzyskali mowę. Zaczęli przekrzykiwać się wzajemnie, wyrażając gorące oburzenie. Zwiadowca czekał w milczeniu, aż się wykrzyczą. Ich gniew nie robił na nim najmniejszego wrażenia, co wkrótce pojęli. I umilkli.

– Uwierz mi, że widziałem walczących Skandian – odezwał się, patrząc Erakowi w oczy.

Skandyjski wódz zmarszczył czoło. Wiele słyszał o Halcie, nieobca mu była jego sława żołnierza i taktyka. Bądź co bądź ten człowiek był zwiadowcą, a Erak wiedział wystarczająco wiele o tej tajemniczej formacji, by już samo określenie „zwiadowca" budziło jego szacunek. Halt nie sprawiał wrażenia kogoś, kto rzucałby słowa na wiatr i bez powodu obrażał wojowników.

– Pytanie brzmi – ciągnął Halt – czy ty widziałeś, jak walczą Temudżeini?

Skandianie milczeli, bo rzecz jasna żaden z nich o Temudżeinach nie miał zielonego pojęcia.

– Bo ja, owszem – dokończył Halt. – Powiem wam więc, co zrobiłbym na miejscu ich generała.

Zatoczył ramieniem półkole, wskazując strome, górujące nad posterunkiem, zbocza przesmyku. Rosły tam karłowate sosny, przytulone do niemal pionowych ścian, ale jednak trzymające się jakoś kamieni i śniegu.

Spojrzenie jego słuchaczy powędrowało we wskazanym kierunku. Jeden ze Skandian parsknął pogardliwie.

– Nigdy nie zdołają tam wejść. Te ściany są nie do zdobycia!

Halt odpowiedział mu tonem rzeczowej, spokojnej perswazji:

– Nie ma gór nie do zdobycia. To bardzo trudne podejście, bez wątpienia. Ale oni tam się dostaną. Możecie mi wierzyć, znam tych ludzi i wiem, do czego są zdolni. Nawet gdyby miało ich to kosztować utratę pięćdziesięciu wojowników, zrobią, co sobie zaplanują. I uznają, że zapłacili niewygórowaną cenę.

Erak przyjrzał się urwiskom nad fortem, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć w słabnącym z każdą chwilą świetle późnego popołudnia. Kto wie – pomyślał – może i rzeczywiście ten zwiadowca ma rację. On sam, Erak, chyba potrafiłby się tam wdrapać, zwłaszcza przy użyciu bloków oraz lin i gdyby towarzyszyła mu niewielka grupa wybranych żeglarzy – tych, którzy na wilczych okrętach rozpinali wielkie prostokątne żagle oraz potrafili wspinać się po masztach z taką łatwością, jakby szli po ziemi. Tylko że przecież Temudżeini są jeźdźcami, nie żeglarzami. Odezwał się:

– Nigdy nie zdołają wciągnąć tak wysoko swoich koni.

– Konie na nic się tam zdadzą – skontrował Halt. – Wdrapią się, zajmą pozycje, a następnie zarzucą was strzałami. Fort góruje nad przesmykiem, ale te zbocza górują ponad nim.

Erak milczał dłuższą chwilę. Teraz, gdy patrzył na skalne ściany, przyszło mu do głowy, że skoro sosny zdołały się tam jakimś sposobem zakorzenić, ludzie też sobie poradzą – choć wymagać to będzie od nich niemałej determinacji. Miał wszak powody sądzić, że determinacji akurat Temudżeinom nie brakuje.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – mówił dalej Halt. – Ten fort nie jest prawdziwą obronną fortecą. Zbudowano go jako graniczny posterunek i nie miał pełnić żadnych poważniejszych funkcji. Nie przewidywano, że przyjdzie mu powstrzymywać najazd całej armii.

Erak wciąż przyglądał się zwiadowcy. Im dłużej go słuchał, tym bardziej dochodził do wniosku, że w słowach Halta kryje się głęboki sens. Bez trudu

pojął, w jakiej sytuacji się znajdzie, jeśli łucznicy rzeczywiście zdołają dostać się na szczyty urwisk i prowadzić z nich ostrzał. Zwłaszcza gdy nie będzie żadnego sposobu, żeby im w tym przeszkodzić lub na ich atak odpowiedzieć.

– Obawiam się, że możesz mieć rację – rzekł powoli.

Nie ulegało wątpliwości, że ten tajemniczy zwiadowca wie o wiele więcej od niego na temat przybyłych ze wschodu jeźdźców. Jak dotąd wszystko, co o nich mówił, okazało się prawdą. Jarl szybko podjął ostateczną decyzję – by przekazać Haltowi dowodzenie.

– Czyli co twoim zdaniem powinniśmy uczynić? -spytał. Jego ludzie popatrzyli ze zdumieniem; zgromił ich wzrokiem. Halt skinął głową na znak, że docenił, jak trudną decyzję właśnie podjął jarl.

– Z całą pewnością miałeś rację co do jednego – rzekł. – Trzeba ostrzec Ragnaka, i to jak najprędzej. Nie ma co tracić tu więcej czasu. Nim Temudżeini poruszą całą armię, minie jeszcze co najmniej z pół dnia. Wykorzystajmy więc czas, którym dysponujemy. Inaczej mówiąc, ruszamy natychmiast do Hallasholm.

Niedługo po tym, jak wyruszyli do Hallasholm, zapadła noc. Nie zatrzymali się jednak, a drogę oświetlał księżyc w ostatniej kwadrze, który żeglował po bezchmurnym niebie.

Halt, Evanlyn i obaj czeladnicy jechali konno, natomiast Skandianie z jarlem na czele biegli równym truchtem. Halt zaproponował, by Erak skorzystał powtórnie ze zdobycznego temudżeińskiego konia, jednak Skandianin odmówił – dość szorstko, bo nie był pewien, czy Halt sobie z niego aby nie pokpiwa. Jednak tak naprawdę chodziło mu o to, że gdy stanął już pewną stopą na twardym gruncie, nie miał wcale ochoty go opuszczać. Po dniu spędzonym w siodle bolały go uda i łydki, a przede wszystkim tylna część ciała. Myślał więc raczej z ulgą o tym, że podczas biegu pozbędzie się skurczów w mięśniach.

Choć Skandianie poruszali się pieszo, Halt z zadowoleniem stwierdził, że utrzymują doskonałe tempo. Musiał przyznać, że są w wyśmienitej formie, okazało się bowiem, że byli w stanie biec truchtem przez całą noc, zatrzymując się tylko na krótkie postoje co godzinę.

W pewnym momencie Horace podjechał na Kickerze do Halta.

– Czy my też nie powinniśmy zejść z koni?

Halt uniósł brew.

– A to po co?

Rosły młodzieniec wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, jak ma wyrazić to, co miał do powiedzenia.

– No… żeby było po koleżeńsku.

No tak, koleżeństwo – pomyślał Halt. Takie właśnie ideały wpajano kadetom podczas pierwszych lat nauki w Szkole Rycerskiej. Trochę jednak szkoda, że sir Rodney, dowódca tej szacownej instytucji, nie udzielał im też od czasu do czasu lekcji praktycznego cynizmu.

– Nie wiem, czy oni odbierają to jako niesprawiedliwość. Za to dobrze wiem, jak ja bym odczuł taki całonocny bieg: bolałyby mnie nogi – odpowiedział po chwili. – Posłuchaj mnie, Horace. To zbędne. Skandianie nie przejmują się tym, czy poruszamy się pieszo, czy konno. Gdy zaś coś jest zbędne, najlepiej tego czegoś nie robić.

Horace skinął kilkakrotnie głową. Prawdę rzekłszy, był raczej zadowolony, że Halt odrzucił jego sugestię. Czuł się znacznie lepiej w siodle, niż gdyby miał brnąć przez śnieg. I rzeczywiście – teraz, gdy Halt zwrócił mu na to uwagę, nie odnosił wrażenia, by Skandianie mieli za złe czworgu Araluеńczykom, iż ci jadą konno.

Podczas jednego z krótkich postojów na odpoczynek, Halt porozumiał się wzrokiem z Willem i niemal niedostrzegalnym gestem dał mu znak, żeby poszedł za nim. Oddalili się nieco od reszty grupy; Skandianie leżeli pokotem na śniegu, kilku z nich popatrzyło ciekawie, lecz większość nie zwracała uwagi na zwiadowcę i chłopaka.

Kiedy Halt uznał, że nikt ich nie będzie słyszał, położył dłoń na ramieniu Willa i przyciągnął go bliżej ku sobie.

– Powiedz mi – odezwał się – co sądzisz o Eraku?

Will zmarszczył brwi. Erak odnosił się do nich obojga bardzo przyzwoicie już od chwili, gdy pojmał ich przy moście w Celtii. Najpierw krył ich przed Morgarathem, nie chcąc wydać dwojga młodych ludzi zbuntowanemu magnatowi. Potem, podczas żeglugi przez Morze Białych Sztormów oraz pobytu na Shorghijl, odnosił się do nich szorstko, lecz na swój sposób przyjaźnie. No i wreszcie bez jego pomocy nigdy nie uciekliby z Hallasholm; to on obmyślił cały plan, zapewnił im ubrania, wyżywienie i kucyka oraz objaśnił, w jaki sposób trafić do położonego w górach domku myśliwskiego, gdzie przetrwali zimę.

Mógł udzielić tylko jednej odpowiedzi:

– Lubię go.

Halt skinął głową raz, a potem drugi.

– Tak – powiedział. – Ja także. Ale czy mu ufasz? Sam wiesz, że lubić kogoś i mieć do niego zaufanie, znaczy niekoniecznie to samo.

Will miał już z miejsca odpowiedzieć, gdy przyszło mu do głowy, że może powinien się jednak zastanowić, więc wahał się przez ułamek sekundy – ale zaraz potem uprzytomnił sobie, że zaufanie opiera się na odczuciu, a nie chłodnej kalkulacji, toteż stwierdził:

– Tak. Ufam mu.

Halt podrapał się po brodzie kciukiem i palcem wskazującym.

– Muszę powiedzieć, że się z tobą zgadzam.

– Przecież pomógł nam uciec, choć sam przy tym sporo ryzykował – dodał chłopak, a zwiadowca znów przytaknął.

– Wiem o tym – powiedział. – To właśnie miałem na myśli.

Dostrzegł zaciekawione spojrzenie chłopca, ale więcej się już nie odezwał. Gdy ruszyli w dalszą drogę ku wybrzeżu, Halt nadal zachodził w głowę, jak ochronić Willa i Evanlyn, gdy zjawią się w Hallasholm. Chwilowo, niejako siłą rzeczy, stali się sprzymierzeńcami, jednak kiedy przybędą do skandyjskiej stolicy, sprawy mogą przybrać nader niepomyślny obrót dla dwojga zbiegłych niewolników. Szczególnie dla Evanlyn, gdyby jakimś sposobem oberjarl poznał jej prawdziwą tożsamość.

Choć zachodził w głowę, co powinien przedsięwziąć, głowa nie podpowiadała mu żadnego rozwiązania. Drogę na południe odcięły im tysiące temudżeińskich wojowników i nie istniała żadna szansa, by Halt przekradł się pośród nich razem z trójką młodych ludzi. Niewykluczone, że on dokonałby tego, gdyby towarzyszył mu jedynie Will. Niewykluczone, ale wcale nie pewne. Natomiast wiedział wystarczająco wiele o Temudżeinach, by mieć całkowitą pewność, że z Horace'em i Evanlyn przy boku podobna sztuka nigdy by się nie powiodła.

Zatem, przynajmniej na razie, nie było dla nich innej drogi niż ta, która prowadziła do Hallasholm. Może tam uda im się ukraść jakąś łódź, a może wręcz zdoła namówić Eraka, by przerzucił ich jednym ze swoich okrętów na południe, dzięki czemu ominęliby Temudżeinów. Otóż to, najprawdopodobniej trzeba będzie pójść ze skandyjskim jarlem na jakiś układ.

Okazja po temu pojawiła się prędzej, niż przypuszczał, bo już podczas następnego postoju. Mało tego, inicjatywa wyszła od samego Eraka. Gdy

pozostali Skandianie zwalili się ciężko na ziemię pod sosnami, jarl zbliżył się niespiesznym krokiem do Halta, który utoczył właśnie ze swego podróżnego bukłaka wody do poidła z impregnowanego płótna, by napoić Abelarda. Koń pił hałaśliwie, a wilk morski stał obok i gapił się bez słowa. Świadom jego obecności, zwiadowca nie odwrócił się, czekał.

Potem, gdy wierzchowiec zaspokoił już pragnienie, odezwał się, nie podnosząc wzroku:

– Chcesz coś powiedzieć?

Jarl przestąpił w zakłopotaniu z nogi na nogę.

– Trzeba pogadać – rzekł wreszcie.

– Przecież rozmawiamy – zauważył Halt obojętnym tonem. Wyczuwał jednak, że skandyjski wódz czegoś od niego chce i liczył, że może w zamian uda się dobić jakiegoś targu.

Erak rozejrzał się, by sprawdzić, czy są poza zasięgiem słuchu jego podwładnych. Wiedział, że pomysł, z którym przychodzi, nie przypadłby im do gustu. On zaś wiedział, że jest to pomysł dobry, a wprowadzenie go w życie mogło przynieść niezmierne wprost korzyści.

– To ty walczyłeś pod Cierniowym Lasem? – odezwał się po dłuższej chwili. Dopiero teraz Halt się do niego odwrócił.

– Owszem, walczyłem – przyznał. – Ja i setki innych też.

Skandianin machnął niecierpliwie ręką.

– Tak, tak, ale to ty byłeś dowódcą, taktykiem. Zgadza się?

Halt wzruszył obojętnie ramionami.

– Chyba można tak przyjąć – rzucił ostrożnie. Pod Cierniowym Lasem Skandianie ponieśli dotkliwą porażkę, toteż Halt nie zdziwiłby się, gdyby Erak żywił wobec niego głęboką urazę z powodu tamtej klęski, a nawet gdyby chciał poszukać zemsty na człowieku, który poprowadził araluеńskie wojska do zwycięstwa. Jakoś co prawda takie akurat podejście nie pasowałoby mu do jarla, którego zdążył już trochę poznać, pewności jednak mieć nie mógł.

Erak tymczasem w zamyśleniu kiwał głową. Przykucnął i zaczął rysować coś machinalnie w śniegu ułamaną gałązką.

– A przy tym znasz dobrze Temudżeinów, jeśli się nie mylę? – rzekł. – Wiesz, jak walczą, jak zorganizowana jest ich armia?

– Mówiłem ci, że przez jakiś czas żyłem pośród nich.

– A więc… – Erak urwał, a Halt już wiedział, że teraz przejdzie do sedna. – A więc znasz ich mocne i słabe strony?

Zwiadowca zaśmiał się, krótko i niewesoło.

– Słabych stron nie mają zbyt wielu – stwierdził.

Erak mówił dalej, wbijając rytmicznie patyk w śnieg.

– Ale wiedziałbyś, jak należy prowadzić z nimi wojnę? Jak ich pokonać?

Halt już od dłuższej chwili domyślał się, do czego zmierza Skandianin i zaczął mu świtać w głowie promyk nadziei. Być może właśnie za chwilę dostanie do ręki argument przetargowy, którego mu brakowało, by zapewnić bezpieczeństwo Willowi oraz Evanlyn.

– Bo my, Skandianie – mówił dalej jarl, jakby do samego siebie – nie potrafimy się zorganizować. Brakuje nam taktyki w bitwie. Walczymy bez planu.

– Wy, Skandianie, wygraliście już niejedną bitwę – wtrącił Halt, żeby mu pomóc, bo zgadywał, jak trudno jest jarlowi wypowiadać te słowa.

– Wygrywaliśmy nieraz, lecz w bezpośrednim starciu. Jeden na jednego. Albo i jeden na dwóch. Kiedy wystarczała siła i odwaga, wola walki – tak, wtedy wygrywaliśmy. Gdyby tylko o to szło, ale z Temudżeinami sprawa wydaje się inna.

– Armia Temudżeinów to prawdopodobnie najlepsze wojsko na świecie – stwierdził Halt. – Może poza Arydami z pustynnych krain położonych nad Morzem Spokojnym.

Zapadło milczenie. Halt czekał, by Skandianin uczynił następny krok. Erak zaczerpnął tchu i odezwał się:

– Mógłbyś nam powiedzieć, jak ich pokonać.

A więc padły te słowa. Halt usłyszał właśnie to, na co liczył. Teraz nadeszła decydująca chwila, toteż należało postępować szczególnie ostrożnie. Zwiadowca musiał się wczuć w położenie rybaka, który już ma do czynienia z pstrągiem, lecz niezłapanym jeszcze na haczyk. Odpowiedział spokojnie, obojętnym tonem:

– Nawet gdybym rzeczywiście mógł coś tam wam przekazać, wątpię, czy miałbym po temu sposobność – odpowiedział, starając się, by w jego głosie słychać było całkowity brak zainteresowania całą sprawą.

Erak drgnął. W oczach jarla zapaliła się iskierka gniewu.

– Taką sposobność mógłbym ci dać, zwiadowco – oświadczył.

Halt wytrzymał jego spojrzenie, nie dając się onieśmielić piorunującym wzrokiem Skandianina.

– Nie jesteś przecież oberjarlem – stwierdził rzeczowo.

Erak pokręcił głową.

– To prawda – rzekł. – Ale jestem wodzem, wodzem wysokim rangą. Mój głos w Radzie Wojennej swoje znaczy.

Halt nie wydawał się przekonany.

– Naprawdę sądzisz, że zdołałbyś dzięki swej pozycji w Radzie namówić pozostałych, by oddali się pod rozkazy cudzoziemskiego dowódcy?

Erak stanowczo potrząsnął głową.

– O, nie. Żaden Skandianin nie będzie słuchał rozkazów cudzoziemca. Ani twoich, ani nikogo innego, kto nie jest rodowitym Skandianinem. Nie możesz zostać naszym wodzem, o tym nie ma mowy. Mógłbyś za to pełnić rolę doradcy, taktyka. W Radzie zasiadają też inni, którzy wiedzą, że taktyki właśnie nam brakuje. Oni także rozumieją, że musimy walczyć w sposób skoordynowany, a nie jak dotąd bywało, każdy z osobna. Na przykład Borsa z pewnością przyzna mi rację.

Halt uniósł brwi.

– Borsa? – Znał imiona niektórych skandyjskich wodzów, ale to było mu nieznane.

– Borsa, hilfmann. Ktoś jakby przyboczny Ragnaka – wyjaśnił Erak. – Żaden z niego wojownik, ale Ragnak liczy się z jego zdaniem, bo wie, że Borsa jest nie w ciemię bity.

– Powiedzmy to wprost – rzekł powoli Halt. – Chcesz, żebym przyłączył się do was jako doradca taktyczny i pomógł wam znaleźć sposób na pokonanie Temudżeinów. Sądzisz, że zdołasz przekonać Ragnaka, by przystał na twój pomysł. Ja tymczasem wcale nie mam pewności, czy oberjarl w ogóle zechce pozostawić mnie przy życiu.

Erak popatrzył na niego pytająco.

– Wiem przecież, że nie darzy Araluеńczyków miłością. A pod Cierniowym Lasem zginął jego syn.

– Osobiście gwarantuję ci bezpieczeństwo – oświadczył wreszcie Erak. – Ragnak będzie musiał moje słowo uszanować albo ze mną walczyć. A coś mi podpowiada, że nie będzie się kwapił do bitki. Niezależnie od tego, czy uda mi się przekonać Radę, czy też nie – choć jestem pewny, że tego dokonam – w Hallasholm nic ci nie grozi.

Wreszcie więc nadarzyła się sposobność, na którą czekał Halt.

– Co z moimi towarzyszami? – spytał. – Will i ta dziewczyna w jego oczach są zbiegłymi niewolnikami.

Erak machnął tylko lekceważąco ręką.

– To rzecz doprawdy bez znaczenia wobec grożącej nam wojny – zapewnił. – Twoi przyjaciele również będą bezpieczni. Masz moje słowo.

– Cokolwiek się stanie? – upewnił się Halt. Chciał, żeby Skandianin oświadczył to stanowczo, wyraźnie i nieodwołalnie. Wiedział, że jarl w żadnym razie nie złamie danego słowa, więc niech uroczyście zapewni, że gwarantuje Araluеńczykom bezpieczeństwo.

– Cokolwiek się stanie – powtórzył uroczyście Erak i wyciągnął rękę do zwiadowcy. Zawartą umowę przypieczętowali mocnym uściskiem dłoni.

– Teraz zaś – zauważył Halt – muszę tylko wynaleźć jakiś sposób, żeby uporać się z tymi stepowymi diabłami.

Erak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To będzie dziecinna igraszka – oznajmił. – Prawdziwa trudność polega na tym, żeby przekonać Ragnaka.

Okazało się jednak, że poszło o wiele łatwiej, niż przypuszczali.

Ragnakowi wiele dawało się zarzucić, ale oberjarl z pewnością nie był głupcem. Gdy usłyszał o nadciągającej armii sześciu tysięcy temudżeińskich jeźdźców przygotowujących się do podbicia jego kraju, dokonał tego samego prostego obliczenia, co przedtem Erak. Wiedział nie gorzej od niego, że nie zdoła zmobilizować więcej niż tysiąc pięciuset wojowników – albo i mniej, biorąc pod uwagę, że niektóre osady, położone bliżej granicy, zostały już prawdopodobnie zajęte.

Jak większość Skandian, Ragnak nie obawiał się śmierci w bitwie. Uważał jednak, że należało przedtem wy – próbować inne możliwości. Jeśli był jakiś sposób, by pokonać najeźdźców, z pewnością zamierzał wziąć go pod uwagę. Tak więc, gdy Erak opowiedział mu o Halcie, który dobrze znał Temudżeinów, i gdy okazało się, że zwiadowca gotów jest im dopomóc, a Borsa i inni członkowie Rady wyrazili swoje poparcie, przyjął do wiadomości ich argumentację i tylko dla zasady nie zgodził się od razu. Co do zbiegłych niewolników, ta sprawa zupełnie go nie interesowała. Oczywiście, w normalnych okolicznościach zostaliby surowo i przykładnie ukarani, żeby postraszyć i utemperować innych brańców. Jednak okoliczności z pewnością nie były zwyczajne, a Ragnak miał co innego na

głowie, jako że do wrót jego stolicy zbliżała się nieprzyjacielska armia – toteż zbył całą kwestię jednym machnięciem ręki.

Jednak przed podjęciem ostatecznej decyzji w tak ważkiej sprawie, jak powierzenie cudzoziemcowi losów swej armii i całego kraju, chciał się rozmówić z Haltem bez świadków.

O zwiadowcach wiedział dosyć, by czuć respekt wobec ich umiejętności, potrafił też docenić odwagę i determinację araluеńskich oddziałów specjalnych. Dotyczyło to jednak całej formacji jako takiej, poniekąd w sensie ogólnym – tymczasem Ragnak chciał się przekonać, co przybysz reprezentuje sobą osobiście. Skandyjski władca słynął z umiejętności rozpoznawania wartości rozmaitych ludzi. Jego intuicję poświadczał choćby fakt, że nader często posługiwał się Erakiem, który potrafił wyjątkowo sprawnie uporać się z rozmaitymi trudnościami, jakich nastręczało rządzenie narodem samowolnych i kłótliwych wojowników.

Halta wprowadzono do niskiego pomieszczenia o ścianach z bali, gdzie Ragnak zazwyczaj spędzał czas wolny od obowiązków związanych z pełnieniem odpowiedzialnej funkcji. Oberjarl wszelako już sam doskonale wiedział, że w nadchodzących dniach i tygodniach nie znajdzie zbyt wiele luźniejszych chwil. Pomieszczenie wyglądało podobnie jak kwatery wszystkich starszych rangą skandyjskich wojowników – na palenisku płonął ogień, przy ścianach stały rzeźbione sosnowe meble, a na podłogach leżały niedźwiedzie skóry. Wnętrze udekorowane było trofeami najrozmaitszego pochodzenia, przywożonymi z łupieżczych wypraw do różnych krain i zrabowanych ze zdobytych statków. Najbardziej rzucającą się w oczy ozdobę, czyli ogromny kryształowy kandelabr, przywieziono wiele lat temu z pewnego opactwa leżącego nad brzegiem Morza Spokojnego. Nie dysponując wysokim sufitem, pod którym można by go było zawiesić, Ragnak postanowił umieścić owo cudo na solidnym, acz topornym, drewnianym stole. Jako dominujący element wyposażenia kryształowy obiekt przytłaczał ogromem i prawdę mówiąc, mocno zagracał niezbyt przestronne wnętrze. Co więcej, skoro umieszczony był na stole, żadnym sposobem nie mógł spełniać swej pierwotnej funkcji. Gdyby bowiem zapalić, napełniwszy uprzednio oliwą, wszystkie lampki, których było w kandelabrze z pięćdziesiąt, niewątpliwie groziłoby to wznieceniem pożaru. Ragnakowi jednak nie wadziło miejsce przechowywania; radowało go bowiem coś innego: czyste piękno, zaklęte w dziele wykonanym rękami

gallijskich rzemieślników. Pomimo więc kompletnej bezużyteczności ogromnego kandelabru, cenił go ponad wszystkie swoje trofea.

Gdy Halt, odpowiadając na wezwanie, zapukał i wszedł, Ragnak uniósł wzrok znad dokumentu, który właśnie studiował. Zmarszczył brwi. Przywykł oceniać sprawność wojownika według fizycznej siły, wzrostu i barczystych ramion. Mężczyzna, który stanął przed nim, na słabego nie wyglądał, jednak gdyby obaj stanęli obok siebie, sięgałby co najwyżej do ramienia oberjarla. Tak, bez dwóch zdań: ten Araluеńczyk był po prostu niski.

– A, więc to ty jesteś ów Halt – rzekł obojętnym tonem.

Dostrzegł błysk w oczach cudzoziemca.

– Tak. A ty zapewne jesteś ów Ragnak – odparł Halt równie niedbale.

Gęste brwi Ragnaka zbliżyły się ku sobie, nadając mu groźny wyraz twarzy. Jednak skandyjski wódz potrafił docenić śmiałość przybysza; spodobała mu się ta odpowiedź, bo dowodziła, że ma przed sobą kogoś, kogo nie da się łatwo onieśmielić.

– Przywykłem, by tytułowano mnie oberjarlem – odezwał się z naciskiem.

Halt skłonił się lekko.

– Nie ma to jak dobre obyczaje. W takim razie i ja będę się tak do ciebie zwracał, oberjarlu.

Dokonywał przy tym na własny użytek szybkiej oceny Ragnaka. Wódz, co prawda rosły i potężny, posturą akurat wśród Skandian szczególnie się nie wyróżniał. Nie był człowiekiem o klasycznej, atletycznej budowie – jak na przykład Horace, który już teraz prezentował się całkiem okazale, a za kilka lat będzie istnym olbrzymem, o szerokich barach i wąskiej talii. Za to Ragnak, jak większość Skandian, odznaczał się budową raczej zwalistą i przypominał niedźwiedzia. Lecz Halt zdawał sobie sprawę, że taka właśnie sylwetka często znamionuje niepospolitą siłę.

Potężnie umięśnione ramiona i nogi, gęsta broda, pieczołowicie rozdzielona na dwoje. Włosy, ongiś rude, teraz, z wiekiem, przybierały kolor popiołu w wygasłym palenisku.

I jeszcze blizna na policzku, ciągnąca się od lewego oka aż do podbródka. Z pewnością dawno zabliźniona rana, ślad jakiejś bitwy lub pojedynku. Nic dziwnego, wszak Skandianie dobierali swych wodzów spośród najznamienitszych wojowników, nie zaś ze względu na ich urodę.

Przede wszystkim jednak Halt zwrócił uwagę na spojrzenie Ragnaka. Owszem, ujrzał w nim niechęć, tak jak się tego spodziewał. Jednak w głęboko osadzonych oczach dostrzegł także inteligencję, czy może spryt. To zaś pozwalało zwiadowcy zachować nadzieję na sukces.

Gdyby Ragnak był głupcem, Halt znajdowałby się w nader trudnym położeniu. Wiedział o niechęci oberjarla względem zwiadowców i znał jej powody. Jednak rozumny władca będzie potrafił docenić fakt, że Halt może się mu okazać przydatny, i niechybnie zdoła wznieść się ponad osobistą niechęć – dla dobra własnego ludu oraz kraju.

– Nie darzę wielkim uczuciem takich jak ty, zwiadowco – rzekł oberjarl. Najwyraźniej myśli jego biegły tym samym torem.

– Mało masz powodów do dobrego uczucia względem mnie oraz takich jak ja – przyznał Halt. – Mogę ci się jednak przydać.

– Tak powiadają – odparł Ragnak, znów zdziwiony przenikliwością obcego.

Gdy dowiedział się o śmierci swojego syna pod Cierniowym Lasem, ogarnął go gniew i żal – na Araluеńczyków, zwiadowców, a nade wszystko na króla Duncana.

Była to jednak tylko spontaniczna reakcja na ból, spowodowany utratą potomka. W gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że przyłączając się do nieszczęsnej wyprawy pod wodzą Morgaratha, jego syn narażał życie. Zresztą śmierć w bitwie nie była niczym niezwykłym pośród Skandian, żyjących na co dzień wojną oraz rabunkiem. W rezultacie zaś, z upływem czasu, może nie tyle żal, co gniew Ragnaka wobec zabójców następcy jego rodu wygasł. Przecież młody jarl poległ zaszczytną śmiercią, z bronią w ręku. Czegóż więcej mógł pragnąć Skandianin? Nie oznaczało to oczywiście, że władca nagle zapałał miłością do zwiadowców, potrafił jednak docenić ich umiejętności i odwagę oraz uznać tych ludzi za godnych szacunku przeciwników.

A może nawet i sprzymierzeńców.

Co innego, kwestia zemsty na królu Duncanie i jego bliskich. Zapewne gdyby odczekał, uspokoił się, nienawiść ustąpiłaby miejsca rozsądkowi. Nim jednak tak się stało, w pierwszym porywie ślubował zemstę, stojąc w obliczu złowieszczych bogiń skandyjskiej mitologii, zwanych Vallami. Tej przysięgi nie wolno mu było złamać.

Ragnak pogodził się z myślą, że Halt jest mu potrzebny w charakterze sojusznika. Te same cechy i umiejętności, które czyniły ze zwiadowcy niebezpiecznego przeciwnika, mogły zadecydować o jego użyteczności w charakterze sprzymierzeńca podczas nadchodzącej batalii z temudżeińskimi najeźdźcami. Ragnak mógł przyjąć ten punkt widzenia i dostosować do niego swoje postępowanie. Nie mógł tylko jednego – odwołać ślubowania złożonego Vallom.

Zdał sobie sprawę, że pogrążywszy się we własnych rozmyślaniach, zamilkł na dłuższą chwilę. Tymczasem szpakowaty zwiadowca stał cały czas przed nim i cierpliwie czekał, aż oberjarl przemówi. Ragnak potrząsnął ze złością głową. Już nie pierwszy raz w ciągu kilku ostatnich dni zamyślił się podczas rozmowy.

– Czyli – odezwał się nagle – potrafisz nam pomóc?

– Gotów jestem uczynić, co w mojej mocy – odpowiedział Halt bez wahania. – Natomiast nie wiem jeszcze, w jaki konkretnie sposób potrafiłbym wam pomóc.

– Nie wiesz? – parsknął kpiąco Ragnak. – A ja myślałem, że wy, zwiadowcy, sypiecie pomysłami jak z rękawa.

Halt pokręcił przecząco głową.

– Najpierw muszę oszacować wasze silne oraz słabe strony. Będę też potrzebował jak najdokładniejszej mapy tych okolic, bo może uda mi się znaleźć jakieś miejsce, w którym ukształtowania terenu spowodują, że przewaga liczebna wroga mniej będzie nam się dawać we znaki. A potem wybiorę się na zwiad, by raz jeszcze przyjrzeć się z bliska Temudżeinom. Poprzednio niezbyt mogłem się na tym skupić, bo cały czas zajęty byłem ratowaniem jarla Eraka. I dopiero gdy zgromadzę odpowiednią ilość informacji, będę umiał odpowiedzieć na twoje pytanie.

Ragnak przygryzł czubek wąsa, zastanawiając się nad tym, co usłyszał od zwiadowcy. Musiał przyznać, że słowa przybysza zrobiły na nim niemałe wrażenie. Jeśli chodziło o planowanie bitew, w jego, Ragnaka, wydaniu ograniczało się ono zazwyczaj do okrzyku: „Wszyscy gotowi? Za mną!", po czym oczywiście następował frontalny atak.

Kto wie – pomyślał – może naprawdę ten zwiadowca na coś się przyda.

– Musisz jednak zdać sobie sprawę z pewnej rzeczy, oberjarlu – ciągnął Halt, a Ragnak zdziwił się, słysząc stanowczy, niemal rozkazujący ton jego głosu. – Będę musiał wypytać cię o siły, jakimi dysponujesz. Potrzebuję

wiedzy, ilu masz wojowników, jaką broń. Tę wiedzę będę mógł wykorzystać później, w przyszłości, jeśli doszłoby do jakiegoś zatargu między naszymi krajami.

– Rozumiem… – rzekł z wolna Ragnak. Niezbyt mu przypadło do gustu ostrzeżenie Halta.

– Naturalną koleją rzeczy będziesz musiał zwalczyć pokusę, by mnie okłamywać. Bo pewnie pragnąłbyś przedstawiać swe siły jako potężniejsze, liczniejsze, niż w istocie są. Nie rób jednak tego.

Oberjarla znowu uderzył wyraźnie rozkazujący ton, słyszalny w głosie araluеńskiego zwiadowcy. Halt jednak spoglądał w oczy wodza bez drgnienia powieki.

– Jeśli mam ci pomóc, musisz być ze mną szczery. I twoi jarlowie także.

Ragnak zamyślił się na krótką chwilę, po czym wyraził zgodę:

– Niech będzie – rzekł. – A zresztą – dodał – ten topór ma dwa ostrza. Ty bowiem pokażesz nam, jak planujesz bitwę i poznamy twój sposób myślenia.

Na ustach Halta pojawiło się coś na kształt uśmiechu, gdy przyznał oberjarlowi rację.

– To prawda – stwierdził. – Chyba z tego płynie wniosek, że jeśli chcemy zwyciężyć, obaj musimy nieco ustąpić pola.

Znów przyglądali się sobie w milczeniu. Każdy z nich uznał, że konfrontacja wypadła pomyślnie. Ragnak gwałtownym ruchem wskazał gościowi jedno z wielkich drewnianych krzeseł.

– Siadaj! – zawołał i przysunął w stronę Halta butlę gallijskiego wina, niemal niewidoczną pośród lśniących kryształów kandelabru. – Napij się. Chciałbym, żebyś mi coś powiedział. Jak myślisz, dlaczego ci Temudżeini uwzięli się akurat na Skandię? Przecież o wiele łatwiej byłoby im ruszyć na południe, przez Teutonię do Gallii?

Halt napełnił szklanicę krwistoczerwonym trunkiem i upił spory łyk. Uniósł brwi z uznaniem. Stwierdził, nieco zaskoczony, że Ragnak zna się na winie, a przynajmniej wie, gdzie je rabować.

– I ja się nad tym zastanawiałem – odpowiedział na jego pytanie. Przeklęte krzesło sporządzono na miarę rosłych Skandian, on zaś ledwo sięgał stopami podłogi. Czuł się jak mały chłopczyk, wezwany na rozmowę do swojego ojca. – Z pewnością wiedzą, że nawet jeśli uda im się zwyciężyć, czeka ich nielekka przeprawa. Z pewnością trudniejsza niż z Teutonami.

Ragnak parsknął pogardliwie na wzmiankę o swych południowych sąsiadach. Pogrążeni w bratobójczych walkach, podzieleni na niezliczone stronnictwa i skłóceni, Teutonowie stanowili łatwy łup dla każdej zorganizowanej siły, która miałaby zamiar podbić ich kraj. Ragnak był przekonany, że gdyby tylko Skandianie zechcieli, podporządkowaliby ich sobie bez trudu, choćby i tamci mieli nad nimi liczebną przewagę.

– Z Gallami poszłoby im niemal równie łatwo – ciągnął Halt. – Prawie nie sposób wyobrazić sobie, żeby Gallowie zdołali się zjednoczyć pod rozkazami jednego przywódcy. Zastanawiałem się więc, co skłoniło Temudżeinów do skierowania się tu, na północ, gdzie przecież czeka ich nieuchronnie krwawe starcie z twoimi wojownikami.

– I co? – ponaglił go oberjarl.

Halt wypił kolejny łyk wina, po czym w zamyśleniu zacisnął usta.

– Zadałem sobie pytanie, czego mogą tu szukać, czego pragną tak bardzo, że zdecydowali się zapłacić za to cenę krwi. I tylko jedna rzecz przychodzi mi na myśl.

Umilkł. Wiedział, że waży się na tani, jarmarczny gest, ale nie mógł się powstrzymać. Oberjarl oczywiście pochylił się ku niemu nad stołem, zaciekawiony w najwyższym stopniu.

– Jaka to rzecz? Czegóż oni chcą?

– Okrętów – odparł Halt. – Temudżeini chcą panować na morzach. A to znaczy, że nie ograniczają swych ambicji do Skandii. Zamierzają też napaść na Araluen.

Evanlyn przyglądała się, jak Will strzela z łuku. Gdy dotarli do w miarę bezpiecznego Hallasholm, Halt od razu dopilnował, by chłopak bezzwłocznie wznowił trening. Jego sprawność w posługiwaniu się bronią, szybkość oraz celność spadły poniżej poziomu, który zwiadowca zgodziłby się uznać za choćby wystarczający. Oczywiście, nie omieszkał natychmiast wytknąć swojemu uczniowi braków.

– Pamiętasz naczelną zasadę? – spytał, przeprowadziwszy sprawdzian, polegający na tym, że Will miał wystrzelić dwanaście strzał do dwunastu tarcz znajdujących się przed nim w różnych odległościach – od pięćdziesięciu do dwustu metrów. Większość strzał Willa nie trafiła w tarcze ustawione nieco dalej, a wystrzelenie dwunastu pocisków zajęło mu zdecydowanie zbyt wiele czasu.

Will zerknął na mistrza, doskonale zdając sobie sprawę, że się nie popisał. Halt marszczył brwi i z dezaprobatą kręcił głową. Na domiar złego właśnie wtedy pojawili się Evanlyn i Horace, żeby popatrzeć na trening przyjaciela.

– Trzeba ćwiczyć, prawda? – odparł ponuro, a Halt stanowczo przytaknął.

– Tak jest, ćwiczyć.

Gdy szli razem pozbierać strzały, Halt objął chłopaka ramieniem.

– Nie rób takiej zbolałej miny – rzekł. – Technikę nadal masz dobrą. Trudno jednak się było spodziewać, że utrzymasz formę, spędziwszy całą zimę na lepieniu bałwanków.

– Bałwanków?! – oburzył się Will. – Zapewniam cię, że tam, w górach, wcale nie mieliśmy lekkiego życia… – urwał, bo zdał sobie sprawę, iż Halt kpi sobie z niego w żywe oczy. Poza tym musiał przyznać, że nauczyciel jak zwykle ma rację. Jedynym sposobem, by przy strzelaniu z łuku osiągnąć i utrzymać nieomal instynktowną celność oraz błyskawiczne tempo reakcji, czym chlubili się zwiadowcy, należało nieustannie, wytrwale, żmudnie – ćwiczyć.

Przez kolejne dni prawie nie opuszczał łuczniczej strzelnicy, starając się odzyskać dawne umiejętności. Te zaś powracały prędzej, niż się spodziewał, a wraz z ich powrotem Will odzyskiwał też dawniejszą siłę oraz sprawność. Wkrótce na ćwiczebnym poletku zaczęli gromadzić się gapie. Choć Will nie osiągnął jeszcze biegłości godnej pełnoprawnego zwiadowcy, ale i tak strzelał o niebo lepiej niż jakikolwiek łucznik, którego zdarzyło się widzieć Skandianom. Od czasu do czasu podglądali go nawet niewolnicy.

Tymczasem Evanlyn i Horace urozmaicali sobie próżnowanie innymi zajęciami – konno odbywali wycieczki po okolicznych lasach lub pływali łódką po zatoce. Rzecz jasna, zapraszali Willa, by im towarzyszył, ale za każdym razem odmawiał, powtarzając, że musi ciągle ćwiczyć.

Czasem kusiło go, żeby się wybrać gdzieś z przyjaciółmi, ale poczucie obowiązku zawsze brało górę, choć spoglądał na oboje z niejaką zazdrością.

Zaczął ćwiczyć jeszcze intensywniej, kiedy otrzymał od Eraka dwa noże, odebrane mu kiedyś w Celtii. Mianowicie wtedy, gdy wraz z Evanlyn zostali pojmani. Erak, rabuś tyleż śmiały, co skrzętny, broń oczywiście zachował, teraz zaś, naturalną koleją rzeczy, zwrócił ją prawowitemu właścicielowi. Will spodziewał się, że wkrótce Halt zechce się osobiście przekonać, jak radzi sobie nie tylko z łukiem, lecz również z rzucaniem nożami, więc czym prędzej zabrał się do roboty. Po początkowym niepowodzeniu z łukiem wiedział już, że długie miesiące, podczas których nie mógł ćwiczyć, z pewnością osłabiły jego sprawność także i w sztuce noża. Mieszkańcy Hallasholm wkrótce przywykli do nieustannego

głuchego stukotu, kiedy oba noże Willa wbijały się na przemian w tarcze z miękkich sosnowych desek.

Z każdym dniem coraz celniej i coraz prędzej rzucał nożami oraz strzelał. Pomału odzyskiwał płynność ruchów, wyćwiczoną przez setki godzin spędzonych w lasach otaczających Zamek Redmont.

Teraz, po intensywnych treningach, bez trudu, a również w bardzo szybkim tempie wypuszczał strzały i trafiał do różnych tarcz przygotowanych na różnych dystansach, z wyczuciem opuszczając lub unosząc łuk, by kiedy trzeba zmodyfikować tor pocisku. Powoli wracała doń wiara we własne umiejętności, miał też poczucie, iż on, łuk oraz strzała wraz z celem coraz częściej stanowią jedność.

O ile wizyty Evanlyn podczas pierwszych, niezbyt udanych prób, wprawiały go w zakłopotanie, teraz, widząc ją, ucieszył się. Z jeszcze większą satysfakcją umieszczał strzałę po strzale w celu; trafiały w sam środek tarczy lub tuż obok, na tyle blisko, że odchylenie od założonego toru lotu strzały nie miało w praktyce większego znaczenia.

– Co słychać? – spytał mimochodem, wypuściwszy dwie strzały, jedną po drugiej – trafiły idealnie w sam środek dwóch różnych celów. – A gdzie Horace?

Głuche stuknięcia grotów grzęznących, gdzie należało, odezwały się na krótki moment przedtem, nim Will odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i znów wypuścił kolejny pocisk, tym razem wymierzony do tarczy umieszczonej bliżej.

Kolejne stuknięcie, kolejne trafienie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Chyba wpędziłeś go w poczucie winy – odpowiedziała. – Postanowił, że też zacznie ćwiczyć. W tej chwili doskonali rycerskie umiejętności w towarzystwie ludzi z załogi Eraka.

– Aha – odpowiedział Will, po czym wybrał jedną z najbardziej oddalonych tarcz, zwolnił cięciwę, a następnie zerknął w ślad za strzałą, śledząc wzrokiem lot pocisku.

Strzała utkwiła idealnie w centrum tarczy. – Czemuż to nie wybrałaś obserwacji jego popisów? – Było mu jednak miło, że Evanlyn wreszcie zainteresowała się jego, Willa, osiągnięciami – zwłaszcza że zaczynało mu iść naprawdę nieźle – porzucając nieodłącznego towarzysza kilku ostatnich dni. Tylko że odpowiedź od razu sprowadziła go na ziemię.

– Och, byłam i tam – stwierdziła. – Ale jak długo można patrzeć na osiłków, którzy się wzajemnie obijają? Trudno o coś nudniejszego. Pomyślałam, że sprawdzę, czy tobie nie idzie trochę lepiej.

– Och, doprawdy? – spytał nieco urażony Will. – Nie szkoda ci czasu?

Evanlyn spojrzała na niego uważnie. Odwrócił się właśnie od niej, wypuszczając trzy strzały wymierzone w kierunku trzech różnych celów – jeden oddalony był o pięćdziesiąt metrów, drugi o siedemdziesiąt pięć, a trzeci o sto. Dosłyszała dziwne nutki w tonie Willa, ale nie wiedziała, co go trapi. Na wszelki wypadek poniechała odpowiedzi. Uznała, że roztropniej będzie zmienić temat. Bądź co bądź, właśnie zyskała sposobność podziwiania, jak w mgnieniu oka wszystkie trzy strzały osiągają wybrany przez łucznika cel.

– Jak ty to robisz? – spytała.

Will przerwał i spojrzał w stronę dziewczyny. Pytała tak, jakby chciała się naprawdę czegoś dowiedzieć, nie przez pustą ciekawość. Ale czego była ciekawa?

– Co jak robię?

Ruchem ręki wskazała odległe tarcze.

– Skąd wiesz, jak wysoko unieść łuk, żeby trafić dalej albo bliżej?

Przez chwilę nie wiedział, o co ona pyta. Wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem… to kwestia wyczucia – odparł z wahaniem. Potem uzupełnił: – A raczej wprawy. Kiedy powtarza się czynność wiele, wiele razy, zaczynasz odruchowo wyczuwać, jak poleci strzała. Tak, chyba w tym rzecz.

– No dobrze, więc gdybym ja wzięła łuk do ręki, mógłbyś mi wyjaśnić, jak wysoko mam mierzyć, żeby trafić na przykład w tamtą tarczę, tę pośrodku? – spytała.

Przechylił głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– No, niby tak… pewnie bym mógł, ale przecież nie tylko o to chodzi.

– A o co? – dopytywała się, wyraźnie zainteresowana.

– Ważne, w jaki sposób wypuszczasz strzałę… trzeba zadbać o płynność. Tak, żeby nie zerwać ruchu, bo inaczej nie trafisz. A poza tym każde z nas inaczej naciąga łuk.

– Inaczej?

Napiął łuk, by jej pokazać.

– Im mocniej naciągniesz, tym więcej siły łuk odda strzale. Przypuszczam, że naciągnęłabyś go inaczej niż ja, słabiej albo i mocniej, ale z pewnością po swojemu. Dlatego rezultat się zmieni.

Brzmiało to całkiem logicznie – pomyślała. Zastanawiając się, skinęła głową raz czy dwa.

– Chyba rozumiem – stwierdziła. Jednak w jej głosie dosłyszał rozczarowanie.

– Co cię trapi? – spytał Will.

Westchnęła ciężko.

– Cóż, myślałam sobie, że gdybyś nauczył mnie strzelać, to może przydałabym się na coś, kiedy już zjawią się Temudżeini – wyjaśniła, mocno zmieszana.

Will zaśmiał się.

– Pewnie potrafiłbym cię wyszkolić, gdybyśmy mieli na ćwiczenia rok czy choćby kilka miesięcy.

– Ale ja…, ale ja wiem, że nie da się tak od razu – zająknęła się. – Tylko pomyślałam sobie, że gdybyś nauczył mnie choć podstaw, to może sama potrafiłabym… no, wiesz… – urwała.

Willowi zrobiło się przykro na widok zakłopotania Evanlyn i pożałował, że się z niej podśmiewał.

– W gruncie rzeczy chodzi o to, żeby ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć – powiedział. – Oczywiście, mógłbym ci pokazać, jak trzymać łuk, jak wypuszczać strzałę, ale to nic nie da. Po prostu nie można się nauczyć strzelania z łuku w tydzień czy dwa.

Machnęła ręką.

– Ech, jak nie, to nie.

Zrozumiała, że pomysł nie gwarantuje żadnych szans powodzenia, więc tym bardziej zrobiło się jej głupio. Czym prędzej zmieniła temat.

– A Halt uważa, że pojawią się tu za tydzień czy za dwa?

Will wystrzelił ostatnią strzałę i odłożył łuk.

– Owszem, mówił, że niewykluczone, ale chyba potrwa to nieco dłużej. Nie muszą się przecież spieszyć, wiedzą, że Skandianie im nie uciekną.

Ruchem ręki zaprosił, by poszła wraz z nim zbierać strzały.

– Słyszałeś, co mówił? – spytała. – Że chcą napaść na Skandię dlatego, że potrzebne są im skandyjskie okręty?

– Brzmi to całkiem rozsądnie, gdy się trochę zastanowić – rzekł. – Oczywiście, bez trudu zdołaliby opanować Teutonię i Gallię. Tyle że pozostawiliby na własnych tyłach potencjalnie groźnego przeciwnika. Czyniąc w ten sposób, zyskaliby co prawda dwie krainy, lecz narażaliby się równocześnie na ataki Skandian od północy, a zwłaszcza musieliby strzec wybrzeży. Wojska Ragnaka mogłyby ich bowiem wówczas nękać właściwie bezkarnie, lądując gdziekolwiek im się tylko spodoba i napadając od strony morza.

– No tak, rozumiem – przytaknęła Evanlyn, wyrywając strzałę z drewnianej tarczy. – Lecz ich aktywność tutaj wcale nie musi świadczyć, że zamierzają napadać na Araluen.

– Niestety, trzeba się liczyć z najgorszym – odparł Will. – Chwytaj bliżej grotu – zwrócił uwagę przyjaciółce, kiedy zabierała się do wyciągnięcia z tarczy kolejnej strzały – bo inaczej złamiesz drzewce albo je wykrzywisz. Dlaczegóż Temudżeini mieliby zatrzymać się akurat na gallijskim wybrzeżu? Zaczynają atak tutaj, bo gdyby spróbowali przewieźć swą armię przez morze, nie uporawszy się wprzódy ze Skandianami, ci mogliby sprawić im niemało kłopotów. Zwłaszcza gdyby twój… no, gdyby nasz król Duncan oraz Skandianie porozumieli się.

Evanlyn milczała przez kilka chwil.

– Pewnie tak – rzuciła wreszcie.

– Rozważam rozmaite ewentualności – dodał Will. – Być może po prostu chcą zabezpieczyć sobie tyły, nim ruszą na Teutonię. Halt jednak powiada, że zawsze należy brać pod uwagę najgorszy scenariusz, wówczas czekają nas najwyżej miłe rozczarowania.

– Myślę, że ma rację – stwierdziła. – A tak przy okazji, gdzie on się podziewa? Nie widziałam go już od kilku dni.

Will wskazał kierunek południowo-wschodni.

– Wybrali się z Erakiem, na rozpoznanie – wyjaśnił. – Pewnie będą próbowali jakoś spowolnić marsz nieprzyjaciela.

Wydobył z tarczy ostatnią strzałę i wetknął ją do kołczana. Przeciągnął się, rozprostowując ręce i palce.

– Pora na kolejną serię – oznajmił. – Zostaniesz, żeby popatrzeć?

Evanlyn zastanowiła się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

– Sprawdzę teraz, jak sobie radzi Horace – powiedziała. – Staram się podnosić na duchu wszystkich po równi – uśmiechnęła się do Willa

i pomachała mu palcami na pożegnanie. Następnie, odwróciwszy się, ruszyła z powrotem w stronę ostrokołu okalającego dwór Ragnaka. Will spoglądał na jej smukłą, prostą sylwetkę.

– No tak, po równi… – mruknął do siebie. Znów poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Skoro dziewczyna teraz woli spotkać się z Horace'em… Szybko jednak jego myśli pobiegły w innym kierunku. Ze spuszczoną głową podążył do punktu, z którego strzelał.

– Kobiety – tłumaczył sam sobie półgłosem. – Tak… kobiety. Czyli same kłopoty.

Ujrzał z tyłu czyjś cień; przez chwilę myślał, że może Evanlyn zmieniła zdanie. Sama przecież mówiła, że trudno o coś nudniejszego niż widok dwóch osiłków okładających się ćwiczebną bronią. Jednak, gdy się odwrócił, ujrzał nie Evanlyn, a Tyrell – piętnastoletnią jasnowłosą i bardzo urodziwą siostrzenicę Svengala, zastępcy Eraka. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Zauważył, że dziewczyna ma niesamowicie błękitne oczy.

– Czy mogłabym potrzymać twoje strzały, zwiadowco? – spytała. Odpiął kołczan i podał go jej.

– Czemu nie? – rzekł wspaniałomyślnie, a ona uśmiechnęła się szerzej.

Uważał, że niegrzecznie byłoby odmówić.

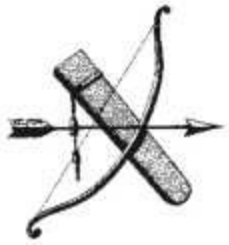

Sosna runęła już wiele lat temu, pokonana ciężarem śniegu przygniatającego jej konary, nadwątlona zgnilizną, trawiącą od środka potężny pień, i poddana gwałtownym porywom zimowego wichru. Jednak nawet w godzinie śmierci okoliczne drzewa próbowały ją podtrzymywać, nie dopuszczając, by zhańbiła się upadkiem na ziemię. Pozostała więc, spoczywając ukośnie w ich splątanych ramionach, zawieszona między niebem a ziemią.

Halt leżał na szorstkiej korze wciąż jeszcze okrywającej martwy pień i spoglądał ku dolinie, którą wędrowała kolumna temudżeińskich wojsk.

– Niespieszno im – zauważył Erak, który leżał obok. Zwiadowca odwrócił się, uniósłszy jedną brew.

– Tak, niespieszno – przyznał. – Minie trochę czasu, nim przeprowadzą wszystkie wozy przez przełęcze. Ich konie nie lubią zamkniętych przestrzeni. Są przyzwyczajone raczej do szerokich równin i stepów.

Nieprzerwany strumień konnych wojowników powoli pełzł naprzód. Uwagę Halta zwrócił fakt, że w ich marszu trudno byłoby dopatrzyć się jakiejś dyscypliny. Nie wystawiono na przykład bocznych straży, czuwających nad bezpieczeństwem ogromnej masy ludzi, koni oraz wozów zmierzających w stronę Hallasholm. Stolica Skandii leżała jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od tego miejsca.

Halt, Erak i niewielki oddział Skandian wyruszyli na południowy wschód, przez góry. Chcąc bez przeszkód obserwować poczynania wroga, poruszali się stromymi ścieżkami, trudno dostępnymi dla temudżeińskiej konnicy.

– Przemieszczają się wolno, fakt – stwierdził półgłosem zwiadowca. – Chyba udałoby się zresztą sprawić, żeby wędrowali jeszcze wolniej.

Erak wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Po co zawracać sobie głowę? – spytał. – Im prędzej się z nimi zmierzymy, tym prędzej załatwimy sprawę.

– Im dłużej będą się przemieszczać, tym więcej zyskamy czasu, żeby się przygotować – wyjaśnił Halt. – A poza tym drażni mnie, że tak sobie beztrosko wędrują, bez podejmowania jakichkolwiek środków ostrożności, nie utrzymując szyku. Okropny przejaw arogancji z ich strony, nie sądzisz?

– Wydawało mi się, że uważasz ich za wielce przebiegłych i roztropnych?

– Cóż, najzwyczajniej w świecie, spodziewają się, że gdy przyjdzie do bitwy – ale nie prędzej – nastąpi frontalny atak, nic ponadto. Teraz czują się bezpieczni, przynajmniej dopóty, dopóki od Hallasholm dzieli ich jeszcze spora odległość.

Skandyjski wódz wyglądał na urażonego.

– Sądzą, że nie stać nas na obmyślenie przebieglejszej strategii?

Halt skrył uśmiech.

– No, a jak byś zaplanował bitwę?

Nastąpiła chwila milczenia, po której Erak odezwał się z wahaniem:

– Hm… chyba odczekałbym, aż dotrą do naszych pozycji, a potem… dał rozkaz do ataku.

Popatrzył na swego towarzysza, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa, ale Halt najwyraźniej nie zamierzał się na ten temat więcej rozwodzić. Zatem, po chwili, Erak dodał, naburmuszony:

– Wiem, tego właśnie się spodziewają. Ale to jeszcze nie powód, żeby czuli się tacy okropnie pewni siebie.

– No, właśnie – podjął Halt – może nadpsulibyśmy nieco ich dobre samopoczucie? Wyprowadzilibyśmy Temudżeinów trochę z równowagi i zasiali w ich umysłach odrobinę zwątpienia.

– Czy to aby właściwa strategia? – upewniał się Erak, na co zwiadowca odpowiedział uśmiechem.

– Właściwa o tyle, że poprawi nam nastrój – odpowiedział. – No i nieprzyjaciel, którego dręczą wątpliwości, rzadziej dokonuje śmiałych, zaskakujących posunięć. A im mniej będą skłonni do reakcji nieoczekiwanych, których skutki trudno przewidzieć, tym lepiej dla nas.

Erak uznał wyjaśnienie za logiczne.

– Co więc chcesz zrobić? – spytał.

Halt obejrzał się. Za nim czekało w gotowości dwudziestu wojowników, których zabrali ze sobą.

– Powiedz mi coś więcej o Olgaku. – Tak miał na imię młody dowódca oddziału. – Mamy do czynienia z kimś, kto byłby zdolny słuchać rozkazów i wykonywać je, czy też z typowym skandyjskim berserkerem?

Erak zacisnął usta.

– Wszyscy Skandianie stają się berserkerami, jeśli tylko sprzyjają temu okoliczności – odpowiedział. – Olgak wykona każdy rozkaz, jeśli ja mu go wydam.

Halt skinął głową na znak, że rozumie.

– W takim razie musimy sobie z nim razem pogadać.

Zeszli z drzewa. Erak skinął na barczystego młodego wojownika. Olgak, osłaniający wielkim okrągłym puklerzem ramię, z bojowym toporem dzierżonym krzepko w dłoni, zbliżył się do obu wodzów. Spojrzał pytająco na Eraka, ale jarl wyjaśnił:

– Posłuchaj, co ma do powiedzenia zwiadowca. – Wzrok młodzieńca skierował się na Halta. Spojrzenie błękitnych oczu było szczere i bezpośrednie. Krył się w nim też błysk inteligencji. Halt ruchem ręki wskazał młodemu Skandianinowi dolinę, którą maszerowały wrogie wojska.

– Widzisz tę zbieraninę tam, w dole? – zapytał, a gdy młodzieniec przytaknął, wyjaśniał dalej: – Nie utrzymują żadnego szyku, nie wystawili bocznych straży, różne formacje wędrują zmieszane ze sobą, wojownicy i ciury obozowe pospołu. To nietypowe, zazwyczaj przemarsz wojsk Temudżeinów wygląda całkiem inaczej. A czy wiesz, dlaczego teraz pozwolili sobie na tak karygodne rozluźnienie dyscypliny?

Olgak zastanowił się, potem zaś potrząsnął głową. Nie tylko nie znał odpowiedzi na pytania Harta, ale też nie miał pojęcia, dlaczego kogokolwiek mogłoby to obchodzić.

– Czynią tak dlatego, bo czują się bezpieczni – wytłumaczył Halt. – Ich zdaniem wy, Skandianie, będziecie po prostu na nich czekać, a potem zwyczajnie ruszycie do ataku.

To Olgak rozumiał doskonale.

– No właśnie. I tak przecież zrobimy, czyż nie?

Halt i Erak wymienili spojrzenia. Jarl wzruszył ramionami. Skandianie starali się nie komplikować sobie życia.

– Ehm, pewnie że tak – przyznał Halt. – Ruszycie do ataku, nie ma obawy. Lecz nie od razu. Czyż nie byłoby przyjemnie trochę im pomieszać szyki, żeby poskromić butę wrednych pyszałków? – Tu umilkł. Pomilczał moment, następnie dodał z ironią: – A może podoba ci się, że tak sobie bezczelnie maszerują przez twój kraj, jakby zażywali świeżego powietrza na przechadzce?

Olgak skrzywił się, obserwując maszerujące wojsko. Ten cudzoziemiec miał rację. Przybysze z dalekich stepów istotnie demonstrowali zbyt wielką pewność siebie.

– Hm, nie – rzekł. – Nie powiem, żeby mi się podobało. Co robimy?

– Ja i Erak wracamy do Hallasholm – oznajmił Halt, nie zważając na oburzone spojrzenie skandyjskiego wodza. Najwyraźniej jarl liczył, że osobiście weźmie udział w pysznej zabawie, na którą się tu zanosiło, więc nie był zachwycony, słysząc, że przyjemność go ominie. – Tymczasem ty i twoi ludzie napadniecie na nich oraz spalicie choćby część taboru.

Halt wyciągnął rękę z łukiem i wskazał pięć, może sześć wozów jadących bez żadnej ochrony z boku kolumny.

Olgak rozpromienił się. Widać było, że pomysł przypadł mu do gustu.

– Czemu nie, spalić można – stwierdził.

Halt chwycił go za muskularne przedramię.

– Posłuchaj mnie uważnie, Olgaku – rzekł z naciskiem, zmuszając młodego człowieka, by popatrzył mu w oczy.

– Masz uderzyć i uciec. Nie daj się wciągnąć w walkę, zrozumiano?

To polecenie już znacznie mniej podobało się Skandianinowi. Halt potrząsnął walecznym młodzieńcem, by podkreślić wagę swych słów.

– Zrozumiano? – powtórzył. – Nie życzę sobie, byście, dbając o chwałę zdobywaną w boju, padli na polu bitwy, ty i twoi ludzie. Macie przede wszystkim podpalać te wozy. A wiesz, dlaczego?

Olgak nie wiedział.

– Otóż dlatego, że jutro w nocy, podążywszy za ich wojskiem, spalicie następne wozy i zabijecie kolejnych żołnierzy nieprzyjaciela.

Młody wojownik rozchmurzył się, bo teraz już zaczynał rozumieć sens zadania wyznaczonego mu przez Halta. Sprawy nie przedstawiały się tak źle, jak się obawiał.

– Jeśli zaś wszyscy zginiecie podczas pierwszej napaści, choćbyście polegli nie wiem jak bohatersko i chwalebnie, wtedy już od jutra Temudżeini znowu będą mieli święty spokój. Nam zaś chodzi o to, żeby świętego spokoju w ogóle nie zaznali.

Również i te wyjaśnienia trafiły Olgakowi do przekonania.

– Proszę cię więc, żebyście każdej nocy atakowali ich kolumnę, za każdym razem w innym miejscu. Palcie zapasy. Wypuszczajcie konie. Zabijajcie strażników. Uderzajcie szybko i szybko się wycofujcie. Pod żadnym pozorem nie wolno dać się wciągnąć do walki. Macie pozostać przy życiu, by wciąż i wciąż ich nękać. Pojmujesz?

Olgak przytaknął, bo plan coraz bardziej przypadał mu do gustu.

– Ani się będą spodziewać, gdzie i kiedy spadnie na nich kolejny cios – zapewnił ochoczo.

– I o to właśnie chodzi – potwierdził Halt. – Będą musieli rozstawić strażników wzdłuż całej trasy przemarszu. Będą musieli trzymać nocą straże. To wszystko spowolni ich pochód.

– Zupełnie jak na naszych wyprawach, no nie? – Młody Skandianin miał na myśli wilcze okręty, pojawiające się bez ostrzeżenia i napadające na niespodziewających się niczego mieszkańców przybrzeżnych osad. – Chcesz, żebyśmy tłukli ich tylko nocami?

Halt zastanowił się.

– Z początku tak. Ale potem wybierz jakieś miejsce, gdzie będziecie mieli łatwą drogę odwrotu, pośród drzew i pod górę, tak żeby nie dogonili was konno – i uderzcie w dzień. Może u schyłku dnia albo o świcie.

– Żeby spodziewali się nas o każdej porze? – uzupełnił Olgak, a Halt klepnął go z uznaniem po ramieniu.

– Widzę, że złapałeś, w czym rzecz – powiedział z uśmiechem. – Ale naczelna zasada polega na tym, żeby atakować ich tam, gdzie wroga nie ma.

Olgak zmarszczył brwi.

– Jak to, gdzie wroga nie ma? – spytał, niezbyt pewien, czy dobrze usłyszał.

– Tak. Uderzaj w miejscu, gdzie ich wojska będą najbardziej rozproszone. Niech do ciebie skoczą, niech cię ścigają. A potem znikaj, nim dojdzie do prawdziwej walki. Zapamiętaj, bo to właśnie jest najważniejsze. Masz przeżyć.

Młody wojownik podrapał się w głowę, ale widać było, że rozumie, o co chodzi. Powtórzył sobie, by zapamiętać:

– Przeżyć. Tak jest, zrozumiano. Przeżyć.

Halt odwrócił się do Eraka.

– Czy należy w jakiś specjalny sposób rozkazać Olgakowi, żeby nie podejmował walki, jarlu? – spytał.

Erak zwrócił się do młodego wojownika:

– Słyszałeś, Olgaku? Potrzebujesz specjalnego rozkazu?

Dowódca zwiadu potrząsnął głową.

– Nie potrzebuję. Rozumiem, co masz na myśli, zwiadowco – oświadczył. – Możesz mi zaufać. To dobry pomysł.

– Doskonale – odparł spokojnie Halt, gotów już na nieuniknione pytanie Eraka:

– A czym my się zajmiemy, podczas gdy Olgak i jego ludzie będą się tu wybornie bawili?

– Wrócimy do Hallasholm, żeby przygotować się na przyjęcie naszych gości – powiadomił go Halt. – A skoro już o zabawie tutaj mowa, moglibyśmy zorganizować jeszcze kilka podobnych oddziałów i wysłać je na trasę przemarszu Temudżeinów, żeby zabawiły się tak samo jak Olgak i jego ludzie. Każdy dzień opóźnienia jest dla nas bezcenny.

Erak zaszurał nogami w śniegu. Halt nagle pomyślał, że rosły jarl przypomina małego dzieciaka, któremu kazano oddać ulubioną zabawkę.

– Sam sobie z tym przecież poradzisz – ocenił jarl. – Może jednak lepiej, gdybym został i dopomógł trochę Olgakowi? Co?

Znów kryjąc uśmiech, Halt pokręcił stanowczo głową.

– Będziesz mi potrzebny – oświadczył. – Cieszysz się poważaniem na dworze Ragnaka i oberjarl liczy się z twoim zdaniem. Sam niczego nie wskóram, a spraw do załatwienia jest bez liku.

Erak otworzył usta, żeby zaprotestować, kiedy nagle wtrącił się Olgak:

– Zwiadowca ma słuszność, jarlu – powiedział. – W Hallasholm bardziej się przydasz. A poza tym, ty już zjadłeś zęby na tej robocie, chyba pora dać szansę młodszym, żeby trochę pogryźli, nie uważasz?

Oczy Eraka zabłysły od gniewu i miał na końcu języka ciętą odpowiedź, gdy zauważył, że Olgak szczerzy się w uśmiechu. Zdał sobie sprawę, że młody Skandianin żartuje. Pogroził mu palcem, wskazując jednocześnie wzrokiem ostrze swojego topora.

– Jeszcze ci kiedyś pokażę, jak zjadać zęby, skoro sam się tak dopraszasz. Zważaj lepiej, żebym ci teraz twoich nie połamał – rzucił, ale bez urazy w głosie. Olgak zrozumiał i odpowiedział uśmiechem.

Halt spoglądał jeszcze przez krótką chwilę na obu Skandian, po czym oparł łuk na ramieniu. Odwrócił się i ruszył w stronę miejsca, gdzie na dowódców oddziału czekał pasący się luzem Abelard oraz uwiązany koń Eraka. Bo na czas tej wyprawy jarl otrzymał wierzchowca, zresztą zmuszony został do jeździeckich popisów ku swemu wielkiemu nieukontentowaniu. Zwiadowca ujął w dłoń wodze Abelarda i rzucił jeszcze na pożegnanie Olgakowi:

– Jestem pewien, że dobrze się sprawisz.

A potem, zerknąwszy ku wciąż niezadowolonemu jarlowi, dodał cicho: – Widzę, że dzielny z ciebie wojownik.

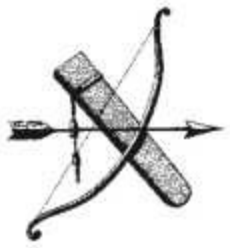

Generał Haz'kam, dowodzący armią Temudżeinów, spojrzał znad spożywanego właśnie posiłku na swego zastępcę, który wszedł do namiotu. Nit'zak żadną miarą nie zaliczał się do mężczyzn rosłych, lecz i tak musiał schylić się, by wejść do środka. Generał wskazał mu poduszki ułożone na filcowej podłodze namiotu; Nit'zak usiadł i odetchnął z ulgą. Spędził w siodle dobrych kilka godzin, dokonując inspekcji wojsk.

Haz'kam przesunął w jego stronę miskę ze smakowicie pachnącymi kawałkami mięsa, zapraszając gestem, by się poczęstował. Nit'zak skłonił głowę w podzięce, sięgnął po mniejszą miseczkę, stojącą obok na rozłożonym dywanie. Zgarnął kilka garści strawy, krzywiąc się nieznacznie, gdyż gorące jadło parzyło mu dłoń. Sięgnął palcami po największy kawałek i wepchnął go do ust, po czym przeżuwał przez chwilę, kiwając z uznaniem i cicho pomlaskując.

– Wyborne! – pochwalił jedzenie Nit'zak.

Konkubina Haz'kama – generał nigdy nie zabierał żadnej ze swych trzech żon na wojenne wyprawy – była doskonałą kucharką. Generał uważał, że w polowych warunkach ta zaleta liczy się akurat o wiele bardziej niż uroda. Skwitował zmrużeniem oczu pochwałę Nit'zaka, beknął cicho i odsunął od siebie pustą już miskę, z której jadł. Kobieta zjawiła się

natychmiast, by uprzątnąć naczynie, po czym wróciła na swe miejsce pod ścianą okrągłego namiotu.

– No i? – spytał generał. – Jakieś nowiny?

Nit'zak skrzywił się z niesmakiem, co nie dotyczyło bynajmniej poczęstunku, lecz wydarzeń, z których miał zdać sprawę.

– Dziś wieczór znów uderzyli – powiedział. – Tym razem w dwóch miejscach. Jedni obsiedli koniec kolumny, rozpędzając nam małe stadko koni. Potrwa pół dnia, nim nasi ludzie zdołają je na powrót schwytać. Zaraz potem zjawił się drugi oddział, tym razem podeszli od strony wybrzeża. Ci spalili sześć wozów z zapasami żywności.

Haz'kam rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

– Od strony wybrzeża? – zdziwił się, a zastępca potwierdził ruchem głowy. Jak dotąd Skandianie napadali tylko od strony gęsto zalesionych gór. Napastnicy pojawiali się, uderzali w którąś z najsłabiej bronionych części kolumny, by zaraz potem wycofać się z powrotem w góry i do lasu, gdzie pościg za nimi byłby zbyt ryzykowny. Teraz, ku utrapieniu Haz'kama, pojawiła się nowa komplikacja.

– Wygląda na to, że przypomnieli sobie o okrętach – mówił dalej Nit'zak. – Przez cały dzień trzymają się z dala, poza zasięgiem wzroku, a potem pod osłoną ciemności cumują, napadają na nas i znów uciekają na morze.

Haz'kam usiłował wydobyć końcem języka strzęp mięsa, który utkwił mu między zębami.

– A tam, czyli na morzu, w żaden sposób ścigać ich nie możemy – skonstatował.

Nit'zak dodał:

– Co więcej, obecnie musimy wystawiać straże po obu stronach kolumny.

Haz'kam zaklął z cicha.

– Czyli znowu zwłoka – stwierdził.

Każdego ranka Temudżeini tracili całe godziny na formowanie karnych szeregów z myślą o całodniowym marszu. Gdy zaś wojska ruszały już w pochód, wszyscy musieli dostosować swe tempo do najwolniej poruszających się formacji, więc w istocie do tempa taborów, gdzie wieziono obrok dla koni, żywność oraz osobiste rzeczy wojowników. Dopóki Temudżeini parli naprzód zwartą masą, poruszali się znacznie prędzej. Teraz jednak, nękani napaściami przez Skandian, nie mieli

innego wyjścia, jak podjąć maksymalne środki ostrożności. To zaś oznaczało nieuchronną stratę czasu.

– Na domiar złego – uzupełnił Nit'zak – musimy teraz każdej nocy wystawiać wokół obozu zdwojone straże.

Haz'kam upił tęgi łyk ulubionego przez Temudżeinów napoju ze sfermentowanego jęczmiennego ziarna, po czym podał skórzany bukłak Nit'zakowi.

– Nie tak to sobie wyobrażałem – stwierdził. – Postępują zupełnie inaczej, niż należałoby się spodziewać, sądząc po raportach naszego wywiadu.

Nit'zak parsknął pogardliwie i pociągnął zdrowo z bukłaka. Doświadczenie nauczyło go, że informacje gromadzone przez wywiad najczęściej okazują się niedokładne – w najlepszym przypadku; w najgorszym bywają wręcz sprzeczne z rzeczywistym stanem rzeczy.

– Wiem – powiedział. – Wszystko, co wiedzieliśmy o tutejszych ludziach, wskazywało, że cała ich strategia sprowadzać się będzie do frontalnego ataku.

Haz'kam zastanowił się:

– Może wciąż jeszcze zbierają główne siły. My zaś chyba nie mamy innego wyboru, jak dalej podążać naprzód. Pewnie, gdy dotrzemy do ich stolicy, zechcą wreszcie stawić opór. Rzecz w tym, że cała ta wojna potrwa dłużej, niż planowaliśmy.

Nit'zak zawahał się przez chwilę, nim zaproponował:

– Generale, przecież na dobrą sprawę możemy nie zmieniać tempa przemarszu i po prostu pogodzić się ze stratami, jakie zadają nam ich podjazdy. Nie są zbyt duże.

Była to wypowiedź typowa dla cynicznego sposobu myślenia temudżeińskich oficerów. Jeśli za cenę strat w ludziach lub w prowiancie dawało się zyskać na czasie, należało wziąć taką opcję pod uwagę. Haz'kam pokręcił jednak głową, bynajmniej nie z troski o podległych mu ludzi.

– Gdybyśmy przestali reagować na ich zaczepki, któryś z kolejnych ataków mógłby się okazać uderzeniem prawdziwym, nie pozorowanym, a my przekonalibyśmy się o tym dopiero po szkodzie. Przecież w tych górach mogą ukrywać się setki wojowników, a gdyby napadł na nas w tej chwili jakiś liczebniejszy oddział, znaleźlibyśmy się w poważnym kłopocie. Pamiętaj, że przebywamy, bądź co bądź, na terytorium wroga.

Nit'zak musiał przyznać, że nie przyszło mu to do głowy. Nie wydawał się jednak do końca przekonany.

– Z informacji, jakie na ich temat posiadamy, wynika, iż atak z zaskoczenia nie jest w ich stylu.

Haz'kam przeszył mówiącego lodowatym spojrzeniem.

– Wiemy także o Skandianach, iż nie powinni prowadzić wojny podjazdowej, a prowadzą – rzekł przyciszonym głosem. Oficer spuścił wzrok. Wtedy wódz dodał:

– Każdego dnia przed wymarszem każ ludziom formować się w sześćdziesiątki. I dopilnuj, by nocą straże wystawiano także od strony morza.

Nit'zak mruknięciem potwierdził, że rozkazy przyjął oraz je zrozumiał. Odczekał jeszcze chwilę, bo zdarzało się od czasu do czasu, że dowódca miał wieczorami chęć na dłuższą pogawędkę; rozprawiali wówczas godzinami, a bukłak pełen gorzałki przechodził z rąk do rąk. Jednak tym razem Haz'kam odprawił go nieznacznym ruchem dłoni. Nit'zak dostrzegł, że generał jest chyba zmęczony. Ileż to lat spędzili razem na wojennych wyprawach? Haz'kam nie był już młody, a i on, Nit'zak nie zaliczał się do młodzieniaszków, o czym świadczył dobitnie dokuczliwy ból w kolanach. Dźwignął się ze stęknięciem, którego nawet nie próbował stłumić, skłonił się i, skuliwszy się, wyszedł na zewnątrz. Filcowa zasłona opadła, zamykając wejście do namiotu.

Uszu oficera doszły odległe krzyki. Gdy spojrzał w stronę, z której dobiegał hałas, ujrzał na nocnym niebie blask płomieni. Zaklął cicho. Kolejny atak tych przeklętych Skandian – pomyślał.

Obok niego przegalopował oddział jezdnych, gnających do walki z atakującym nieprzyjacielem. Nit'zaka kusiło przez chwilę, by się do nich przyłączyć, ale machnął ręką, wiedząc, że nim dotrą do miejsca, w którym nastąpiła napaść, nieprzyjaciela dawno już tam nie będzie.

W wielkiej sali jadalnej na dworze Ragnaka trwało posiedzenie skandyjskiej Rady Wojennej. Will siedział po drugiej stronie stołu i przysłuchiwał się wypowiedzi Halta adresowanej do skandyjskiego wodza oraz jego najważniejszych doradców. Borsa, Erak i jeszcze dwóch wyższych rangą jarli, Lorak i Ulfark, stali wokół stołu, przyglądając się wielkiej mapie, którą rozpostarł zwiadowca.

– Zeszłej nocy Temudżeini rozbili obóz tutaj – wskazał miejsce ostrzem swojej saksy. – Około sześćdziesięciu kilometrów od Hallasholm. To dowodzi, że nasze ataki odniosły dokładnie taki skutek, jakiego oczekiwaliśmy. Udało nam się spowolnić przemarsz wroga, który po przednio pokonywał trzydzieści kilometrów dziennie. Obecnie przemierza co najwyżej dwanaście.

– Czy to nie dziwne, że konnica porusza się tak powoli? – spytał Ulfark. Halt oparł nogę o ławę stojącą przy stole i potrząsnął głową.

– Gdy będą walczyć, wówczas pokażą szybkość, na jaką ich stać. Jak dotąd, oszczędzają konie. Pozwalają im paść się do woli i nie zmuszają do pośpiechu. Ponadto teraz, gdy prócz oddziału Olgaka nęka ich jeszcze sześć innych naszych podjazdów, Temudżeini muszą poświęcić w sumie pół dnia na porządne sformowanie szyków, i potem, w nocy, na odpowiednie zabezpieczenie obozu.

Zwracając się do Eraka, dodał:

– Miałeś świetny pomysł, żeby posłać ku nim kilka okrętów. Bo teraz nękamy wroga również i od zachodniej strony.

– Pomysł sam się narzucał – stwierdził jarl. – Bądź co bądź, ataki z morza to nasz chleb powszedni.

Ragnak trzasnął potężną pięścią w sosnowe deski stołu.

– Nic, tylko podjazdy, zasadzki i pozorowane ataki! To do niczego nie prowadzi! Czas, byśmy uderzyli na nich wszystkimi siłami i raz na zawsze rozstrzygnęli sprawę! – zawołał, a trzej członkowie jego rady wyrazili pomrukiem swą aprobatę.

– Jeszcze zdążymy – stwierdził Halt. – Najpierw, nim dojdzie do frontalnego starcia, musimy wybrać miejsce, które nam będzie odpowiadało, a dla nieprzyjaciela okaże się tak niekorzystne, jak to tylko możliwe.

I to stwierdzenie nie przypadło do gustu oberjarlowi. Owszem, zgodził się, by słuchać rad Halta. Ale ci przeklęci najeźdźcy panoszyli się w jego kraju już od kilku tygodni. Cóż za afront! I dla niego, i dla wszystkich Skandian! Ragnak pragnął jak najprędzej zmyć hańbę lub zginąć.

– A co za różnica, gdzie będziemy z nimi walczyli? – parsknął. – Bitwa to bitwa. Albo wygramy, albo przegramy. Zresztą, nawet jeśli poniesiemy klęskę, zabierzemy ze sobą w zaświaty wielu wrogów!

Halt, który opierał się dotąd nogą o ławę, wyprostował się i schował nóż do pochwy.

– O tak – rzekł zimno. – Szanse na to, że przegramy, są ogromne. Postarajmy się więc zabrać ze sobą w zaświaty rzeczywiście jak najwięcej Temudżeinów. Zgoda?

Na Skandian, którzy przywykli do przechwałek i roztrząsania dawnych lub przyszłych zwycięstw, stwierdzenie zwiadowcy podziałało niczym kubeł zimnej wody – o to właśnie Haltowi chodziło.

– Pamiętajmy, że zetrzemy się z konnicą – mówił dalej. – Ponadto wróg ma nad nami co najmniej czterokrotną liczebną przewagę. Posiadają więc większą zdolność manewru i będą starali się ją wykorzystać. Poza tym będą dążyć do utworzenia jak najszerszego frontu, co pozwoli im w pełni wykorzystać wszystkich ludzi. Jeśli tylko zdołają rozszerzyć pole walki, będą się starali otoczyć nas, rozpraszając przy tym nasze siły.

Słuchali go uważnie; z pewnością nie byli zachwyceni wywodami Halta. Lecz przynajmniej słuchali.

– W jaki niby sposób mają tego dokonać? – spytał Erak. Poprzedniego dnia porządnie przygotowali się obaj do narady; Haltowi zależało, by padły pewne pytania, więc Erak miał je zadać osobiście, gdyby nie przyszły do głowy nikomu innemu. Zwiadowca mrugnął w stronę Eraka, ale odpowiedź skierował ku wszystkim zgromadzonym.

– Na tym właśnie polega ich podstawowa taktyka – rzekł. – Zaatakują szerokim frontem, po czym zaraz zaczną się wycofywać. Następnie ponowią atak, znów uderzą i znowu się zaczną wycofywać. Potem w jednym czy dwóch miejscach wdadzą się w prawdziwą walkę, staną twarzą w twarz. I dopiero wtedy zacznie się rzeczywiste starcie – takie właśnie, jakie odpowiada twoim ludziom – dodał, spoglądając na Ragnaka. Oberjarl przytaknął. – Następnie – ciągnął Halt – zaczną przegrywać. Ich atak straci pierwotny impet i będą próbowali odstąpić.

– A, o to chodzi! – odezwał się Borsa. Dwaj pozostali jarlowie także uznali przewidywany obrót spraw za pożądany. Ragnak jednak domyślał się, że jeszcze nie nadszedł koniec wyjaśnień. Nie powiedział nic, tylko dał gestem Haltowi znak, by nie przerywał.

– Zaczną się tedy wycofywać. Z początku powoli, potem szybciej, jak gdyby ogarnęła ich panika. Nie na tyle jednak prędko, by całkiem oderwać się od waszych ludzi. Z czasem coraz więcej i więcej waszych wojowników opuści szeregi, napierając na ustępującego nieprzyjaciela i wysuwając się przed linię obrony. Temudżeini będą bronili się coraz bardziej desperacko, a przynajmniej tak to będzie wyglądać. Aż nagle, we właściwym momencie, nastąpi kontratak.

– Wyjaśnij – zażądał oberjarl. – W jaki sposób przeprowadzą kontruderzenie?

– Zaniechają odwrotu w chwili, gdy twoi ludzie będą rozproszeni i znajdą się na otwartej przestrzeni. Najsilniejsi i najszybsi wysforują się przed resztę towarzyszy.

Nagle wszakże zorientują się, że są odcięci od głównych sił i otoczeni przez temudżeińską jazdę. A pamiętaj, oberjarlu, że każdy z tych jeźdźców jest doskonałym łucznikiem. Oni nie będą wdawać się w walkę wręcz, bo po co się narażać? Wystrzelają twoich ludzi, nawet się do nich nie zbliżając. Im więcej twoich wojowników zginie od strzał, tym bardziej

wściekłość ogarniać zacznie pozostałych. Rzucą się, by ratować swoich towarzyszy – lub by ich pomścić. Po czym i oni zostaną otoczeni, a następnie wybici.

Umilkł. Pięciu Skandian spoglądało na zwiadowcę w ponurym milczeniu. Nietrudno im było wyobrazić sobie taki właśnie przebieg wypadków. Znali dobrze własnych ludzi, toteż pojęli od razu, że opisany porządek bitwy mógł okazać się śmiertelnie skuteczny.

– A więc tak walczą? – Ragnak w końcu przerwał ciszę.

– Widziałem to na własne oczy, oberjarlu. Nie raz, nie dwa. Nie dbają o bitewną chwałę. Idzie im tylko o to, by jak najmniejszym kosztem zabić jak najwięcej nieprzyjacielskich żołnierzy.

Powiódł spojrzeniem po zgromadzonych. Najwyraźniej wreszcie zdali sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Osiągnął cel, do którego dążył. Usiadł okrakiem na ławie. Długą chwilę milczenia, jakie zapanowało w wielkiej sali, przerwał w końcu hilfmann Borsa:

– To… w jakim miejscu chcesz wydać im bitwę? -spytał.

Halt rozłożył dłonie pytającym gestem.

– A po co w ogóle wydawać jakąś bitwę? – spytał. – Mamy czas i możemy się wycofać, nim nadejdą. Potem ukryjemy się w górach oraz w lesie i będziemy nadal nękać ich, coraz dotkliwiej, w miarę, jak będą posuwali się wzdłuż wybrzeża.

– Chcesz powiedzieć, że mamy uciec? – spytał gniewnym tonem Ragnak.

Halt ochoczo skinął głową.

– Tak. To właśnie miałem na myśli. Chodzi jednak o taki sposób ucieczki, by równocześnie atakować ich w dwudziestu albo w trzydziestu, lub nawet w pięćdziesięciu miejscach. Zabijać ich. Palić prowiant. Nie dawać spokoju. Bezustannie nękać, by w końcu dotarło do nich, że napaść na Skandię nie była dobrym pomysłem. A gdy zdecydują się wycofać, pastwić się nad nimi dalej, dopóki nie przekroczą granic.

Umilkł. Wiedział, że nie ma co liczyć, by Skandianie przystali na jego koncepcję. Musiał jednak spróbować najlepszego, jak uważał, rozwiązania. Lecz, zgodnie z obawami Halta, tym razem Ragnak stanowczo potrząsnął głową. Nawet Erak zacisnął usta z dezaprobatą.

– Mielibyśmy oddać bez walki Hallasholm? – rzekł Ragnak.

Halt wzruszył ramionami.

– Jeśli będzie to konieczne, owszem. Zawsze możecie odbudować gród.

Teraz wszyscy Skandianie głośno wyrażali swój sprzeciw. Halt dobrze wiedział, dlaczego.

– Mielibyśmy zostawić im Hallasholm? Wraz ze wszystkim, co tu się znajduje? – parsknął znów Ragnak. Tym razem Halt nie odpowiedział, czekał tylko na słowa, które, jak wiedział, za chwilę padną. – Mielibyśmy oddać im nasze łupy, zdobycz gromadzoną przez setki lat? – dopytywał się Ragnak.

Oto i sedno sprawy – pomyślał Halt. Skandianie nie mieli najmniejszego zamiaru porzucać łupów gromadzonych przez całe pokolenia – złota, broni, drogocennych tkanin i wszelkich innych bogactw skrzętnie przechowywanych w skarbcach oraz magazynach. Pochwycił spojrzenie Willa, lekko wzruszył ramionami. Cóż, zrobił, co doń należało, tak bowiem nakazywało mu poczucie obowiązku. Nawet nie oczekiwał odpowiedzi ze strony oberjarla, Ragnak zresztą wcale nie pofatygował się, by ją sformułować. Ton jego głosu wystarczał za odpowiedź. Halt uniósł się więc znowu i wskazał głownią noża odcinek linii brzegowej w pobliżu Hallasholm.

– Skoro taka wasza wola – rzekł – zatrzymamy ich tutaj, gdzie równina wzdłuż przesmyku jest najwęższa.

Skandianie pochylili głowy, by się przyjrzeć. Skoro Halt przestał się upierać przy pomyśle oddania Hallasholm najeźdźcom, gotowi byli przystać na drugą propozycję.

– Tutaj nie będą mogli w pełni rozwinąć swoich wojsk i nie zdołają zaatakować szerokim frontem. Będą tłoczyć się między górami a morzem. My zaś możemy ukryć w lesie naszych ludzi, zresztą nawet zabudowania znajdujące się nad brzegiem mogą się nam przydać.

Lorak, starszy z dwóch jarli, zmarszczył brwi.

– Ale czy to nie osłabi naszej głównej obrony, naszego muru z tarcz?

– Najwyżej w nieznacznym stopniu – wyjaśnił Halt. – Będziemy mieli dość ludzi, by utworzyć solidne pozycje obronne, gdyż linia tarczowników nie będzie długa. Następnie, gdy Temudżeini spróbują zastosować swoją wypróbowaną sztuczkę, polegającą na cofaniu się i wcią ganiu naszych ludzi w zasadzkę, udamy, że dajemy się w nią zwabić.

Erak podszedł bliżej, by przyjrzeć się wąskiemu przesmykowi, o którym mówił Halt.

– Chcesz powiedzieć, że zrobimy to, czego oni chcą? – spytał.

Halt wysunął dolną wargę i przechylił głowę na bok.

– Będziemy udawali, że właśnie to robimy – poprawił jarla. – Zaś kiedy przestaną się wycofywać i spróbują podjąć kontratak, nasi wojownicy z ukrycia uderzą na ich tyły. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, nieprzyjaciela czeka bardzo niemiła niespodzianka.

Skandianie wpatrywali się w mapę; Borsa, Lorak i Ulfark spoglądali tępo, usiłując wyobrazić sobie opisany manewr. Jednak, ku swemu zadowoleniu, Halt stwierdził, że Erak i Ragnak kiwają z namysłem głowami, rozumiejąc już jego zamiary.

– Największe szanse będziemy mieć wtedy – kontynuował – gdy zmusimy ich do takiego rodzaju walki, w którym wasi ludzie czują się najlepiej, to znaczy staniemy do bezpośredniego starcia. Jeśli zdołamy ich dopaść w bezpośrednim starciu, wasi żołnierze zyskają pole do popisu. Obrona Temudżeinów zasadza się bowiem głównie na unikach i na prędkości, poza tym oni dysponują tylko lekką bronią i nie noszą pancerzy. Szkoda, że nie posiadamy choć niewielkiego oddziału łuczników, bo wówczas moglibyśmy zgotować im kolejną krwawą łaźnię – dodał. – Ale cóż, nie można mieć wszystkiego.

Halt wiedział, że nie ma co liczyć na Skandian jako łuczników, bo łuków ani nie mieli, ani nie potrafili posługiwać się ukochaną bronią zwiadowcy. Szkoda więc tracić czasu na próżne fantazjowanie. Jednak oddziału łuczników właśnie najbardziej brakowało strategowi. Dzięki nim umiałby zrealizować powstający w jego umyśle plan. Tak, łucznicy potrafiliby siać prawdziwe spustoszenie w szeregach nieprzyjaciela. Ot, mrzonki! Wzruszył ramionami i odsunął od siebie natrętną myśl.

Erak tymczasem z podziwem przyglądał się okrytemu szarym płaszczem zwiadowcy. Mizernego jest wzrostu – pomyślał – ale na bogów, wojownik z niego, jakich mało!

– Wszystko zależy od tego, czy nasi ludzie nie dadzą się ponieść bitewnemu zapałowi – stwierdził na głos.

– Spore ryzyko. A drugie ryzyko wynika stąd, że jeśli źle wyliczymy chwilę, w której uruchomimy nasz własny manewr, ludzie ukryci w lesie i przy zabudowaniach narażeni zostaną na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Trwa wojna – odparł Halt. – Rzecz nie w ryzyku jako takim, lecz w tym, żeby trafnie zważyć, jakie ryzyko podejmujemy i kiedy je podejmujemy.

– A jakże to nam trafnie ocenić? – spytał Borsa, który już wyczuł, że ten niski, brodaty cudzoziemiec zaskarbił sobie zaufanie i akceptację oberjarla wraz z całą Radą Wojenną.

Halt obdarzył go przebiegłym uśmiechem.

– Najłatwiej zaczekać, gdy będzie po wszystkim. Wtedy z pewnością przekonamy się, kto ostatecznie wygrał – stwierdził. – Na samym końcu stwierdzimy bez najmniejszych wątpliwości, czy ryzyko się nam opłaciło.

Halt? – odezwał się w zamyśleniu Will, gdy we trójkę wyszli z sali jadalnej – on, zwiadowca i Erak.

– Co miałeś na myśli, wspominając o łucznikach?

Halt spojrzał z ukosa i westchnął.

– Gdybyśmy posiadali własnych łuczników, oni mogliby przesądzić o wyniku bitwy – odparł. – Temudżeini sami są wybornymi łucznikami, ale rzadko się zdarza, by mieli do czynienia z nieprzyjacielem, który o strzelaniu z łuku ma choćby blade pojęcie.

Will wiedział, że długi łuk jest bronią tradycyjnie używaną przez Araluеńczyków i przez nikogo więcej w krainach zachodnich. Owszem, mieszkańcy innych krajów posługiwali się niekiedy łukiem w trakcie polowań lub bawiąc się cięciwą dla sportu. Jednak tylko wojska araluеńskie dysponowały zorganizowanymi oddziałami, które mogły zasypać nacierającego nieprzyjaciela gradem strzał.

– Temudżeini cenią łuk jako broń, bo wiedzą, iż łuki mogą zadecydować o przebiegu bitwy, a nawet i przeważyć szalę całej wojny – ciągnął Halt. – Lecz doświadczenie mówi im, że łuk staje się tylko wtedy skutecznym orężem, kiedy oni się nim posługują. Gdy jednak do nich ktoś strzela, gubią się, tracą koncept. Tym bardziej, że doskonale zdają sobie sprawę, jak wiele za pomocą łuku można zwojować. Sam się o tym przekonałem,

kiedy uciekałem przed nimi wraz z Erakiem. Posłałem w ich stronę kilka strzał, a od razu stali się nadzwyczaj ostrożni.

Jarl zaśmiał się cicho na wspomnienie dawnych przygód.

– Gdy tylko kilku spadło z siodeł, od razu przestało im się spieszyć.

– Bo wiesz, pomyślałem sobie… – zaczął chłopak i zawiesił głos, a Halt uśmiechnął się.

– Już się lękam, na samą myśl, co też sobie zechciał pomyśleć Will… – rzekł półżartem.

Niezrażony uczeń dokończył:

– Pomyślałem sobie, że może powinniśmy spróbować utworzyć oddział łuczników. Przecież nawet setka mogłaby zaważyć na przebiegu bitwy.

– Zapewne, Willu – stwierdził z żalem Halt – lecz brakuje nam czasu. Wróg zjawi się już niebawem. Nie uda się nam wyszkolić łuczników przed nadejściem wrogiej armii. Weź pod uwagę, że Skandianie często w ogóle nie zdają sobie sprawy, o co naprawdę chodzi przy posługiwaniu się bojowym łukiem. Trzeba by uczyć ich od podstaw. A jak sam wiesz, nauka strzelania trwa dość długo.

– Tak, ale tutaj jest mnóstwo niewolników – zauważył Will. – Niektórzy z nich mogą przecież znać zasady łucznictwa. Trzeba by tylko popracować nad celnością i zasięgiem.

Halt przyjrzał się uważniej swojemu uczniowi. Widać było, że ten mówi poważnie. Czoło Willa zmarszczyło się od natłoku myśli.

– Co konkretnie proponujesz? – spytał zwiadowca. Czoło chłopca zmarszczyło się jeszcze bardziej.

– Właściwie to Evanlyn podsunęła mi ten pomysł – przyznał. – Przypatrywała się, jak strzelam, i spytała w pewnym momencie, skąd wiem, jak wysoko unieść łuk, aby uzyskać określony zasięg. Odpowiedziałem, że to kwestia wprawy i doświadczenia. Potem jednak pomyślałem sobie, że jednak mógłbym spróbować ją czegoś nauczyć, gdyby udało mi się opracować uproszczony system, składający się, powiedzmy, z czterech podstawowych pozycji.

Zatrzymał się i uniósł lewą rękę, jak gdyby trzymał w niej łuk; najpierw wyciągnął ją prosto przed siebie, a potem stopniowo unosił, zatrzymując na wyimaginowanych pozycjach.

– Pierwsza, druga, trzecia, czwarta, coś w tym rodzaju – tłumaczył. – Można wyszkolić grupę łuczników, żeby przyjmowali po prostu właściwe

pozycje, tymczasem ktoś inny będzie dokonywał oceny dystansu i dyktował, którą z nich mają wybrać. Strzelcy nie muszą być przecież od razu wyborowymi łucznikami, najważniejsze, żeby kierująca nimi osoba potrafiła trafnie ocenić odległość.

– Odległość i tor lotu pocisku – uzupełnił w zamyśleniu Halt. – Obserwując poruszenia przeciwnika, możemy przewidzieć, gdzie znajdzie się za kilka chwil i tam właśnie skierować z odpowiednim wyprzedzeniem nasze strzały.

– No właśnie – stwierdził Will. – Tak dokładnie jeszcze tego nie przemyślałem, ale wydaje mi się, że jeśli ustalimy odległości i dopilnujemy, żeby wszyscy strzelali równocześnie, żaden z naszych łuczników nie będzie musiał mierzyć do konkretnego celu, wystarczy, że w jednej chwili wystrzelą całą masę pocisków.

– Musiałbyś poniekąd celować za nich – zauważył Halt.

– Tak. Ale w gruncie rzeczy wystarczyłoby, gdybym strzelał razem z nimi i tylko wykrzykiwał na głos, co robię, ich zaś zadaniem byłoby powtarzanie moich ruchów.

Halt podrapał się po brodzie i zerknął na Skandianina.

– Co o tym sądzisz, Eraku?

Jarl nie zamierzał wdawać się w rozważania.

– Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówiliście – stwierdził radośnie. – Zasięg, pozycje, tor odlotu pocisku… nic mi to nie mówi.

– Tor lotu pocisku – poprawił Will.

Erak machnął ręką.

– Wszystko jedno. Dla mnie to i tak czarna magia. Ale jeżeli chłopak uważa, że może się udać, skłonny jestem uznać, że wie, co mówi.

Will uśmiechnął się do rosłego wojownika. Erak zdecydowanie nie lubił zbędnych komplikacji. Jeżeli czegoś nie rozumiał, nie tracił energii na rozmyślania.

– Ja również skłonny byłbym przyznać ci rację – rzekł cicho Halt, a Will popatrzył na niego z niejakim zaskoczeniem. Prawdę rzekłszy, spodziewał się, iż mistrz za chwilę wytknie mu jakąś podstawową lukę w przeprowadzonym rozumowaniu. Tymczasem zorientował się, że Halt najpoważniej w świecie rozważa jego propozycję. Dopiero w następnej chwili ujrzał na twarzy zwiadowcy wyraz zawodu: Halt, tak jak przedtem i Will, natrafił na przeszkodę nie do pokonania.

– Łuki – uświadomił sobie Halt. W jego głosie słychać było zawód, tłumiący nadzieję, która właśnie zaczęła kiełkować. – Skąd my weźmiemy sto łuków w tak krótkim czasie? I żeby zdążyć jeszcze nauczyć naszych ludzi strzelać? Przecież w całej Skandii tylu nie ma.

W tym tkwił problem. Sporządzenie łuku wymagało niemałych rzemieślniczych umiejętności oraz zajmowało sporo czasu. Nie było cienia szansy, żeby zdążyli wykonać aż sto potrzebnych łuków. Will odruchowo kopnął kamień leżący na drodze i od razu tego pożałował, bo zapomniał, że ma na sobie buty o miękkich noskach.

– Jeśli potrzebujecie stu łuków, mogę wam je dostarczyć – odezwał się nagle Erak, przerywając ciszę, która zapadła po ostatnich słowach Halta. Obaj drgnęli jak oparzeni.

– A skąd ty weźmiesz sto łuków? – zainteresował się Halt.

– Trzy lata temu zdobyłem pewien araluеński dwumasztowiec – odparł. – Statek wiózł właśnie transport łuków. Nie były mi dotąd do niczego potrzebne, ale zachowałem je w moim magazynie, myśląc, że może z czasem znajdzie się dla nich jakieś zastosowanie. Prawdę rzekłszy, zamierzałem użyć ich jako palików do płotu, lecz okazały się zbyt giętkie.

– Cóż, łuki takie właśnie są – rzekł z namysłem Halt, a kiedy Erak popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc, wyjaśnił: – Giętkie. W każdym razie bardziej giętkie niż paliki do płotów. Jest to jedna z charakterystycznych cech łuku.

– Zapewne, zapewne. Nie wątpię, że się na tym znasz – stwierdził niedbałym tonem Erak. – W każdym razie są i możecie je brać, kiedy wam się tylko spodoba. Strzał też jest pełno, myślę, że całe tysiące. Czułem przez skórę, że kiedyś na coś się przydadzą.

Halt uniósł rękę, by klepnąć w ramię potężnego wojownika.

– I jakże słuszne okazało się twe przeczucie – rzekł. – Dzięki skandyjskim bogom za wasz obyczaj gromadzenia wszystkiego.

– No cóż, to normalne, że gromadzimy – wyjaśnił Erak. – Przecież ryzykujemy życie, żeby zdobyć te rzeczy. Nie ma sensu ich wyrzucać. No, nieważne. Chcecie zobaczyć łuki, czy nie?

– Prowadź, jarlu Eraku – powiedział Halt. Pokręcił głową z niedowierzaniem i, unosząc brwi, spojrzał na Willa.

Erak zaprowadził ich do ogromnego budynku przypominającego stodołę, gdzie przechowywał większość swych łupów.

– Ucieszyłbym się bardzo – rzekł, zacierając ręce – gdybyście stwierdzili, że nadają się do użytku. Mógłbym wówczas wystawić za nie rachunek Ragnakowi.

– Przecież to wojna – zaprotestował Will. – Nie możesz chyba brać pieniędzy od Ragnaka za coś, co pomoże w obronie Hallasholm?

Erak obdarzył młodego zwiadowcę promiennym uśmiechem.

– Chłopcze, wojna dla Skandianina oznacza przede wszystkim interes.

Evanlyn czekała, aż Halt i Will powrócą z narady wojennej u Ragnaka. Gdy dwie okryte płaszczami postacie, w towarzystwie rosłego jarla Eraka, przemierzały dziedziniec przed dworem oberjarla, chciała do nich podbiec, ale zatrzymała się, niepewna, jak powinna się zachować. Miała nadzieję, że Will wyjdzie sam. Nie chciała rozmawiać z nim przy Eraku i Halcie.

Dziewczyna nudziła się tu okrutnie. Gorzej jednak, że czuła się zupełnie bezużyteczna. Nie mogła w żaden sposób przyczynić się do obrony Hallasholm i nie miała czym się zająć. Will ćwiczył całymi dniami i przerywał tylko po to, by uczestniczyć w naradach z Haltem oraz Erakiem. Czasem odnosiła wrażenie, że chłopak jej unika, a ciągłe ćwiczenia stanowią jedynie pretekst. Przypomniała sobie, jak zareagował, gdy poprosiła go, by wprowadził ją w tajniki łucznictwa. Roześmiał jej się w nos!

Z Horace'a też nie miała żadnego pożytku. Z początku chętnie dotrzymywał jej towarzystwa, ale potem, niewątpliwie pod wpływem bezustannych treningów Willa, ogarnęły go wyrzuty sumienia i także poświęcił się bez reszty ćwiczeniom, doskonaląc swe szermiercze umiejętności w towarzystwie dobranej grupki skandyjskich wojowników.

Wszystko przez Willa – pomyślała.

Przyglądała się, jak rozmawia ze swoim nauczycielem, a potem obaj zatrzymali się, gdy Will wygłosił jakieś stwierdzenie, którego nie dosłyszała z tej odległości. Uświadomiła sobie ze smutkiem, że niektóre obszary egzystencji jej przyjaciela pozostaną dla niej na zawsze tajemnicą. Will miał tyle lat co ona, ale należał już do zamkniętego klanu zwiadowców, rządzącego się własnymi prawami. Od małego słyszała, że zwiadowcy tworzą jakby odrębny gatunek ludzi, małomównych, trzymających się na uboczu. Nawet król Duncan – jej koronowany ojciec – uskarżał się niekiedy, iż z trudem udaje mu się porozumieć ze skrytymi i niewylewnymi zwiadowcami. Gdy teraz wspomniała oraz rozważyła swą wiedzę na temat zwiadowców, poczuła smutek. Odwróciła się więc i odeszła, pozostawiając obu zwiadowców, mistrza oraz ucznia, pogrążonych w rozmowie ze skandyjskim jarlem.

Szurając posępnie nogami, szła ścieżką prowadzącą donikąd, przynajmniej z jej punktu widzenia. Gdybyż miała cokolwiek, czym mogłaby się zająć!

Zatrzymała się, nie wiedząc, dokąd dalej się udać. Znów odwróciła się szybko, by sprawdzić, czy Will i Halt nadal znajdują się tam, gdzie ostatnio ich widziała. Zniknęli już, a zamiast nich niespodziewanie natknęła się wzrokiem na kogoś, kogo wcale nie miała chęci oglądać.

Slagor, obleśny skandyjski wódz o rozbieganych oczkach, którego widziała po raz pierwszy na skalistej, chłostanej wichrami wysepce Skorghijl, wylazł właśnie zza jednej z przybudówek dworu Ragnaka. Stał teraz i wpatrywał się w Evanlyn. W jego spojrzeniu dostrzegła coś, co sprawiło, że zadrżała. Jakby coś wiedział, jakby coś knuł właśnie przeciw niej. A potem, gdy zdał sobie sprawę, że go dojrzała, odwrócił się nagle i szybko odszedł, znikając w przejściu między dwoma budynkami. W jego zachowaniu wyczuła coś podejrzanego. Trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że chciała się dowiedzieć czegoś więcej, trochę też po prostu z nudów, z braku lepszego zajęcia ruszyła za nim.

Evanlyn nie chciała jednak, by Skandianin zorientował się, że jest śledzony. Zajrzała więc ostrożnie w głąb zacienionego przesmyku, gdzie zniknął – akurat w porę, by ujrzeć, jak za rogiem budynku skręca w prawo. Nie poszła za nim, tylko skierowała się do następnej uliczki, gdzie przystanęła i znów zerknęła; tak jak się spodziewała, Slagor mignął jej w przejściu, a w następnej chwili przepadł za kolejnym budynkiem.

Wyraźnie kierował się w stronę portu, gdzie kołysały się zacumowane okręty. Zdała sobie sprawę, że jej zachowanie może się komuś wydać podejrzane, szybko więc rozejrzała się dookoła, by sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje. Nic wszakże na to nie wskazywało. Jednak, nim znów ruszyła tropem skandyjskiego szypra, przeszła dla pewności na drugą stronę ulicy.

Przemykając niepostrzeżenie od budynku do budynku, ujrzała go jeszcze kilkakrotnie; najwyraźniej potwierdzało się przypuszczenie, że Slagor zmierza w stronę portu. Nie było w tym nic podejrzanego. Prawdopodobnie cumował tam jego okręt, ustawiony wraz z innymi. Pewnie zachowanie Skandyjczyka wydało się jej podejrzane dlatego, że Slagor zawsze działał tak, jakby miał nieczyste sumienie.

Ale jednak instynkt podpowiadał jej, że tym razem Slagor naprawdę ma coś do ukrycia. Że coś knuje.

Evanlyn, rzecz jasna, zdawała sobie sprawę, że jej sytuacja w Hallasholm nie wygląda wcale wesoło. To prawda, w imię wyższych racji Ragnak łatwo zrezygnował z ukarania zbiegłych niewolników. Gdyby jednak wyszło na jaw, kim dziewczyna jest naprawdę, nietrudno było przewidzieć, jak władca się wtedy zachowa. Nie miał wyboru, złożył przysięgę, z której nie wolno mu było się wycofać. Poprzysiągł śmierć jej ojcu i wszystkim członkom araluеńskiej rodziny panującej. Tym bardziej wydało jej się ważne, by dowiedzieć się, co takiego skrywa Slagor. Przyspieszyła kroku, prawie biegiem przemierzyła jedną z wąskich poprzecznych uliczek, docierając w ten sposób do nabrzeża, którym szedł teraz Slagor.

Gdy wysunęła głowę zza rogu budynku, znajdował się jakieś dwadzieścia metrów przed nią. Nie spoglądał za siebie, najwyraźniej nie miał pojęcia, że jest śledzony. Po lewej stronie kołysały się maszty zacumowanych okrętów. Po prawej widniały wejścia do portowych tawern. Szybkim krokiem Slagor kierował się ku jednej z nich.

Instynktownie schowała się w bramie, gdy stanął przed wejściem. I dobrze zrobiła, bo teraz jednak się rozejrzał, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś widzi, dokąd się udaje. Ukryta w cieniu, zmarszczyła brwi.

Czego może obawiać się Slagor w samym środku Hallasholm? – zastanowiła się. Jasne, że był powszechnie nielubiany, ale przecież to nie znaczy, że coś mu grozi. Najwyraźniej chodzi o coś podejrzanego – pomyślała i postanowiła, że dotrze do sedna sprawy. Opodal zauważyła

okręt Slagora, „Wilczy kieł", zacumowany przy drewnianym pomoście. Rozpoznała go po rzeźbionej figurze na dziobie, zwanej galionem; każdy ze skandyjskich okrętów zdobiła inna rzeźba, a tę pamiętała aż nazbyt dobrze z tamtego dnia, gdy „Wilczy kieł" dopłynął ostatkiem sił do przystani na Skorghijl. Wraz z nim nadeszła wieść o złowróżbnym ślubowaniu Ragnaka, grożącym śmiercią jej ojcu oraz jej samej, niełatwo więc przyszłoby jej zapomnieć, jak ów galion wygląda.

Kryła się jeszcze w bramie, gdy z tyłu otwarły się drzwi i wyszły dwie Skandianki, niosące puste wiklinowe kosze; niewiasty bez wątpienia wybierały się po zakupy. Zmierzyły zdumionym spojrzeniem cudzoziemkę, a ona cofnęła się czym prędzej, schodząc im z drogi.

– A ta czego tu szuka? – usłyszała nieprzychylny komentarz, po czym obie niewiasty skierowały się w stronę placu targowego. Evanlyn zrozumiała, że jako obca zbytnio rzuca się tu w oczy. W każdej chwili Slagor mógł wyjść z tawerny i ją zobaczyć. Zerknęła niepewnie w stronę jego okrętu, a potem w jednej chwili podjęła decyzję. Odległość dzielącą ją od „Wilczego kła" przebyła biegiem. Spodziewała się, że wkrótce Slagor wejdzie na pokład, a wówczas może uda jej się dowiedzieć, jakie plany snuje skandyjski kapitan.

Oczywiście, na pokładzie czuwał strażnik. Jednak tylko jeden, a w dodatku wpatrywał się rozmarzonym wzrokiem w odległy horyzont, oparty o reling na rufie. Schyliła głowę, by skryć się za wysokim dziobem okrętu, podciągnęła się i z łatwością wskoczyła na pokład. Wylądowała na deskach prawie bezgłośnie stopami obutymi w miękką skórę. Natychmiast skryła się pośród stanowisk wioślarzy, położonych poniżej głównego pokładu. W tej chwili nie było tam nikogo, a pełniący straż na rufie wojownik nie mógł jej dostrzec. Była to jednak tylko tymczasowa kryjówka, rozejrzała się więc za lepszą.

Na samym dziobie, w miejscu złączenia burt, utworzony w ten sposób trójkątny zakątek nakryty został płócienną plandeką. Bez trudu mogłaby się pod nią skryć, jeśli tylko się tam zakradnie, nie zwracając uwagi strażnika. Jeszcze moment i już leżała na zwojach grubej, szorstkiej liny; coś twardego wbijało jej się boleśnie w bok. Zmieniła nieco pozycję. Tym czymś okazała się łapa kotwicy, teraz niepotrzebnej, skoro okręt cumował przy pomoście. Przypomniała sobie, że załoga okrętu Eraka także w podobnym miejscu umieściła kotwicę, gdy przebyli Morze Białych

Sztormów. Uznała, że kryjówka jest całkiem godziwa. Potem przyszło jej na myśl, iż jedynie marnuje czas. Przecież całkiem możliwe, że Slagor odwiedził port, by napić się do syta mocnej gorzałki, jak to było w skandyjskim zwyczaju, a potem powróci do swej kwatery.

Cóż, najwyżej trochę sobie tutaj posiedzę – pomyślała. I tak nie miała nic lepszego do roboty. Nic złego się nie stanie, jeśli poczeka godzinę lub dwie i przekona się, co wyniknie dalej. Nie miała co prawda pojęcia, czego i w jaki sposób może się w ten sposób dowiedzieć. Poszła za Slagorem, wiedziona impulsem. Jednak skoro już się zdecydowała, postanowiła odczekać jeszcze trochę w swej kryjówce w nadziei, że zobaczy lub usłyszy coś interesującego, kiedy – i jeśli – szyper zajrzy na pokład.

W forpiku było ciepło i nawet zrobiło się całkiem wygodnie, gdy umościła sobie siedzisko z lin. Oparła głowę na rękach; w tej pozycji mogła spoglądać przez szparę w płótnie i obserwować – gdyby coś zaczęło się dziać. Usłyszała kroki strażnika, który po jakimś czasie przestał obserwować zatokę i podszedł do burty od strony lądu. Krzyknął do kogoś, kto znajdował się na nabrzeżu. Niemal natychmiast padła odpowiedź, ale Evanlyn nie zdołała rozróżnić słów. Uznała, że pewnie pozdrowił przechodzącego znajomego. Ziewnęła. W cieple zaczęła ją ogarniać senność. Zeszłej nocy spała źle, bo rozmyślała o Willu i o tym, jak z każdym dniem łącząca ich dotąd przyjaźń zdawała się odchodzić w niepamięć. Starała się zrzucić winę na Halta, ale jakoś nie mogła w sobie wzbudzić nieprzychylnych uczuć wobec niskiego, brodatego zwiadowcy. Zbyt go polubiła, a poza tym zdecydowanie odpowiadało jej oschłe poczucie humoru Halta. Mało tego, przecież ocalił jej życie i uwolnił z rąk temudżeińskiego patrolu. Westchnęła. Nie, to nie wina Halta. Ani też Willa. Chyba po prostu tak już musiało być. Zwiadowcy są inni niż większość zwykłych ludzi i nawet księżniczka musi się z tym pogodzić.

Zwłaszcza księżniczka.

Ocknęła się nagle, bo wydawało jej się, że spada. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że usnęła, ułożywszy się na zwojach liny. Wiedziała jednak, co ją obudziło. Pokład pod nią drgnął nagle, gdy „Wilczy kieł" odbił od nabrzeża i wypłynął na morze. Dosłyszała skrzypienie wioseł. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że znalazła się w pułapce.

Nawet nie miała pojęcia, dokąd zmierza unoszący ją okręt.

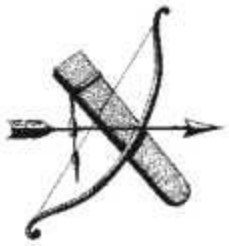

Wspólnym wysiłkiem Halt i Will zdołali wyszukać stu niewolników, którzy twierdzili, że posiadają jakie takie pojęcie o strzelaniu z łuku.

Teraz wszelako należało ich przekonać, by zechcieli wziąć udział w obronie Hallasholm.

Potężnie zbudowany leśnik z Teutonii, wypowiadając się w imieniu wszystkich, spytał:

– Dlaczego mielibyśmy pomagać Skandianom? Oni nie zrobili dla nas nic, schwytali nas w niewolę, bili i głodzili.

Halt z uwagą przyjrzał się rosłemu Teutonowi. Zapewne niektórzy niewolnicy istotnie nie dojadali, ten jednak nie sprawiał wrażenia zagłodzonego chucherka. Cóż, zasadniczy aktualnie problem wynikał z innych przyczyn.

– Lepiej być niewolnikiem u Skandian, niż gdybyście mieli wpaść w ręce Temudżeinów – wyjaśnił zwięźle.

Odezwał się inny ze zgromadzonych mężczyzn; pochodził z południa Gallii i przemawiał z takim akcentem, że niemal nie sposób go było zrozumieć.

– Jak postępują Temudżeini ze swoimi niewolnikami? – spytał niewolnik.

Halt obdarzył Galla zimnym spojrzeniem.

– Temudżeini nie trzymają niewolników – odparł spokojnie, a wówczas przez gromadę skandyjskich brańców przeszedł ożywiony pomruk. Potężny Teuton wyszczerzył się w uśmiechu.

– W takim razie, z jakiej racji mielibyśmy przeciwko nim walczyć? – spytał. – Jeśli pobiją Skandian, odzyskamy wolność.

Słowa te zostały przyjęte owacją ze strony pozostałych. Halt uniósł dłoń. Poczekał cierpliwie, aż się uciszą. Po dłuższej chwili gwar umilkł, a niewolnicy spojrzeli nań wyczekująco, ciekawi, co jeszcze może im zaproponować – co jego zdaniem może być dla nich cenniejsze niż wolność.

– Powiedziałem – Halt odezwał się głośno i wyraźnie, tak by wszyscy go słyszeli – powiedziałem, że Temudżeini nie trzymają niewolników. Nie mówiłem jednak, że ich uwalniają – umilkł, po czym dodał z lekkim wzruszeniem ramion: – Chyba że co pobożniejsi z was uznają, iż śmierć jest ostatecznym wyzwoleniem.

Tym razem zapanował jeszcze donośniejszy zgiełk. Wreszcie samozwańczy teutoński rzecznik zgromadzonych zadał kolejne pytanie, lecz już mniej pewnym siebie tonem:

– Co chcesz przez to powiedzieć, Araluеńczyku? O co ci chodzi z tą śmiercią?

Halt machnął ręką.

– Śmierć to śmierć. Przestaje się żyć i umiera. Śmierć, czyli koniec wszystkiego. Człowiek przenosi się na tamten świat. Albo też pogrąża się w ostatecznym zapomnieniu, to zależy, w co kto wierzy.

Teuton wpatrywał się w Halta, starając się odgadnąć, czy zwiadowca nie próbuje ich okłamać i zastraszyć.

– A-ale… – urwał, nie bardzo wiedząc, jakie zadać teraz pytanie, bo wcale nie był pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź. Ponaglany przez towarzyszy, przemówił: – Dlaczego Temudżeini mieliby nas zabijać? Przecież nic im nie zrobiliśmy.

– Rzecz nie w tym – wyjaśnił Halt – co zrobiliście, a czego nie zrobiliście. Chodzi o to, że nic dla nich nie znaczycie. Temudżeini uważają się za rasę wyższą. Wytną was w pień, bo na nic nie możecie im się przydać. Jeśli wkroczą do Hallasholm, nie będą się zastanawiać, kto się tu znajduje w zgodzie z własną wolą, a kto jest brańcem… Zabiją wszystkich, bo skąd mogą wiedzieć, coście za jedni?

Zapanowało nerwowe milczenie. Halt dał im jeszcze chwilę, by przetrawili jego słowa, po czym odezwał się znów:

– Uwierzcie mi, poznałem ich dobrze i wiem, do czego są zdolni – rozejrzał się po tłumie. – Widzę pośród was kilku Araluеńczyków. Daję wam słowo zwiadowcy, że to nie czcze groźby. Jeśli chcecie utrzymać się przy życiu, waszą jedyną szansą jest walczyć u boku Skandian. Macie pół godziny, żebyście mogli to sobie przemyśleć.

Spytajcie Araluеńczyków, co warte jest słowo zwiadowcy – dodał, po czym dał znak Willowi, by poszedł za nim; oddalili się obaj nieco, na tyle, żeby zgromadzeni niewolnicy nie słyszeli, o czym mówią. – Musimy zaproponować im coś więcej. Przymusem nic nie osiągniemy, tacy rekruci będą niemal bezużyteczni. Jeśli ktoś ma walczyć ze wszystkich sił, musi mieć o co walczyć. A właśnie tego nam trzeba – żeby dali z siebie wszystko.

– Więc co zamierzasz dalej? – spytał Will, prawie biegnąc, by dotrzymać kroku mistrzowi.

– Trzeba rozmówić się z Ragnakiem – odparł Halt. – Musi obiecać, że zwróci wolność każdemu niewolnikowi, który będzie walczył w obronie Hallasholm.

Will pokręcił głową z powątpiewaniem.

– To mu się nie spodoba – zauważył.

Halt odwrócił się i zerknął na chłopaka z ledwo dostrzegalnym uśmiechem w kącikach ust.

– Z pewnością – przyznał.

– Wolność? – wybuchnął Ragnak. – Mam zwrócić im wolność? Stu niewolnikom?

Halt wyjaśnił usłużnie:

– Raczej około trzystu. Wielu z nich ma tu kobiety i dzieci, które będą chcieli zabrać ze sobą.

Oberjarl zaśmiał się głośno i pogardliwie.

– Czyś ty oszalał? – spytał. – Jeśli uwolnię trzystu niewolników, nie zostanie mi ani jeden! I co wtedy zrobię?

– Jeśli się nie zgodzisz, możesz już ich w ogóle nigdy nie potrzebować, bo nie będziesz miał kraju – odparł Halt, zupełnie nie zważając na rozdrażniony ton skandyjskiego władcy. – Natomiast jeśli chodzi o to, co zrobisz potem – hm, może powinieneś im płacić? Wówczas wielu z nich zechce zostać, tyle że jako służba, a nie jako niewolnicy.

– Mam im płacić? Płacić za wykonywanie pracy, którą teraz wykonują za darmo? – parsknął pogardliwie Ragnak.

– A czemu nie? Bogowie dobrze wiedzą, że cię na to stać. Przekonasz się, iż będą tę samą pracę wykonywać lepiej, jeśli pod koniec dnia czekać ich będzie coś lepszego niż chłosta.

– Do diabła z nimi! – zawołał Ragnak. – I do diabła z tobą, zwiadowco. Zgodziłem się słuchać twoich rad, ale tego już za wiele. Gdybym postąpił wedle twoich słów, skończyłbym jako żebrak. Najpierw chcesz, żebym oddał Hallasholm tej konnej bandzie przybłędów ze wschodu. Teraz znów żądasz, żebym odesłał wszystkich niewolników tam, skąd pochodzą. Do diabła z tobą, powiadam, i tyle.

Wpatrywał się gniewnym wzrokiem w zwiadowcę jeszcze przez kilka chwil, po czym machnął wzgardliwie ręką i odwrócił się. Halt milczał przez krótki czas, a potem spojrzał na Eraka, który stał obok swego oberjarla z miną wyraźnie wskazującą, że nie wie, jak się powinien zachować.

– Powtarzam, ci ludzie są nam potrzebni – rzekł z naciskiem. – Nawet gdy będziemy dysponować oddziałem łuczników, możemy ponieść klęskę. Jednak jeśli zechcą walczyć po naszej stronie, dobrowolnie, nie z musu, zyskamy jakąś szansę – wskazał kciukiem w stronę oberjarla. – Wytłumacz mu to.

Odwrócił się na pięcie i opuścił salę narad; Will pospieszył za nim.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, Halt rzekł właściwie do siebie, ale na tyle głośno, że Will go usłyszał:

– Ciekawe, czy przyszło im do głowy, że jeśli zmuszą niewolników, by dla nich walczyli i jeśli jakimś niewiarygodnym cudem jednak zwyciężymy, nic nie powstrzyma tych ludzi przed zbrojnym buntem przeciwko dotychczasowym panom. – Ponieważ Willowi również już taka myśl przeleciała przez głowę, przytaknął. – Właśnie dlatego – ciągnął Halt – musimy dać im coś, o co warto walczyć.

Niewolnicy czekali na terenie ćwiczebnym od ponad godziny. Zdążyli w tym czasie naradzić się i stwierdzić, że owszem, zgadzają się walczyć u boku Skandian przeciwko Temudżeinom. Jednak nachmurzone spojrzenia niektórych jasno dawały Haltowi i Willowi do zrozumienia, że gdy będzie po bitwie, nie oddadzą potulnie broni i że niełatwo będzie ich skłonić, by z wojowników na powrót stali się niewolnikami.

Gdy nadszedł Erak, rozległ się pomruk oczekiwania. Jarl zbliżył się do Halta oraz Willa, którzy stali nieco na uboczu.

– Ragnak się zgodził – mruknął jarl. – Jeśli będą walczyć, zwróci im wolność.

Halt odetchnął z ulgą. Doskonale zdawał sobie sprawę, komu zawdzięcza decyzję Ragnaka.

– Dzięki – rzekł. Skandianin machnął tylko ręką, a Halt objaśnił Willowi: – To będą teraz twoi ludzie. Niech się przyzwyczajają, że ty wydajesz im rozkazy. No, sam im to powiedz.

Will otworzył usta, zaskoczony. Był przekonany, że Halt przemówi do brańców osobiście. Jednak gdy zwiadowca ponaglił go skinieniem głowy, postąpił parę kroków w stronę zebranych i zawołał:

– Słuchajcie! – Pomruk wiedzionych półgłosem rozmów urwał się jak nożem ucięty. Will odczekał chwilę czy dwie, by mieć pewność, że słyszą go wszyscy i odezwał się znów: – Ragnak podjął decyzję. Jeśli będziecie walczyć za Skandię, zwróci wam wolność.

Przez chwilę panowało zdumione milczenie. Niektórzy z tych ludzi spędzili w niewoli dziesięć lat, może i więcej. A teraz niepozorny młody człowiek daje im szansę na wyzwolenie. W jednej chwili rozległ się potężny ryk triumfu i radości, z początku bezładny i nieujęty w słowa, lecz szybko przeradzający się w rytmiczne, dobywające się ze stu gardeł, skandowanie:

– Wolność! Wolność! Wolność!

Will zostawił im trochę czasu, by wykrzyczeli nieoczekiwaną radość. Po chwili wszedł na pniak ściętego drzewa, by widzieli go wszyscy i zamachał ramionami, aby ich uciszyć. Skandowanie stopniowo umilkło, brańcy zgromadzili się wokół niego, pragnąc usłyszeć, co jeszcze ma im do powiedzenia.

– Tak jest. Wolność – przemówił. – Przedtem jednak musimy załatwić jedną drobną sprawę, musimy pokonać Temudżeinów. A więc, do roboty!

Halt i Erak przyglądali się, jak Will nadzoruje wydzielanie strzał swoim nowym ludziom. I jeden, i drugi skinęli do siebie z aprobatą dla poczynań chłopaka.

– Byłbym zapomniał – rzekł Erak do Halta. – Ragnak kazał przekazać ci jeszcze jedną wiadomość. Powiedział, że jeśli przegramy tę bitwę, a on w dodatku straci swoich niewolników, urwie ci uszy, a następnie zabije – oznajmił wesolutko.

Halt uśmiechnął się bez żadnej wesołości.

– Jeśli przegramy bitwę, będzie musiał odczekać w długiej kolejce, by dopiąć swego. Bowiem przed nim w kolejce ustawi się w tym samym celu kilka tysięcy temudżeińskich jeźdźców.

Will przywołał okrzykiem ostatnią grupę dziesięciu ludzi; poprzednia dziesiątka zeszła ze stanowisk strzeleckich i zasiadła na ziemi obok innych, by obserwować poczynania towarzyszy. Will podzielił ich na zespoły; tak mógł łatwiej ocenić, jak sobie radzą i przekonać się, na ile ściśle potrafią wykonywać jego rozkazy, strzelając pod wyznaczonym kątem.

– Gotowi! – zawołał.

Każdy z dziesiątki sięgnął po strzałę do stojącego przed nim kosza i założył ją na cięciwę. Stali, czekając na następny rozkaz.

– Pamiętajcie – powiedział zdecydowanie – nie próbujcie sami celować. Macie tylko przyjąć taką pozycję, jaką wam podam, naciągnąć łuk i kiedy dam rozkaz, wypuścić strzałę.

Widział po ich twarzach, że rozumieją. Z początku nie byli zachwyceni tym, iż nie wolno im samodzielnie celować i że komenderować nimi ma ktoś tak młody. W odpowiedzi, za namową Halta, Will dokonał demonstracji swych umiejętności. Wówczas, chcąc nie chcąc, musieli przyznać, że żaden spośród nich nie może nawet marzyć, by mu dorównać. Wkrótce też przekonali się, że kiedy wypełniają dokładnie polecenia młodego zwiadowcy, ich strzały trafiają o wiele skuteczniej.

Will wziął głęboki wdech, po czym zawołał:

– Pozycja trzecia! Naciągnąć!

Dziesięcioro ramion dzierżących łuki uniosło się pod kątem około czterdziestu stopni. Will sprawdził szybko, czy wszyscy dokładnie zapamiętali prawidłową pozycję. Ćwiczył ich w tym przez cały dzień.

– Strzelać! – zawołał, nim poczuli zmęczenie w napiętych mięśniach.

Niemal jednocześnie rozległ się brzęk zwalnianych cięciw i świst strzał zataczających łuk w powietrzu.

Will obserwował, jak pociski mknęły w górę, a potem spadały i wbijały się niemal na pół długości w ziemię. Zawołał znów:

– Pozycja trzecia, gotowi!

Tak jak poprzednio, dziesięciu mężczyzn nałożyło strzały na cięciwy, wyczekując następnej komendy Willa.

– Naciągnąć!... Strzelać!

Tym razem, gdy strzały wbiły się w ziemię, Will zmienił rozkaz:

– Pozycja druga... gotowi!

Trzymające łęczyska ramiona wyciągnęły się pod kątem trzydziestu stopni.

– Naciągnąć!... Strzelać!

Kolejnych dziesięć strzał wzniosło się w powietrze. Will skinął głową w stronę spoglądających nań wyczekująco dziesięciu mężczyzn. Wykonali ostatnią pozycję, po czym Will przerwał ćwiczenia.

– Teraz sprawdzimy, jak wam poszło – oznajmił.

Ruszył przez otwarte pole, a za nim dziesięciu łuczników. Nakreślone na ziemi linie wyznaczały odległości pięćdziesięciu, stu, stu pięćdziesięciu i dwustu metrów. Przy strzale oddanym z trzeciej pozycji, czyli przy ramieniu uniesionym pod kątem czterdziestu stopni, pocisk powinien osiągnąć odległość stu pięćdziesięciu metrów. Gdy doszli do odpowiedniej linii, Will stwierdził, że wynik jest całkiem niezły. Szesnaście strzał utkwiło co najwyżej kilka metrów od mety. Dwie poleciały zbyt daleko, a dwie upadły za blisko. Sprawdził najpierw pociski padające zbyt daleko – drzewca ponumerował, mógł więc bez trudu ocenić, jak sprawia się każdy z dziesięciu łuczników. Przekonał się, że strzały zbyt dalekie oddało dwóch różnych ludzi.

Wrócił teraz do pocisków, które wylądowały zbyt blisko. Zmarszczył brwi – na obu drzewcach widniał ten sam numer. Znaczyło to, że za każdym razem ten sam łucznik popełnił identyczny błąd, którego skutkiem

była utrata zamierzonej odległości. Will odnotował w pamięci numer, po czym sprawdził rezultat trzeciego wystrzału. Tu również pociski utkwiły w zadowalającej bliskości od siebie i wyznaczonej linii, oprócz jednej, która znów znalazła się zbyt blisko. Właściwie nie musiał sprawdzać jej numeru, ale dla porządku rzucił okiem – teraz miał pewność, że ciągle ten sam łucznik nie osiąga pożądanej odległości.

Mruknął do siebie w zamyśleniu, a potem zawołał:

– Doskonale! A teraz pozbierajcie swoje strzały.

Skierował się na powrót do stanowiska, z którego strzelali. Dziesięciu łuczników podążyło jego śladem.

– Kto zajmował czwarte pole? – spytał.

Jeden ze strzelców zmieszany, z podniesioną do góry ręką, niczym wystraszony uczniak wystąpił z szeregu. Will oszacował wzrokiem mocno zbudowanego brodacza liczącego sobie około czterdziestu lat. Spostrzegł, że tamten lęka się drobnego zwiadowcy niczym ognia.

– To ja, panie – bąknął. Will skinął na czterdziestolatka.

– Weź łuk oraz dwie lub trzy strzały – polecił.

Mężczyzna podniósł swoją broń i wybrał dwa pociski z kosza stojącego przy jego polu strzeleckim. Zdenerwował się tak, że oba wypadły mu z rąk, więc schylił się niezdarnie, by je podnieść.

– Spokojnie – uśmiechnął się do niego Will. – Chcę tylko sprawdzić twoją technikę.

Tamten usiłował odpowiedzieć uśmiechem. Wiedział, że właśnie jego strzały upadły zbyt blisko, więc spodziewał się kary. Tak bowiem wyglądało życie niewolników w Hallasholm. Jeśli ktoś otrzymał polecenie i nie wykonał go, zostawał ukarany. Lecz dowodzący grupą młodzik o kasztanowych włosach nie okazał gniewu, tylko kazał mu się uspokoić i w dodatku uśmiechnął się. Całkiem nowe doświadczenie w niewolniczym życiu brodacza.

– Przyjmij pozycję – polecił Will, a mężczyzna stanął z lewą stopą wysuniętą do przodu, trzymając lewą, dzierżącą łuk dłoń na wysokości pasa. – Pozycja trzecia – rzucił cicho Will, a mężczyzna uniósł wyciągniętą rękę tak, jak uczono go przez cały dzień.

Will przyjrzał się uważnie. W pozycji trudno było dopatrzyć się czegoś nieprawidłowego.

– Świetnie – powiedział. – Teraz naciągnij, proszę.

Mężczyzna nazbyt wierzył w siłę ramienia, za mało wykorzystując mięśnie pleców, by napiąć cięciwę. Lecz chodziło przecież o stosunkowo drobny błąd, w dodatku łucznik popełnił go nieświadomie.

– Teraz… strzelaj.

Tak, tutaj mamy problem – pomyślał Will. Brodacz na ułamek sekundy przed wypuszczeniem strzały złagodził odrobinę napięcie łuku, przesuwając nieco prawą dłoń do przodu. W momencie strzału łuk tracił zatem sprężystość i nie mógł oddać pociskowi całej swej siły. Halt z Willem sprawdzili wcześniej, czy wszystkie łuki mają taki sam naciąg i czy strzały są dokładnie tej samej długości, by upewnić się, że da się za ich pomocą osiągnąć powtarzalne rezultaty. Will wiedział więc, że podstawową przyczyną odchyleń były drobne niedociągnięcia techniczne, takie jak to.

Spojrzał w dal, gdzie pośród brązowej zeszłorocznej trawy widniał barwny bełt pocisku. Tak jak się spodziewał, znów wylądował zbyt blisko. Will wytłumaczył łucznikowi, na czym polega błąd, wprawiając brodacza w zdumienie, bowiem tamten najwyraźniej nie miał pojęcia, iż w kluczowym momencie osłabia siłę wystrzału.

– Popracuj nad tym – klepnął go po przyjacielsku po ramieniu. Dawno już nauczył się od Halta, że życzliwa zachęta w takich sytuacjach skutkuje znacznie lepiej niż miażdżąca krytyka.

Will był szczerze zaskoczony, kiedy Halt powierzył mu szkolenie łuczników. Wiedział co prawda, że to on pokieruje oddziałem podczas bitwy, ale przypuszczał, że ćwiczeń doglądać będzie jednak Halt. Lecz zwiadowca stwierdził tylko:

– Gdy przyjdzie do bitwy, ty będziesz wydawał im rozkazy. Niech więc przyzwyczają się zawczasu, że jesteś ich dowódcą.

Przypomniał sobie jeszcze inną radę, której udzielił mu mistrz: „Żołnierze lepiej wykonują polecenia, kiedy je rozumieją. Staraj się więc, żeby zawsze dokładnie wiedzieli, co masz na myśli”.

Wszedł na platformę z desek, którą sporządził, by móc z niej przemawiać do całej grupy.

– Na dzisiaj koniec – oznajmił podniesionym głosem. – Jutro będziecie strzelać wszyscy razem. Niech ci z was, którym wskazałem jakieś techniczne błędy, poćwiczą jeszcze do wieczornego posiłku, żeby się ich wyzbyć. A potem wyśpijcie się porządnie – miał już skończyć, gdy przypomniało mu się jeszcze coś: – Nieźle się dziś wszyscy sprawiliście.

Oby tak dalej, a wówczas Temudżeinów czeka bardzo przykra niespodzianka.

Usłyszał pomruk zadowolenia wydany przez stu mężczyzn. Potem łucznicy rozeszli się w różne strony, by poszukać schronienia przed chłodem we wnętrzach budynków. Na placu zostali tylko ci, którzy musieli jeszcze trochę poćwiczyć. Will uświadomił sobie, że jest później, niż mu się wydawało. Słońce zbliżało się już ku szczytom wzgórz za Hallasholm, cienie stawały się coraz dłuższe. Wzdrygnął się, gdy poczuł powiew wieczornej bryzy, więc sięgnął po płaszcz, który wcześniej przewiesił przez poręcz podwyższenia.

Kilku chłopców wyznaczonych mu do pomocy, nie czekając na rozkaz, zebrało kosze pełne strzał, by zanieść je do jednej z szop wznoszących się opodal pola ćwiczebnego. Will nie mógł nie zauważyć pełnych podziwu spojrzeń, jakie rzucali mu, zabierając się do pracy. Był od nich starszy ledwie o kilka lat, a oto dowodził oddziałem stu łuczników. Uśmiechnął się do siebie. Cóż, to chyba normalne, że skoro podziwiają go jako bohatera, ich podziw sprawia mu nieco przyjemności.

– Wyglądasz na zadowolonego z siebie – usłyszał znajomy głos. Odwrócił się. Horace musiał zajść go od tyłu, kiedy Will przemawiał do swoich podkomendnych. Wzruszył ramionami, siląc się na obojętność.

– Raczej z moich łuczników – rzekł. – Odwaliliśmy dzisiaj kawał dobrej roboty, całkiem nieźle sobie radzą.

– A i owszem, zauważyłem – przyznał Horace, po czym dodał zatroskanym tonem: – Evanlyn tu z tobą nie było?

Will z miejsca przeszedł do ofensywy:

– A jeżeli była, to co? – spytał zaczepnie. Ujrzał, że wyraz niepokoju natychmiast zniknął z twarzy Horace'a i zdał sobie sprawę, że błędnie zinterpretował pytanie zadane przez przyjaciela.

– Więc była? – ucieszył się Horace. – Co za ulga. A gdzie jest teraz?

– Zaraz, zaraz. Chwileczkę – Will zmarszczył czoło, kładąc dłoń na muskularnym przedramieniu Horace'a. – Dlaczego ulga? Coś się stało?

– To znaczy, nie było jej tu? – stwierdził pytająco Horace i mina znów mu zrzedła, gdy Will pokręcił głową.

– Nie. Wiesz, myślałem, że jesteś. – Will miał już powiedzieć „zazdrosny", ale jakoś to słowo nie przeszło mu przez gardło. Zrozumiał

zresztą od razu, że jego towarzysz ma całkiem co innego na myśli. Horace nawet nie zwrócił uwagi na niedokończoną wypowiedź Willa.

– Gdzieś przepadła – wyjaśnił tym samym zatroskanym tonem. Rozłożył ręce i spojrzał dookoła po pustym polu ćwiczeń, jak gdyby, nie wiedzieć czemu, spodziewał się ją tu ujrzeć. – Nikt jej nie widział od wczorajszego ranka. Szukałem wszędzie, ale zginęła bez śladu.

– Zginęła? – powtórzył Will, nie całkiem rozumiejąc. – Tylko gdzie zginęła?

Horace nagle się rozzłościł.

– Gdybym wiedział, gdzie zginęła, to chyba bym ją znalazł, nie?

Will uniósł dłonie w pokojowym geście.

– Dobrze, dobrze! – zawołał. – Nie od razu cię zrozumiałem. Miałem głowę zaprzątniętą moimi łucznikami. Ale słuchaj, przecież ktoś musiał ją widzieć wczoraj wieczorem? Może ktoś ze służby?

Horace ponuro pokręcił głową.

– Wypytałem wszystkie pokojówki – oświadczył. – Przez większą część wczorajszego dnia byłem z innymi na patrolu. Wiesz, żeby sprawdzić, czy jakieś oddziały szperaczy wroga nie zostały posłane przodem. Wróciliśmy do Hallasholm sporo po wieczerzy, więc nie zorientowałem się, że Evanlyn nie ma. Dopiero dziś rano zajrzałem do niej i dowiedziałem się, że nie wróciła na noc i przez cały dzień nikt jej nie widział. Dlatego miałem nadzieję, że może ty… – urwał.

– Też jej nie widziałem – odparł Will. – Ale posłuchaj, przecież to śmieszne! – zawołał po krótkiej chwili milczenia. – Hallasholm jest za małym miastem, żeby ktoś tutaj mógł się zgubić. A gdzie indziej mogłaby się wybrać? Zastanów się, przecież chyba nie mogła tak po prostu… zniknąć?

– To samo sobie w kółko powtarzam – rzekł ponuro Horace – ale wygląda na to, że jednak zniknęła.

Zaniepokojeni już na dobre, obaj udali się do kwatery Halta. Wszystkim Araluеńczykom wyznaczono pokoje w głównym budynku dworu.

Ponieważ Halt pełnił funkcję doradcy oberjarla, przydzielono mu kwaterę składającą się aż z trzech izb, co prawda niewielkich. Will zapukał i usłyszał mrukliwą odpowiedź:

– Wejść.

Gdy znaleźli się w środku, ujrzeli, iż siedział tam już Erak, zresztą rosłego Skandianina trudno byłoby nie dostrzec. Odnosiło się wrażenie, że po brzegi wypełni każdą zamkniętą przestrzeń, w której się znajdzie. Rozparł się z wyciągniętymi nogami na jednym z wygodnych rzeźbionych foteli stanowiących wyposażenie pokoju – zapewne zdobycznych, przywiezionych z którejś wyprawy. Sylwetka Halta rysowała się ledwie na tle okna rozświetlonego blaskiem późnego popołudnia. Zerknął z umiarkowanym zainteresowaniem w stronę drzwi, przez które wpadli obaj młodzieńcy.

– Halt – zaczął szybko Will – Horace mówi, że Evanlyn zniknęła. Nigdzie jej nie ma.

– Jest tutaj, cała i zdrowa – przerwał mu znajomy głos. Obaj odwrócili się w jej stronę – stała nieco z tyłu, w zacienionej części pokoju, dlatego nie zauważyli jej, wchodząc.

– Evanlyn! – zawołał Horace. – Nic ci się nie stało?!

Dziewczyna uśmiechnęła się. Teraz, gdy oczy przywykły do mroku panującego w zakamarkach izby, Will zauważył na jej twarzy i ubraniu liczne plamy brudu oraz smoły. Pochwyciła jego spojrzenie. Zachichotała, jakby z przekorą. Podniosła do ust butlę, którą trzymała w dłoni i upiła z niej spory łyk.

– Raczej nic mi nie dolega – odpowiedziała, odstawiając naczynie. – Nic, oprócz pragnienia, które nieprędko zdołam zaspokoić. Przez ostatnich osiemnaście godzin brakowało mi czegokolwiek zdatnego do picia, oprócz odrobiny wody deszczowej, która przeciekła przez płótno zakrywające… – przerwała i spojrzała pytająco na Eraka.

– Forpik – podpowiedział jarl.

– No właśnie, forpik. Na okręcie Slagora.

Will i Horace wymienili zdumione spojrzenia.

– Ale po kiego diabła tam lazłaś? – spytał Will, lecz to Halt udzielił odpowiedzi:

– Rzeczywiście, chodzi tu o pewne diabelskie sprawki – rzekł. – Wygląda mi, że niejaki Slagor zaprzedał się Temudżeinom i że zamierza dopuścić się zdrady głównej, wydając im Hallasholm.

– Co? – zdumiał się Will. Z zaskoczenia aż załamał mu się głos. Spojrzał na Evanlyn. – Skąd wiesz?

Dziewczyna wzruszyła szczupłymi ramionami.

– Stąd, że słyszałam, jak rozmawia o tym z temudżeińskim dowódcą. Stali może jakieś dwa metry ode mnie.

– Wszystko więc wskazuje – wtrącił Halt, wyjaśniając dalej – że wasz stary znajomy, Slagor, pożeglował wczoraj wzdłuż wybrzeża, by stawić się na umówione spotkanie z temudżeińskim shanem – który zowie się Haz'kam. Jako że nasz zdrajca najwyraźniej nie ufa zbytnio swoim nowym sprzymierzeńcom, nalegał, by negocjacje odbyły się na pokładzie jego okrętu – w ten sposób ludzie Haz'kama byli w bezpiecznej odległości.

– Dzięki czemu ja wszystko słyszałam – dokończyła Evanlyn. Zdumiony Horace podrapał się po głowie.

– No… ale co robiłaś na jego okręcie? – spytał.

– Już mówiłam – odparła Evanlyn. – Podsłuchiwałam Slagora i tego Temudżeina.

Horace niecierpliwie machnął ręką.

– No tak, tak, to rzeczywiście już mówiłaś. Ale skąd się tam wzięłaś?

Evanlyn chciała odpowiedzieć, ale zawahała się. Wszyscy obecni spoglądali na nią, a ona zdała sobie sprawę, że właściwie nie ma sensownej odpowiedzi na to pytanie.

– Ja… właściwie, nie wiem – odezwała się w końcu. – Chyba nudziłam się. I czułam się nikomu niepotrzebna. Szukałam dla siebie jakiegoś zajęcia. A poza tym Slagor wyglądał jakoś tak… podejrzanie.

– Slagor zawsze wygląda jakoś tak podejrzanie – zauważył Erak, sięgając po owoc leżący przed nim na stole. Evanlyn przyznała mu rację:

– No tak, chyba tak. Ale i wyglądał, i zachowywał się jeszcze bardziej podejrzanie niż zazwyczaj – stwierdziła. – Uznałam więc, że ktoś powinien mieć na niego oko.

Prawdę mówiąc, w zaistniałej sytuacji Evanlyn czuła się wyśmienicie. Jeszcze całkiem niedawno bezużyteczna i nikomu niepotrzebna, teraz dostarczyła Haltowi i Erakowi ważnych, nawet bardzo ważnych wieści. Miała zatem chyba powody do choćby odrobiny dumy. Horace zachował się dokładnie tak, jak przewidywała.

– Ale… przecież mogli cię zauważyć! Co by się stało, gdyby cię znaleźli w kryjówce? Przecież by cię zabili! – stwierdził ze zgrozą w głosie.

Rzecz jasna, to samo przyszło do głowy Evanlyn i to nie raz, gdy siedziała skulona w kąciku na dziobie okrętu. Gdy tylko uświadomiła sobie, w co się wplątała, ze strachu omal nie straciła przytomności. Teraz jednak o wiele przyjemniej było udawać, że nic wielkiego się nie stało.

– Pewnie tak. Ale cóż, ktoś musiał się tym zająć.

Ku swemu zachwytowi skonstatowała, że Horace spogląda na nią jednocześnie i z wyrzutem, i z podziwem. Rzuciła szybko okiem na Willa, mając nadzieję, że na jego twarzy również odbije się wyraz zdumionego jej wyczynem uznania, ale słowa, które młody zwiadowca wypowiedział w następnej chwili, sprowadziły ją na ziemię.

– No, na szczęście nic się nie stało – stwierdził. – Teraz liczy się przede wszystkim informacja, że Slagor sprzymierzył się z wrogiem. Co on właściwie knuje?

– Rzeczywiście, na tym musimy się skupić – przyznał Halt. Wskazał mapę skandyjskiego wybrzeża, którą on i Erak rozłożyli uprzednio na stole. – Otóż nasz przyjaciel Slagor zamierza pojutrze wypłynąć po cichu w morze, by ponownie przybić do tego samego miejsca na wybrzeżu. Tylko

że tym razem czekać tam będzie stu pięćdziesięciu temudżeińskich wojowników. Slagor zabierze ich na pokład i przewiezie tutaj, do Hallasholm.

– Przecież na pokład jednego okrętu żadną miarą nie wejdzie stu pięćdziesięciu ludzi! – przerwał Will.

– Toteż po drodze, za wyspą, czekają jeszcze dwa inne okręty. O, tutaj.

– Wypłynęły przed dwoma tygodniami – odezwał się Erak – aby nękać Temudżeinów. Wygląda na to, że ich szyprowie porozumieli się ze Slagorem i czekają na niego w tym miejscu – za pomocą noża, którym przed chwilą obierał owoc, wskazał punkt na mapie. Kilka kropel soku skapnęło na pergamin. Halt uniósł brew i starł krople ręką, tymczasem jarl mówił dalej: – Na trzech okrętach stu pięćdziesięciu ludzi da się przetransportować.

– A potem? – spytał Horace. Evanlyn, którą ubodło, że wszyscy tak szybko przestali zwracać na nią uwagę i że Will nie przejął się niebezpieczeństwem, które jej groziło, postanowiła włączyć się do rozmowy.

– Wtedy będą mogli zaatakować nas od tyłu – wyjaśniła. – Wyobraź sobie, stu pięćdziesięciu ludzi, którzy zupełnie niespodziewanie pojawiają się za naszymi liniami!

– To rzeczywiście brzmi nie najlepiej – zgodził się Horace. – Co teraz zrobimy?

– Pierwsze kroki zostały już poczynione – odparł Erak.

– Wysłałem Svengala i dwa moje okręty na wyspę Fallkork. – Znów stuknął ociekającym sokiem ostrzem o mapę i Halt znów spojrzał na niego z ukosa. – W ten sposób zyskamy pewność, że pozostałe dwa okręty nie stawią się już na żadne spotkanie.

– Dwa okręty na dwa? – spytał Will. – Czy to nie za mało?

Jarl przekrzywił głowę i roześmiał się krótko.

– Ciesz się, że Svengal cię nie słyszy – odparł. – On uważa, że starczyłaby wyłącznie jego załoga, by rozprawić się z dwoma okrętami pełnymi wszystkich ludzi Slagora. A tym razem będą na nich jedynie wioślarze. Chodzi o to, żeby na pokładzie zostało jak najwięcej miejsca, bo gdzieś przecież trzeba upchnąć tych wszystkich Temudżeinów.

– Co zrobimy ze Slagorem? – spytał Will. Tym razem odpowiedział Halt:

– Tu pojawia się kłopot. Jeśli zorientuje się, że wiemy o jego zamiarach, po prostu zarzuci plan. Niczego nie zdołamy mu udowodnić. Jego słowo przeciwko słowu byłej niewolnicy – w dodatku zbiegłej niewolnicy – uśmiechnął się do Evanlyn, na znak, że nie zamierza w niczym umniejszać wagi zdobytych przez nią wieści, lecz po prostu stwierdza fakt.

– Przecież jeśli Svengal przydybie tamte dwa okręty u brzegów wyspy, to chyba wystarczający dowód? – oburzył się Horace, lecz Halt pokręcił głową.

– Dowód? Na co? Przecież nikt z załogi nie przyzna się, że czekają, by wypłynąć po Temudżeinów – stwierdził.

Horace usiadł ze zmarszczonymi brwiami. To wszystko okazywało dlań zbyt skomplikowane.

– Co w takim razie możemy zrobić? – dopytywał się z kolei Will. Jednak w tej chwili, kiedy uczeń Halta rzucił swe pytanie, ktoś załomotał do drzwi. Spojrzeli po sobie, zaskoczeni. Ze względu na wagę sprawy, rozmawiali przyciszonymi głosami, zatem nagły hałas sprawił, że drgnęli nerwowo, jakby przyłapani na jakiejś zdrożnej czynności.

– Ktoś z was spodziewa się wizyty? – spytał Halt, po czym zawołał: – Wejść!

Drzwi otwarły się i stanął w nich Hodrak, jeden z młodszych wojowników Eraka. Rozejrzał się po pokoju, a na widok Evanlyn przybrał dziwny wyraz twarzy.

– Domyślałem, że cię tu zastanę – odezwał się do Eraka. – Ragnak zwołuje specjalne posiedzenie rady w wielkiej sali. Masz się czym prędzej stawić u oberjarla i przyprowadzić ze sobą tę dziewczynę – wskazał Evanlyn.

– Evanlyn? Dlaczego miałaby uczestniczyć w radzie? – zdziwił się Halt. Kątem oka zauważył, że Evanlyn cofa się, jakby chciała ukryć się przed młodym Skandianinem. Być może przeczuwała już, na co się zanosi.

– Posiedzenie rady właśnie jej będzie dotyczyć – oznajmił Hodrak. – Slagor powołał się na ślubowanie złożone Vallom przez Ragnaka. Twierdzi, że ta dziewczyna jest w rzeczywistości księżniczką Cassandrą, córką króla Duncana.

Gdy pięcioro towarzyszy wkroczyło za Hodrakiem do Wielkiej Sali, powitał ich cichy pomruk zgromadzonych. U szczytu stołu, na rzeźbionym tronie, zasiadał Ragnak. Obok niego, nieco z tyłu, stał pochylony Slagor, szepcząc coś do ucha oberjarla. Ragnak odpędził go gniewnym ruchem ręki, a potem wskazał palcem Evanlyn, która usiłowała schować się za Erakiem.

– Przyprowadźcie ją do mnie! – rozległ się potężny, tubalny głos władcy, który, gdy wypływał jeszcze na zbójeckie wyprawy, przywykł przekrzykiwać sztormy i wichry na Morzu Białych Sztormów. Evanlyn skuliła się, ale zapanowała nad sobą, gdy Halt dotknął jej ramienia i dodał odwagi uśmiechem. Wyprostowała się, uniosła głowę. Will przyglądał jej się z podziwem, gdy przemierzała pustą przestrzeń pośrodku sali. Młody zwiadowca zauważył, że Horace lewą dłonią wciąż bawi się nieznacznie swoim mieczem, jakby bezustannie sprawdzał, czy klinga gładko wychodzi z pochwy. Unosił głownię, a potem opuszczał ją z powrotem. Ręka Willa spoczywała od dobrej chwili na rękojeści noża. Gdyby sprawy przybrały tak niepomyślny obrót, jak mogli się obawiać, miał już z góry obrany cel, a był nim Slagor. Jeszcze na Skorghijl, kiedy to Erak postanowił nauczyć moresu pijanego i napastliwego Slagora, Will popisywał się sprawnością w rzucaniu nożem. Wówczas ostrze trafiło w sam środek beczułki

z wódką, która miała wyobrażać głowę Slagora. Tym razem nóż wbije się w sam środek jego czaszki.

Zgromadzeni spoglądali w milczeniu na Evanlyn, która zatrzymała się przed tronem Ragnaka.

Dziewczyna bez trudu wytrzymała gniewne spojrzenie oberjarla, zaś na jej twarzy malował się spokój. Will podziwiał odwagę i opanowanie przyjaciółki. Slagor skinął na stojących przy bocznych drzwiach dwóch wojowników.

– Wprowadźcie niewolnicę – rozkazał. Jego głos brzmiał miękko, jedwabiście, zupełnie inaczej niż donośny ryk Ragnaka. Will miał wrażenie, że Slagor jest wręcz zachwycony przebiegiem wypadków. Dwaj wioślarze z załogi Slagora odemknęli drzwi i wywlekli zza nich wyrywającą się, zapłakaną kobietę. Była w średnim wieku, lecz przedwcześnie posiwiała, a jej twarz poorały zmarszczki. Fatalny wygląd brał się z niekończącej się codziennej katorgi oraz z życia w ciągłym zagrożeniu okrutną karą. Żeglarze przywlekli ją siłą i rzucili na podłogę przed Evanlyn. Leżała tam skulona, ze spuszczonymi oczyma.

– Spójrz no tu, niewolnico – nakazał jej Slagor tym samym co przedtem, przyciszonym głosem. Szlochała nadal i potrząsała głową, ze wzrokiem wciąż wbitym w deski podłogi. Slagor podszedł do niej szybkim krokiem, dobywając noża. Ostrzem zmusił kobietę, by uniosła głowę, inaczej przebiłby jej skórę.

– Kazałem ci spojrzeć – powtórzył i przycisnął ostrze mocniej, aż wreszcie wzrok nieszczęsnej kobiety uniósł się i spoczął na Evanlyn. Na widok dziewczyny wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem.

– Zamilcz – rozkazał Slagor. – Ucisz się i wyjaw oberjarlowi to, co powiedziałaś mnie.

Twarz kobiety była posiniaczona, najwidoczniej ktoś niedawno ją pobił. Spod poszarpanych łachmanów przeświturywała skóra pokryta pręgami od bata, a w niektórych miejscach cienki materiał nasiąkł krwią. Załzawionymi oczami popatrzyła błagalnie na Evanlyn.

– Wybacz mi, pani – wyjąkała załamującym się głosem. – Bili mnie tak długo, aż nie mogłam wytrzymać i powiedziałam.

Evanlyn mimo woli postąpiła krok naprzód, ale nóż Slagora skierował się momentalnie ku niej, więc zastygła w bezruchu. Will usłyszał, że stojący obok Horace zaczerpnął powietrza, jego lewa ręka drgnęła bezwiednie,

jakby szukając miecza. Will przytrzymał dłoń przyjaciela, aż rycerski czeladnik wstrząsnął się i spojrzał zaskoczony. Will nieznacznie pokręcił głową. Zdawał sobie sprawę, że ruch wykonany przez Horace'a był machinalny, lecz gdyby w pełnej napięcia atmosferze jego przyjaciel dobył broni, mogłoby to oznaczać natychmiastowy koniec ich wszystkich.

– Jeszcze nie – szepnął bezgłośnie. We właściwym czasie, gdyby zaszła taka potrzeba, także zamierzał zaatakować Slagora i Ragnaka. Najpierw jednak należało dać szansę Haltowi, by znalazł jakieś bezkrwawe wyjście z sytuacji.

– Nie odzywajcie się ani słowem – polecił im zwiadowca, nim wyszli, by udać się do Wielkiej Sali. – Zostawcie wszystko mnie. I nie róbcie nic, dopóki wam nie powiem. Jasne?

Obaj – Will i Horace – przytaknęli ruchem głowy. Halt dodał wtedy:

– Oczywiście, teraz nasze oskarżenie wobec Slagora przedstawia się w całkiem innym świetle.

– Ale chyba powiesz Rangakowi o jego zdradzie? -zawołał Will.

Halt z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Kłopot polega na tym, że on uderzył pierwszy. Jeśli go oskarżymy, pomyślą, że desperacko usiłujemy ocalić Evanlyn. Może się zdarzyć, że Ragnak w ogóle nie przyjmie naszych słów do wiadomości.

– Lecz chyba nie pozwolisz, żeby mu uszło na sucho. – zaczął Will, ale Halt uciszył go ruchem dłoni.

– Na nic nie zamierzam mu pozwolić – zapewnił. – Trzeba tylko wybrać właściwy moment, to wszystko.

Slagor ponaglił kobietę leżącą na podłodze:

– No, powiedz oberjarlowi – krzyknął.

Kobieta milczała, więc Slagor, odwróciwszy się w stronę Ragnaka, oświadczył:

– Mój nadzorca usłyszał, jak rozmawiała z inną niewolnicą – wyjaśnił. – Pochodzi z Araluenu i powiedziała, że rozpoznała tę dziewczynę… – wskazał kciukiem Evanlyn. – Rozpoznała ją jako księżniczkę Cassandrę, córkę Duncana.

Ragnak zamyślił się, zmrużył oczy, przyglądając się uważnie Evanlyn. Dziewczyna niosła głowę i wyprostowała się jeszcze bardziej, odpowiadając mu dumnym spojrzeniem.

– Czy ja wiem? Rzeczywiście jest trochę podobna do Duncana – rzekł, nie do końca przekonany.

– Nie! Nie! Myliłam się! – wykrzyknęła nagle niewolnica. Klęcząc, wyciągnęła błagalnym gestem ręce do Slagora. – Teraz, kiedy zobaczyłam ją z bliska, już wiem, że się myliłam, panie. Myliłam się!

– Powiedziałaś do niej „pani" – przypomniał Slagor.

– Myliłam się, panie, nic więcej. To pomyłka. Teraz widzę ją dobrze i wiem, na pewno wiem, że to nie ona – powtarzała kobieta.

Slagor skrzywił się i rzekł do Ragnaka:

– Kłamie, oberjarlu – powiedział. – Ale mój człowiek potrafi ją zmusić, by wyznała prawdę.

Dał znać swoim ludziom, na co jeden z nich zbliżył się, rozwijając krótki, gruby bat. Kobieta skuliła się na ten widok.

– Nie! Błagam, panie, błagam! – jej głos drżał od przerażenia; próbowała uciec na klęczkach, ale człowiek Slagora pochwycił ją za włosy. Krzyknęła wówczas z bólu oraz lęku, a on uniósł nad głowę groźnie wyglądający bicz, gotów zadać pierwsze uderzenie.

– Zostaw ją! – krzyknęła Evanlyn. Na dźwięk jej głosu marynarz zastygł. Później spojrzał niepewnie na Slagora, czekając na polecenie, ale kapitan wpatrywał się w Evanlyn, czekając na jej dalsze słowa.

– Dosyć tego – rzekła spokojnym głosem. – Tak, noszę imię Cassandra, jestem córką Duncana. Możecie wreszcie przestać się nad nią pastwić.

W sali zapadła cisza tak ciężka i gęsta, że nieomal namacalna. Minęła dłuższa chwila, a później wśród zgromadzonego tłumu przeszedł podekscytowany pomruk i Will wyraźnie dosłyszał dochodzące z kilku różnych stron słowo „ślubowanie".

– Milczeć! – wrzasnął Ragnak i gwar natychmiast ucichł. Wstał i podszedł do Evanlyn, spoglądając na nią z góry. – Jesteś córką Duncana?

– Jestem córką króla Duncana – odparła, kładąc nacisk na królewski tytuł swojego ojca. – Jestem Cassandra, księżniczka Araluenu.

– W takim razie umrzesz, bo poprzysiągłem śmierć wszystkim z twojego królewskiego rodu!

Erak postąpił o krok.

– Ja natomiast mym słowem dałem jej rękojmię bezpieczeństwa, oberjarlu – oznajmił. – Tę przysięgę złożyłem, gdy zwróciłem się do zwiadowcy z prośbą, by nam dopomógł.

Osłupiały Ragnak zaniemówił. Znów w całej sali rozległy się ożywione głosy. Erak cieszył się pośród Skandian szczególnym poważaniem, a Ragnak nie przypuszczał, by w tej sprawie czekała go przeprawa właśnie z nim. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na spór ze znamienitym wodzem, kiedy zaledwie dni marszu dzieliły wojska Temudżeinów od bram jego stolicy.

– Jestem twoim władcą – oświadczył – więc moje ślubowanie ma większą wagę.

Erak splótł ramiona na piersi.

– O, nie. Nie dla mnie – oznajmił, a wielu ze zgromadzonych wojowników skwitowało te słowa okrzykami poparcia.

– Erak nie ma prawa sprzeciwiać się w ten sposób twojej woli! Ty jesteś oberjarlem! – wtrącił nagle Slagor.

– Każ go uwięzić! Erak pragnie, byś pogwałcił święte śluby złożone Vallom!

– Milcz, Slagorze – rzucił złowieszczo, choć spokojnym głosem Erak, po czym znów zwrócił się do oberjarla: – Nie prosiłem cię, byś składał ślubowanie, Ragnaku – rzekł. – Jeśli jednak zechcesz je spełnić, najpierw będziesz się musiał zmierzyć ze mną.

Ragnak zszedł z podwyższenia i zbliżył się do Eraka. Byli tego samego wzrostu, równie potężnej budowy. Wpił płonące od gniewu spojrzenie w oczy swojego towarzysza.

– Eraku, czy wiedziałeś? Czy wiedziałeś, kim jest, gdy ją tu przywiozłeś?

Erak potrząsnął głową.

Slagor parsknął pogardliwie.

– Oczywiście, że wiedział! – zawołał, lecz umilkł natychmiast, gdy ujrzał ostrze sztyletu Eraka pod swoim nosem.

– Zarzuciłeś mi kłamstwo – warknął Erak. – Powtórz te słowa, a będziesz trupem.

Slagor cofnął się bez słowa, by znaleźć się w bezpieczniejszej odległości od grożącej mu broni. Erak schował sztylet i odezwał się do Ragnaka:

– Nie, nie wiedziałem – zapewnił. – W przeciwnym razie nie przywiózłbym jej tutaj, bo powiedziano mi o twoim ślubowaniu. Lecz złożyłem przysięgę, a to, że nie wiedziałem, kim jest ta dziewczyna, nie umniejsza wagi danego przeze mnie słowa. Moja przysięga wiąże mnie, tak jak twoja wiąże ciebie.

– Do diabła, Eraku! – zakrzyknął Ragnak. – Za kilka dni przybędą tu wojska Temudżeinów! Nie możemy teraz ze sobą walczyć!

– Szkoda by było, gdyby Skandianie musieli stawić im czoło, utraciwszy jednego, a może i dwóch swoich najlepszych przywódców – wtrącił Halt tonem łagodnej perswazji, na co oberjarl drgnął, jak oparzony.

– Zamilknij, zwiadowco! Gotów jestem przypuszczać, że to wszystko twoja sprawka! Nigdy nic dobrego nie wynikło z zadawania się z tobie podobnymi!

Halt, nie zwracając uwagi na wściekłość Skandianina, odparł:

– Co do tego zdania są podzielone – zauważył. – Przyszło mi jednak na myśl, że istnieje rozwiązanie waszego problemu, przynajmniej tymczasowe.

W sali znów zapanowała głucha cisza. Ragnak spoglądał na Halta przymrużonymi oczami, spodziewając się jakiegoś fortelu lub wybiegu z jego strony.

– O czym ty mówisz? Ślubowałem, a tego cofnąć się nie da – powiedział.

Halt skinął głową.

– To zrozumiałem. Ale czy w swej przysiędze uwzględniłeś kwestię czasu, w którym powinieneś wypełnić śluby? – spytał.

Ragnak był tyleż podejrzliwy, co zdumiony.

– Jaką znowu kwestię czasu? Co masz na myśli?

– To proste. Zakładając, że zamierzasz dołożyć wszelkich starań, aby uśmiercić Evanlyn, i wiedząc, że Erak uczyni wszystko, by cię przed tym powstrzymać – nie wspominając już o tym, że jeśli on nie zdoła tego dokonać, ja także nie mam zamiaru pozwolić, byś zabił córkę mojego władcy, otóż biorąc to wszystko pod uwagę, zechciej odpowiedzieć mi na jedno pytanie: czy przysięgałeś, że spełnisz swe ślubowanie w jakimś określonym czasie?

Wyraz zdumienia na obliczu Ragnaka stał się jeszcze bardziej widoczny.

– Nie… o żadnym czasie nie było mowy. Ślubowałem i tyle – oznajmił po chwili.

– To dobrze – stwierdził Halt. – Tak więc, jeśli chodzi o Valle, nie obchodzi ich, czy postarasz się spełnić swoje ślubowanie dzisiaj, czy też zechcesz z tym nieco zaczekać, na przykład do chwili, gdy pozbędziemy się zagrożenia ze strony Temudżeinów. Nieprawdaż?

Na twarzy oberjarla pojawił się błysk zrozumienia.

– W rzeczy samej – przyznał, kiwając z namysłem głową. – Dopóki jest wola dotrzymania przysięgi, Valle są usatysfakcjonowane.

– Nie! – rozległ się ostry głos Slagora, w którym nie słychać już było owego jedwabistego samozadowolenia.

– Czy nie pojmujesz, oberjarlu, że on usiłuje wyprowadzić cię w pole? Z pewnością coś knuje. Ta dziewczyna musi zginąć i to natychmiast! W przeciwnym razie twoja przysięga nie jest nic warta!

W swej zaciekłości i żądzy zemsty na Evanlyn, zemsty zapiekłej wskutek wydarzeń, które rozegrały się na Skorghijl, Slagor nie zorientował się, że posunął się o krok za daleko.

W oczach Ragnaka zabłysnął gniew.

– Slagorze, będziesz żył dłużej, jeśli wyzbędziesz się tak paskudnego zwyczaju, jakim jest wmawianie lepszym od ciebie, że są kłamcami – wycedził.

Slagor wycofał się czym prędzej:

– Ależ oczywiście, oberjarlu. Wcale nie to chciałem powiedzieć…

Ragnak przerwał mu, nie zamierzając słuchać dalszych tłumaczeń.

– Moją główną troską jest teraz bezpieczeństwo kraju. Nie możemy ze sobą walczyć, mając na karku kilka tysięcy Temudżeinów. Jeśli więc Erak zgodzi się odłożyć nasz spór na później, gdy już się rozprawimy z najeźdźcami, to i ja zaczekam.

Erak zgodził się natychmiast.

– Zdaje mi się, że to dobre rozwiązanie.

Ale Ragnak nie wyzbył się jeszcze podejrzeń. Zmarszczywszy brwi, zwrócił się do Halta:

– Nie umiem pojąć, zwiadowco, co w ten sposób zyskałeś. Tyle tylko zdołałeś osiągnąć, że rzecz się odwlekła.

Halt przechylił głowę, jakby rozważał to zagadnienie.

– To prawda – przyznał. – Lecz w ciągu najbliższych dni niejedno może się zdarzyć. Możesz polec w bitwie, polec może też Erak. Albo i ja. Albo wszyscy trzej możemy zginąć. A prócz tego w tej chwili przede wszystkim zależy mi na tym samym, co tobie: by odesłać Temudżeinów tam, skąd przyszli. Bo widzisz, oberjarlu, jeśli podbiją Skandię, wkrótce napadną na Araluen. Tymczasem ja też przysięgałem bronić mojego kraju – uśmiechnął się ponuro. – Mamy tu, jak widać, jeszcze jedną przysięgę.

Psiakrew, co nas wszystkich odurzyło, by z takim zapałem przysięgać oraz ślubować?

Ragnak odwrócił się i wstąpił na stopień wiodący do tronu.

– W takim razie, zgoda – rzekł. – Najpierw rozprawimy się z Temudżeinami. Potem wrócimy do naszej sprawy.

Erak i Halt wymienili spojrzenia, po czym obaj skłonili głowy na znak zgody. Tylko Slagor, najwyraźniej niezadowolony z zawartego kompromisu, zaklął pod nosem. Halt ujął Evanlyn pod ramię, po czym ruszył z nią ku wyjściu, za zwiadowcą zaś i księżniczką podążyli obaj uczniowie oraz Erak. Uszli jednak zaledwie kilka kroków, gdy Halt zatrzymał się i zwrócił się do Ragnaka:

– Chciałbym jednak zadać jedno pytanie. Nie, nie tobie oberjarlu, lecz Slagorowi – tak jak na to liczył, gdy wymówił imię Skandianina, spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę kapitana „Wilczego kła". A wówczas Halt spytał głośno i wyraźnie:

– Chciałbym mianowicie wiedzieć, czego szukają dwa jego okręty u wybrzeży wyspy Fallkork?

Spojrzenia wojów zwrócone były teraz ku Slagorowi, więc wszyscy dostrzegli jego zdumienie i przerażenie na dźwięk wspomnianej nazwy. Slagor co prawda w mgnieniu oka odzyskał panowanie nad sobą, lecz było już za późno; nim ktokolwiek dowiedział się, co Halt ma do zarzucenia Slagorowi, w umysłach wszystkich obecnych zakiełkowało przekonanie, iż ma coś na sumieniu.

– Nie muszę odpowiadać na twoje pytania, zwiadowco! – wykrzyknął butnie. – Nie masz głosu na tej Radzie!

Erak podszedł tak blisko, że jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Slagora.

– Ale ja mam – odezwał się. – I ja też chciałbym poznać twoją odpowiedź.

– O co tu chodzi, Eraku? – wtrącił się Ragnak, nim Slagor zdążył się odezwać. Erak wciąż wpatrywał się w Slagora.

– W tej chwili dwa okręty Slagora znajdują się u wybrzeży Fallkork – odpowiedział. – On sam zamierza dołączyć do nich pojutrze, a potem popłynąć wraz z nimi do zatoki u ujścia Piaskowego Potoku.

Erak widział wyraźnie, jak krew odpłynęła z twarzy Slagora, kiedy uzmysłowił sobie, iż jego zdradzieckie plany wyszły na jaw. Mówił więc dalej, bezlitośnie, podnosząc głos, by zagłuszyć Slagora próbującego się gorączkowo odezwać.

– Tam zaś zamierza wziąć na pokład stu pięćdziesięciu temudżeinskich wojowników, a potem wysadzić ich przy Hallasholm, by mogli zajść nas niespodziewanie od tyłu.

W sali zapanował nieopisany hałas, wszyscy naraz zaczęli wrzeszczeć. Na próżno Slagor wykrzykiwał ostre słowa sprzeciwu, utrzymując, że jest niewinny. Burzyli się też jego zwolennicy, których było w sali niemało, ale przeważająca większość opowiadała się za Erakiem, na cały głos domagając się głowy Slagora. Zamieszanie trwało długą chwilę, nim Ragnak nie powstał ze swego siedziska.

– Milczeć!!! – ryknął potężnie.

Zapadła cisza, w której słychać byłoby pewnie przelatującą muchę.

– Skąd o tym wiesz? – spytał oberjarl. Jak wielu Skandian, nie przepadał za Slagorem. Jednak sama myśl o równie podłej zdradzie była dla niego wprost nie do pojęcia. Tak odbiegała od prostego i surowego systemu zasad, jakim rządził się skandyjski władca i jego wojowie, iż Ragnak nie mógł uwierzyć, by ktokolwiek był zdolny do podobnej podłości. Nawet Slagor.

– Podsłuchano, jak omawiał swe niecne plany, Ragnaku – wyjawił Erak.

Slagor natychmiast podniósł krzyk.

– To wszystko kłamstwa! Parszywe łgarstwo! Kto mnie podsłuchał? Kto śmie twierdzić, że jestem zdrajcą? Niech się pokaże i powtórzy oszczerstwa wobec wszystkich!

– Tak się szczęśliwie składa, oberjarlu – rzekł Halt, podnosząc głos, by słyszano go wyraźnie w każdym zakątku sali – że jest pośród nas.

Slagor protestował jeszcze goręcej, zaś Ragnak z wyraźną niechęcią spoglądał na zwiadowcę. Odkąd ten człowiek przybył do Hallasholm, wszystko wywróciło się do góry nogami.

– Wysłuchajmy więc jego opowieści – postanowił oberjarl.

– Nie „jego" lecz jej, Ragnaku. Tą osobą jest Evanlyn. Może właśnie dlatego Slagorowi tak zależy, by zgubić ją i uśmiercić.

Sala znów rozbrzmiała setkami głosów, a Will tymczasem zdał sobie sprawę, jak sprawnie Halt rozegrał całą partię. W zamieszaniu, jakie nastało, nikt nie zadał sobie podstawowego pytania: skąd Slagor mógł wiedzieć, że to Evanlyn odkryła jego knowania? Jeśli zaś nie wiedział, nie miał powodu, by żywić osobistą niechęć akurat wobec niej. Jednak, dzięki sprytnemu posunięciu Halta, Skandianie byli już na poły przekonani, że

swym postępowaniem Slagor próbował usunąć niebezpiecznego świadka. W tej sytuacji nie można było po prostu zlekceważyć oskarżenia postawionego przez Evanlyn, przeciwnie – wymagało ono dogłębnego zbadania.

– Dowody! – domagał się gromkim głosem Slagor, a także ci z jego popleczników, którzy zdali sobie sprawę, że ostrze katowskiego topora niebezpiecznie zbliża się do ich karków. – Oskarżać może każdy! Ale gdzie dowody?

Ragnak uciszył zgromadzonych ruchem ręki.

– A zatem, zwiadowco? – spytał Halta. – Czy możesz dostarczyć dowodów świadczących o prawdziwości tego oskarżenia?

Nim Halt zdążył odpowiedzieć, Erak zawołał:

– Svengal sprowadzi jutro te dwa okręty z Fallkork i wszyscy będą mogli ujrzeć je na własne oczy!

Slagor dostrzegł jednak szansę, by się wyłgać, bowiem zrozumiał, że na razie namacalnych dowodów przeciw niemu nie ma.

– I co z tego, że dwa z mych okrętów kotwiczą u brzegu Fallkork? – krzyknął przenikliwym, ostrym głosem. – Czego to dowodzi? Gdzie tu dowód zdrady? Okręty przecież cumują w różnych miejscach, nieprawdaż, Eraku?

Niektórzy ze zgromadzonych, wcale nie tylko jego zwolennicy, przyznali mu głośno rację. Halt już wcześniej wyjaśnił, iż sama obecność okrętów nie wystarczy, by przekonać władcę o zdradzie Slagora. Ten zaś nabrał śmiałości i zakrzyknął, zwracając się nie do oberjarla, a do tłumu:

– Oskarżają mnie o zdradę! Oczerniają! A wszystko to w oparciu o słowa nieprzyjaciół naszego kraju, w oparciu o łgarstwa tej, której nasz oberjarl zaprzysiągł świętą zemstę! Rzuconej potwarzy jednak żadnym dowodem wesprzeć nie mogą. I to ma być skandyjska sprawiedliwość? Ja zaś powiadam: niech najpierw przedstawią dowody!

Jeszcze liczniejszy chór głosów przyznał mu rację. Potem Slagor, niczym dyrygent, uciszył zebranych uniesieniem dłoni i zwrócił się do Halta:

– Czy możesz to uczynić… zwiadowco? – wyrzucił z siebie ostatnie słowo, wypowiadając je tonem obelgi. – Czy potrafisz przedstawić choć jeden dowód?

Halt milczał, zdając sobie sprawę, że stracił inicjatywę, a wraz z nią także i poparcie zgromadzonych. Że poniósł klęskę. Ale wtedy przez tłum

przepchnął się Will i stanął obok swego mistrza.

– Chyba znam sposób, by poznać prawdę – oznajmił.

Niełatwo było uciszyć hałaśliwych Skandian, lecz słowa Willa znalazły posłuch. Głosy umilkły, nastała cisza jak makiem zasiał, a oczy wszystkich zwróciły się ku drobnej postaci tkwiącej teraz między Haltem a Erakiem. Jak Will mógł się tego spodziewać, ciszę przerwał Ragnak we własnej osobie.

– Jakiż to sposób? – spytał krótko.

– Otóż same okręty Slagora przy wyspie to może rzeczywiście nie dowód na jego konszachty z Temudżeinami – rzekł ostrożnie Will, ważąc każde słowo, nim wypowiedział je na głos, bowiem zdawał sobie doskonale sprawę, że bezpieczeństwo jego oraz jego towarzyszy zawisło na cienkim włosku i zależy wyłącznie od siły argumentacji. Musiał odpowiednio przedstawić swą myśl. Ujrzał, jak Ragnak nabiera tchu, by przemówić, więc szybko odezwał się, nim oberjarl zdążył to wpierw uczynić:

– Ale… gdyby Erak popłynął swoim „Wilczym wichrem" do ujścia Piaskowego Strumienia i gdyby zastał tam, na przykład, stu pięćdziesięciu temudżeińskich wojowników czekających na przewóz, bez wątpienia wskazywałoby to na fakt, że ktoś zamierza dopuścić się zdrady, nieprawdaż?

Ragnak zmarszczył brwi, rozważając tę myśl. Erak rzucił półgłosem do Willa:

– Nieźle, chłopcze.

– To prawda – rozstrzygnął wreszcie Ragnak. – Byłby to dowód zdrady. Jednak gdzie dowód, że właśnie Slagor się jej dopuścił?

Will przygryzł wargę, bo tej zagadki nie zdołał jeszcze rozwikłać. Jednak teraz odezwał się Halt:

– Oberjarlu, prawdy łatwo się dowiedzieć. Niech Erak weźmie nie jeden okręt, lecz trzy. Tyle bowiem spodziewają się ujrzeć Temudżeinowie. Potem, w trakcie rozmowy z ich dowódcą, wystarczy powiedzieć, że coś zatrzymało Slagora, który wysłał jego, Eraka, w swoim zastępstwie. Jeśli dowódca Temudżeinów odpowie coś w rodzaju „Slagor? A kto to taki?", znaczyć to będzie, że nasz obecny tu przyjaciel jest tak niewinny, jak twierdzi – urwał, widząc, że Ragnak kiwa głową, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Potem zaś dodał z naciskiem: – Za to jeśli imię… Slagora okaże się wrogom nieobce, wówczas mamy dowód, o jaki nam chodziło.

– Przecież to kpiny! – wybuchnął Slagor. – Przysięgam, oberjarlu, nie jestem zdrajcą! To spisek uknuty przez tych Araluеńczyków – wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę Halta i Willa. – I nie wiem, jakim sposobem, ale jakoś omamili Eraka, który im uwierzył.

– Jeśli jesteś niewinny – zauważył ponuro Ragnak – nie masz się czego obawiać, prawda?

Wpatrywał się w Slagora kamiennym wzrokiem. Dostrzegł na jego czole kropelki potu i zdał sobie sprawę z piskliwego tonu jego głosu w trakcie poprzednich wypowiedzi. Slagor się boi – pomyślał. Im dłużej Ragnak się nad tym zastanawiał, tym bardziej skłonny był uwierzyć, iż ten nikczemnik dopuścił się jednak zdrady.

– Nie widzę powodu… – zaczął Slagor, ale Ragnak przerwał mu:

– Ale ja widzę! – wrzasnął. – Eraku, wypłyń natychmiast w trzy okręty, udaj się do ujścia Piaskowego Strumienia i czyń tak, jak mówi zwiadowca. Gdy już ustalisz, czy dokonano zdrady i czy dopuścił się jej Slagor, wróć tutaj, zdaj sprawę ze swoich poczynań. Co zaś się tyczy ciebie… – zwrócił się do Slagora, który zaczął tymczasem przesuwać się niepostrzeżenie w stronę bocznych drzwi – nie oddalaj się zbytnio. Chciałbym mieć cię na oku, dopóki Erak nie powróci. Ulfarku, dopilnuj tego! – wydał polecenie jednemu ze swych jarlów, który skinął głową i stanął obok Slagora, kładąc mu na ramieniu ciężką dłoń.

– Jeszcze jedno, oberjarlu – odezwał się Erak. – Kiedy już ustalę, że Slagor jest winny, nic chyba się nie stanie, jeśli przetrzebię nieco liczebność temudżeińskich wojsk? Choć o tylu mniej będzie podczas ostatecznej rozprawy.

– Dobra myśl – stwierdził Ragnak – ale nie ryzykuj zanadto. Muszę wiedzieć, kto zdradził, a tego mi nie powiesz, jeśli Temudżeini cię zabiją.

– Czy nie najlepiej będzie postąpić tak, jak oni tego oczekują? – zaproponował Will, nim zdążył ugryźć się w język. Skandyjski wódz popatrzył na niego jak na szaleńca.

– Czyś ty do reszty postradał zmysły? – zdziwił się. – Chcesz, żeby Erak przywiózł tu Temudżeinów jako więźniów? Najpierw musiałby ich rozbroić, a potem trzeba by wyznaczyć ludzi do ich pilnowania. Ludzi, których mi potrzeba gdzie indziej!

– Po co przywozić ich tutaj? – zaoponował Will. – Eraku, czy nie mógłbyś pod byle pretekstem wysadzić ich na jakiejś wyspie, choćby i na Fallkork –

i porzucić tam, żeby nam nie zawadzali?

Znów przez krótką chwilę zapanowało milczenie, po czym rozległ się głęboki, gardłowy rechot Eraka.

– Cóż za wyśmienita myśl! – zawołał jarl, uśmiechając się radośnie do Willa. – Jeśli przewieziemy tych… przybłędów przez Cieśninę Sępów, będą błagać, byśmy wysadzili ich gdzieś na ziemię, choćby na parę godzin.

O tej porze roku huśta tam jak wszyscy diabli, dość, by każdy, kto nie ma żeglarskiego doświadczenia, wyrzygał własne flaki!

Ragnak potarł w zamyśleniu brodę.

– Rozumiem, że Temudżeini nie są obeznani z morzem? – zwrócił się do Halta.

– Ani trochę, oberjarlu – brzmiała odpowiedź.

Ragnak przeniósł spojrzenie ze zwiadowcy na jego młodego ucznia.

– Twój chłopak wykazuje niemałą skłonność do pokrętnego myślenia. To chyba dobrze, skoro ma być zwiadowcą.

Halt położył lekko dłoń na ramieniu Willa i oświadczył z kamienną powagą:

– Jesteśmy bardzo z niego dumni, oberjarlu. Przypuszczamy, że daleko zajdzie.

Ragnak, znużony tym wszystkim, potrząsnął głową. Tego rodzaju podchody i fortele przerastały go na dłuższą metę. Machnął ręką, zwracając się do Eraka:

– Wypłyń, gdy tylko będziesz gotów – rozkazał. – A potem wysadź Temudżeinów na Fallkork i czym prędzej wracaj.

Z jego punktu widzenia sprawa była załatwiona, ale Slagor spróbował jeszcze jednego desperackiego sposobu obrony:

– Oberjarlu! Przecież oni mnie oskarżają. Zmówili się! Jak możesz posyłać ich, żeby sprawdzili prawdziwość własnych słów?

Ragnak zawahał się.

– Prawda! – stwierdził, po czym jego spojrzenie spoczęło na postaci hilfmanna. – Borsa, ty z nimi popłyniesz, żeby było sprawiedliwie. – Następnie zaś, spoglądając znów na Slagora, dodał: – A ty się módl, żeby nad zatoką Piaskowego Potoku nie było Temudżeinów.

Erak spoglądał po raz setny na postać sterczącą przy nim obok steru wilczego okrętu i po raz setny nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

Halt dostrzegł spojrzenie oraz wyszczerzone radośnie zębiska wojownika i rzekł kwaśnym tonem:

– Z czasem chyba musi ci się znudzić?

Jarl potrząsnął głową.

– Nie sądzę – odparł wesoło. – Za każdym razem cieszy mnie to tak samo, jak za pierwszym.

– To wspaniale, że Skandianie obdarzeni są wielce subtelnym poczuciem humoru – stwierdził zwiadowca, krzywiąc się paskudnie. Nie poprawiło mu humoru, gdy ujrzał, że także kilku innych Skandian uśmiecha się pod wąsem. Prawdę mówiąc, rzeczywiście wyglądał śmiesznie. Zamiast płaszcza i kaftana miał na sobie strój skandyjski, czyli bezrękawnik z owczej skóry, krótki futrzany płaszcz i skórzane getry owinięte do kolan rzemieniami. Ściślej mówiąc, tak być powinno, bo w rzeczywistości, jako że Halt był znacznie nikczemniejszej postury niż którykolwiek z dorosłych Skandian, skórzane getry sięgały aż ponad jego kolana, spodnie zwisały workowato w kroczu, a baranica wisiała na nim jak na oparciu krzesła. Wydawało się, że znajdzie się w niej miejsce na co najmniej jeszcze drugą osobę tych samych rozmiarów.

– Sam sobie jesteś winien – zauważył Erak. – Nikt ci nie kazał przebierać się za jednego z nas.

– Już ci tłumaczyłem – wyjaśnił Halt – że Temudżeini dobrze mi się przyjrzeli, gdy ścigali nas obu od granicy, a zresztą nawet i bez tego nie spodziewałbym się, że obdarzą zaufaniem kogokolwiek odzianego w strój zwiadowcy.

– Mówić, mówiłeś – zgodził się z nim pogodnie Erak. Pochylił się, by zerknąć przez umieszczony z przodu pierścień, sprawdził pozycję magnetytowej igły, pływającej po powierzchni wody w słoju i zmienił pozycję pierścienia, po czym określił kierunek na kolejny punkt orientacyjny wybrzeża:

– Nieco na wschód od południowego wschodu – rzekł pod nosem, a potem zawołał głośniej do swych ludzi:

– Mieć się na baczności! Zatoka Piaskowego Potoku leży tuż za tym cyplem!

Na pokładzie wilczego okrętu zapanowało ożywienie, bowiem Skandianie raz jeszcze upewniali się, czy mają broń pod ręką, a zarazem, czy nie rzuca się ona zbytnio w oczy. Gdy Erak skinął głową, żeglarz, zajmujący stanowisko obserwacyjne na rei, dał znak towarzyszom z sąsiednich okrętów. Z wielkim i bardzo widocznym wysiłkiem powstrzymując uśmiech, jarl szturchnął dość mocno Halta pod żebro:

– Chyba już czas, żebyś włożył hełm – oznajmił zwiadowcy, któremu mina zrzedła jeszcze bardziej, gdy sięgnął po wielki, rogaty hełm, jaki nosili wszyscy Skandianie.

Hełm okazał się najbardziej niewygodnym elementem bojowego wyposażenia. Erak upierał się tymczasem, że żaden szanujący się Skandianin nie wystąpiłby bez nakrycia głowy i jeśli Halt chce uchodzić za jego rodaka, musi się do tego skandyjskiego zwyczaju dostosować. Jako że wszystkie hełmy zdawały się ogromne w stosunku do rozmiaru głowy zwiadowcy, nawet najmniejszy, jaki Erak zdołał wynaleźć, spadał Haltowi na oczy i uszy. Wypchany szmatami hełm trzymał się co prawda jako tako, ale zaczął z kolei dziwacznie odstawać.

Skandianie przyglądali się ze źle skrywanym rozbawieniem, jak Halt uważnie zakłada bitewny garnek. Borsa, który na rozkaz Ragnaka przyłączył się do wyprawy, potrząsnął głową i także się zaśmiał. Hilfmann nie miał w sobie nic z wojownika i bitwy nie oglądał dotąd nawet z oddali,

lecz nawet on wiedział, że w znacznie większym stopniu przypomina groźnego woja niźli Halt.

– Nawet gdyby miało się okazać, że szukamy tylko wiatru w polu – stwierdził – warto było, dla takiego widoku!

Halt zwrócił gniewnie twarz w stronę mówiącego – co okazało się nie najszczęśliwszym z możliwych posunięć. Przeklęty hełm, wyprowadzony nagłym ruchem ze stanu chwiejnej równowagi, opadł mu na oczy. Zwiadowc zaklął pod nosem i poprawił cudaczne nakrycie głowy. Nie pozostawało mu nic innego, jak pogodzić się z kpinami Skandian.

Dotąd płynęli z wiatrem, ale teraz, gdy przygotowywali się do opłynięcia cypla, Erak kazał zwinąć żagiel i umocować go do rei. Zadudniły długie, ciężkie, wysuwane na zewnątrz wiosła i nim okręt wytracił prędkość, poruszały się już płynnie i rytmicznie. Obróciwszy się, Halt stwierdził, że załogi pozostałych okrętów uczyniły to samo. Hełm znów samowolnie zmienił pozycję, tym razem przekrzywiając się na bok; zirytowany zwiadowca zerwał go i cisnął na pokład. Rzucił Erakowi groźne spojrzenie: niechby jarl spróbował coś powiedzieć! Ale Skandianin tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Zbliżali się do najbardziej wysuniętego krańca cypla. Ci ze Skandian, którzy w tej chwili nie musieli spełniać obowiązków wiążących się z utrzymaniem kursu oraz kontrolą prędkości statku, zaciekawieni, wychylali się za burtę. Za chwilę się okaże, czy powita ich puste wybrzeże – czy też natkną się na oddziały temudżeińskich wojowników. Wydawało się, że nim minęli cypel, statek płynął nieznośnie powoli. Przed oczami załogi odsłoniło się pasmo piaszczystej plaży. Halt poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, gdy w pierwszych chwilach na wybrzeżu nie wypatrzył nikogo. Jednak tymczasem w zasięgu ich wzroku znajdował się tylko południowy kraniec plaży. Płynęli jeszcze chwilę wzdłuż brzegu, aż nagle marynarze ożywili się, poszeptując do siebie. Niepokój Halta przerodził się w satysfakcję.

Gdy i on wysunął głowę, ujrzał trzy szwadrony temudżeińskiej jazdy.

Ich filcowe namioty stały w równych rzędach. Konie uwiązano opodal, tam, gdzie kończył się piasek i zaczynała trawa. Halt nie musiał liczyć nieprzyjaciół; wiedział, że każdy szwadron liczy sześćdziesięciu ludzi. Przypuszczał, że nie mniej niż dziesięciu wojowników zostanie na straży wierzchowców, bo konie, rzecz jasna, nie mogły zostać zabrane na pokłady

okrętów. Dźwięk rogu dobiegający od strony plaży powiadomił ich, że zostali zauważeni.

Borsa potrząsnął smutno głową, widząc niezbity dowód zdrady Slagora.

– Żywiłem nadzieję, że nasza wyprawa okaże się daremna – rzekł z goryczą w głosie. – Trudno pogodzić się z myślą, że którykolwiek ze Skandian mógł dopuścić się zdrady.

Halt i Erak wymienili spojrzenia. Erak skrzywił się. On sam uwierzył bez większego trudu – może dlatego, że miał mniej wygórowane mniemanie o swych rodakach, a może po prostu dlatego, że lepiej znał Slagora.

– Czas się upewnić – rzekł cicho i naparł na wiosło sterowe, by skierować dziób „Wilczego wichru" prosto ku wybrzeżu. Zgodnie z wydanym wcześniej rozkazem, pozostałe dwa okręty zatrzymały się; członkowie załogi poruszali tylko nieznacznie wiosłami, aby wiatr i pływ nie zniosły ich dalej niż dwieście metrów od brzegu. Co prawda okręty znajdowały się już w zasięgu temudżeińskich strzał, ale ogromne okrągłe tarcze umocowane na burtach zapewniały załodze skuteczną osłonę przed ostrzałem.

Ludziom znajdującym się na pokładzie „Wilczego wichru" groziło o wiele większe niebezpieczeństwo. Zmierzali prosto do brzegu, z każdym uderzeniem wioseł wystawiając się coraz bardziej na grad śmiercionośnych pocisków.

– Schować łby – zawołał Erak do wioślarzy. Nie musiał powtarzać dwa razy. Wszyscy skulili się na ławach, starając się nie wysunąć ani skrawka ciała ponad dębowe bariery. Halt dostrzegł kątem oka, że prawa dłoń jarla raz po raz wędruje ze steru ku drzewcu wielkiego bojowego topora spoczywającego obok.

Na plaży zaroiło się; grupa kilku Temudżeinów przystanęła nad samą wodą. Za plecami tej grupki dały się słyszeć rozkazy, w odpowiedzi zaczęto formować szyk.

Głębia dochodziła prawie do samego brzegu; co prawda wilcze okręty miały zanurzenie niewielkie, bo nie przekraczające jednego metra, ale stepowi wojownicy z pewnością nie zdawali sobie z tego sprawy, toteż Halt i Erak postanowili, że na początek lepiej będzie utrzymywać większy dystans od nieprzyjaciela. Dwadzieścia metrów od krawędzi plaży Erak rzucił zatem krótką komendę; wiosła na jednej burcie zaczęły pracować w przeciwnym niż dotąd kierunku, podczas gdy wioślarze po drugiej

stronie wykonali jeszcze kilka pociągnięć – w rezultacie „Wilczy wicher" obrócił się niemal w miejscu i stanął burtą do plaży.

Erak skinął głową na swego zastępcę, który przejął ster. Jarl tymczasem przeszedł na burtę od strony lądu i zawołał donośnie, jakby przekrzykiwał sztorm:

– Hej tam, na brzegu!

Halt wzdrygnął się i cofnął o kilka kroków.

Jeden z Temudżeinów, stojących nad wodą, przyłożył dłonie do ust, odpowiadając:

– Jestem Or'kam, dowódca tego oddziału – zawołał. – Gdzie Slagor?

Halt usłyszał za sobą stłumione westchnienie. Odwrócił się i ujrzał Borsę, który, spuściwszy oczy, kręcił z niedowierzaniem głową. Także kilku innych Skandian wymieniło spojrzenia, bo właśnie na własne uszy usłyszeli potwierdzenie winy Slagora.

– Cisza! – rzucił ostrzegawczo Halt, a Skandianie posłusznie ukryli twarze, starając się nie dać po sobie poznać, jak wielkie wrażenie wywarła na nich smutna wiadomość.

– Slagor nie mógł przybyć osobiście, gdyż oberjarl Ragnak zatrzymał go przy swym boku, albowiem wydał jarlowi ważne polecenia. Jeśli zdoła, dołączy do nas przy wyspie Fallkork. Ja go zastępuję.

Temudżeińscy oficerowie zaczęli się szybko naradzać między sobą.

– Nie spodobało im się to – mruknął Erak przez zęby.

– Nie musi im się podobać. Byle uwierzyli – odpowiedział Halt, również nie poruszając ustami.

Po kilku minutach ożywionej dyskusji ze swoimi ludźmi, Or'kam odezwał się znów.

– Spodziewaliśmy się ujrzeć Slagora. Skąd mamy wiedzieć, czy możemy wam zaufać? Czy przekazał wam jakąś wiadomość? Podał hasło?

Wojownicy na statku wymienili zaniepokojone spojrzenia. Tego właśnie się obawiali. Jeśli Slagor ustalił z Temudżeinami jakieś hasło, ich plan spełznie na niczym. To prawda, osiągnęli już główny cel wyprawy – zdobyli dowód na udział Slagora w spisku – jednak teraz, skoro już tu się znaleźli i zyskali szansę, by unieszkodliwić stu pięćdziesięciu żołnierzy wroga, nie ponosząc przy tym żadnych strat, szkoda im było stracić taką okazję.

– Zagadaj go jakoś – rzucił półgłosem Halt. – Powtórzył już dwa razy, że czekali na Slagora, więc mało prawdopodobne, żeby uzgodniali jakieś

hasło.

Erak skinął nieznacznie głową, słowa Halta brzmiały całkiem dorzecznie.

– Posłuchaj no, przybyszu ze wschodu – wrzasnął ponownie. – Wiadomość właśnie przekazałem. A o żadnym haśle nie było mowy. Przypłynąłem, żeby was zabrać na pokład, ryzykuję przy tym niemało! Chcecie, to wsiadajcie. Nie, to nie. Ja popłynę dalej, łupić Gallów, a wy prowadźcie sobie wojnę z Ragnakiem, jak wam się podoba. Szkoda czasu, wóz albo przewóz!

Tamci znów zaczęli się gorączkowo naradzać; widać było, że Or'kam nie jest do końca przekonany, ale w końcu rozważył wszystkie za i przeciw, przyjrzawszy się wprzódy uważnie okrętowi, po czym najwyraźniej uznał, że tak czy inaczej nic jego wojownikom nie grozi ze strony niezbyt licznej załogi, składającej się przecież tylko z wioślarzy.

– Niech i tak będzie! – krzyknął. – Przyprowadź swoje okręty do brzegu, wchodzimy na pokład.

Erak potrząsnął jednak głową.

– Tego się nie da zrobić – odpowiedział. – Nie możemy podpłynąć bliżej.

Or'kam potrząsnął zaciśniętą pięścią. Najwyraźniej cokolwiek, co działo się nie po jego myśli, budziło w nim podejrzenia.

– Niby dlaczego? – zawołał. – Slagor podpłynął do samego brzegu. Sam widziałem!

Erak wskoczył na burtę, całkowicie wystawiony na strzały, jakie mogłyby go dosięgnąć z brzegu.

– Ostrożnie – mruknął Halt, starając się nie poruszać wargami.

– Taki to z ciebie stepowy żeglarz? – głos Eraka ociekał sarkazmem. – A wziął potem na pokład pięćdziesięciu ludzi i zdołał stąd odpłynąć?

Nastąpiła chwila milczenia. Temudżeiński dowódca próbował zrozumieć, co Erak ma na myśli. Jarl dodał więc wyjaśniająco:

– Jeśli podpłynę do samej plaży i twoi ludzie wejdą na pokład, okręt osiądzie na dnie. W żaden sposób nie zdołamy się stąd ruszyć, zwłaszcza że mamy odpływ i poziom wody z każdą chwilą się obniża.

Or'kam zrozumiał wreszcie i, choć niechętnie, dał znak, że się zgadza.

– Niech będzie! – zawołał. – Co więc chcesz uczynić?

Erak miał wielką chęć odetchnąć z ulgą, lecz się powstrzymał.

– Mamy trzy łodzie, po jednej na każdy okręt – odpowiedział. – Każda z nich może zabrać ośmiu twoich ludzi, czyli dwudziestu czterech naraz.

Or'kam nie wahał się już.

– Dobrze, Skandianinie. Niech łodzie przybijają do brzegu.

Odwrócił się i zajął wydawaniem rozkazów swoim zastępcom, tłumacząc, w jaki sposób mają zorganizować zaokrętowanie podlegających im żołnierzy. Tymczasem z pokładu „Wilczego wichru" Erak dał znak pozostałym dwóm okrętom, by zbliżyły się i przysłały na brzeg swoje szalupy.

Pozycja druga... strzelać! – krzyknął Will, a stu łuczników wzniosło ramiona pod identycznym kątem, rapięło cięciwy i wypuściło strzały, prawie równocześnie. Rozległ się donośny świst i Will z Horace'em ujrzeli chmarę stu strzał zataczających łuk i opadających w cel.

Evanlyn siedziała na przewróconej zepsutej bryczce kilka metrów za linią łuczników. Przyglądała się tej scenie z wyraźnym zainteresowaniem.

Głuchy odgłos towarzyszył strzałom wbijającym się w ziemię wokół celu. Groty, które trafiły bezpośrednio, charakterystycznie zastukotały.

– Tarcze! – wrzasnął Horace, a wówczas każdego łucznika zasłonił stojący obok piechur, dzierżący wielką, prostokątną tarczę z drewna, która miała chronić i jego, i łucznika przed ostrzałem ze strony nieprzyjaciół, podczas gdy strzelec przygotowywał się do wypuszczenia następnego pocisku. Był to pomysł Horace'a, który Will uznał za znakomity, bowiem, mając tylko stu łuczników, nie mógł sobie pozwolić na straty, jakie teraz nastąpiłyby w wyniku niechybnej odpowiedzi bitewnego przeciwnika.

Will zerknął w stronę swych podwładnych, by sprawdzić, czy są już gotowi do oddania kolejnego strzału. Następnie odwrócił się w stronę pola, gdzie powinien się ukazać kolejny cel.

Uwijający się tam ludzie pociągnęli za kolejne liny i z trawy wysunęła się druga deska. Will, zajęty łucznikami, o mało tego zdarzenia nie przeoczył.

Poczuł, że za chwilę wpadnie w panikę. Wydarzenia na polu ćwiczeń toczyły się zdecydowanie zbyt szybko.

– Tarcze na bok! – zawołał. Na domiar złego przy okrzyku załamał mu się głos. Tarczownicy odsunęli się.

– Pół na prawo! Pozycja trzecia… strzelać!

Znów świst i po polu przesunął się cień, padający od roju kolejnych strzał. Teraz, gdy już utkwiły w celu albo też padły wokół wyznaczonego punktu, pośród traw wyłoniła się trzecia tarcza, tym razem przygotowana na potrzeby dystansu o wiele bliższego.

– Tarcze! – padła znów komenda, po której strzelców osłonił drewniany mur. Wykrzykując rozkaz, Horace sam go zarazem wykonywał, osłaniając Willa.

– No, prędzej, prędzej – mruknął Will, przestępując z nogi na nogę, gdy spoglądał na ludzi, sięgających po następne pociski i zakładających strzały na cięciwy. Łucznicy zorientowali się, że oczekuje od nich większego pośpiechu, więc ich ruchy stały się szybsze, a przez to mniej skoordynowane. Aż trzech upuściło strzały na ziemię, inni pogubili się, jakby dopiero zaczynali naukę strzelania. Will zdał sobie sprawę, że nie powinien czekać, aż wszyscy się przygotują, kolejna salwa będzie więc musiała zostać oddana tylko przez tych, którzy są gotowi. Spojrzał znów w kierunku tarczy, ale ludzie obsługujący liny zdążyli już ją przesunąć – umieszczona była na płozach niczym sanie i zmierzała ku nim z prędkością odpowiadającą tempu nieprzyjacielskiego natarcia. Przyciągnięto ją wszakże już nabyt blisko, by Will bez zwłoki zdołał dokonać oceny odległości. Musztrując podległych sobie ludzi, sam tracił niezbędną koncentrację i gubił wyczucie dystansu.

Rozgniewany, zeskoczył z niskiej platformy ustawionej na końcu linii strzeleckiej.

– Stać! – zawołał. – Przerwa!

Dopiero teraz uświadomił sobie, że pot zalewa mu czoło. Otarł twarz krajem płaszcza. Horace odstawił ciężką tarczę na ziemię.

– W czym problem? – spytał.

Will był załamany.

– Zupełna beznadzieja – stwierdził. – Nie jestem w stanie jednocześnie obserwować celu i moich ludzi. Tracę wyczucie. Będziesz musiał patrzeć w ich stronę, zastępując mnie oraz informując, kiedy będą gotowi.

Horace zastanowił się.

– Niby bez problemu – zgodził się – ale podczas prawdziwej bitwy może mi na wszystko razem zabraknąć czasu, zwłaszcza że przecież sam będę musiał wyłazić ze skóry, aby cię osłaniać przed strzałami wroga. No, chyba że masz ochotę wyglądać jak jeż.

– Ale przecież ktoś musi się tym zająć! – Will był bliski rozpaczy. – My nawet jeszcze nie zaczęliśmy ćwiczyć walki z kaidżynami!

Na temat kaidżynów dowiedzieli się sporo od Halta. Doświadczony zwiadowca wyjaśnił chłopcom, iż każdemu z sześćdziesięcioosobowych temudżeińskich oddziałów przydzielano jednego wojownika szczególnie biegłego w sztuce władania łukiem, zwanego kaidżynem. Otrzymywał on konkretne zadanie: eliminować dowódców nieprzyjacielskich wojsk. Will postanowił osobiście wypatrywać tak wyborowych łuczników i wymyślił nawet specjalny typ treningu. Posłuży się dodatkowymi ruchomymi tarczami mniejszych rozmiarów, które w trakcie ćwiczeń miały wyrastać niespodziewanie i w niespodziewanym miejscu. Jednak, skoro równocześnie przychodziło mu kontrolować poruszenia dużych tarcz oraz sprawdzać stopień gotowości własnych ludzi, jego szanse na unieszkodliwienie nieprzyjacielskich kaidżynów malały prawie do zera.

Wzrastało także ryzyko, że sam padnie ofiarą jednego z nich.

– Ja mogłabym to robić – odezwała się Evanlyn. Obaj odwrócili się do niej jak na komendę. Zauważyła powątpiewanie malujące się na ich twarzach. – Mogę – powtórzyła. – Potrafię obserwować łuczników i mówić, kiedy będą gotowi.

– Ale wówczas znalazłabyś się w ogniu bitwy! – sprzeciwił się natychmiast Horace. – To zbyt niebezpieczne!

Evanlyn zauważyła jednak, że Will, jak dotąd, nie oprotestował pomysłu. Zatem, przynajmniej teoretycznie, brał pod uwagę możliwość rozważenia jej propozycji. Odparła szybko, żeby nie zdążył się sprzeciwić:

– Znajdę się na polu bitwy, fakt, ale nie w pierwszej linii, bo przecież będziemy za nią, w wykopie, osłonięci ziemnym nasypem. Mogłabym przycupnąć sobie w zagłębieniu obok twojego stanowiska, gdzie byłabym całkiem bezpieczna. Przecież nie muszę widzieć wrogów, tylko patrzeć na twoich ludzi.

– A co, jeśli Temudżeini przebiją się przez nasze linie? – upierał się Horace. – Wówczas znajdziesz się w samym środku zmagań.

– Jeśli Temudżeini zdołają swego dopiąć, nieważne, gdzie się wówczas znajdę. Wszyscy bowiem zginiemy. A poza tym, skoro inni się narażają, dlaczego akurat ja miałabym się kryć?

Horace znalazł dość rozsądku, by nie rzec „dlatego, że jesteś dziewczyną". Bądź co bądź, była córką króla. W dodatku musiał przyznać, że miała sporo racji. Nie zamierzał wszelako tak z miejsca kapitulować i chciał poznać zdanie Willa.

– Co o tym sądzisz? – spytał.

Przypuszczał, że młody zwiadowca raczej się z nim zgodzi, lecz ku jego zdziwieniu Will nie odpowiedział od razu. Po chwili zaś rzekł powoli:

– Myślę, że ona może mieć rację. Spróbujmy.

– Gotowi – spokojnym oznajmiła głosem Evanlyn. Siedziała pod platformą, na której stali ramię w ramię Will oraz Horace.

– Tarcze na bok! – rozległ się głos Horace'a. Tarczownicy odsłonili strzelców.

– Kierunek na lewo od lewej! Pozycja pierwsza... strzelać!

Padła chaotyczna salwa. Will wiedział, że chaos powstał z jego gapiostwa. Dał rozkaz do wypuszczenia strzał o ułamek sekundy za wcześnie i niektórzy nie zdążyli jeszcze w pełni naciągnąć łuków. Zaklął w duchu. Usłyszał, jak Horace wydaje tarczownikom polecenie, by na powrót osłonili strzelców i ujrzał pociski trafiające w strefę celu – oraz te, które chybiły i upadły zbyt blisko.

W tej samej chwili pojawiły się dwie tarcze naraz. Większa sunęła w ich stronę, a obok tarczy, która przed chwilą spełniała funkcję celu, z trawy wyłoniła się druga, wielkości postaci ludzkiej, przygotowana specjalnie z myślą o Willu. Wystrzelił i ujrzał, jak jego strzała trafia precyzyjnie w środek, a jednocześnie dobiegł go okrzyk Evanlyn:

– Gotowi!

Skoncentrował się błyskawicznie na celu przeznaczonym dla całego oddziału, Horace zaś rozkazał tarczownikom odsunąć się na bok.

– Kierunek lewa! Pozycja trzecia... – urwał i poprawił: – pół pozycji w dół.

Zmusił się, by dać im dość czasu i krzyknął:

– Strzelać!

Tym razem prawie wszystkie pociski utkwiły w celu lub padły tuż obok niego. Gdyby na linii strzału znalazł się oddział szarżującej konnicy, zostałby zdziesiątkowany.

– Tarcze! – wrzasnął Horace i cykl miał rozpocząć się od nowa. Lecz Will uniósł rękę.

– Stać – powiedział, a Horace powtórzył rozkaz głośniej. Łucznicy oraz tarczownicy, którzy już od dwóch godzin wdrażali się do rygoru strzelania, pozwalając sobie ledwie na kilka krótkich chwil oddechu, usiedli ciężko w trawie. Skorzystali ze sposobności, by chwilę odpocząć.

– Nieźle, nieźle – stwierdził Horace. – Podziurawili chyba ze dwadzieścia tarcz, a przygotowaliśmy w sumie dwadzieścia pięć. Ty trafiłeś we wszystkich kaidżynów.

Mniejsze tarcze, przymocowane do większych celów, miały udawać temudżeińskich strzelców wyborowych. Teraz, gdy Will nie musiał już spoglądać jednocześnie na własnych ludzi i na wroga, radził sobie łatwo z makietami.

– Fakt – rzekł, odpowiadając na komentarz Horace'a. – Tyle że tarcze ćwiczebne do nas nie strzelały.

W gruncie rzeczy był bardzo zadowolony z uzyskanych wyników. Strzelał dobrze, choć musiał celować i za siebie, i za swój oddział.

No, i cieszył się, że znów działają we trójkę, wspólnie z Horace'em i Evanlyn.

– Było całkiem dobrze – przyznał, a głośniej zawołał: – Pół godziny przerwy dla wszystkich!

Zadowoleni strzelcy rozeszli się, gromadząc się przeważnie wokół stojących opodal beczek z wodą do picia. Za plecami Willa rozległ się znajomy głos:

– W porządku. Kończcie już. Wystarczy tego, jak na jeden dzień.

Troje młodych Araluеńczyków odwróciło się na głos Halta. Will, mimo zmęczenia, od razu się ożywił, bo młodego zwiadowcę zżerała ciekawość, co też wydarzyło się w zatoce Piaskowego Potoku.

– Halt! – zawołał energicznie. – No, jak wam poszło? Temudżeini przybyli? Fortel wypalił?

Halt za pomocą uniesionej dłoni powstrzymał wszystkie ich pytania. Zdawał sobie przecież doskonale sprawę, że i tak czeka go dłuższa relacja.

Natomiast zaniepokoił się obrazkiem, jaki ujrzał na polu ćwiczebnym.

– Willu, dlaczego wciągnąłeś do walki Evanlyn? – spytał.

Spostrzegł, że jego uczeń zawahał się. Lecz w następnej chwili twarz chłopaka przybrała zdecydowany wyraz.

– Bo jest potrzebna. Ktoś musi obserwować strzelców i podpowiadać mi, kiedy są gotowi. Bez tego nie daję rady.

– Nie mógłby zająć się tym ktoś inny?

– Nie znam nikogo innego, komu mógłbym zaufać. Potrzebuję pewnej osoby, która się nie pogubi i nie wpadnie w panikę.

Halt w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– A skąd wiesz, że Evanlyn nie straci głowy?

Odpowiedź padła natychmiast:

– Bo nie straciła jej wtedy, w Celtii – przy moście.

Halt obrzucił spojrzeniem trzy młode oblicza, które miał przed sobą. Na wszystkich malowało się wielkie zdecydowanie, każde wykazywało ogromną determinację. Zrozumiał, że Will ma słuszność. Tak, uczeń Halta potrzebował przy sobie zaufanego człowieka.

– Owszem – zgodził się, a potem, gdy wszyscy troje rozpromienili się, dodał: – Ale nie cieszcie się ponad miarę. Jak się wytłumaczymy twojemu ojcu, jeśli cię zastrzelą?

– Opowiadaj, co z Temudżeinami? – Will szybko zmienił temat. – Czekali w zatoce, prawda?

Gdy padły słowa dotyczące spisku Slagora, uśmiech Evanlyn zniknął, ustępując miejsca wyrazowi zaniepokojenia.

– A jakże, przybyli – przytaknął Halt, rozpraszając jej najgorsze obawy. – Ich dowódca zrazu się boczył, gdyż spodziewał się ujrzeć Slagora. – Dziewczyna odetchnęła z ulgą. – Owszem, to zdecydowanie zmienia twoją sytuację, księżniczko – stwierdził.

– Tyle że ślubowanie Ragnaka nadal obowiązuje – zauważyła skwaszonym tonem.

– Oczywiście – zgodził się Halt. – Lecz oberjarl przynajmniej zgodził się wstrzymać jego realizację, dopóki nie pozbędziemy się Temudżeinów.

Evanlyn rozłożyła ręce.

– Zwykłe odroczenie wyroku…

– Problemy odłożone na później mają to do siebie, że często same się rozwiązują – rzekł Halt, kładąc rękę na jej ramieniu. Evanlyn uśmiechnęła

się niepewnie.

– Skoro tak twierdzisz – powiedziała. – Ale nie zwracaj się do mnie „księżniczko", proszę. Nie ma powodu, by przy każdej okazji przypominać o mnie Ragnakowi.

Zwiadowca skłonił głowę.

– Słuszna uwaga – stwierdził i dodał ciszej, tak że słyszała go jedynie Evanlyn: – Nawiasem mówiąc, nie musi też wiedzieć, że gdy tylko uporamy się z przeklętymi Temudżeinami, okręt Eraka będzie gotowy, żeby cię stąd zabrać. Nie zdziw się więc, jeśli będziesz musiała rozstać się z oberjarlem bez pożegnania.

W jej oczach znów zabłysła nadzieja. Popatrzyła na niego z wdzięcznością, a potem zerknęła w stronę zmierzającego ku nim rosłego skandyjskiego jarla – i pocałowała Halta w policzek.

– Dziękuję – rzekła cicho. – Przynajmniej teraz wiem, że mam szansę i że istnieje jakieś wyjście. Choć nie chciałabym, żeby Erak, któremu tak wiele już zawdzięczam, narażał dla mnie życie.

Zwiadowca uśmiechnął się pogodnie.

– Moim obowiązkiem wobec rodziny panującej Araluenu pozostaje nieodmiennie szukać innych wyjść, zwłaszcza wyjść lepszych – oświadczył, a uradowana dziewczyna uśmiechnęła się do niego raz jeszcze, po czym odeszła w stronę zabudowań.

Skandianie, którzy obsługiwali ruchome tarcze, zaciągali je teraz na pozycje wyjściowe. Widząc Eraka, porzucili swe zajęcie i zgromadzili się wokół jarla, bo pragnęli poznać szczegóły wyprawy do Zatoki Piaskowego Potoku. Gdy jarl oznajmił, że zdrada Slagora została potwierdzona, umilkli, a niejedno złowrogie spojrzenie powędrowało w stronę dworu, gdzie zdrajcę trzymano pod strażą.

– A co z Temudżeinami, Eraku? – spytał Will. – Jak ich namówiłeś, żeby wysiedli na wyspie Fallkork?

Tubalny śmiech Eraka poniósł się daleko po polu ćwiczeń.

– Żadna siła nie zdołałaby ich przed tym powstrzymać! – odpowiedział. – Walczyli jeden przez drugiego, byle tylko jak najprędzej postawić nogę na stałym lądzie.

Zgromadzeni wokół Skandianie także się roześmiali, zaś jarl kontynuował opowieść:

– Udało mi się znaleźć takie miejsce, gdzie mieliśmy jednocześnie wiatr od rufy, fale przyboju od sterburty i fale przypływu z cieśniny. Nie trzeba było wielu chwil, by ci groźni wojownicy stali się potulni niczym owieczki – chociaż, po prawdzie, nigdy nie widziałem rzygającej owcy.

– Nie tylko oni mieli dosyć – westchnął ponuro Halt.

– Nie taki aż ze mnie szczur lądowy, za jakiego mnie uważasz, przeżyłem już niejeden sztorm, ale nigdy w życiu nie zaznałem równie upiornej huśtawki, jaką nam zapewniłeś.

Erak znów ryknął donośnym śmiechem.

– Twarz twojego mistrza, Willu, przybrała na morzu zielony odcień jego płaszcza.

Halt uniósł brew.

– Przynajmniej wreszcie przydał mi się na coś ten twój przeklęty hełm – stwierdził, a wtedy uśmiech zniknął z twarzy Eraka.

– No tak. Nie jestem pewien, czy powinienem o tym wspominać Gordofowi. Obiecałem, że będę dbał o hełm, bo to jego ulubiony i w dodatku pamiątka rodzinna.

– Cóż, teraz z pewnością nakrycie głowy Gordofa zyskało na szczególności. – Ku swemu zdumieniu Will dostrzegł w oczach nauczyciela figlarne błyski. Zwiadowca wskazał ruchem głowy wypoczywających łuczników.

– Wygląda na to, że naprawdę dobrze ich wyszkoliłeś – zauważył.

Starając się nie dać po sobie poznać, jaką radość sprawiła mu pochwała mistrza, Will odpowiedział, siląc się na niedbały ton:

– Czy ja wiem? Jakoś tam sobie radzimy.

– Z tego, co widziałem, dużo lepiej niż jakoś – zapewnił go Halt. – Ale mówiłem poważnie, daj im wypocząć przez resztę dnia. Ty także się oszczędzaj. Zasłużyliście wszyscy na przerwę. O ile się nie mylę, już za kilka dni będą nam potrzebne wszystkie siły, jakie tylko zdołamy z siebie wykrzesać.

Dźwięk nadciągał głuchy, nieprzerwany, tymczasem wciąż jeszcze odległy, niczym daleki łoskot morskich fal rozbijających się o skały lub zapowiadający burzę pomruk gromu. Chociaż nie – pomyślał Will – grom wybrzmiewa i milknie, ten zaś dźwięk jakby nie miał początku ani końca, tylko trwał, narastając stopniowo.

Ich uszu dosięgał miarowy, wciąż zbliżający się, wciąż gęstniejący, wciąż bardziej i bardziej potężny, odgłos tysięcy końskich kopyt.

Will kilka razy musnął palcem napiętą cięciwę łuku. Wpatrywał się w miejsce, gdzie niebawem miała pojawić się temudżeińska armia, o milę od ich stanowisk, tam, gdzie wąski pas wybrzeża okalał wysunięty skalny cypel, na razie osłaniający przed ich wzrokiem nieprzyjacielską armię. Zdał sobie sprawę, że całkiem zaschło mu w gardle.

Sięgnął po przytroczoną do kołczana manierkę z wodą. Pił. W rezultacie umknęła mu dokładnie ta jedna jedyna chwila, kiedy zza zakrętu wyłaniali się pierwsi temudżeińscy jeźdźcy.

Usłyszał za to wokół siebie kilka stłumionych okrzyków. Wraży przybysze sunęli strzemię w strzemię. Poruszali się niespiesznym truchtem, zajmując całą szerokość wybrzeża między morzem a stromymi, porosłymi gęstym lasem stokami okolicznych wzgórz.

– O matko! – odezwał się jeden z łuczników. – Ilu ich! Całe tysiące! – Will wyłowił w jego głosie strach. Kilku innych strzelców zareagowało podobnie. Lecz w szeregach Skandian stojących bezpośrednio przed nimi panowało kamienne milczenie.

Teraz, prócz głuchego łoskotu końskich kopyt, dał się słyszeć brzęk uprzęży, dźwięczny kontrapunkt dla dudniącego tętentu. Jeźdźcy parli naprzód, zbliżając się ku Skandianom. Ci zaś oczekiwali wroga bez zbędnych słów. Potem rozległ się dźwięk rogu i stepowi jeźdźcy tysiąckrotnym wspólnym ruchem ściągnęli wodze; armia najeźdźców w jednym momencie zastygła.

Ciszę, która wówczas spadła, można by niemal krajać nożem.

A potem z gardzieli skandyjskich wojów wydarł się potężny ryk. Ryk wyzwania i śmiertelnej groźby, któremu towarzyszył ogłuszający łoskot toporów i trzask mieczy uderzających o tarcze. Wojenny okrzyk rozbrzmiewał przez chwilę, po czym ucichł, zamarł. Temudżeini wciąż tkwili w miejscu, osadzeni komendą rogu. Spoglądali ku przeciwnikom z poziomu końskich grzbietów.

– Zachować ciszę, kryć się! – rzucił Will ku swoim strzelcom. Teraz, gdy na własne oczy przekonał się, ilu wrogów mieści w sobie ich pierwsza linia, przyszło mu na myśl, że jego oddział jest śmiesznie nikły. Pierwszy szereg wroga liczył sześciuset lub siedmiuset konnych. Za nimi stali następni, za nimi jeszcze następni, a za nimi kolejnych sześć albo i siedem wrażych szeregów. Pośrodku nieprzyjacielskich sił, tam, gdzie wierzchowca dosiadał ich wódz, furknęły w jednej chwili wielobarwne chorągiewki. Odpowiedziały im inne, wznoszone ku niebu wzdłuż całego szeregu konnych. Potem rozległ się znów dźwięk rogu – tym razem rozbrzmiał odmienną nutą – i pierwszy szereg ruszył stępa przed siebie. Znów dał się słyszeć brzęk uprzęży, a potem metaliczny świst wypełnił powietrze, gdyż w bladym blasku słońca zalśniły setki dobytych jednym gestem krzywych szabel.

– Będą nacierać – odezwał się półgłosem Horace, który stał tuż za nim.

– Pamiętasz, co mówił Halt? – szepnął Will. – Z początku przypuszczą atak pozorowany; najpierw zbudują natarcie, a potem zaczną się wycofywać, żeby wyciągnąć Skandian, odprowadzając ich w pole jak najdalej od obronnej linii tarcz. Prawdziwy bój ruszy dopiero wtedy, gdy Skandianie uznają, że Temudżeini już rzucili się do ucieczki.

Tysiąc ośmiuset skandyjskich wojowników zdołał zgromadzić Ragnak. Aż tylu ich zmobilizował. Miał na to czas, zyskał go dzięki zwłoce uzyskanej za sprawą posunięć obmyślanych przez Halta. I teraz owych tysiąc ośmiuset skandyjskich wojowników zagradzało nieprzyjacielowi drogę do Hallasholm. Stali trzema szeregami, ustawieni w poprzek równinnego pasa wybrzeża, po prawej stronie mieli morze, a po lewej porośnięte sosnowym lasem zbocza. Czekali, skryci za pracowicie i przezornie usypanymi wałami ziemnymi, najeżonymi setkami wyostrzonych pali różnej długości, które miały powstrzymać zasadniczy impet konnego natarcia.

Halt, Erak i Ragnak ustawieni razem na pozycji dowodzenia, mniej więcej w centrum skandyjskiej linii obrony, z niewysokiego pagórka wspólnie śledzili rozwój sytuacji.

Zamigotały kolejne chorągiewki, a wtedy wreszcie nacierająca konnica przyspieszyła, zataczając łuk w kierunku lewej flanki skandyjczyków.

Pośród podkomendnych Willa skrytych za nasypem zapanowało niejakie poruszenie. Niektórzy natychmiast sięgnęli po strzały. Pewnie sądzili, iż trzeba występować od razu w pełnej gotowości, skoro nieprzyjaciel przypuszcza szturm.

– Spokój! – zawołał Will, i znów stwierdził ze złością, że głos mu się nieco łamie.

Halt nalegał, by łucznicy pozostali w ukryciu, dopóki nie wygasną ogniska pierwszych zmagań i nie ustaną potyczki harcowników. „Odczekaj, aż na dobre przypuszczą atak, wówczas dopiero ich zaskoczysz” – pouczył swego czeladnika.

Spojrzenia wszystkich strzelców kierowały się teraz ku młodocianemu dowódcy. Will zmusił się do uśmiechu, a potem przywołał całą posiadaną siłę woli, by udowodnić własnym ludziom, że jest przecież spokojny. Oparł łuk o ziemny wał, pragnął dać w ten sposób do zrozumienia, że łucznicy nie mają jeszcze nic do roboty.

Niektórzy z podwładnych Willa postąpili tak samo.

– Nieźle, nieźle – rzekł cicho Horace, który stał obok. – Zadziwiasz mnie. Skąd w tobie taka swoboda? Jak ty to robisz?

– Swoboda wynika z faktu, że boję się jak nigdy dotąd – odpowiedział Will, prawie bezgłośnie. Swoją drogą, Horace też wyglądał na zupełnie opanowanego. Jakby wszystko, co już teraz działo się przed szańcem, nie

dotyczyło go w najmniejszym stopniu. Następne jednak zdanie ujawniło prawdziwy stan ducha ucznia Szkoły Rycerskiej:

– Wiem, wiem – sapnął Horace. – O mało nie upuściłem miecza, kiedy nadjechali.

Temudżeińska szarża nabierała impetu. Konie stopniowo przeszły ze stępa w kłus, a następnie w galop. Zbliżywszy się ku skandyjskim liniom obronnym, większość sił napastnika zatoczyła łuk, na widok szańców i zaostrzonych pali zaniechawszy pozornie ataku. Przez chwilę Temudżeini pędzili wzdłuż umocnień, po chwili jednak zaczęli oddalać się w kierunku własnych głównych sił. Skandianie obrzucili wroga wyzwiskami, sypały się za nimi włócznie, śmigały kamienie i inne pociski, lecz większość chybiała celu, bo odległość okazywała zbyt wielka.

Lecz mniejsza grupa, licząca co najwyżej stu wojowników, nie przerwała natarcia, atakując bezpośrednio lewe skrzydło skandyjskich wojsk. Pochyleni nad końskimi grzbietami, wykrzykując wojenne zawołania, zmuszali kudłate wierzchowce, by wspinały się na ziemny wał, nie zwracając uwagi na przeraźliwe odgłosy wydawane przez zwierzęta. Konie kwiczały z bólu, kiedy zaostrzone drągi wbijały się im w brzuchy. Ze szturmującego oddziału mniej więcej dwie trzecie napastników zdołało osiągnąć linię skandyjskiej obrony i teraz, pochyleni w siodłach, siekli na prawo i lewo długimi, zakrzywionymi szablami.

Skandianie ochoczo runęli w bój. Wielkie topory unosiły się i opadały, powietrze gęstniało od końskiego rżenia, bo najłatwiejszym celem były wierzchowce. Will z przykrością słuchał kwiku ginących zwierząt. Małe i kudłate temudżeińskie koniki wyglądały tak samo jak Wyrwij lub Abelard, więc aż nazbyt łatwo było sobie wyobrazić, że tak samo cierpi i krwawi jego czworonożny ulubieniec. Najwidoczniej Temudżeini nie dbali o wierne zwierzęta, gnali je bezlitośnie, na pewną zgubę, niech giną w męczarniach.

Zażarta walka trwała kilka minut. Trudno stwierdzić, na czyją stronę przechylała się szala zwycięstwa. Jednak Temudżeini z wolna zaczęli się cofać, oddawali pole, ustępowali, aż gwałtownie zawrócili konie i rzucili się do ucieczki. Skandianie, rzecz oczywista, pogonili za wrogiem.

Jednak uważny obserwator zauważyłby, że cofający się nieprzyjaciel ustępuje bez zbytniego pośpiechu. Temudżeini odstępowali stopniowo, cały czas odgryzając się wściekle tym ze Skandian, którzy wysforowali się

najbardziej. Dzięki przemyślanej taktyce wywabili zza umocnień na otwarte pole więcej niż setkę obrońców.

– Patrz! – odezwał się nagle Horace, wskazując kierunek. Bo oto chorągiewki przekazały jeźdźcom kolejne sygnały. Temudżeini, niewidoczni teraz dla obrońców lewego skrzydła, już zdążyli zatoczyć pełen okrąg i znów gnali z pomocą walczącemu oddziałowi.

– Zupełnie tak, jak przewidział Halt – stwierdził półgłosem Horace. Will milcząco skinął głową.

Na stanowisku dowodzenia, w samym środku skandyjskich umocnień, Erak wyraził tę samą myśl nieco inaczej:

– Zbliżają się. Postępują dokładnie tak, jak mówiłeś, Halt – stwierdził. Stojący obok Ragnak, pełen niepokoju, spoglądał zza wałów na swych nieosłoniętych niczym ludzi. Teraz bowiem groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Tak, zwiadowco, twoje przewidywania się potwierdzają – mruknął. Ze swej pozycji widział dobrze, jak pułapka się domyka. Gdyby znajdował się obecnie tam, gdzie zwykł był stawać w bitwie, czyli w pierwszych szeregach walczących, nie miałby pojęcia, co się dookoła dzieje.

– Czy możemy mieć pewność, że Kormak nie straci głowy i w dodatku utrzyma ludzi pod kontrolą? – upewnił się Halt.

Ragnak skrzywił się paskudnie.

– Jeśli nie utrzyma, ja go zabiję – oświadczył.

Zwiadowca uniósł jedną brew.

– Och, Ragnaku, dajże spokój. Jeśli Kormak nie da rady, kto inny się zatroszczy o nasz los – zauważył, po czym zwrócił się do jednego z trębaczy oberjarla, który stał opodal, ściskając w dłoni pokaźnych rozmiarów barani róg. – Przygotuj się.

Mężczyzna wzniósł róg, przytknął go do warg i ułożył usta w odpowiedni sposób, by wydobyć z obłego wnętrza ponury, przenikliwy dźwięk.

Bitwa zaczęła z wolna przypominać zabawę w kotka i myszkę. Mniejsza grupa Temudżeinów pozorowała ucieczkę, choć wciąż nie zaprzestawała walki z napierającymi Skandianami. Ci zaś udawali, że zatracają się bez reszty w bitewnym szale, że ruszają raz po raz w bezładny pościg, że zapuszczają się wciąż dalej i dalej od własnych linii. Tymczasem znacznie

większy temudżeiński oddział zbliżał się z całkiem innej strony, by zajść ścigających od tyłu.

Stepowi wojownicy nie wiedzieli wszelako, że w morderczych zapasach bierze udział ktoś jeszcze. Przed świtem Halt skierował bowiem stu skandyjskich toporników, nakazując im, by obsadzili leśne pozycje ukryte na stoku wzgórza. Topornicy ułożyli się i czekali w pospiesznie wykopanych płytkich okopach oraz za powalonymi pniami drzew. Czekali na dźwięk rogu, grającego umówiony znak wzywający do ataku.

– Sygnał numer jeden – rzekł cicho Halt. Barani róg wydał z siebie długi, przeciągły dźwięk, który rozbrzmiał echem pośród okolicznych wzgórz.

Goniący temudżeińskich jeźdźców Skandianie, wyciągnięci dotąd w długą linię, nagle zaprzestali pościgu i błyskawicznie skupili się w jednym miejscu, tworząc kolistą formację obronną. Na całym obwodzie kolisko ochraniały wielkie okrągłe tarcze. Krąg zamknął się w samą porę, bowiem druga fala temudżeińskich jeźdźców właśnie nadciągała. Napastnicy spodziewali się, że, korzystając z zaskoczenia, bez kłopotów uporają się ze skandyjskimi wojownikami. Tymczasem, ku ich zdumieniu, wojownicy Skandii, gotowi, już ich oczekiwali. Szarża ugięła się, bijąc o tarcze Skandian, po czym wy wiązała się krwawa, zawzięta potyczka. Setka ludzi Ragnaka broniła się desperacko, odpierając furię nieprzyjaciela, dysponującego co najmniej pięciokrotnie liczniejszymi siłami.

Haz'kam, generał dowodzący najeźdźczymi oddziałami Temudżeinów, przyglądał się bitwie z zachmurzonym czołem. Takiego rozwoju wypadków nie przewidział. Bo oto przeciwnicy w mgnieniu oka sformowali obronny okrąg, wzmocniony potężnym murem z tarcz, prezentując manewr z całą pewnością celowy i wyćwiczony.

– Nie podoba mi się to, co widzę – rzekł do swego zastępcy. – Kto by pomyślał, że te dzikusy potrafią zdobyć się na coś podobnego?!

W tej samej chwili znów rozległ się dźwięk rogu. Tym razem rozbrzmiały trzy wznoszące się nuty. Haz'kam rozumiał, że przekazano kolejny sygnał. Ale do czego? I do kogo skierowany?

Odpowiedź nie kazała na siebie czekać. Za skandyjskimi umocnieniami rozległ się tryumfalny ryk – oddział pieszych wypadł spośród drzew i runął niczym burza na niczego niespodziewających się Temudżeinów atakujących wzmocniony tarczami krąg. Skandyjskie topory bojowe zbierały krwawe żniwo: nagle i nieoczekiwanie Temudżeini znaleźli się między młotem a kowadłem; z jednej strony napierali na nich bezlitośni topornicy, z drugiej ściana tarcz stanowiła przeszkodę nie do przebycia. Całkowicie zaskoczeni i zdezorientowani jeźdźcy, pozbawieni w dodatku przewagi, jaką dawał im impet szarży, stali się ła – twym łupem dla dzikusów z północy. Haz'kam stwierdził, że w ciągu kilku sekund stracił co najmniej jedną czwartą wojowników biorących udział w potyczce. Nie było na co czekać, każda chwila zwłoki oznaczała dalsze straty. Zwrócił się do trębacza:

– Odwrót – polecił. – Zaprzestać walki i odwrót.

Nad polem bitewnym rozległ się dźwięczny głos trąbki; doskonale wyszkoleni, zdyscyplinowani temudżeińscy jeźdźcy natychmiast posłuchali rozkazu. Tym razem już nie udawali, że nadal chcą walczyć ze Skandianami, tylko ile sił w końskich kopytach pędzili ku swym głównym siłom. Teraz dopiero można było się przekonać, jak wygląda ich prawdziwy, a nie pozorowany odwrót.

Przez chwilę mogłoby się zdawać, że dyscyplina oraz zdrowy rozsądek opuściły Skandian. Ragnak uświadomił sobie, że w bitewnej gorączce jego ludzie rzucili się w pościg bez żadnego opamiętania. Pewnie, gdyby zostawił im wolną rękę, nie zaprzestaliby pogoni i dotarli wkrótce do linii nieprzyjacielskich wojsk, a to oznaczałoby dla nich niechybną śmierć. Wskoczył więc czym prędzej na nasyp i ryknął najgłośniej, jak tylko potrafił:

– Kormaku! Wracaj tu! Już!

Niepotrzebny był sygnał baraniego rogu, by przekazać ten rozkaz. Skandianie wyraźnie usłyszeli głos oberjarla, oprzytomnieli i jak jeden mąż zawrócili w stronę wału. Zorientowawszy się poniewczasie, co zaszło,

niektórzy z Temudżeinów schowali szable. Poczęli zawracać, by ostrzeliwać Skandian z łuków.

Lecz zorientowali się za późno, w dodatku ruszyło ich nie za wielu. Strzały Temudżeinów nie poczyniły zatem większych szkód, wyjąwszy jakieś drobne zranienia kilku ludzi Ragnaka.

Will i Horace spojrzeli po sobie. Jak dotąd wszystko odbywało się zgodnie z przewidywaniami Halta. Nie należało jednak oczekiwać, że Temudżeini zechcą drugi raz powtórzyć tę samą sztuczkę.

– Teraz nasza kolej – stwierdził Will.

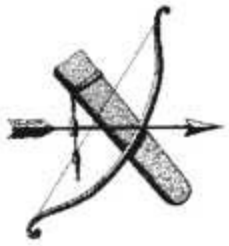

Generał podjechał do pierwszego szeregu swych wojsk, by przyjrzeć się pobojowisku i zbadać straty, jakich przysporzyli mu Skandianie.

Pierwsze starcie zabrało około dwustu ludzi, wliczając w to zabitych oraz rannych. A także trzysta koni. Właściwie drobiazg, przecież miał pod swymi rozkazami sześciotysięczną armię. Jednak...

Jednak generała coś naprawdę zaniepokoiło w poczynaniach dzikich tubylców. Wstępny atak, jaki przypuścili Temudżeini, zmierzał do uszczuplenia sił przeciwnika. Tymczasem skutek okazał się zgoła odwrotny – to on sam, Haz'kam, poniósł straty. Prawdę powiedziawszy, z góry założył, że zdecydowana większość skandyjskich wojów od razu przyłączy się do pogoni, porzuciwszy przy okazji własne pozycje obronne. Wyciągnięci na otwartą przestrzeń, staliby się natychmiast dziecinnie łatwym łupem dla jego konnych łuczników.

Zrównał się z grupą oficerów i ściągnął wodze. Prędko wyśledził wzrokiem pułkownika Bin'zaka, dowódcę wywiadu. Widać było, że pułkownik czuje się nieswojo. Trudno się dziwić, bo miał po temu słuszne powody.

Haz'kam zwrócił się właśnie do niego. Wskazał szybkim ruchem głowy pole boju.

– Nie tego się spodziewałem – stwierdził, głosem na pozór łagodnym. Pułkownik zbliżył się o kilka końskich stąpnięć i pozdrowił wodza.

– Nie wiem, co się wydarzyło, shanie – odparł. – Jakim sposobem oni przewidzieli, że my zastawimy pułapkę? Zupełnie się nie spodziewałem podobnej reakcji. To. – przez moment szukał stosownego określenia, po czym dokończył: – To zupełnie nie w ich stylu.

Haz'kam z trudem tylko powstrzymywał gniew, ale okazywanie gwałtownych uczuć uchybiałoby jego godności.

– Nie przyszło ci przypadkiem do głowy – rzekł wreszcie, kiedy już był pewien, że całkowicie panuje nad własnym głosem – iż po stronie Skandian znajduje się ktoś, kto wie, jak my walczymy?

Bin'zak, zastanowiwszy się nad tak postawioną kwestią, zmarszczył brwi. Co prawda wcześniej nie przyszło mu na myśl akurat to, ale gdy shan sformułował swoje przypuszczenie, pułkownikowi wydało się ono całkiem prawdopodobne. Choć mało realne.

– Byłoby zupełnie nie w stylu Skandian powierzać dowództwo polowe komuś obcemu – rzekł po chwili namysłu. Haz'kam co prawda obdarzył podwładnego uśmiechem, lecz w uśmiechu generała nikt nie dostrzegłby ani cienia radości.

– Tak, to zupełnie nie w ich stylu, żeby zaniechać pościgu, uformować mur z tarcz, a potem uderzać na nas z zaskoczenia, wykorzystawszy ukryty odwód – podsumował wódz z naciskiem. Pułkownik milczał, bo trudno dyskutuje się z oczywistościami.

– Doniesiono mi – ciągnął shan – że pośród Skandian kręci się jakiś cudzoziemiec… Jeden z tych przeklętych Atabi.

Rzeczownik Atabi znaczył dosłownie „zielony”. Tym właśnie mianem Temudżeini określali zwiadowców z Araluenu. Przez lata, które upłynęły od czasu wyprawy Halta po konie, temudżeińscy wodzowie starali się zdobyć możliwie najwięcej wiadomości o owej tajemniczej formacji, której żołnierze nosili zielonoszare płaszcze i w lesie potrafili stać się niewidoczni. Przez kilka lat poprzedzających napaść na Skandię, gdy przygotowywano kampanię, szpiedzy wschodu docierali niekiedy aż do samego Araluenu. Dowiedzieli się jednak niewiele, bo zwiadowcy pilnie strzegli swych sekretów, a w dodatku budzili zabobonny lęk pośród przeciętnych Araluеńczyków, którzy bardzo niechętnie o nich rozmawiali, zwłaszcza z obcymi. Wielu Araluеńczyków było przekonanych, że

zwiadowcy parają się magią i sztuką czarnoksięską, a przecież nikt rozsądny nie rozmawia o takich sprawach.

Tymczasem pułkownik Bin'zak zbył słowa wodza lekceważącym machnięciem ręki.

– To zwykłe pogłoski, shanie – stwierdził. – Żaden z moich ludzi nigdy ich nie potwierdził.

Generał wpił w niego spojrzenie skośnych oczu.

– Właśnie, więc oto na własne oczy mieliśmy okazję obserwować, jak się takie pogłoski materializują – naczelny wódz wpatrywał się w pułkownika tak długo, aż tamten wreszcie spuścił wzrok.

– Tak, shanie – rzekł bezbarwnym głosem. Wiedział, że właśnie usłyszał wyrok, a jego kariera dobiegła końca. Następnie Haz'kam uniósł głos, zwracając się do wszystkich zgromadzonych wokół oficerów. Sprawę nieudolnego pułkownika wywiadu uznał tym samym za zakończoną.

– To również tłumaczy, czemu nasz niespodziewany atak z morza na tyły wroga dziwnym trafem jakoś nie doszedł do skutku – stwierdził. Kilku oficerów przyznało mu rację skinieniami głowy lub pomrukami. Konszachty ze Slagorem również należały do ludzi Bin'zaka. A teraz wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że stu pięćdziesięciu zbrojnych, którzy przed czterema dniami wsiedli na pokłady skandyjskich okrętów, po prostu znikło bez śladu.

Generał podjął decyzję:

– Odtąd już żadnych podchodów. Dość forteli. Straciliśmy zbyt wiele czasu, mamy aż trzy tygodnie opóźnienia. Od razu rozpoczynamy ciągły nękający ostrzał pozycji nieprzyjaciela. Niech osłabną. Potem uczynimy wyłom w linii ich obrony.

Podkomendni Haz'kama zgodnie, w milczeniu skinęli głowami na znak, że rozkaz został przyjęty. Generał omiótł wzrokiem ich twarze, pełne determinacji i złowrogiej pewności siebie. Temudżeini znali własną siłę. A teraz zabierali się właśnie do tego, co wychodziło im najlepiej. Szybko przemieszczające się formacje łuczników rozpoczynają morderczy ostrzał linii nieprzyjacielskich, dążąc do wycieńczenia i wyniszczenia przeciwnika, zaś kiedy opór wrogów w którymś punkcie zaczyna słabnąć, w ów właśnie punkt kierują szarżę, a wtedy sprawę definitywnie rozstrzygają włócznie oraz szable. Tak, oficerowie Haz'kama nie musieli wydawać buńczucznych okrzyków ani silić się na tanie teatralne gesty.

Wojenne rzemiosło było dla nich tym, czym w istocie było – rzemiosłem właśnie. Następnego dnia mieli po prostu wykonać zleconą im przez wodza robotę.

– Wydać rozkazy – polecił Haz'kam.

Zawrócił konia, bo postanowił znowu zająć pozycję obserwacyjną na wzgórzu. Chorągiewki sygnałowe przekazywały już rozkaz głównodowodzącego poszczególnym jednostkom. Zatrzymał się wszelako jeszcze przez moment, gdyż usłyszał za sobą głos Bin'zaka.

– Generale! – krzyknął pułkownik. Haz'kam zauważył, że Bin'zak pominął oficjalny tytuł shana, zwracając się do niego wyłącznie z użyciem rangi wojskowej. Generał spojrzał w stronę pułkownika wywiadu. Czekał na jego słowa.

– Pragnę dołączyć do któregoś z ałumów. Proszę o pozwolenie – rzekł Bin'zak z uniesioną wysoko głową. Ałumem Temudżeini nazywali oddział sześćdziesięciu jeźdźców, podstawową jednostkę temudżeińskich sił. Haz'kam zmarszczył brwi. W normalnych warunkach starsi rangą oficerowie nie brali udziału w bezpośredniej walce. Nie wymagano od nich, by wykazywali się odwagą czy poświęceniem, lecz by z bezpiecznego miejsca sprawnie kierowali swoimi ludźmi. Tym razem jednak generał skinął głową z aprobatą.

– Zezwalam – oświadczył, a następnie spiął konia ostrogami.

– I co teraz? – spytał rozdrażnionym głosem Ragnak, przyglądając się, jak Temudżeini formują szyk.

Halt także przypatrywał się hufcom wroga spod przymrużonych powiek.

– Chyba już koniec wstępnych podchodów. Teraz wystąpią z całą mocą. Będą walczyli sformowani w ałumach, czyli w jednostkach składających się każda z sześćdziesięciu ludzi, ostrzeliwując nas na całej linii, ale trzymając się z daleka i wycofując, gdybyśmy próbowali ich dopaść. Chodzi o to, by za pomocą strzał wyeliminować tylu naszych ludzi, ilu tylko się da, nim przypuszczą potężny, skondensowany atak w wybranym uprzednio miejscu.

– A gdzie przewidujesz to miejsce? – spytał Erak. Paplanina o taktyce coraz bardziej działała jarlowi na nerwy. Tuzin albo więcej łbów, które mógłby rozłupać swoim toporem – oto, czego mu było trzeba. Tymczasem wszystko wskazywało, że na ulubioną wojenną rozrywkę przyjdzie mu jeszcze dość długo czekać.

– Daj sygnał łucznikom, niech się gotują – rzekł Halt, zwracając się do sygnalisty z rogiem. Gdy zaś ten odtrąbił serię na przemian długich i krótkich dźwięków, odpowiedział na pytanie Eraka: – Tam, gdzie zdaniem ich generała będzie nasz najsłabszy punkt.

– Co więc przyjdzie nam czynić, zanim ich generał zechce łaskawie podjąć konkretną decyzję? – zirytował się Ragnak.

Halt uśmiechnął się do siebie. Z całą pewnością cierpliwość nie należała do największych zalet Skandian.

– Zaskoczymy ich strzałami naszych łuczników – wyjaśnił – i postaramy się pozabijać tak wielu, jak tylko się da, nim przyzwyczają się do faktu, że ktoś tępi Temudżeinów ich własną bronią.

Wszyscy strzelcy Willa usłyszeli sygnał odegrany na rogu, więc natychmiast zapanowało pośród nich poruszenie. Młody zwiadowca uniósł dłoń, by ich uspokoić.

– Nie wychylać się! – zawołał. Pamiętał, aby wziąć uprzednio głęboki wdech, więc tym razem głos mu nie zadrżał. Może warto tak samo postępować w przyszłości – pomyślał sobie. Wszedł na stopień, z którego mógł obserwować pole bitwy. Horace, trzymający tarczę w pogotowiu, stanął obok. Łucznicy wciąż ukryci byli za czymś w rodzaju wiklinowego płotu, płot jednak miał zostać we właściwym czasie zwalony. Wówczas obowiązkiem tarczowników będzie osłanianie strzelających przed deszczem pocisków, które poślą w ich stronę Temudżeini.

Poniżej wyeksponowanego stanowiska Horace'a i Willa pozycję zajęła, osłonięta nasypem i wiklinowym daszkiem, Evanlyn. Miała stamtąd doskonały widok na linię łuczników. Oddziały temudżeińskich jeźdźców ruszyły przed siebie, z początku powoli, potem coraz prędzej. Will wkrótce dostrzegł, że tym razem wszyscy nacierający uzbrojeni byli w łuki.

Zbliżali się ku Skandianom nie rozciągniętą linią, jak poprzednio, tylko skupieni w kilkunastu osobnych gru – pach. Gdy znaleźli się w odległości mniej więcej stu metrów, każdy z oddziałów skierował się w inną stronę, po czym łucznicy poczęli słać salwę za salwą, nękając przeciwnika nieustannym ostrzałem.

Will nerwowo postukiwał palcami w deski, którymi oszalowany został wierzch nasypu. Za chwilę jego strzelcy mieli wejść do bitwy. Tak, lecz Will wpierw postanowił dokładnie przyjrzeć się taktyce przeciwnika. Wiedział, że pierwszy wymierzony przez skandyjskich łuczników cios, jeśli tylko okaże się celny, z racji zaskoczenia może okazać się szczególnie druzgocący. Musi się więc postarać, aby nie zmarnować potencjalnej przewagi.

Słyszał nieustanne dudnienie temudżeińskich strzał o tarcze wzniesione nad głowami Skandian. Przechwytywano w ten sposób większość pocisków, ale nie wszystkie. Trafieni wojownicy padali, a wówczas ci, którzy stali za nimi, odciągali rannych i zajmowali ich miejsca. Po chwili, gdy strzały poczęły nadlatywać z bliska, Skandianie stojący w pierwszym szeregu obniżyli ustawienie tarcz, by osłonić siebie oraz towarzyszy, unikając ostrzału prowadzonego na wprost, wojowie zaś ustawieni w szeregu drugim, a także w trzecim nadal dzierżyli tarcze uniesione ku górze.

Był to skuteczny sposób obrony, miał jednak tę wadę, że żołnierze Ragnaka nie mogli równocześnie obserwować nadciągających Temudżeinów. Will ujrzał, jak jeźdźcy jednego z wrogich oddziałów, odwiesiwszy łuki na ramię, dobyli szabel i przypuścili bezpośredni szturm na obrońców, kładąc trupem kilkunastu ludzi, nim Skandianie w ogóle zdali sobie sprawę z tego, co się wokół nich dzieje. Gdy zaś obrońcy zmienili szyk i ruszyli do kontrnatarcia, Temudżeini wycofali się pospiesznie, a inny ałum, który tylko czekał na swoją kolej, natychmiast zasypał Skandian morderczym gradem strzał.

– Chyba już nareszcie zbliża się nasz czas – mruknął półgłosem Horace. Will uniósł rękę, uciszając go. Pozornie bezładne ruchy temudżeińskich ałumów w rzeczywistości odbywały się według ściśle określonego schematu. Teraz, gdy zorientował się, na czym ów schemat polega, był już w stanie przewidzieć kolejne poruszenia oddziałów wroga.

Jeźdźcy zatoczyli łuk, oddalając się od skandyjskiej linii obrony. Zostawili w polu ponad pięćdziesięciu zabitych Skandian, którzy padli od ich strzał i szabel. Za to na zboczach ziemnego wału, tam, gdzie temudżeińscy wojownicy przypuścili błyskawiczny atak, spoczywało zaledwie kilka nieprzyjacielskich trupów.

Oddział, który dokonał tak skutecznego ataku dołączył teraz do głównych sił własnej armii. Ludzie i ich wierzchowce mogli wypocząć, podczas gdy natarcie podjęło kolejnych dziesięć ałumów. Atak miał odbyć się według tego samego schematu: wpierw należało zmusić Skandian, by zasłonili się tarczami przed ostrzałem, a potem, gdy obrońcy chwilowo stracą zdolność obserwowania poczynań napastników, zaatakować ich bronią białą. Następnie Temudżeini wycofają się i, korzystając z luki w obronie, zasypią obrońców strzałami. Technika tyleż prosta, co i skuteczna, a w dodatku broniący się nie za wiele mogli jej przeciwstawić.

Ałumy zatoczyły półkole, przystępując znów do bitewnego tańca. Will skupił się na jednym ze środkowych oddziałów. Wiedział, że za chwilę wykręci i ruszy ukosem w ich stronę. Odezwał się półgłosem do Horace'a:

– Usuńcie zasłony.

Dobiegł go grzmiący głos przyjaciela:

– Tarcze! Usunąć maskowanie!

Tarczownicy zepchnęli wiklinowy płot w dół, odsłaniając strzelców. Łucznicy stali za oszalowanym deskami wałem ziemnym, sięgającym im do pasa.

– Gotowi – zawołała Evanlyn, co oznaczało, że wszyscy łucznicy dobyli już strzał i założyli je na cięciwy. Teraz przyszła kolej na Willa.

– Cel: pół na lewo! – zawołał; wszyscy łucznicy zwrócili się w tym samym kierunku.

– Pozycja druga!

Setka ramion uniosła się pod tym samym kątem, a Will obserwował zbliżającą się grupę jeźdźców, oceniając w myślach ich prędkość i tor lotu własnych pocisków, tak by w stosownym momencie strzały ugrzęzły w samym środku nadciągającego oddziału.

– Pół pozycji w dół... Naciągać!

Strzelcy dokonali poprawki, korygując pozycję, i sto łuków gotowych było do oddania wspólnego strzału. Will, dla pewności, odliczył jeszcze do trzech, by nie wydać rozkazu zbyt pospiesznie, po czym krzyknął:

– Strzelać!

Świst przeszywający powietrze powiadomił młodego dowódcę, że strzały wyruszyły na spotkanie celu. Łucznicy sięgali już po kolejne pociski.

Horace, gotów w każdej chwili wydać komendę tarczownikom, czekał. W tej chwili nie znajdowali się pod ostrzałem, toteż nie istniała potrzeba, by przerywać płynny cykl, którego ostatnim etapem stawało się trafienie strzały w cel.

A właśnie w tej chwili pierwsza salwa uderzyła w nieprzyjacielski ałum.

Może była to kwestia szczęścia, a może wynik wielu całodziennych ćwiczeń, ale nikt lepiej nie pokierowałby pierwszą salwą, niż uczynił to Will. Sto strzał spadło z nieba na galopujących napastników.

Rozległy się okrzyki końskie i ludzkie, a zdyscyplinowany szyk rozsypał się w mgnieniu oka. Ci z atakujących, których nie dosięgły strzały, wpadali na przewracające się konie, ich wierzchowce bowiem potykały się i przewracały. Inni gwałtownie ściągali wodze, by nie zgniatać własnych towarzyszy. Zwarta formacja w jednej chwili przeistoczyła się w chaotyczną masę zbitych ciał ludzkich i końskich.

– Gotowi! – zawołała ponownie Evanlyn. Ze swego miejsca nie mogła widzieć, jaki był rezultat pierwszego strzału łuczników Willa. Chłopak tymczasem zdał sobie sprawę, że oto nadarza się okazja, by zadać nieprzyjacielowi ostateczny, druzgocący cios.

– Ten sam cel. Pozycja druga, naciągać. – Usłyszał charakterystyczny odgłos strzał ocierających się o łęczyska; pierzaste brzechwy dotknęły policzków strzelających.

– Strzelać!

Świsnęła kolejna salwa wymierzona w to, co jeszcze przed chwilą było doskonale zorganizowanym ałumem. Will krzyczał już na swoich ludzi, by co prędzej przygotowywali się do następnego strzału. Kilku z nich w pośpiechu uroniło strzały, ale Evanlyn zorientowała się, że brakuje czasu, by na nich czekać.

– Gotowi! – zawołała.

– Ten sam cel. Pozycja druga. Naciągać.

Temudżeiński oddział nie dość, że poszedł w rozsypkę, to jeszcze utracił swój najważniejszy atut. Czyli: ruchliwość.

– Strzelać! – wrzasnął Will, nie zważając już, że jego głos w podnieceniu zabrzmiał dziwnie cienko. Trzecia salwa przeszyła powietrze.

– Tarcze! – ryknął Horace, zasłaniając jednocześnie siebie i przyjaciela. Spostrzegł bowiem, że wojownicy innych ałumów zorientowali się w grożącym niebezpieczeństwie i zbliżali się galopem, mierząc ze swych łuków w ich stronę. Minęło zaledwie kilka sekund i strzały już zadudniły o skandyjskie tarcze.

Temudżeini nie mogli jednak przypuścić bezpośredniego natarcia na łuczników, bowiem Halt umieścił ich poza główną linią obrony. Aby do nich dotrzeć, jeźdźcy musieliby przedrzeć się przez szeregi skandyjskich toporników.

Na oddział, który Will obrał za swój pierwszy cel, spadły trzy dobrze wymierzone salwy, jedna po drugiej – prawie trzysta strzał. Z ałumu ocalało ledwie dziesięciu ludzi, ciała pozostałych zaścielały równinę. Kilka pozbawionych jeźdźców koni oddalało się galopem, rżąc w panice.

Tymczasem kolejne ałumy zataczały łuk, cofając się ku własnym liniom. Will wytypował kolejny cel. Dwa inne oddziały wroga znalazły się w zasięgu strzał jego łuczników.

– Tarcze na bok – zwrócił się do Horace'a, a młody wojownik powtórzył głośno rozkaz.

– Cel: na wprost i na prawo… I pół. Pozycja trzecia. Naciągnąć. – Znów odczekał sekundę, nim krzyknął: – Strzelać!

Ciemna masa strzał przemierzyła błękit bezchmurnego nieba, ścigając wycofujących się jeźdźców.

– Tarcze! – krzyknął Horace, gdy pociski dotarły do celu, zmiatając kilkunastu Temudżeinów z siodeł. Za osłoną wielkiej prostokątnej tarczy wymienili z Willem porozumiewawcze uśmiechy.

– Całkiem nieźle, jak na początek – stwierdził uczeń zwiadowcy.

– Nieźle, w rzeczy samej! – zgodził się z nim rycerski czeladnik.

– Gotowi! – zawołała znów Evanlyn, która nie odrywała wzroku od łuczników, przygotowujących się do kolejnego strzału. Will uświadomił sobie dopiero teraz, że przecież nie mogła wiedzieć, co się dzieje na polu bitwy.

– Spocznij! – zawołał Will. Nie było sensu utrzymywać strzelców w napięciu, gdy Temudżeini wycofywali się, by się przegrupować.

– Przyjdź na górę i zobacz, jak nam poszło – odezwał się do Evanlyn.

W tej chwili ze strony Temudżeinów nic im nie groziło, znajdowali się bowiem już daleko, cofając się ku własnym szeregom. Z tej odległości

pociski łuczników Willa nie zdołałyby już dosięgnąć wroga.

Wódz Temudżeinów dopiero po kilku minutach zorientował się, że coś poszło nie tak – i to już drugi raz podczas tej samej bitwy. Dostrzegł ubytki wśród powracających oddziałów jeździeckich. Spojrzał na pole, a jego oczom ukazały się ciała ludzi oraz koni. Zmarszczył brwi. W chwili, gdy padały cztery szybko następujące po sobie salwy łucznicze, patrzył akurat gdzie indziej, starając się ogarnąć wzrokiem ogólny teatr zmagań – w rezultacie zagłada całego ałumu po prostu na moment umknęła jego uwadze.

Lecz już po chwili skierował ostrze swej dzidy w kierunku miejsca, gdzie doszło do lokalnej klęski.

– Co tam się właściwie stało? – zwrócił się do adiutantów. Żaden nie wiedział. Haz'kamowi odpowiedziały puste spojrzenia.

W jego stronę galopował samotny jeździec, coś wykrzykując.

– Generale! Generale!

Jeździec chwiał się w siodle, a po jego skórzanej kurcie ściekała krew, sącząca się z wielu ran. Czerwone plamy widniały też na bokach konia i, ku swemu zdumieniu, Haz'kam oraz jego przyboczni ujrzeli sterczące z nich co najmniej trzy strzały.

Wierzchowiec i jeździec znaleźli się u stóp pagórka. Dla konia był to już krańcowy wysiłek. Osłabły od utraty krwi, opadał z wolna na kolana,

a potem runął ciężko na bok. Poraniony jeździec w ostatniej chwili wyślizgnął się z siodła, cudem unikając przygniecenia. Haz'kam zmarszczył czoło. Wpatrywał się w zalaną krwią twarz żołnierza; dopiero w następnej chwili rozpoznał Bin'zaka, jeszcze niedawno oficera odpowiedzialnego za rozpoznanie i działalność wywiadowczą całego korpusu. Uzyskawszy zgodę wodza, pułkownik zajął miejsce w pierwszej linii jednego z ałumów. Pech jednak nie opuścił nieszczęśnika, trafił bowiem akurat na ten oddział, który unicestwili strzelcy Willa. A teraz odchodził.

– Generale – wychrypiał. – Mają łuczników.

Przemierzył sztywnym krokiem dystans dzielący go od wodza, następnie przystanął tak, aby wszyscy obejrzeli sobie dokładnie ułamane drzewca strzał sterczące z dwóch jego ran. Koń, leżący za nim na ziemi, stęknął dojmująco i zakończył życie.

– Mają łuczników. – powtórzył Bin'zak ledwo słyszalnym głosem, po czym padł na twarz.

Haz'kam spojrzał ku liniom nieprzyjaciela. Ani śladu łuczników. Skandianie ustawili się za ziemnym nasypem w trzy szeregi, przegradzając pas wybrzeża w najwęższym miejscu. Za tą linią ciągnęła się następna, krótsza, także za nasypem. Tamci wyposażeni byli w tarcze prostokątne, nie okrągłe, przeciwnie niż pozostali tubylcy. Łuczników jednak generał nigdzie nie potrafił dostrzec.

Istniał tylko jeden pewny sposób, by dowiedzieć się, gdzie szukać najgroźniejszej formacji. Rozpoznanie bojem. Czas posłać do walki następnych dziesięć ałumów.

– Atak – rozkazał Haz'kam, a trębacz odegrał komendę. Na równinie, pod wtór łomoczących kopyt, zabrzęczała końska uprzęż.

Leżący na ziemi pułkownik przestał się już ruszać, więc Haz'kam wykonał rytualny temudżeiński gest pożegnania, przykładając prawą dłoń do ust oraz do serca. Jego podwładni uczynili to samo. Bin'zak odkupił swoje winy – pomyślał shan. A w ostatniej godzinie życia dostarczył wodzowi informacji o kluczowym znaczeniu.

Will spoglądał na nadciągających jeźdźców. Stojący obok Horace poruszył się niespokojnie, jednak młody zwiadowca postanowił nie odsłaniać jeszcze własnych sił.

– Zaczekaj – rzekł cicho. Należało bowiem wziąć pod uwagę, iż kolejne natarcie pójdzie w kierunku ich pozycji. Musiał się liczyć, że Temudżeini spróbują ich wyeliminować z gry. Jednak atak, który właśnie trwał, prowadzony był tak, aby zdołał ogarnąć swym rozmachem całą skandyjską linię obrony. Mogło to oznaczać tylko jedno: Temudżeini nie zdołali jeszcze ciągle określić, gdzie znajdują się jego łucznicy.

Pierwsze pociski poszybowały ku Skandianom i znów trójszereg osłonił się tarczami. Jak poprzednio, również i teraz jeden z ałumów skręcił gwałtownie, zmierzając wprost na obrońców, którzy nie mogli ich widzieć. Lecz tym razem Will skupił się na obserwacji wypadków zachodzących nieco dalej. Starał się bowiem wypatrzyć ten oddział konnych, który miał rozpocząć ostrzał, kiedy wraży jeźdźcy zmuszą Skandian do opuszczenia tarcz. Odnalazł go bez trudu: jeden z ałumów przyhamował jakieś pięćdziesiąt metrów od skandyjskich umocnień.

– Gotować się! – zawołał Will. A potem rzucił szybko ku Horace'mu: – Jeszcze nie, wciąż czekamy – bo usłyszał, że towarzysz już zaczerpnął tchu, by wykrzyczeć komendę. Will starał się, by jego ludzie pozostawali w ukryciu tak długo, jak to tylko możliwe.

– Gotowi! – zawołała Evanlyn, gdy ostatnia ze strzał wparła się w cięciwę.

– Znów lewo, pół lewej! – zawołał Will, a łucznicy na szczęście zrozumieli, co ma na myśli. Wszyscy odwrócili się w podanym przez niego kierunku. Wcześniej, w trakcie przebiegu szkolenia, najpierw podawał pozycję, a potem kierunek. Od określenia kierunku co prawda teraz zaczął, ale najwidoczniej nie zmylił tym strzelających.

– Pozycja trzecia! – zawołał i sto rąk uniosło się do najwyższej pozycji jednym zgranym, płynnym ruchem.

– Tarcze odwieść – rzucił do Horace'a i usłyszał, jak jego towarzysz wykonuje rozkaz.

– Naciągać!

„Jeden, dwa, trzy” odliczył w myśli Will, by wszyscy łucznicy zdążyli przygotować się do wypuszczenia strzał.

– Strzelać! – zawołał i w następnej chwili zakomenderował: – Tarcze! Dawać tarcze!

Gdy Horace powtórzył okrzyk dowodzącego, tarcze powróciły na miejsca, by osłonić łuczników przed pociskami nieprzyjaciela, ale przede wszystkim, aby ich ukryć przed wzrokiem przeciwników.

Znów chwila oczekiwania, a potem cała chmara strzał spadła na temudżeiński ałum, który właśnie przygotowywał się, by wykorzystać lukę w ścianie tarcz, jaka powstała za sprawą ataku ich towarzyszy. I znów rozległ się pełen przerażenia krzyk bólu trafianych ludzi, zmieszany z rżeniem rannych koni. Ałum, zastygły w miejscu, stanowił doskonały cel dla zmasowanego ostrzału.

Padło co najmniej dwudziestu Temudżeinów, łącznie z ich dowódcą. Sierżanci poganiali pozostałych, by się ruszali; aby prędzej, aby tylko wydostać się spod morderczego ostrzału.

Haz'kam nie zdołał spostrzec salwy, która uderzyła w jego ludzi. Kątem oka dojrzał jednak ten wspólny ruch, ten zgrany ruch stu tarcz, które rozsunęły się na boki i zaraz powróciły na swe miejsca, jakby ktoś w jednej chwili otworzył i natychmiast zamknął wiele, bardzo wiele sąsiadujących ze sobą drzwi. Kilka sekund później generał miał już okazję oglądać, jak jeźdźcy z ałumu padają na ziemię, a oddział idzie w rozsypkę.

Zaraz potem tarcze powtórzyły cykliczny ruch i tym razem Haz'kam już widział łuczników. Było ich co najmniej stu. Wszyscy strzelali jednocześnie – zasypując pociskami wycofujący się oddział, który związał się ze Skandiana – mi walką wręcz. Tarcze znów wróciły na swoje miejsce, zasłaniając strzelców, jeszcze zanim ich strzały dosięgły kolejnych temudżeińskich konnych.

Następny zgrany ruch tarcz i tym razem generał śledził już lot strzał szybujących w powietrzu. Zatoczyły łuk i uderzyły w sam środek innego galopującego ałumu. Odwrócił się, napotkał wzrok swojego syna, który pełnił funkcję kapitana w jego sztabie. Ostrzem dzidy wskazał linię tarcz na niewielkim wzniesieniu za szeregami Skandian.

– Ich łucznicy są tam – stwierdził. – Weź ałum i dowiedz się czegoś więcej. Potrzebuję informacji.

Syn generała skłonił głowę, zasalutował, po czym natychmiast spiął wodze beczułkowatego wierzchowca.

Dołączył do najbliższej sześćdziesiątki, galopując wzdłuż pierwszego szeregu temudżeińskiej armii i w biegu zaczął wykrzykiwać rozkazy jej dowódcy.

Na wzniesieniu za skandyjskimi liniami obrony Will oraz Horace uwijali się jak w ukropie, posyłając salwę za salwą, każda starannie wymierzona w kolejne oddziały temudżeińskich jeźdźców. Konni po raz kolejny zataczali swój krąg. Niestety, pojawiły się pierwsze ofiary także i pośród strzelców. Niektórzy Temudżeini już zauważyli łuczników, a pojedynczym jeźdźcom udawało się niekiedy wypuścić celną strzałę. Tyle że tarcze okazały się wyjątkowo skuteczną osłoną i wypracowana w trakcie wielu godzin szkolenia metoda dawała teraz owoce.

Skandianie również zauważyli, jak przerażająco skuteczny jest skoncentrowany ostrzał z łuków i za każdym razem, gdy kolejne salwy zmiatały jeźdźców z siodeł, wydawali tryumfalny ryk.

Temudżeińscy strzelcy wyborowi, kaidżynowie, podejmowali jak dotąd dwukrotnie próbę unicestwienia Willa oraz Horace'a. Odbyły się już dwa takie pojedynki i Will właśnie oglądał z satysfakcją ponowny efekt użycia własnej broni. Kolejny kaidżyn najpierw zsunął się z siodła, a następnie padł na ziemię. Raptem Horace trącił go w ramię.

– Spójrz – rzekł, wskazując ałum, gnający ku nim od strony temudżeińskich szeregów. Ci jeźdźcy nie zataczali łuków, nie lawirowali. Pędzili w pełnym galopie wprost na nich. Nietrudno było się domyślić, w jakim celu.

– Namierzyli nas – stwierdził Will, a potem zawołał do swoich ludzi:

– Kierunek prosto, pół prawej. Przygotować się!

Ręce sięgnęły po strzały i osadziły je mocno na cięciwach.

– Gotowi! – odezwała się Evanlyn. Will uśmiechnął się sam do siebie na wspomnienie Halta, który nie tak przecież dawno rozważał, czy to na pewno dobry pomysł, żeby Evanlyn wzięła udział w bitwie. Uczeń zwiadowcy radował się teraz, że zdołał przekonać mistrza. Lecz prędko porzucił wspomnienia, zajmując się na bieżąco oceną prędkości nadjeżdżających jeźdźców. Wkrótce ich wrzaski dobiegały już z bliska,

a temudżeińskie strzały zabębniły o prostokątne tarcze. Jednak w tym boju to Will oraz jego drużyna mieli przewagę. Strzelali ze wzniesienia, zza okopów, więc stosunkowo bezpieczni, a w dodatku dysponowali skuteczną osłoną.

– Pozycja druga! Naciągać!

– Tarcze odwieść! – krzyknął Horace, dając Willowie akurat tyle czasu, ile mu było trzeba.

– Strzelać! – zawołał Will.

– Tarcze! – ryknął Horace, zasłaniając przyjaciela.

Łucznicy byli narażeni na ostrzał ze strony wroga tylko przez kilka sekund, jednak, ponieważ trwał on nieustannie, nie obeszło się bez strat. Lecz już chwilę później skandyjskie strzały dosięgły pierwszego szeregu jeźdźców; dwunastu konnych runęło na ziemię wraz z wierzchowcami, a pędzący za nimi na próżno próbowali przeskakiwać lub omijać swych towarzyszy. Niechybnie musiało nastąpić zderzenie, więc kolejne konie waliły się na ziemię, jeźdźcy zaś wypadali z siodeł. Niektórym napastnikom co prawda udało się utrzymać na końskich grzbietach, jednak, gdy usiłowali przegrupować oddział, spadł na nich ponowny deszcz strzał, wypuszczonych w dziesięć sekund po pierwszej salwie.

Syn Haz'kama leżał na ciele martwego konia; jedna strzała sterczała z jego uda, druga utkwiła między szyją a ramieniem. Patrzył na tarcze, jak odsuwają się i wracają na swoje miejsce, a pociski prują powietrze w regularnych odstępach czasu. Dostrzegł umocnioną pozycję dowodzenia na końcu linii strzelców i poruszające się tam dwie głowy.

Jego ojciec powinien się o tym dowiedzieć. Przyglądał się, jak tamci wystrzelili znów, a potem jeszcze raz – na szczęście teraz mierząc do innego ałumu, który przegalopował opodal. Słyszał nawet rozkazy wydawane strzelcom oraz tarczownikom przez obu dowódców. Głos jednego z nich brzmiał nadzwyczaj młodo.

Kapitanowi temudżeińskiej armii przyszło na myśl, że chyba jednak zbyt wcześnie schodzi mrok, ale zaraz uświadomił sobie, że przecież nie ma jeszcze południa. Z trudem przekręcił głowę, by spojrzeć w niebo. Wpatrywał się w błękitny horyzont, bez jednej chmurki. Dopiero wtedy zrozumiał, że umiera i przejął go strach. Umierał, a musiał przekazać swemu ojcu wiadomość najwyższej wagi. Jęknął z bólu, ale zdołał powstać

i chwiejnym krokiem, potykając się o ciała poległych towarzyszy, począł mozolnie brnąć w stronę, gdzie znajdowały się temudżeińskie wojska.

Obok kapitana przebiegł koń bez jeźdźca; próbował go schwytać, lecz okazał się zbyt słaby. A potem znów usłyszał tętent kopyt. Czyjaś silna dłoń pochwyciła go za skórzany kaftan na plecach i wciągnęła na siodło, podczas gdy on nie mógł powstrzymać jęku, albowiem obie rany sprawiały mu nieznośny ból.

Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto jest jego wybawcą. Był to sierżant należący do ałumu innego niż ten, z którym syn Haz'kama wyruszył.

– Zawieź… mnie… do generała – zdołał wykrztusić – Do generała Haz'kama. Pilna wiadomość!

Sierżant, rozpoznawszy po epoletach oficera wyższego stopniem, skinął tylko głową i pognał galopem w stronę wzgórza, na którym stał dowódca.

Trzy minuty później śmiertelnie ranny kapitan zdążył powiadomić ojca o tym, co zobaczył.

A w cztery minuty później już nie żył.

Halt i Erak, rozlokowani w centrum skandyjskich wojsk, obserwowali ze stanowiska dowodzenia, jak skuteczny okazuje się regularny ostrzał prowadzony przez formację strzelców, którą dowodził Will. Teraz, gdy skośnoocy napastnicy odkryli wreszcie obecność w bitwie ich łuczników, trudno byłoby co prawda powtórzyć początkowy wyczyn, czyli pokusić się o zniszczenie trzema błyskawicznymi, następującymi bezpośrednio po sobie salwami niemal całego ałumu. Jednak regularny, zmasowany celny ostrzał ze stu łuków kierowanych przez Willa niweczył atak za atakiem.

Co więcej, Temudżeini zdali sobie już sprawę, że obrońcy potrafią skutecznie rozpracowywać ich podstawową taktykę: jeden oddział rusza do bezpośredniego natarcia, podczas gdy drugi czeka w pogotowiu, by w następnej kolejności przeprowadzić ostrzał. W tej jednak bitwie cały impet działań zaczepnych skutecznie powstrzymywali łucznicy, ukryci na prawym skrzydle skandyjskich wojsk. Dla Temudżeinów było to zupełnie nowe doświadczenie, bowiem nigdy dotąd nie mieli do czynienia z tak dobrze zorganizowanym i celnym ostrzałem, który prowadzili nie oni sami, lecz przeciwnik.

Trudno byłoby jednak odmówić im woli walki. Skoro fortele nie dawały spodziewanych rezultatów, niektórzy z dowódców zdecydowali się na

porzucenie taktycznych sztuczek. Zamiast łuków, bo te okazały się nie dość skuteczne, dobyli szabel i przeszli do regularnego natarcia, starając się wykorzystać własną liczebną przewagę nad Skandianami.

W polu stanęli skośnoocy żołnierze, odważni i zręczni. Zapewne zmasowana potęga armii, którą przywiedli ich wodzowie, z innym niż Skandianie przeciwnikiem zapewniłaby im zwycięstwo. Jednak rogaci wojownicy nie mieli sobie równych w walce wręcz. Dla Temudżeinów bój piersią o pierś stanowił jedynie doskonale opanowane rzemiosło; dla mieszkańców Skandii był sposobem i treścią życia.

– To rozumiem! – zaryczał radośnie Erak, gdy ujrzał trzech Temudżeinów przedzierających się przez ziemny nasyp. Ruszył im na spotkanie. W następnej chwili Halt poczuł, że ktoś odpycha go na bok: Ragnak biegł, by dołączyć do swego pobratymca. Halt nie zdołał nawet mrugnąć okiem, gdy skandyjski oberjarl już machał potężnym toporem na prawo i lewo, kładąc pokotem niskich, krępych wojowników, którzy zaroili się wokół ich pozycji.

Halt trzymał się na uboczu, zostawiając Skandianom chwalebne czyny osiągane bronią białą. Rozglądał się za to pilnie, aż ujrzał to, czego szukał. Jeden z temudżeińskich strzelców wyborowych, łatwo rozpoznawalny po czerwonej oznace na lewym ramieniu, wpatrywał się w tłum walczących mężczyzn, by eliminować dowódców. Gdy Ragnak tubalnym głosem przywołał swoich wojowników, oczy strzelca zabłysły. Krótki łuk uniósł się natychmiast, strzała już była gotowa.

Ale spóźnił się o dwie sekundy. Długi łuk Halta wypuścił czarną strzałę, nim Temudżein zdążył do końca naciągnąć swój. Jeździec ze wschodu nie dowiedział się już nigdy, co się właściwie stało, gdyż w jednej chwili runął do tyłu przez koński zad.

A potem nagle było już po wszystkim, zażarta potyczka skończyła się; pozostali przy życiu Temudżeini salwowali się ucieczką, wskakując na konie zostawione przed najeżonym ostrymi drągami wałem.

Zadowoleni z siebie Erak i Ragnak szczerzyli zęby w uśmiechu. Erak trzepnął Halta w plecy, aż zwiadowca się zatoczył.

– To rozumiem! – oznajmił. Nietrudno było się domyślić, że oberjarl podziela jego zdanie.

– Miło mi, że się dobrze bawisz, Eraku – stęknął cierpko Halt, bo oznaki skandyjskiej serdeczności niezbyt przypadły mu do gustu.

Erak zaśmiał się, ale zaraz spoważniał, wskazując ruchem głowy prawe skrzydło i niewielki oddział łuczników Willa, wciąż zasypujący najeźdźców chmarami strzał.

– Chłopak świetnie daje sobie radę – stwierdził. Ku własnemu zdziwieniu Halt wyłowił w tonie jarla wyraźną nutę dumy.

– Wiedziałem, że tak będzie – odparł spokojnie, a potem odwrócił się, bo teraz znów Ragnak uznał za stosowne, aby położyć mu dłoń na ramieniu. Halt stwierdził w duchu, że demonstracje skandyjskiej serdeczności stają się nie tylko uciążliwe, ale i wręcz niebezpieczne, bowiem wprost uginał się pod ciężarem łapska wodza.

– Muszę przyznać, zwiadowco, że się nie myliłeś – rzekł oberjarl, wskazując drugą ręką ziemne umocnienia. – Myślałem, że wszystko to całkiem niepotrzebne. Teraz jednak widzę, że w otwartej bitwie nie mielibyśmy szans z tymi diabłami. A jeśli chodzi o chłopaka i jego strzelców – ciągnął – to szczerze się cieszę, że zajęliśmy się nim, gdy wpadł w nasze ręce.

Erak uniósł nieznacznie brwi. Swego czasu rozgniewał się nie na żarty, gdy dowiedział się, iż Willa, nim uciekł ze skandyjskiej niewoli, przydzielono do najcięższej pracy o głodzie i chłodzie; w rezultacie chłopak był o włos od śmierci. Zwiadowca nie odezwał się jednak. Widocznie Ragnak uznał, że przywilejem władcy jest zapominać o niewygodnych dlań faktach z przeszłości.

Korzystając z chwili wytchnienia, Halt przyjrzał się uważnie sytuacji na prawym skrzydle, w okolicach pozycji zajmowanej przez Willa. Linia obrony, odgradzająca łuczników od pola bitwy, wciąż pozostawała dobrze obsadzona. Tam właśnie Skandianie ponieśli najmniejsze straty. Najwyraźniej ałumy unikały konfrontacji z obrońcami na tym akurat odcinku. Temudżeini widzieli, co sta ło się z oddziałem, który dokonał bezpośredniej szarży na łuczników.

Halt rozumiał jednak, że wódz najeźdźców nie może pozwolić, by obecna sytuacja miała trwać w nieskończoność. Tracił przecież zbyt wielu ludzi – zarówno w wyniku ciągłego ostrzału, jak i podczas desperackich starć z obrońcami twarzą w twarz. Wkrótce będzie musiał coś wymyślić, żeby pokonać nieoczekiwaną przeszkodę, jaka wyrosła na drodze kierowanych przez niego wojsk. Bo taką właśnie przeszkodą stali się dla najeźdźców sprawni łucznicy Willa.

I rzeczywiście, w tej samej chwili myśli Haz'kama biegły niemal identycznym torem.

Generał zaklął cicho, spoglądając na raporty jego ludzi dotyczące strat.

Skinął na Niť zaka, swego zastępcę i pokazał mu trzymany w ręce pergamin.

– Dłużej tak być nie może – odezwał się cicho. Niť zak pochylił się bez zwłoki, sięgając po kartę z pospiesznie zapisanymi liczbami, żeby je przeczytać.

– Rzeczywiście, niedobrze – stwierdził. – Ale to jeszcze nie klęska. Wciąż dysponujemy taką przewagą, że możemy ich zmiażdżyć i nędzna setka łuczników nie uratuje tych psów. Przecież nie są w stanie stawiać oporu bez końca.

Ale Haz'kam potrząsnął niecierpliwie głową. Shan już dawniej zdawał sobie sprawę, że o ile Niť zak doskonale sprawdza się jako dowódca w polu, to właśnie teraz po raz kolejny dowiódł, iż brak mu szerszego spojrzenia i nie potrafi myśleć kategoriami strategicznymi.

– Nit'zaku, straciliśmy prawie półtora tysiąca ludzi – zabitych lub rannych. To jedna czwarta naszych oddziałów bojowych. Jeżeli przebieg bitwy się nie odwróci, możemy stracić drugie tyle.

Nit'zak wzruszył tylko ramionami. Jak wielu wyższych rangą temudżeińskich oficerów mało się przejmował stratami, jeśli tylko pozwalały osiągnąć bitewne zwycięstwo. Stepowi wojownicy ginęli, ale przecież na tym właśnie polegała ich rola – by walczyć i ginąć. Haz'kam dostrzegł gest swojego zastępcy i trafnie odgadł jego myśl.

– Nie zapominaj, że znajdujemy się o dwa tysiące mil od naszej ojczyzny – rzekł. – Mieliśmy podbić ten skuty lodem przedsionek piekła tylko po to, żeby móc dokonać potem inwazji na Araluen. Jakże moglibyśmy się ważyć na dalszą ekspansję, jeśli pozostanie nam mniej niż połowa wojsk?

Nit'zak nie bardzo rozumiał, o co dowódcy chodzi. Przywykł, że ich marsz jest nieprzerwanym pasmem kolejnych zwycięstw i nawet nie przyszło mu do głowy, iż mogliby ponieść klęskę.

– Przecież od samego początku wiedzieliśmy, że nie obejdzie się bez strat – rzucił niedbałym tonem.

Tego Haz'kamowi było już za wiele. Aż stracił panowanie nad sobą, co zdarzało się bardzo rzadko, i zaklął szpetnie.

– Myśleliśmy, że czeka nas zwykła potyczka! – W głosie wodza brzmiał gniew. – A tymczasem toczymy najcięższą bitwę, jaką w ogóle pamiętam! Zdaj sobie wreszcie sprawę, Nit'zaku, że zwycięstwo tutaj może nas kosztować zbyt wiele. Tak wiele, że nie zdołamy nawet powrócić do naszego kraju.

W słowach Haz'kama nie było za grosz przesady. Od ojczystych stepów dzieliły ich, jako żywo, dwa tysiące mil, a droga wiodła przez terytoria właściwie wrogie, bo ledwie z trudem poskromione. Ich mieszkańcy zapewne nie omieszkaliby skorzystać z okazji; gdyby zyskali sposobność, wzięliby srogi odwet na uszczuplonych siłach Temudżeinów.

Nit'zak milczał. Czuł się dotknięty tonem, jakim zbeształ go wódz, zwłaszcza że uczynił to, nie zważając na obecność innych oficerów. Według etykiety obowiązującej Temudżeinów, zastępcę wodza spotkał niemały afront.

– W takim razie. Co zamierzasz czynić, Haz'kamie? – spytał po chwili.

Generał nie odzywał się przez długi czas. Spoglądał ku skandyjskim liniom, przesuwał oczami wzdłuż wrogich stanowisk dowodzenia, usytuowanych w centrum tubylczych oddziałów, patrzył też na łuczników, znajdujących się po jego lewej stronie, czyli na prawym skrzydle wojsk nieprzyjacielskich. Zdawał sobie sprawę, że właśnie te dwie pozycje mają kluczowe znaczenie dla losów całej bitwy.

Wreszcie, podjąwszy decyzję, odwrócił się do zastępcy.

– Weź kaidżynów z pierwszych pięćdziesięciu ałumów i zgromadź ich tutaj jako jednostkę specjalną – rozkazał.

– Czas już pozbyć się tych przeklętych łuczników.

Znów nadciągają – oznajmił Horace. Will i Evanlyn wstali, by rzucić okiem w stronę temudżeińskich wojsk.

Skośnoocy jeźdźcy zbliżali się po raz kolejny, lecz tym razem zanosiło się na zmasowany, frontalny atak.

Haz'kam rzucił do boju prawie dwa tysiące ludzi, formując z nich klin, który skierował w sam środek skandyjskich wojsk. Ustawił swe oddziały tak, by ostrze klina trafiło dokładnie w stanowisko dowodzenia przeciwnika. Stamtąd Ragnak, Erak oraz Halt kierowali obroną.

Will i Evanlyn, korzystając z chwili przerwy, zgłodniali, łykali w pośpiechu strawę, choć przede wszystkim zaspokoili pragnienie. Willowi kompletnie zaschło w gardle, zarówno z napięcia, jak i od nieustannego wykrzykiwania komend. Domyślał się, że Evanlyn czuła to samo. Horace posilił się wcześniej, więc trzymał straż, obserwując rozwój sytuacji.

Kiedy padło ostrzeżenie, Evanlyn czym prędzej wsunęła się na swoje miejsce pod podwyższeniem, a łucznicy, którzy dotąd wypoczywali oparci wygodnie o nasyp, od razu zerwali się i chwycili za łuki. Tarczownicy, również korzystający z chwili spokoju, też w jednej chwili stanęli, każdy przy boku swojego łucznika.

Czekali w milczeniu.

W międzyczasie, gdy działania nieprzyjacielskie na krótko ustały, kosze obok każdego ze strzelców na nowo zapełniono strzałami. Kiedy bowiem oni toczyli bój, kobiety zgromadzone w Wielkiej Sali dworu Ragnaka przygotowywały cierpliwie wciąż nowe pociski dla łuczników biorących udział w bitwie.

Will przyglądał się ogromnej masie nadciągających wojsk. Przeciw niej mógł wystawić ledwie siedemdziesięciu pięciu łuczników, z których wielu odniosło wcześniej rany. Stracił, jak dotąd, jedenastu ludzi zabitych temudżeińskimi pociskami, a czternastu dalszych odniosło tak ciężkie obrażenia, że trudno by na nich liczyć. Przypatrując się nadciągającym Temudżeinom, Will wyliczył sobie, iż, nim tamci dotrą do skandyjskich linii obronnych, zdoła posłać ku nim cztery, może pięć salw. Oznaczało to lawinę co najmniej trzystu strzał, które spadną na zbliżających się w szyku zwartym napastników. Czyli ustawienie wroga gwarantowało dużą skuteczność trafień. Jeśli Will pokieruje swymi ludźmi tak, by mierzyli w sam środek nieprzyjacielskiej formacji, nawet te strzały, które polecą za daleko lub upadną zbyt blisko, osiągną mimo wszystko cel.

– Kierunek lewo na wprost, pozycja trzecia! – zawołał, wprawiając znów w ruch zabójczą machinę.

– Gotowi! – raportowała Evanlyn.

– Naciągnąć… Strzelać! – zakrzyknął Will i dał znak Horace'owi, by jeszcze nie przywoływał tarcz. Na razie Temudżeini nie strzelali, a im będą bliżej, tym większe szkody zdołają wśród nich poczynić łucznicy Willa i tym większe szanse zyskają Halt oraz Erak, by odeprzeć główne natarcie.

– Przygotować się! – zawołał, a gdy znów usłyszał okrzyk Evanlyn, oznajmujący gotowość strzelców, posłał ku najeźdźcom kolejną salwę. Gdy te pociski szybowały w powietrzu, salwa pierwsza uderzyła w nacierających, więc ujrzał jeźdźców spadających z koni.

– Pół na lewo! – krzyknął, zmieniając kierunek, gdyż cel stale się przemieszczał po skosie, z jego strony prawej ku lewej. Wyznaczył pozycję, biorąc poprawkę na skrócony już dystans. Przy brzęku cięciw znów ku wrogowi pofrunęło kolejnych siedemdziesiąt pięć strzał. Jeźdźcy przeszli do galopu; Will dokonał kolejnej korekty.

– Kierunek lewo na lewo! Pozycja druga! – zawołał. Okrzyk Evanlyn potwierdził, że jego podkomendni gotowi są do akcji.

– Naciągnąć… Strzelać!

Dobiegły go odgłosy walki, jaka wywiązała się między pierwszymi szeregami nacierających konno i obrońcami, którzy wyszli poza nasyp. Teraz nie mógł już strzelać do jeźdźców znajdujących się na czele atakującego klina, bo istniało zbyt wielkie ryzyko, że strzały zranią także Skandian; nic jednak nie stało na przeszkodzie, by nadal razić środek nieprzyjacielskiej formacji.

– Kierunek lewo pół na lewo! – rozkazał i łucznicy zwrócili się w tę samą stronę co poprzednio, wykonując obrót o dwadzieścia stopni.

Lecz w następnej chwili powietrze wokół ożyło, poruszone świstem nadlatujących od strony wroga strzał. Will ujrzał, jak jego ludzie padają, niektórzy z krzykiem bólu i przestrachem uwięzłym w gardle, a inni – niestety – nie wydając żadnego już odgłosu.

– Tarcze! Tarcze! – krzyczał Horace. Tarczownicy natychmiast wykonali rozkaz, ale nie dość skutecznie, zabrakło im po prostu czasu, by ocalić od trafienia jeszcze kilku kolejnych strzelców. Will zwrócił się natychmiast w stronę, z której nadleciały pociski i dopiero teraz ujrzał mniejszy oddział, który niepostrzeżenie zbliżył się do ich pozycji wtedy, gdy on skupiał się na ostrzale głównych sił przeciwnika. Ów oddział z boku zaskoczył formację łuczników Willa. Na oko liczył około pięćdziesięciu łuczników. Usadowieni mocno na końskich grzbietach, prowadzili wyjątkowo celny ostrzał. Za nimi już nadjeżdżała następna, znacznie liczniejsza, grupa wojowników zbrojnych w dzidy oraz krzywe miecze.

– Kierunek na wprost! – zawołał. Później mruknął cicho, by zdołał go usłyszeć wyłącznie Horace: – Teraz jeszcze bardziej niż dotąd przydadzą się nasze tarcze.

Młody wojownik przytaknął. Spoglądał z zaniepokojeniem w stronę pięćdziesięciu jeźdźców, którzy wciąż prowadzili gęsty ostrzał. Groty ich pocisków waliły w jego tarczę lub wbijały się w ziemny nasyp.

– Pozycja pierwsza! – zawołał Will. Znaczyło to, że jego łucznicy mieli strzelać prosto przed siebie. – Naciągnąć!

– Gotowi! – usłyszał okrzyk Evanlyn. Horace dał rozkaz, by odsunąć tarcze, a Will niemal jednocześnie wykrzyczał komendę do strzału.

Natychmiast po salwie tarcze powróciły na swoje miejsce, osłaniając strzelców, lecz nawet w tak krótkim czasie temudżeińskie pociski trafiły kilku kolejnych ludzi Willa.

Will dostrzegł czerwone oznaki na ramionach Temudżeinów i zrozumiał, dlaczego skuteczność nieprzyjacielskiego ostrzału nagle tak się poprawiła.

– Tam są wyłącznie kaidżyni! – stwierdził na poły do siebie, na poły do Horace'a. Jednocześnie uniósł łuk i trzema szybkimi strzałami opróżnił trzy siodła, nim Horace zaciągnął go przemocą za tarczę. W miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się uczeń zwiadowcy, natychmiast świsnęło kilka strzał.

– Oszalałeś? – zawołał Horace, ale w oczach Willa ujrzał tylko rozpacz i ból.

– Zabijają moich ludzi! – odpowiedział i szarpnął się, chcąc znów wyjść zza drewnianej osłony. Jednak Horace zdecydowanie przytrzymał przyjaciela.

– Nie pomożesz nikomu, jeżeli sam też dasz się zabić! – wrzasnął, a Will opamiętał się w jednej chwili.

– Gotowi! – zawołała Evanlyn. Młody zwiadowca uświadomił sobie, że dziewczyna powtarza okrzyk już po raz trzeci, jakby ponaglając go do działania. Wciąż ukryty za tarczą Horace'a, dokonał oceny sytuacji.

Oddziały najeźdźcy, zbrojne w dzidy i szable, już zwarły się z pierwszym szeregiem skandyjskich obrońców.

Na całym prawym skrzydle wywiązała się zażarta walka, podobnie w centrum, gdzie uderzył temudżeiński klin; panował tam taki zamęt, iż nie sposób było stwierdzić, która ze stron zyskuje przewagę. Will odniósł wrażenie – choć nie miał pewności – że w tej chwili sytuacja jest wciąż nierozstrzygnięta.

Tymczasem temudżeińscy strzelcy wyborowi, z których Haz'kam uformował jednostkę specjalną, kłusowali tam i z powrotem wzdłuż prawego skrzydła. Zachowywali między sobą spore odstępy, dzięki czemu osłabiali efekt zmasowanej salwy – i wciąż czyhali na sposobną okazję, by celnymi strzałami wyławiać pojedynczo, jednego po drugim, skandyjskich łuczników, gdy tylko się wychylą. Will pojął, że jeśli spróbuje oddać kolejną salwę, straci przy tym połowę strzelców. Uświadomił sobie ponadto, iż w nowo powstałej sytuacji ma do dyspozycji tylko jedną prawidłową komendę. Należało ją wydać. Postanowił więc zrobić, co doń należało. Wychylił się poza tarczę i krzyknął do łuczników, ustawionych w jednej, mocno już przerzedzonej linii.

– Strzelać pojedynczo! – wskazał w stronę kłusujących kaidżynów. – Strzelajcie tylko wtedy, kiedy sami uznacie, iż jesteście gotowi i mierzcie w poszczególnych łuczników!

Ukrył się znów za tarczą. Lepszej taktyki nie wymyśli. Przynajmniej Temudżeini stracą przewidywalny i łatwy cel, trudno im bowiem będzie zgadnąć, który z ludzi Willa akurat zdecyduje się porzucić osłonę tarczy, by oddać strzał. Oraz kiedy to uczyni. W ten sposób łucznicy zwiększą swe szanse na przeżycie. Choć, to również Will wiedział, niezbędna w obecnej chwili taktyka znacząco zmniejszy skuteczność i celność ostrzału.

Mógł zrobić coś jeszcze. Rzucił okiem w stronę kosza na strzały i szybko dobył cztery; jedną założył na cięciwę, a trzy pozostałe przytrzymał palcami lewej, dzierżącej łęczysko dłoni.

– Ujmij tarczę mocno i nie ruszaj się – rzekł do Horace'a, po czym zbliżył się do przedpiersia nasypu, wciąż ukryty przed wzrokiem nieprzyjaciela. Wziął głęboki wdech, wyskoczył ponad wał, wypuścił cztery strzały – jedna po drugiej – i znowu wskoczył do okopu, kryjąc się za osłoną. Koło uszu obu Araluеńczyków gwizdnęły groty wystrzelone przez Temudżeinów. Horace odnotował, że dwóch strzelców padło od strzał Willa, trzeci z pocisków zwiadowcy utkwił w łydce następnego kaidżyna, dopiero czwarty grot chybił. Gwizdnął z podziwem. Doprawdy, obserwował imponujący pokaz umiejętności strzeleckich. Już zbierał się z gratulacjami, gdy spojrzał na przyjaciela i ujrzał jego twarz, z wyrazem pełnego skupienia, postanowił więc zachować pochwały na później. Will znów zaczerpnął tchu, założył następną strzałę, wyskoczył, wystrzelił, powrócił do ukrycia.

Dopiero teraz Horace mógł w pełni docenić zdumiewającą celność, jakiej nabył jego druh, ćwicząc nieustannie w lasach i na łąkach pod Zamkiem Redmont. Will pojawiał się na moment i zaraz potem się krył, wypuszczając w międzyczasie strzały – czasem jedną, czasami dwie lub trzy – a prawie żadna z nich nie chybiała. Inni łucznicy z jego oddziału także starali się, jak mogli, lecz żaden z nich nawet w małym stopniu nie dorównywał młodemu zwiadowcy prędkością i celnością strzałów. Zresztą, ludzi Willa zaczęło ubywać coraz bardziej, pozostali więc stawali się z każdą chwilą ostrożniejsi.

Strzelali, bo strzelali, wcale nie celując i czym prędzej uciekali za tarcze.

– Teraz od drugiej strony – rzucił Will, polecając Horace'owi, który stał po jego lewej ręce, by przeszedł na prawo. Młody zwiadowca dał nura pod osłoną przedpiersia i ustawił się po lewej od Horace'a. Strzelając, starał się nie zachowywać żadnego rytmu, dbał, żeby pojawiać się w nieregularnych odstępach, tak by Temudżeini nie wiedzieli, kiedy powinni się go spodziewać. Teraz, jak uznał, zbyt już przywykli, iż za każdym razem oglądają go po prawej stronie wielkiej tarczy. Sięgnął po następne cztery strzały, znowu wyszedł zza zasłony, a gdy się za nią schował, było o dwóch nieprzyjaciół mniej. Pomysł okazał się słuszny – ani jedna strzała wroga nie padła tam, gdzie się jeszcze przed chwilą znajdował.

Następnie wynurkował po lewej stronie, oddał kolejny strzał i, wiedziony instynktem, padł od razu na dłonie i kolana. Dosłownie w tej samej chwili strzała gwizdnęła tuż nad jego głową; poczuł, jak strach ściska go za gardło. Horace, widząc, że przyjaciel upada, przeraził się, sądząc, że został trafiony i przyklęknął obok niego.

– Wszystko w porządku? – spytał głosem drżącym z niepokoju. Will próbował się uśmiechnąć, ale nie do końca mu się udało.

– Nic mi nie jest – wykrztusił z trudem. – Tylko troszeczkę się przestraszyłem.

Wstali, skryci wspólnie za tarczą, o którą znów uderzyło kilka temudżeińskich strzał. Will uświadomił sobie, że teraz większość wrogich łuczników skupia się właśnie na jego stanowisku oraz na jego osobie. Zatem łucznicy z formacji znów zyskują szansę, by oddać kolejną salwę.

Tylko że należało przygotować się ostrożnie; gdyby nieprzyjaciel coś zobaczył lub usłyszał, nici z zaskoczenia.

– Evanlyn! – zawołał do dziewczyny, ukrytej pod platformą. Spojrzała ku niemu. – Przekaż ludziom moje polecenia. Zaraz oddajemy kolejną salwę!

Uniosła dłoń na znak, że zrozumiała.

Kaidżynowie, usiłując trafić nieuchwytnego strzelca, który pojawiał się niespodziewanie i od razu znikał, znów zgrupowali się blisko siebie, zasypując teraz gradem strzał przede wszystkim jego pozycję. Ponieważ od dobrych kilku minut łucznicy po skandyjskiej stronie praktycznie zaniechali skutecznego ostrzału, jeźdźcy przestali się ich obawiać i skoncentrowali się na ostatnim, jak im się zdawało, zagrożeniu – zbliżyli się przy okazji jeszcze bardziej do zajmowanego przez Willa stanowiska dowodzenia. Skupieni na nim – zacieśnili własne szeregi.

– Podaj dalej: prosto na prawo! – zawołał półgłosem i usłyszał, jak Evanlyn przekazuje komendę pierwszemu z łuczników w szeregu. Trwało dłuższą chwilę, lecz w końcu wszyscy zwrócili się w stronę, którą im wyznaczył.

– Gotowi – usłyszał jej głos; w odpowiedzi podał dla pewności: pozycja pierwsza. Znów minęła chwila, łuki znieruchomiały.

– Naciągnąć – powiedział półgłosem, po czym rozkaz powędrował wzdłuż szeregu.

Wówczas wziął głęboki wdech i krzyknął z całych sił:

– Tarcze na bok! Strzelać!

W następnej sekundzie, gdy strzały jeszcze pruły powietrze, Horace już wrzeszczał:

– Tarcze!

Ponieważ był pewien, że teraz uwaga Temudżeinów skieruje się na dłuższą chwilę w stronę jego strzelców, Will wyskoczył zza swojej tarczy i posłał kolejne pociski w kierunku łuczników nieprzyjaciela. Dostrzegł przy okazji, że zarządzona przezeń salwa odniosła pożądany skutek. W tej chwili dysponował ledwie pięćdziesięciu strzelcami zdolnymi do walki, ale i tak ich groty przysporzyły Temudżeinom niemałych strat. Co najmniej dwunastu napastników spadło z koni. Kolejnych pięciu, za sprawą Willa, podzieliło ich los. Lecz za moment on sam padł pod ciężarem Horace'a, który rzucił się na przyjaciela i przygniótł do ziemi. Nad nimi świsnęło co najmniej kilkanaście strzał. Inne z głuchym łomotem wbiły się w nasyp.

Horace sturlał się, uwalniając Willa spod swego muskularnego ciała.

– Tak ci spieszno do nieba? – spytał.

Will w odpowiedzi uśmiechnął się, tym razem całkiem rozluźniony. Lecz słowa, które po chwili wypowiedział, zabrzmiały bardzo, bardzo poważnie:

– Ufam ci przecież – oświadczył. – Nie mogę gapić się we wszystkie strony równocześnie.

Spoglądając razem zza tarczy, stwierdzili, że niedobitki oddziału kaidżynów cofają się coraz głębiej ku swoim. Nadal co prawda trwał ostrzał skandyjskich szeregów, ale teraz już o wiele mniej skuteczny. Will zmarszczył brwi, oceniając kąty i kierunki, po czym machnął w stronę centrum linii obrony, gdzie nadal toczyła się zażarta bitwa.

– Możemy znów strzelać salwami – rzekł do Horace'a.

– Jeśli tarczownicy przesuną się na prawo, a strzelcy staną po ich lewej stronie, będą osłonięci od strzał wroga.

Horace podążył wzrokiem za spojrzeniem druha, a gdy pojął, że Will ma rację, jego oblicze rozjaśniło się błyskiem zrozumienia. Kaidżyni znajdowali się teraz na wprost nich, a więc strzelcy mogli prowadzić ostrzał głównych sił temudżeińskich po skosie, nie wychylając się zza tarcz.

Czym prędzej podzielili się tym pomysłem z Evanlyn, która przekazała rozkazy strzelcom. Widział ze swego miejsca, jak potakują; najwyraźniej zrozumieli. Nie minęła chwila kiedy przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł.

– Evanlyn! – zawołał. Spojrzała na niego pytająco. – Kiedy już zaczniemy, ty będziesz wydawać następne komendy. Cały czas ten sam kierunek i cały czas pozycja trzecia, salwa za salwą. Ja tymczasem zajmę się kaidżynami tak, jak na to zasługują.

Odpowiedziała mu uśmiechem i skinieniem dłoni.

W jednej chwili pojawiła się szansa, by ulżyć nieco Haltowi, Erakowi, Ragnakowi oraz jego ludziom – okazja, z której żal byłoby nie skorzystać.

– Kierunek prosto, pół na lewo! – zawołał Will. – Pozycja trzecia!

Zostało ich już tylko mniej więcej czterdziestu, lecz wszyscy karnie wykonali rozkaz.

– Naciągnąć… Strzelać!

Will odczekał chwilę, by sprawdzić skuteczność salwy, chciał bowiem mieć pewność, że trafnie ocenił kierunek i tor lotu pocisków. Ujrzał strzały spadające na temudżeińskie oddziały wsparcia i odnotował panikę spowodowaną nagłym wznowieniem ostrzału.

– Teraz ty! – zawołał do Evanlyn. – Jak mówiłem, ten sam kierunek!

Sam zaś skupił się na temudżeińskich strzelcach wyborowych i w następnej chwili wypuścił ku nim pojedynczą strzałę. Odpowiedź stanowiło kilka wystrzelonych pocisków. Za sobą usłyszał brzęk cięciw, gdy kolejna salwa skandyjskich łuczników poszybowała w górę. Will wybrał następny cel, strzelił, ujrzał kaidżyna spadającego z siodła. Poczuł dreszcz satysfakcji, gdy stwierdził, że pozostali jeźdźcy z oddziału zaczynają się oddalać.

– Horace! Wycofują się! – zawołał rozgorączkowany. Machnął ręką w stronę strzelców wyborowych nieprzyjaciela. Pozostało ich już mniej niż

dwudziestu i stopniowo oddalali się coraz bardziej. A im dalej się znajdowali, tym poruszali się prędzej, bo żaden nie chciał być tym ostatnim, którego mogą trafić.

Will chwycił swojego rosłego przyjaciela za ramię i potrząsnął nim solidnie.

– Zwiewają! Słuchaj, zwiewają! – zawołał.

Horace skinął poważnie. Wyciągnął przed siebie dłoń, a palcem wskazał Skandian znajdujących się bezpośrednio przed nimi. Ci wciąż zmagali się z temudżeińskim naporem.

– Zwiewają? Dobre choć to – stwierdził. – Niestety, tutaj rozpoczyna się coś wręcz przeciwnego.

Masa temudżeińskiej piechoty wlewała się przez wyłom dokonany w skandyjskiej linii obrony.

Nit'zak, dowódca polowy, który kierował siłami temudżeińskimi atakującymi stanowisko Willa, bezustannie pchał do boju wciąż nowych ludzi, nie zważając przy tym na możliwe straty. Kaidżyni zajęli się łucznikami nieprzyjaciela, natomiast piesi żołnierze natarli z całym impetem na szeregi skandyjskich toporników, chroniących pozycje strzeleckie.

Nit'zak domyślał się, że od tego właśnie natarcia zależy dalszy los całej bitwy, więc postawił wszystko na jedną kartę. Jeśli i tym razem się nie powiedzie, Haz'kam wyda rozkaz odwrotu, zdecydowany, aby unikać dalszych strat. Myśl o odwrocie, o klęsce – dla Nit'zaka była nie do przyjęcia. Ponaglał więc swoich ludzi, usiłując całą siłą woli sprawić, żeby przebili się przez skandyjską obronę i rozprawili się wreszcie z nielicznym, lecz morderczo skutecznym oddziałem łuczników kryjących się za topornikami.

Ziemię usłały trupy ludzi Nit'zaka oraz zwłoki ich wierzchowców. Powoli, powoli, lecz jednak dzikusy z północnego kraju zaczęły ustępować pod nieustannym naporem. Coraz więcej wrogów padało, ich obrona słabła.

– Generale! – jeden z przybocznych wskazał grupkę jeźdźców, którzy pospiesznie oddalali się z pola bitwy.

– Kaidżyni uciekają!

Nit'zak rzucił przez zaciśnięte zęby soczyste przekleństwo. Kaidżyni, oni, którzy uważali się za coś o niebo lepszego od innych żołnierzy temudżeińskiej armii! Sowicie opłacani, cieszący się szczególnymi przywilejami. Strzelców wyborowych nigdy nie posyłano na pierwszą linię, nie musieli brać udziału w bezpośrednich starciach, gdyż ich celne pociski, eliminujące oficerów i dowódców nieprzyjaciela, przynosiły jakoby o wiele większe korzyści niż sukcesy innych mężnych żołnierzy. Oszczędzano ich i hołubiono, a teraz, gdy tylko znaleźli się pod naprawdę celnym ostrzałem, podle stchórzyli. Nit'zak przyrzekł sobie, że dopilnuje, by wszyscy, co do jednego, okupili zdradę śmiercią.

Sprawa kaidżynów musiała jednak na razie poczekać. Skandyjscy łucznicy znów bowiem słali salwę za salwą, dziesiątkując szeregi nacierających wojsk. Trzeba ich było powstrzymać. Za wszelką cenę.

Haz'kam miał zapewne słuszność, uznając, iż jego zastępcy brakowało szerszego, strategicznego spojrzenia.

Nie zmieniało to jednak w niczym faktu zasadniczego. Otóż Nit'zak posiadał pewną cechę, która czyniła go doskonałym dowódcą polowym. Potrafił mianowicie bezbłędnie wyczuć decydujący moment, chwilę, w której ważą się losy całej bitwy, a nieugięta determinacja jednej ze stron może zadecydować o ostatecznym zwycięstwie. Ta chwila właśnie teraz nadeszła. Nit'zak, obserwujący swych żołnierzy, którzy twardo zmagali się ze Skandianami, po raz pierwszy dostrzegł, że obrona nieprzyjaciela zaczyna słabnąć. Dobył zatem szabli i rzucił komendę, skierowaną w stronę własnej straży przybocznej, złożonej z trzydziestu doświadczonych wojowników:

– Za mną! – Następnie, własnym przykładem, poderwał ich do ataku.

Wyczucie go nie myliło. Spływający krwią, wycieńczeni Skandianie walczyli ostatkiem sił, właściwie tylko dzięki nieugiętej woli. Już wielu padło, by więcej nie powstać. Tymczasem, zdawało się, Temudżeini dysponowali nieomal nieograniczoną liczbą żołnierzy; na miejsce każdego powalonego skandyjskim toporem wojownika wyrastało zaraz dwóch następnych. Przybiegali, wznosili bojowy okrzyk i ze świeżą siłą obracali szablami. Teraz, gdy do napastników dołączył drobny co prawda, lecz zdeterminowany i wypoczęty oddział Nit'zaka, szala zwycięstwa poczęła przechylać się na ich stronę. Najpierw cofnął się jeden Skandianin, potem

drugi. Później cofali się już całymi grupami, a Temudżeini rzucili się tłumnie w powstały wyłom, by gonić prymitywów z północy zmykających przed ich potęgą.

Nit'zak wskazał klingą linię łuczników, wciąż ostrzeliwujących główne siły Temudżeinów.

– Zabijać ich! Zabijać łuczników! – rozkazał swym ludziom ze straży przybocznej i osobiście ruszył do natarcia.

Widząc to, Horace odrzucił ciężką, nieporęczną tarczę. Chwycił własny puklerz. Z głośnym świstem dobył miecza, po czym przeskoczył na drugą stronę przedpiersia.

– Ty zostań tutaj – rzucił rozkazująco do Willa, samemu biegnąc żwawo ku nieprzyjacielowi. Teraz z kolei Will zyskał szansę, by podziwiać niepospolitą zręczność młodego czeladnika rycerskiego. Miecz Horace'a śmigał tak szybko, że trudno było nadążyć za nim wzrokiem. Zakreślał w powietrzu przedziwne wzory, próbował cięć, uników, fint, pchnięć oraz zasłon. Z pierwszą grupką atakujących Horace rozprawił się w mgnieniu oka; teraz w jego stronę sypnęli się gęsto następni żołnierze. Znów rozległ się szczęk stali. Temudżeini przybyli jednak nader tłumnie; Horace'owi groziło, że zostanie okrążony przez wrogie zastępy. Will zerknął w stronę kosza na strzały. Pozostało mu już tylko pięć pocisków. Wypuścił je kolejno, każdym kładąc jednego Temudżeina.

Spojrzał na własny oddział. Tarczownicy dobyli broni i gotowali się do bezpośredniego starcia. Niektórzy z wycofujących się Skandian dokonali w lot przegrupowania, wzmacniając tym samym siły obrony. Evanlyn wciąż wydawała komendy strzelcom.

– Nie przerywać ostrzału! – zawołał Will. Zerknęła w jego stronę, skinęła głową i powróciła do swego zajęcia.

Horace, wciąż odpierając wściekłe ataki Temudżeinów, został wreszcie zepchnięty furią ataku prawie do samego nasypu, z którego uprzednio obaj dowodzili łucznikami. Walczył samotnie i groziło mu, że któryś z przeciwników zdoła go zajść od tyłu. Will wypuścił ostatnią strzałę. Dobył obu noży i pobiegł osłaniać plecy przyjaciela.

Tymczasem, w samym centrum skandyjskich pozycji, Erak zwietrzył sposobność. On także wyczuł kluczowy moment. Temudżeini w dalszym ciągu walczyli zapamiętale, lecz ich natarcie utraciło dotychczasowy impet.

Osłabieni i zdeprymowani ciągłą lawiną strzał spadających na nich z okolic prawego skrzydła, jeźdźcy temudżeińskich oddziałów odwodowych poszli w rozsypkę i wycofali się. Dlatego wojska, które nadal toczyły twardy bój ze Skandianami, pozbawione zostały posiłków. Szeregi skośnookich żołnierzy topniały, a nie było komu zastąpić poległych. Nieustanne parcie wymagało ciągłego dopływu świeżej krwi, tej zaś zabrakło.

Erak powalił właśnie temudżeińskiego kapitana, który z głośnym krzykiem gnał grzbietem nasypu. Następnie jarl odwrócił się, by sprawdzić, co porabia Halt. Zwiadowca zajął pozycję nieco z tyłu i, strzała po strzale, systematycznie, bez śladu emocji szył w pojawiających się na szczycie wału przeciwników. Pomysł Haz'kama, by utworzyć specjalny oddział złożony wyłącznie z kaidżynów i później rzucić go w inne miejsce teatru zmagań, teraz zemścił się srogo, bo walczące w centrum oddziały traciły kolejnych oficerów oraz wyższych dowódców, których bezkarnie dosięgały celne groty zwiadowcy.

Erak przez moment nie widział przed sobą żadnego Temudżeina, więc podbiegł do Halta. Wskazał na lewe skrzydło Skandian, jak dotąd pozostające w odwodzie.

– Wiesz, tak się zastanawiam, czy nie zaatakować od razu z lewej flanki. Może w ten sposób udałoby się ich ze szczętem wykończyć.

Halt przez chwilę obracał w myślach sugestię Eraka. Posunięcie ryzykowne, ale – jak wiadomo – kto nie ryzykuje, ten bitwy nie wygrywa. Lub, ryzykując, ponosi klęskę. Zwiadowca podjął decyzję.

– Zrób tak, jak proponujesz – zgodził się.

Erak już miał odchodzić, gdy spojrzał poza plecy Halta i zaklął. Zwiadowca również się odwrócił. Pragnął osobiście sprawdzić, co też wprawiło jarla w złość. Zobaczył, jak Temudżeini przełamują linię obrony tuż pod stanowiskiem Willa. Obaj wiedzieli, że jeśli ostrzał ustanie, odwody Temudżeinów mogłyby się mimo wszystko przegrupować. A wtedy szansa na decydujące rozstrzygnięcie odejdzie bezpowrotnie.

Trzeba działać natychmiast.

– Uruchamiaj lewe skrzydło, niech wchodzą do bitwy – polecił Halt, chwycił zapasowy kołczan pełen strzał i ruszył biegiem w stronę umocnień, za którymi krył się Will i jego ludzie. Erak pomyślał, że jeden człowiek to przecież zdecydowanie za mało, by stawić czoło takiej liczbie napastników, jaką miał przed chwilą okazję oglądać przed nasypem Willa. Rozejrzał się desperacko wokół i jego spojrzenie spoczęło na Ragnaku. Wódz stał krzepko, otoczony przez tłum wrogów, zaś u jego stóp leżeli ci, których dotąd zdołał już powalić. Dawno odrzucił własną tarczę, obiema dłońmi ujmując stylisko potężnego topora. Popatrywał dziko, krew ściekała z ran na jego ramionach, udach i tułowiu, lecz on nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Erak wiedział, że oberjarl już prawie wprowadził się w święty trans bojowego szału. Wiedział też, że nawet pojedynczy berserker w takim transie może zdziałać niemało.

Wyrąbał sobie drogę pośród Temudżeinów, by przedrzeć się do oberjarla; w końcu wrogowie odstąpili, widząc, że nie mogą się mierzyć z dwoma potężnymi Skandianami. Ragnak rozpoznał go i wyszczerzył zęby w triumfalnym, dzikim uśmiechu.

– Tłuczemy ich, Eraku! – wrzasnął.

Erak chwycił go za ramię, szarpnął.

– Wprowadzam do bitwy lewe skrzydło! – zawołał, na co oberjarl odpowiedział beztroskim uśmiechem i machnięciem ręki.

– Świetnie! Niech się chłopaki też trochę zabawią! – ryknął.

Erak wskazał ręką odcinek linii obronnych od strony morza.

– Prawe skrzydło ma kłopoty. Zwiadowca się tam udał, ale trzeba mu pomóc.

Było może i dziwne, że wydaje rozkazy wodzowi, lecz zdał sobie sprawę, że Ragnak w tym stanie nie zdoła pokierować atakiem z flanki. Nadawał się tylko do jednego – do prowadzenia nieustannego, miażdżącego, bezpośredniego natarcia, w którym zetrze w pył i proch każdego wroga, który ośmieli się stanąć na jego drodze.

Słysząc słowa Eraka, Ragnak ucieszył się:

– Oho, czyli nawet nasz mały mądrala potrzebuje pomocy, powiadasz? A więc niechże ją otrzyma!

Z głośnym okrzykiem pognał za prącym do przodu Haltem, a w ślad za wodzem podążyła jego przyboczna straż, złożona z dwunastu krzepkich toporników.

Erak zmówił krótką modlitwę do Valli. Tych kilkunastu ludzi to co prawda niewiele, lecz wespół z Ragnakiem – ogarniętym bojowym szałem berserkera – powinno wystarczyć. Przestał więc na razie zaprzątać sobie głowę prawym skrzydłem i zawołał posłańca. Cóż, jeszcze przez kilka minut prawe skrzydło będzie musiało samo o siebie zadbać. Teraz Erakowi chodziło o to, żeby wojownicy zajmujący lewe skrzydło uderzyli na nieprzyjaciela z boku.

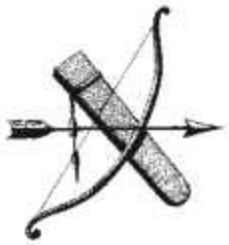

Horace bardziej wyczuł niż dostrzegł czyjąś obecność. Odwrócił się gwałtownie. Miecz, wysoko uniesiony, gotów był w każdej chwili wykonać cięcie. Ale uczeń Szkoły Rycerskiej wstrzymał cios. Ujrzał bowiem drobną sylwetkę najbliższego przyjaciela, który zasłaniał się przed temudżeińską szablą za pomocą dwóch noży; Horace zamachnął się bez namysłu i ciął przeciwnika w czoło. Temudżein zachwiał się, uniósł ręce do twarzy, po czym upadł.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał Horace, odpierając kolejny atak, tym razem wyprowadzony z przodu.

– Pilnuję twoich pleców – wyjaśnił Will, odbijając pchnięcie innego Temudżeina, który próbował zajść Horace'a od tyłu.

– Aha. To może jednak w przyszłości zechcesz mnie łaskawie informować nieco wcześniej o swoich zamiarach, kiedy znów przyjdzie ci do głowy podobny koncept – rzekł Horace i odbił dzidę przeciwnika, kierując jej ostrze w bok, po czym trzasnął głowicą miecza w czaszkę zdumionego właściciela owej czaszki. – O mało nie przeciąłem cię na dwie połówki!

– Nie będzie zapewne żadnego „znów” – stwierdził Will. – Bo to tutaj wcale mi się nie podoba.

Horace szybko rzucił okiem przez ramię. Will odpierał uderzenia nieprzyjaciela za pomocą dwóch noży. Nie była to jednak technika walki, którą podopieczny Halta opanowałby z jakimś szczególnym kunsztem. A poza tym nie ćwiczył jej już prawie od roku. Ostatnio trenowali ją jeszcze na wzgórzach Celtii. Temudżein zyskiwał więc przewagę. Horace dostrzegł nagle, że koszula na lewym ramieniu Willa przesiąkła krwią.

– Kiedy ci powiem, padnij – rozkazał Horace.

– Dobrze! – odparł ponuro Will. – Kto wie, może padnę nawet trochę wcześniej, niż ty mi rozkażesz.

Horace uśmiechnął się mimo woli. Potem, gdy zmusił następnych dwóch napastników, by się cofnęli, zawołał:

– Teraz!

Wyczuł bardziej, niż dojrzał, że Will pada na ziemię. Obrócił miecz i natychmiast pchnął, kierując ostrze do tyłu; usłyszał okrzyk bólu i zdumienia.

– Nic ci nie jest? – zawołał, odwróciwszy znów miecz, by odpierać ataki nieustępliwego, uzbrojonego w dzidę Temudżeina. Przez chwilę nie otrzymywał odpowiedzi, więc się przeraził. Może trafił przyjaciela? Lecz już w następnym momencie rozległ się głos:

– Niezła sztuczka, naprawdę robi wrażenie. Gdzieś ty się tego nauczył?

– Nigdzie. Wymyśliłem na poczekaniu – odparł Horace.

Temudżein z dzidą ustawił się nazbyt blisko, ostrze miecza bez zwłoki, bardzo uczciwie liznęło więc ramię napastnika. Gdy ten padał, Horace wyszarpnął miecz z jego rany i zadał kolejny cios, skierowany w czaszkę następnego syna wschodnich stepów. Filcowa czapa uratowała co prawda jeźdźcowi życie, ale moc ciosu była tak wielka, że skośnooki zwalił się na ziemię bez przytomności, postawiwszy oczy w słup.

Korzystając z uzyskanej w ten sposób chwili wytchnienia, Horace odwrócił się, by sprawdzić, jak się miewa jego przyjaciel.

– Łapa bardzo cię boli? – wskazał powiększającą się plamę czerwieni na rękawie Willa. Młody zwiadowca, zaskoczony, podążył oczami za wzrokiem Horace'a.

– Ani poczułem – stwierdził.

– Poczujesz później – zapewnił solennie Horace.

– Jak dożyję – Will z powątpiewaniem pokręcił głową.

Już w następnej chwili rozległ się brzęk zwalnianych cięciw. Świsnęła kolejna salwa.

– Evanlyn pracuje – zawołał Will. – Nadal kieruje ostrzałem!

– Długo to już nie potrwa – stwierdził Horace.

Cienka linia skandyjskich pozycji obronnych strzegących łuczniczej reduty, nadwątlona nieustannym naporem temudżeińskich tłumów, zaczęła się chwiać.

– Biegnijmy tam! Pilnuj moich pleców, a wrzeszcz, jakbyś miał jakieś kłopoty – zakrzyknął Horace i pobiegł ku nasypowi. Jego miecz unosił się i opadał, szatkując łby nacierających Temudżeinów. Ci odstąpili na kilka chwil, zdumieni furią ataku. Potem jednak, dostrzegłszy, że napastników jest zaledwie dwóch, w dodatku jeden z nich posiada tylko dwa noże oraz jest tak drobnego wzrostu, iż przypominał jeszcze chłopca, odzyskali animusz i znów zaatakowali.

Horace walczył zaciekle. Wokół niego skupiła się nieliczna garstka pozostałych przy życiu obrońców. Jednak Temudżeini dysponowali zbyt wielką liczebną przewagą, aby ktokolwiek z niedobitków broniących nasypu zdołał ich wszystkich powstrzymać. Kilku pojedynczym żołnierzom udało się wreszcie przemknąć, omijając grupę broniących się wściekle Skandian. Skoczyli do umocnień, zza których łucznicy wciąż posyłali kolejne salwy, wymierzone w główne siły napastników.

Obaj Araluеńczycy usłyszeli podniesiony głos Evanlyn, która wydała komendę, by łucznicy strzelali na wprost. Obaj też wiedzieli, że klęska obrońców to kwestia ledwie minut i że wkrótce Temudżeini zdobędą nasyp, po czym wybiją w pień wszystkich, których tam znajdują.

– Biegniemy! – zawołał Will, i pognał w stronę stanowisk strzeleckich, zaś Horace ruszył tuż za nim.

Jakiś temudżeiński wojownik zagrodził drogę Willowi; uczeń zwiadowcy ciął skośnookiego saksą. Gdy sięgnął celu, całe jego ramię przyjęło impet uderzenia. Ostrzegawczy okrzyk Horace'a rozległ się w samą porę. Zdążył jeszcze odwrócić się i zasłonić skrzyżowanymi klingami noży, unikając potężnego cięcia szabli. W następnej chwili Horace znalazł się tuż przy nim. Bez wysiłku położył dwoma ciosami miecza śmiałka, który poważył się pod nieść rękę na jego przyjaciela, a potem dołożył do kompletu kolejnych trzech napastników. Obaj chłopcy walczyli ramię w ramię, lecz Temudżeinów było po prostu zbyt wielu. Will

z przerażeniem stwierdził, że nie zdołają przedrzeć się na czas, by ocalić Evanlyn. Widział ją, w odległości niespełna dwudziestu metrów, otoczoną strzelcami – a naprzeciw obrońców nasypu o wiele liczniejszy oddział Temudżeinów.

– Uważaj, Willu! – znów zawołał Horace, i znów wywiązała się walka na śmierć i życie, gdyż temudżeińscy wojownicy zaatakowali ponownie.

Niťzak wprowadził swoich ludzi za wał skrywający bardzo już przerzedzoną grupę łuczników. Inni podwładni generała mieli w tym samym czasie zająć się dwoma młodymi wojownikami, którzy przypuścili tak niezwykle efektowny kontratak. Ale jego własny obowiązek polegał na czymś innym: przede wszystkim należało ostatecznie wyeliminować groźbę, jaką nadal stwarzała obecność w boju najdokuczliwszej ze skandyjskich formacji.

Stepowi wojownicy wdarli się na nasyp, pokonali umocnienia i teraz siekli bezlitośnie nieobytych z bronią i właściwie bezbronnych strzelców. Ci zaś uciekali przed Temudżeinami wzdłuż nasypu lub skakali w bok, próbując przebić się ku tyłom. Niťzak oraz jego ludzie twardo parli naprzód. Aż zatrzymali się nagle za zakrętem nasypu. Zdumieni.

Naprzeciwko nich stała młoda dziewczyna z długim sztyletem w dłoni. W jej oczach Niťzak wyczytał nie – ugiętą wolę walki. Oraz dostrzegł wyzwanie. W tej samej sekundzie wydała rozkaz, a zgromadzeni wokół niej strzelcy naciągnęli łuki.

Ujrzał co najmniej dziesięć grotów wymierzonych w swą pierś; odległość wynosiła ledwie kilka metrów, nie mogli chybić. Ale doświadczony generał wiedział jeszcze jedno; istotnie, oddadzą pierwszą salwę. Lecz później staną się zupełnie bezbronni.

Powiódł dookoła skośnymi oczami. Po obu stronach miał najwierniejszych z wiernych, dalsi żołnierze stąpali z tyłu, za nim. Ani myślał ginąć od skandyjskich strzał. Owszem, gdyby jego śmierć w jakiś sposób mogła przysłużyć się zwycięstwu, chętnie oddałby życie. Powierzono mu jednak zadanie i nie miał prawa zginąć, nim go nie

wypełni. Lecz nic go przecież nie hamowało przed poświęceniem kilku czy kilkunastu ze swoich ludzi, jeśli okaże się to niezbędne.

Skinął dłonią w stronę wroga. Wskazał kierunek.

– Naprzód – rozkazał spokojnie. Żołnierze rzucili się przed siebie ciasnym wykopem.

Jeszcze sekunda i usłyszał opanowany głos dziewczyny wydającej rozkaz. W tej samej chwili brzęknęły cięciwy. Strzały trafiły śmiertelnie lub raniły aż siedmiu z jego ludzi, lecz pozostali gnali dalej; łucznicy tubylców runęli do ucieczki, zostawiając dziewczynę na jego pastwę. Niť zak postąpił o jeszcze jeden krok. Obiema dłońmi uniósł krzywą szablę. Chwilę odczekał. Spoglądał na nią z zaciekawieniem, szukał w oczach strachu. Jednak bojaźni tam nie znalazł.

Muszę zabić kogoś naprawdę dzielnego – pomyślał. Szkoda!

Gdzieś z boku dobiegł go rozpaczliwy krzyk. Jakiś młodzieńczy głos załkał:

– Evanlyn!

Pewnie wywołuje imię dziewczyny – pomyślał Niť zak. Ujrzał, jak jej wzrok porzuca go i kieruje się w stronę, z której dochodził tamten głos. Uśmiechała się smutno, śląc swój uśmiech w stronę kogoś, kogo generał nie widział. Widział za to tę jej twarz. I ten uśmiech. Pożegnalny.

Will obserwował bez przeszkód cały rozwój wydarzeń. Nie mógł jednak nic wskórać, związany walką u boku Horace'a, gdyż Temudżeini przedarli się za nasyp. Po prostu nic, tylko obserwował.

Usłyszał ostrzegawczy okrzyk przyjaciela. Skoczył w bok, unikając jakiegoś ciosu szablą, po czym pchnął saksą, a temudżeiński napastnik zachwiał się i cofnął o kilka kroków. Odwrócił się znów ku Evanlyn; teraz wrogi oficer wznosił nad jej głową obiema rękami szablę.

– Evanlyn! – zawołał Will rozpaczliwie. Usłyszała go, odwróciła się ku niemu, a na jej ustach pojawił się uśmiech. Zawarła w tym uśmiechu wszystko, co ich połączyło, co przeszli razem przez minionych jedenaście miesięcy. I pojął, jak wiele dla siebie wzajem znaczą.

Nie, ona nie może zginąć! Odwrócił w dłoni saksę, chwytając za ostrze, wyczuł punkt ciężkości, cofnął ramię. A potem – błyskawicznym ruchem – rzucił.

Wielki nóż wbił się w lewy bok Nit'zaka tuż pod jego ramieniem. Generał zastygł zdumiony; przecież właśnie on miał zadać ostateczny cios.

Źrenice zaszły mu mgłą, zachwiał się i z wolna oparł o ziemną ścianę wykopu, osuwając się coraz niżej. Szabla wypadła z dłoni; usiłował jeszcze sięgnąć tężejącymi palcami do miejsca, w które wbił się ten ciężki nóż. Ostatnią myślą temudżeińskiego dowódcy było, że Haz'kam chyba jednak zrezygnuje z całej kampanii, zarządzając odwrót. W duszy Nit'zaka kipiał wielki gniew.

Will pozostał teraz bezbronny, jeśli nie liczyć drugiego noża, krótkiego. Tymczasem któryś z Temudżeinów znów zaatakował. Chłopak skoczył ku napastnikowi, chwycił go, obaj potoczyli się po zboczu nasypu, aż do podnóża. Will uczepił się desperacko ręki, w której tamten ściskał szablę, przeciwnik zaś czynił uniki, by uniknąć cięcia krótkim ostrzem.

Kątem oka zwiadowca ujrzał Horace'a walczącego naraz z czterema ludźmi, i przygotował się na bliski koniec.

Lecz wtedy, właśnie wtedy, rozległ się mrożący krew w żyłach ryk. Nad splecionymi w śmiertelnym starciu ciałami wyrosła nieludzkich rozmiarów postać. Jakaś potężna siła porwała Temudżeina do góry i cisnęła nim, powalając przy okazji trzech następnych.

Ogarnięty bojowym szałem Ragnak wyglądał strasznie. Jego koszula zwisała w strzępach, nie miał na sobie zbroi, nie osłaniało go nic oprócz wielkiego, rogatego hełmu, a z gardzieli oberjarla dobywał się nieustanny, straszliwy grzmot. Rzucił się od razu w największą gęstwę napastników, dwusiecznym toporem zataczał kręgi i miażdżył przeciwników, którzy niebacznie znaleźli się w jego zasięgu.

Nie próbował się wcale osłaniać, więc cały pokryty był ranami. Na drobnostki nie zwracał jednak żadnej uwagi, w zapamiętaniu ciął i rąbał zawzięcie tych, którzy ośmielili się napaść na jego kraj, którzy nieopatrznie rozbudzili w jego krwi demona bitewnego obłąkania.

Za Ragnakiem podążała jego straż przyboczna. Wszystkim topornikom udzielił się szał wodza. Wbili się klinem w temudżeińskie siły i nikt oraz nic nie zdołałoby ich już powstrzymać. Dwunastu mężnych, którzy absolutnie nie dbali, czy zginą w tym starciu, czy przeżyją. Których myśli

i dusza opanował jeden, jedyny cel: dopaść jak największą liczbę przeciwników i zabić ich, zabijać, zabijać. Możliwie jak najprędzej.

– Horace! – wychrypiał Will, próbując dźwignąć się na nogi, bo pamiętał, że dopiero przed momentem widział przyjaciela, jak zmaga się desperacko z czterema przeciwnikami. W następnej chwili usłyszał dobrze znajomy dźwięk: głębokie brzękanie cięciwy długiego łuku. A w kilka chwil później wszyscy przeciwnicy Horace'a padali pokotem, pod wtór świstu czarnych strzał. Will nie musiał zgadywać: Halt własną osobą wkroczył do akcji.

Ze wzgórza, w odległości mili od tamtego miejsca, Haz'kam, najwyższy rangą generał, shan Ludu przyglądał się klęsce natarcia, które miało przecież dać mu zwycięstwo. Tak. Obrońcy lewego skrzydła opuścili pozycję. Po to tylko, żeby uderzyć na jego wojska, okrążając je i zmuszając do odwrotu. Ogromu strat, jakie przy tym wynikły, nie da się już odrobić. Prawe skrzydło. Nit'zak oraz jego ludzie zdołali wreszcie rozprawić się ze skandyjskimi łucznikami. W głębi serca głównodowodzący pieścił pewność, że stary przyjaciel wypełni zadanie, które mu powierzył shan.

Jednak Nit'zak działał zbyt opieszale. Zbyt długo jego wojska znajdowały się pod budzącą grozę chmurą utkaną ze strzał; wojownicy polowego generała nie zdołali poradzić sobie z gradem śmiercionośnych pocisków, popadli w rozsypkę. Natarcie dzikusów wyprowadzone z flanki nie pozwoliło im ochłonąć, zmuszając żołnierzy do bezładnego odwrotu.

Naturalnie, cóż znaczył dla losów całej batalii jeden nieudany atak. Haz'kam dobrze wiedział, że wciąż jeszcze mógłby wygrać tę bitwę. Tak. Gdyby tego zechciał. Mógł przegrupować ałumy, mógł rzucić świeże rezerwy do boju i mógł pogonić wreszcie przeklętych Skandian z ich umocnień, przepędzić ich w góry i posłać w głąb lasów. Kusiło go nawet przez chwilę, by to właśnie uczynić. Z rozkoszą dokonałby krwawej zemsty na ludziach zachodu, którzy pokrzyżowali jego dalekosiężne plany. Tak.

Tylko że koszt takiego posunięcia okazałby się nazbyt wielki. Stracił już tysiące ludzi i kolejne natarcie, nawet jeśli zakończone powodzeniem, przyprawiłoby go o straty, na jakie nie mógł sobie pozwolić. Odwrócił się w siodle, skinął na trębacza.

– Odwrót. Na całej linii – rozkazał spokojnym głosem. Na twarzy shana nikt nie dostrzegłby owej wściekłości, jaka w nim szalała. Haz'kam potrafił zdławić gorycz porażki, która paliła jego serce. Tak.

Temudżeiński obyczaj nakazywał, by wódz nigdy nie ujawniał własnych uczuć.

Ciało Ragnaka spłonęło na stosie następnego dnia po bitwie. Oberjarl poległ w końcowej fazie zmagań, lecz jeszcze nim Temudżeini zaczęli się wycofywać. Zginął, walcząc naraz z osiemnastoma przeciwnikami; przeżyło ich tylko dwóch – tak ciężko rannych, że z wielkim trudem pełzali, uciekając przed straszliwym Skandianinem.

Nie potrafiono stwierdzić, która z ran stała się bezpośrednią przyczyną śmierci. Na ciele oberjarla naliczono ich ponad pięćdziesiąt. W normalnych warunkach przynajmniej kilka spowodowałoby zgon. Wedle skandiańskiego obyczaju zwłoki, nie obmyte z krwi ani nie otarte z bitewnego kurzu, złożono na stosie drew.

Czwórka Araluеńczyków została też zaproszona. Mogli oddać ostatni hołd doczesnym szczątkom oberjarla. Przez kilka chwil stali w skupionym milczeniu obok potężnego stosu bali sosnowych nasączonych smołą, spoglądając na nieruchomą postać. Następnie – grzecznie, lecz stanowczo – poinformowano cudzoziemców, że w ceremonii pogrzebowej, jaka miała się wkrótce rozpocząć, dopuszcza się uczestnictwo wyłącznie Skandian. Powrócili tedy do kwatery Halta, by czekać na dalszy rozwój wypadków.

Ceremonie pogrzebowe ciągnęły się przez całe trzy dni. Tak nakazywała tradycja oraz względy praktyczne. Chodziło bowiem o to, by jarlowie zamieszkujący odległe osady zdążyli przybyć do Hallasholm, jeśli chcieliby

wziąć udział w żałobnych obchodach, a potem zamierzaliby uczestniczyć w wyborach nowego oberjarla. Tym razem nie spodziewano się żadnych wojowników z okolic, przez które przeszli Temudżeini, zresztą przytłaczająca większość Skandian stawiła się już wprzódy do obrony stołecznego grodu. Jednak, niezależnie od okoliczności, obyczajowi musiało stać się zadość. Trzydniowa żałoba objawiała się na sposób iście skandyjski, czyli sprowadzała się głównie do picia na umór oraz do prześcigania się w wysławianiu bojowych zasług i wszelkich zalet nieboszczyka.

Uświęcone tradycją obyczaje były dla Skandian świętością, szczególnie gdy dotyczyły całonocnych biesiad. Warto przy tym wspomnieć, że entuzjazm, z jakim wypowiadano pochwały na cześć Ragnaka, wzmagał się w miarę, jak rosła liczba opróżnionych antałków z gorzałką.

Drugiej nocy Evanlyn zmarszczyła czoło. Drażniły ją dobiegające aż do nich echa chóralnych pijackich śpiewów, a także wrzaski Skandian intonujących następne pieśni pod wtór łamanych sprzętów, co niewątpliwie zwiastowało bójkę.

– Mam wrażenie, że chyba nie jest im tak bardzo smutno – zauważyła. Halt tylko wzruszył ramionami.

– Skandianie już tacy są – odpowiedział. – A zważ, że Ragnak padł w boju, uniesiony bitewnym szałem. Takiego losu zazdrości mu każdy szanujący się Skandianin. Dzięki chwalebnym okolicznościom uzyskał przecież wstęp do najzaszczytniejszych sfer skandyjskich zaświatów.

Evanlyn zacisnęła usta z dezaprobatą.

– Wszelako – stwierdziła – w moich oczach ich postępowanie zakrawa na brak szacunku. Pamiętajmy, że przecież Ragnak ocalił nam życie.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Nikt z obecnych nie miał pomysłu, jak w taktowny sposób przypomnieć Evanlyn, że gdyby Ragnak pozostał przy życiu, niewątpliwie dołożyłby wszelkich starań, by Evanlyn życia pozbawić. Wyrażała się o zmarłym oberjarlu w taki sposób, jakby utraciła starego przyjaciela, którego darzyła niezmiernym szacunkiem. Horace zerknął na Halta, potem na Willa, oczekując, że może któryś z nich zechce mu coś wyjaśnić. W odpowiedzi dostrzegł tylko nieznaczny, przeczący ruch głowy Willa, gdy ich spojrzenia się spotkały. W powyższych okolicznościach Horace uznał sprawę za załatwioną. Skoro dwaj

zwiadowcy wespół stwierdzili, iż nie ma po co dalej gadać, kimże był on, prosty wojownik, by się z nimi spierać?

Wreszcie jednak czas żałobnego ucztowania minął i starsi jarlowie zgromadzili się w Wielkiej Sali, by obrać nowego oberjarla.

– Sądzisz, że Erak ma jakieś szanse? – spytał Will z nutą nadziei w głosie.

Halt przecząco potrząsnął głową.

– Cieszy się niemałą popularnością, lecz takich jak on jest tu jeszcze ze czterech albo pięciu. To wojownik, nie zarządca. A już absolutnie i na pewno żaden z niego dyplomata – dodał. – Wiem coś o tym.

– To takie istotne? – zdziwił się Horace. – Bo gdybym ja miał oceniać, korzystając z własnych doświadczeń, stwierdziłbym, iż akurat dyplomacja nie cieszy się w Skandii szczególnym poważaniem.

Halt krzywym uśmiechem skwitował uwagę swego ucznia.

– Fakt – przyznał. – Tylko że gdy przychodzi do wyborów między równymi rangą oraz stanem, dobrze jest wyborcom schlebiać i zwodzić elektorat. Nikt nie zagłosuje na kandydata tylko dlatego, że on właśnie jest najlepszy. W grę wchodzą układy, znajomości… I w rezultacie każdy wybiera takiego, od jakiego może najwięcej uzyskać.

– Słyszałem, że przez ostatnich parę lat Erak pełnił funkcję kogoś w rodzaju poborcy podatkowego Ragnaka – przypomniał sobie Will. – To również nie przysporzy mu zwolenników. Bądź co bądź, wielu z głosujących pamięta groźby, że im łby porozbija, jeśli nie zapłacą oberjarlowi, co się władzy należy.

– W rzeczy samej – przyznał Halt. – Jeśli ktoś marzy o objęciu funkcji oberjarla, nie powinien narażać się swoim przyszłym wyborcom.

Lecz, prawdę rzekłszy, zwiadowca, wyrażając wątpliwości co do szans Eraka na posadę naczelnego wodza Skandian, hołdował pewnemu drobnemu, prywatnemu przesądowi. Czyli, poniekąd, próbował zaczarować rzeczywistość. Między Skandią a Araluenem wiele spraw wymagało załatwienia, a on sam wolałby paktować z Erakiem, którego zdążył już nieźle poznać, niż z jakimś innym skandyjskim wodzem. Choć, im dłużej rozprawiali, tym mizerniej prezentowały się w oczach Halta szanse zaprzyjaźnionego jarla. Istniały mocne kontrargumenty, umniejszające zasługi Eraka. Ot, zwiadowca na przykład nic dotąd nie wiedział o jego wyczynach jako egzekutora podatków. Usłyszał o tym

dopiero teraz, od Willa. Niegdysiejsza stanowczość w sprawach egzekucji finansowych zdawała się całkowicie przekreślać szanse Eraka.

Co więcej, doskonale wiedział, że jarl nigdy nie zdradzał ani cienia ambicji, by zasiąść na rzeźbionym tronie w Wielkiej Sali.

Pozostała trójka towarzyszy Halta, była mniej niż on wyrobiona politycznie, jednak stała murem za Erakiem. Lecz opowiadali się za nim z powodów całkowicie prywatnych. Uważali bowiem tego akurat jarla za przyjaciela, a innych wyższych rangą skandyjskich dostojników bliżej nie znali.

– Pewnie i tak nie byłby z niego dobry oberjarl – uznał Horace. – Przecież on w gruncie rzeczy jedynie tego pragnie, by znów wyruszyć na morze swoim okrętem i złupić tu oraz tam jakąś przybrzeżną wioszczynę.

Zgodnie przyznali rację rycerskiemu czeladnikowi.

Gdy ktoś posługuje się racjonalną argumentacją i logiką, często się myli. Pomylili się także i oni. Piątego dnia, licząc od daty pogrzebu Ragnaka, drzwi kwatery Halta otwarły się i do środka wkroczył Erak, na którego twarzy malowało się całkowite osłupienie. Rozejrzał się po zgromadzonych i, ciągle jeszcze oszołomiony, oznajmił:

– Zrobili mnie nowym oberjarlem.

– Wiedziałem! – zakrzyknął natychmiast Halt. Pozostali Araluеńczycy spojrzeli na niego z oburzeniem.

– Naprawdę? – spytał Erak, szczerze zdumiony. Widać było, że wciąż nie dowierza oczywistemu faktowi. Niespodziewanie został wyniesiony na najwyższy urząd w Skandii.

– Ależ oczywiście – parsknął zwiadowca. – Jesteś wielki, zwalisty i brzydki. Spełniasz wszystkie wymogi.

Erak wyprostował się, co miało wypaść godnie, jak przystało na władcę.

– To tak zwracasz się do oberjarla? – w głosie świeżo upieczonego naczelnego wodza zabrzmiało oburzenie, a Halt wreszcie się roześmiał.

– Nie. Tak zwracam się tylko do przyjaciół. Siadaj, napijemy się.

Tymczasem już następne dni pokazały, że rada starszych nie dokonała złego wyboru. Erak wykazał się wcale sporym zasobem dyplomatycznych

zdolności, paktując z nieprzychylnymi sobie jarlami. Godził się szczególnie ochoczo zwłaszcza z tymi, którym zalazł za skórę jako poborca podatkowy Ragnaka. Ku zdziwieniu wszystkich, Borsa zachował stanowisko hilfmanna.

– Myślałem, że Erak go nie znosi – powiedział zdumiony Will.

Halt jednak wyraził swe uznanie dla decyzji Eraka.

– Borsa jest sprawnym zarządcą, a właśnie ktoś taki będzie mu teraz bardzo potrzebny. Dobry przywódca zdaje sobie sprawę ze swoich braków i potrafi znaleźć właściwą osobę, która go wyręczy w sprawach, na których się nie zna.

Will, Horace i Evanlyn musieli się przez chwilę zastanowić, nim zrozumieli, co zwiadowca ma na myśli. Prawdę mówiąc, Horace zastanawiał się nieco dłużej niż jego przyjaciele.

Jako oberjarl, Erak musiał zrezygnować z łupieskich wypraw u steru „Wilczego wichru". Była to cena, jaką należało – ku jego ubolewaniu – zapłacić za nagłe i niespodziewane wyniesienie do godności wodza. Oznajmił jednak wszem i wobec, że nim przekaże swój okręt dotychczasowemu zastępcy, Svengalowi, odbędzie na nim jeszcze jeden rejs.

– Zawiozę was wszystkich z powrotem do Araluenu – rzekł. – To moja powinność, bowiem za moją sprawą wszyscy się tu znaleźliście.

Will w skrytości ducha ucieszył się. Gdy zbliżał się już czas powrotu do domu, smutno mu się robiło na myśl o pożegnaniu z tym rosłym i hałaśliwym piratem. Ku własnemu zdziwieniu stwierdził, że uważa Eraka za dobrego przyjaciela. Cieszyło go więc, że chwila rozstania nastąpi nieco później.

Wiosna przybyła na dobre. Gęsi wracały z południa, a w górach znów pojawiły się jelenie, co sprawiło, że pośród dań podawanych w Wielkiej Sali hallasholmskiego dworu zagościło świeże mięso, zastępując suszoną, zgromadzoną na zimę żywność.

Kiedy Will ujrzał pierwszych myśliwych powracających z łowieckich wypraw do puszczy porastającej góry opodal Hallasholm, przypomniał sobie o niespłaconym długu. Wczesnym rankiem, nic nikomu nie mówiąc, wskoczył na siodło Wyrwija i wyruszył szlakiem, który przebył wraz z Evanlyn wiele miesięcy temu, pośród mrozu i śnieżycy.

W małej chatce, która była ich schronieniem przez zimowe miesiące, odnalazł spokojnego, kudłatego kucyka. Choć niepozorny, ale zimą ocalił mu życie. A oni go porzucili, z konieczności odjechali w pośpiechu. Tyle że zwierzak bez trudu zerwał cienki sznurek, którym był przywiązany do żłobu zbudowanego w przybudówce domku i kiedy teraz, wiosną, pojawił się Will, najspokojniej w świecie skubał świeżą trawę na polanie.

Wyrwij spoglądał z umiarkowanym zdziwieniem na swego pana. Bo ten, rozsupławszy przywieziony ze skandyjskiej stolicy woreczek owsa, wyjaśniał własnemu przyjacielowi, że przywożą prezent dla kucyka. Wyrwij, jako żywo, nic o jakimś tam obcym kucyku dotąd nie wiedział. Will poklepał ulubieńca po pysku.

– Zasłużył. – Zwiadowczy konik, słysząc takie wyjaśnienie, zapewne wzruszyłby ramionami, gdyby oczywiście posiadał ramiona. Niech będzie, może i obcy kucyk zasłużył na owies, ale to w niczym nie zmieniało faktu, że na widok smakowitego pokarmu Wyrwijowi ślinka napływała do pyska. Gdy kucyk spożył owies, Will trzymając go za wodze, na powrót dosiadł Wyrwija i odprowadził zwierzaka do Hallasholm. Następnie, pilnując się, by nikt nie zauważył, postawił go w stajni Eraka.

Wieczorem, w wigilię wyjazdu, Erak wydał pożegnalne przyjęcie na cześć Araluеńczyków. Skandianie nie kryli swego podziwu i wdzięczności dla cudzoziemców, którzy zdziałali tak wiele w obronie ich kraju. Szczególnymi względami darzyli Evanlyn, wznosili nieustanne toasty za jej odwagę i poświęcenie. Zachowali w pamięci zarówno złowrogie ślubowanie Ragnaka, jak i fakt, że mimo wszelkich przeszkód dziewczyna wykazała się wielką determinacją, kierując do końca bitwy ostrzałem wrogich sił, nawet gdy zbliżający się napastnicy zagrozili bezpośrednio jej życiu. Zasiadający przy wspólnym stole Halt, Borsa i Erak rozprawiali ściszonymi głosami o rozmaitych sprawach, takich jak kwestia powrotu w rodzinne strony niewolników, którzy służyli w łuczniczym oddziale. Niestety, wielu z nich nie przeżyło bitwy, lecz obietnica wolności dotyczyła też ich bliskich i należało słowa dotrzymać. Gdy uporali się już z trudnym zagadnieniem, Halt uznał, że chwila jest odpowiednia i rzucił, na pozór od niechcenia:

– No tak. A co zrobicie, kiedy Temudżeini powrócą?

Przy stole nowego oberjarla w jednej chwili zapadła dojmująca cisza. Erak odsunął ławę i wlepił spojrzenie w niskiego mężczyznę o ponurym

obliczu.

– A czemuż to mieliby wrócić? Przecież ich chyba pobiliśmy, nie? Tak czy nie?

Halt pokręcił zwolna głową.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to nie – stwierdził. – Nie pokonaliśmy ich. Sprawiliśmy tylko, że dalsza walka okazałaby dla nich nieopłacalna. Przynajmniej tym razem.

Erak zamyślił się, rozważając starannie jego słowa. Spojrzał pytająco na Borsę. Hilfmann, choć niechętnie, musiał przyznać zwiadowcy rację.

– Obawiam się, że cudzoziemiec ma słuszność, oberjarlu – rzekł. – Na szczęście, Temudżeini wycofali swą armię, bo nie zdołalibyśmy opierać się im dłużej. – Spojrzał teraz na Halta: – Ale dlaczego sądzisz, że mieliby tu powrócić?

Halt upił łyk mocnego skandyjskiego piwa.

– Bo to leży w ich naturze – odparł. – Temudżeini rozumują inaczej niż my, ich czasu nie wyznaczają sezony morskich wypraw i być może nie powrócą tu za rok ani nawet za dwa. Oni planują na całe dziesięciolecia, a skoro uznali, że chcą podbić naszą część świata, raz powziętych zamysłów nie poniechają. By dopiąć swego, sięgną po wasze okręty. Owszem, powrócą tu niechybnie, choćby i za dwadzieścia lat.

Erak podkręcił wąsa, zamyślony.

– A wtedy znów im dołożymy – oświadczył.

– Bez łuczników? – spytał cicho Halt. – Oczywiście, następnym razem ich brak będzie dla Temudżeinów zaskoczeniem, ale raczej miłym.

Znów nastało milczenie. Erak odezwał się po chwili:

– Mógłbyś nam pomóc wyszkolić własnych łuczników. Ty i twój chłopak.

Halt jednak natychmiast oświadczył stanowczo:

– Nie mam ani prawa, ani zamiaru dostarczyć Skandii tak potężnej broni. Skąd mogę wiedzieć, czy w przyszłości nie obrócicie jej przeciwko nam?

Erak musiał przyznać, że argument zwiadowcy trudny jest do odparcia. Bądź co bądź, stosunki między Skandią a Araluenem od niepamiętnych czasów cechowała wrogość. Jednak Borsa, wprawny negocjator, dosłyszał to, czego Halt nie wypowiedział głośno.

– Lecz, jak przypuszczam, już coś wymyśliłeś? – spytał z ożywieniem. Halt, który właśnie na to liczył, wyjaśnił ochoczo:

– Pomyślałem sobie, że gdyby stacjonował tu oddział dobrze wyszkolonych łuczników, liczący – dajmy na to – trzystu strzelców. – przerwał. – Mogliby spędzać u was miesiące wiosenne oraz letnie, a wracać do siebie na zimę.

– Oddział Araluеńczyków, rzecz jasna? – odezwał się Erak, który już zaczynał rozumieć.

– Oczywiście. W ten sposób moglibyśmy wam zapewnić wsparcie niezbędne w razie dalszych konfliktów z Temudżeinami. Natomiast gdyby doszło do jakichś nieporozumień między naszymi krajami, czułbym się znacznie pewniej wiedząc, że nie użyjecie tych sił przeciw nam. Zresztą, wszystkie szczegóły zostałyby ujęte w traktacie – dodał niedbałym tonem. Erak zerknął ostrożnie na swojego hilfmanna. Dopiero teraz zorientował się, że nim padło słowo „traktat", Halt już od dłuższej chwili przedstawiał mu proponowane warunki stosownej ugody. Innymi słowy, rozpoczął negocjacje, nim jeszcze ktokolwiek zdołał się zorientować, w czym rzecz. Borsa dostrzegł spojrzenie oberjarla i w zamyśleniu pokiwał głową.

– Sugeruję, byśmy podpisali umowę dotyczącą wzajemnej pomocy. Czyli pakt obronny na czas, załóżmy… – Halt przerwał, jakby się zastanawiał. Ale Erak, nie wiedzieć czemu, był zupełnie pewien, że każde jego słowo zostało gruntownie wyważone i przemyślane dużo wcześniej. – …No, załóżmy na pięć lat. Będziecie mieli do dyspozycji naszych łuczników.

Erak uznał, że pora, by ktoś inny niż hilfmann przejął prowadzenie negocjacji.

– A co wy z tego będziecie mieli? – spytał wprost.

Halt uśmiechnął się do niego.

– Już wspominałem: traktat pokojowy. Zawrzemy w nim ustalenie, że Skandia nie zaatakuje znienacka Araluenu przez ściśle określony czas, a gdyby mimo tego wojna okazała się nieunikniona, naszym łucznikom zostanie zapewniona swoboda powrotu do ojczyzny.

Erak potrząsnął gwałtownie głową.

– Nigdy nie zdołam przekonać moich ludzi, by zaniechali swoich wypraw – zawołał. – Daliby mi nieźle popalić, gdybym im coś takiego powiedział.

Jednak Halt uniósł dłoń.

– Nie mówię o pojedynczych, samodzielnych wypadach podejmowanych przez twoich jarlów – uspokoił go. – To już nasza sprawa, byśmy byli

gotowi na ich przyjęcie i potrafili na miejscu przekonać twoich ludzi, że lepiej dla nich, jeśli poszukają szczęścia i łupów gdzie indziej. Nie, zależałoby mi na czymś innym. Pragnę wykluczyć wrogie działania zorganizowane i przeprowadzone na większą skalę. Takie, jakie podjęliście ostatnio na rzecz nieboszczyka Morgaratha.

Znów zapadło milczenie. Erak rozważał propozycję. A im dłużej się nad nią zastanawiał, tym rozsądniejszą mu się wydawała. Nie gorzej od Borsy czy od Halta zdawał sobie sprawę, jak mało brakowało, by temudżeińscy najeźdźcy wzięli górę nad Skandianami. Trzystu doskonale wyszkolonych łuczników stanowiłoby dla Skandii niezwykle cenny atut w sytuacji każdej napaści. Po co zaraz rozważać konieczność stoczenia walnej bitwy? Starczyłoby umieścić ich w newralgicznych punktach wzdłuż granic kraju, by strzegli wąskich przesmyków i parowów, którędy prowadziła droga do Hallasholm. Uświadomił sobie ze zdumieniem, że zaczyna myśleć niczym strateg, a nie dziarski wojownik, którego jedyną jak dotąd troską był celny cios toporem oraz obfita zdobycz. Oj, chyba zbyt wiele czasu spędzam w towarzystwie tego zwiadowcy – pomyślał.

– Czy masz prawo złożyć podpis pod takim paktem? – spytał.

Halt nie odpowiedział od razu. W rzeczywistości nie miał po temu najmniejszych uprawnień. Owszem, jako jeden ze starszych rangą zwiadowców mógłby to uczynić, jednak został wykluczony z szeregów korpusu, gdy monarcha skazał go na banicję. Oczywiście, mógł skłamać. Był pewien, że Crowley lub Duncan we własnej osobie ratyfikowaliby taki traktat. Tylko że wówczas Erak z pewnością dowiedziałby się o łgarstwie Halta, a to raczej nie byłby dobry początek wzajemnych przyjaznych stosunków między oboma krajami.

– Ja mam takie prawo – odezwał się za nimi spokojny głos. Trzej mężczyźni odwrócili się, zaskoczeni. Evanlyn, która dość już miała pochwał i toastów, od kilku minut przysłuchiwała się uważnie ich rozmowie.

– Jako księżniczka krwi i córka króla Araluenu posiadam wszelkie pełnomocnictwa, by podpisać traktat w imieniu mojego ojca – oznajmiła z godnością, a Halt w duchu odetchnął z ulgą.

– Chyba tak będzie lepiej – stwierdził niedbale. – Zawsze to poważniej wygląda, gdy na traktacie figuruje podpis kogoś z rodu panującego.

Wilczy wicher", przepłynąwszy Wąskie Morze, podążał teraz w górę rzeki Semath, zmierzając ku Zamkowi Araluen.

Dla mieszkańców był to widok zaiste niezwykły. Oto jeden z pirackich statków zapuścił się w głąb lądu, przepływał bezkarnie obok ich pól i wiosek, a załogi licznych nabrzeżnych fortów oraz strażnic palcem nie kiwnęły, by go powstrzymać. W innych okolicznościach skandyjski okręt nie dotarłby tak daleko, lecz teraz na jego maszcie powiewała chorągiew księżniczki Cassandry, z wizerunkiem pikującego jastrzębia. Do dowódców wszystkich posterunków wysłano posłańców, którzy powiadomili ich, kto przybywa na pokładzie „Wilczego wichru". Tym sposobem wiedzieli, że insygniami następczyni tronu nie posłużono się w charakterze podstępu ze strony odwiecznych wrogów, wojowniczych piratów.

Nie trzeba dodawać, że dla Eraka oraz jego załogi parada po wodach Araluenu stała się przygodą równie zaskakującą. Mogli bez przeszkód podziwiać okolice, do których żadnym innym sposobem nie zdołaliby dotrzeć, a załogi mijanych fortów, zamiast posyłać ku nim roje morderczych strzał, oddawały honory księżniczce.

Aż wreszcie zza załomu rzeki wyłoniły się strzeliste wieże Zamku Araluen. Erak aż sapnął ze zdumienia na ich widok. Halt przyglądał się

oberjarlowi z wielką uwagą. Zapewne, we wzroku Skandianina dojrzał bynajmniej nie zachwyt, zresztą całkowicie zrozumiały w obliczu wspaniałej budowli. Wiedziony instynktem drapieżcy, Erak zastanawiał się chyba, jakie bogactwa kryją zamkowe mury. Zwiadowca przysunął się do oberjarla i rzekł półgłosem:

– Daj spokój. Ani o tym nie myśl. Nigdy nie zdołałbyś się przedostać ze swymi ludźmi nawet za fosę.

Erak drgnął, zaskoczony, i spojrzał szeroko otwartymi oczami na zwiadowcę. W następnej chwili uśmiechnął się. Trochę się zmieszał.

– Tak łatwo odgadnąć moje myśli? – spytał, a Halt, pewny swej racji, przytaknął:

– Nie byłbyś Skandianinem, gdybyś łupieżczych myśli poniechał.

U stóp zamkowego wzgórza znajdowała się udekorowana flagami i chorągiewkami przystań. Przybycia okrętu oczekiwał licznie zgromadzony tłum. Gdy „Wilczy wicher" ukazał się w całej okazałości, w niebo wzbiły się gromkie wiwaty, poparte buczeniem rogów.

– Oczekują nas – stwierdził rzecz oczywistą Erak. Na obliczu Halta pojawił się uśmiech.

– I to nie byle kto nas oczekuje – uzupełnił, wskazując dyskretnie wysoką, brodatą postać stojącą w pewnej odległości od pomostu, w otoczeniu bogato odzianych dam i rycerzy. – Król we własnej osobie przybył, by cię powitać, Eraku.

– Raczej, aby powitać swoją córkę – odparł Skandianin. Jednak Halt dostrzegł błysk dumy w jego błękitnych oczach.

Także Evanlyn dostrzegła wysokiego mężczyznę. Wybiegła na dziób statku, wymachując gwałtownie ręką. Na jej widok okrzyki jeszcze się wzmogły, a Duncan pospiesznym krokiem ruszył w stronę pomostu, choć zbytni pośpiech przecież nie licował z monarszą godnością.

– Wiosła! – krzyknął Erak i załoga okrętu, wypełniając rozkaz, wciągnęła drzewce; pióra wioseł ociekały wodą, gdy wilczy okręt przybijał gładko do pomostu.

Załoga rzuciła cumy, pochwycili je ludzie oczekujący na nabrzeżu. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Araluеńczycy i Skandianie stanęli twarzą w twarz, nie dzierżąc broni w ręku. Rozradowany Will przypadł do relingu, a Evanlyn pobiegła teraz na śródokręcie, skąd opuszczono trap. Dziewczyna i jej ojciec, którym brakło słów, spoglądali tylko jedno na

drugie ponad kurczącą się w każdej chwili przestrzenią oddzielającą burtę od pomostu. Szarpnięto cumy, burta okrętu uderzyła o wiklinowe odbojniki; „Wilczy wicher" zamarł. Svengal, zwracając rozpromienione oblicze ku księżniczce, otworzył w relingu przejście i przerzucił wąski trap. Po chwili król i jego córka padli sobie w ramiona.

– Tatusiu! – zawołała, wtulona w ojcowską pierś. Królewska szata stłumiła jej szloch.

– Cassie! – szepnął. Takim pieszczotliwym imieniem nazywał ją, gdy była malutkim dzieckiem. Aplauz zgromadzonych wciąż się wzmagał. Duncan był bowiem władcą lubianym przez poddanych, którzy szczerze mu współczuli z powodu utraty córki i łączyli się z nim w bólu. Nawet twardzi Skandianie przypatrywali się tej scenie ze wzruszeniem. Owszem, rabusie, owszem, twardzi, bezwzględni, owszem, okrutni, ale i oni mieli rodziny, nieobce im były uczucia!

Wśród powszechnej radości i wzruszeń tylko jeden Halt trzymał się na uboczu. Pozostał przy wiośle sterowym, na rufie, choć wszyscy inni rzucili się do śródokręcia.

Duncan oraz Evanlyn, czy też raczej Cassandra, stali objęci ramionami, nie zwracając uwagi na otoczenie. Will za to wypatrzył w tłumie potężną postać. Mężczyzna w średnim wieku wymachiwał entuzjastycznie, kierując cały zapał ku czeladnikowi zwiadowcy. Wykrzykiwał przy tym imię chłopaka.

– Willu! Witaj w kraju, drogi chłopcze! Witaj w kraju!

Przez chwilę Will czuł się lekko zdezorientowany, bowiem rozpoznał barona Aralda – ucieleśnienie powagi i władzy – który teraz zdobył się na żywą gestykulację i wrzeszczał niczym uczniak podczas szkolnej przerwy. Nie czekając w kolejce do trapu, Will przeskoczył lekko przez drewniany reling i wylądował na deskach pomostu. Przecisnął się przez tłum witających, podszedł do barona. Zamierzał złożyć formalny ukłon suwerenowi, lecz wielmoża pochwycił prawicę chłopca i uścisnął ją serdecznie.

– Dajże spokój, młodzieńcze! Witaj w kraju, powiadam. Pięknie się spisałeś, jestem z ciebie bardzo dumny! A już myślałem, że nigdy więcej cię nie ujrzymy! Prawda, Rodneyu?

To ostatnie zdanie wypowiedział do okrytego zbroją rycerza, który stał przy nim. Sir Rodney, dowódca Szkoły Rycerskiej na Zamku Redmont.

Rycerz przyglądał się z niepokojem twarzom tych, którzy pozostali jeszcze na pokładzie okrętu.

– Tak, wasza miłość, tak – zgodził się, ale widać było, że myśli jego zajęte są czymś innym. Chwycił Willa za drugą rękę i spytał: – Willu, myślałem, że Horace jest z wami. Nie powiesz mi chyba, że coś mu się przytrafiło?

Zdumiony Will spojrzał w stronę, gdzie Horace przed zejściem na brzeg żegnał się właśnie z wojownikami załogi skandyjskiego okrętu.

– Przecież jest, tam. – Pokazał palcem, a wówczas ujrzał coś, co zdarzało się widzieć niewielu: sir Rodney, zdziwiony, rozdziawił usta.

– Do krocset! Toż to teraz olbrzym! – zdumiał się.

W następnej chwili Horace rozpoznał swego mentora i natychmiast ruszył ku niemu raźnym krokiem przez tłum. Podszedłszy, przyjął postawę zasadniczą, zasalutował, przykładając zaciśniętą pięść do piersi.

– Czeladnik Horace melduje się, mistrzu. Proszę o pozwolenie na powrót do służby – zawołał.

Rodney także stanął na baczność, uśmiechnął się i oddał salut.

– Udzielam zgody, czeladniku!

Gdy zaś formalnościom stało się zadość, pochwycił rosłego ucznia w niedźwiedzi uścisk, po czym, już całkiem nie po rycersku, i nie na poważnie, obrócił go tanecznym ruchem wokół siebie.

– Niech mnie, chłopcze, przysporzyłeś nam powodów do chwały! A swoją drogą, aleś ty wyrósł!

Wiwatujący tłum ucichł nagle; Will odwrócił się, aby sprawdzić przyczynę. Oto po trapie, godnie krocząc, schodził na araluеński brzeg sam Erak, skandyjski oberjarl. Nie jest łatwo wyzbyć się utrwalonych nawyków. Niektórzy z miejscowych w pierwszym odruchu cofnęli się, od dzieciństwa przyuczani, że mało w całym świecie znajdą zaciętych wrogów, lecz z pewnością trzeba do nich zaliczać Skandian. Will, w obawie, że jego przyjaciel może poczuć się nieco urażony wstrzemięźliwym powitaniem, rzucił się do przodu. Jednak w tłumie był ktoś, kto jeszcze żwawiej spieszył na spotkanie gościa. Duncan, król Araluenu, postąpił ku skandyjskiemu wodzowi z wyciągniętą prawicą.

– Witaj w Araluenie, oberjarlu – rzekł. – I pozwól, że podziękuję ci za to, iż osobiście przywiozłeś mi do domu córkę.

Obaj władcy uścisnęli sobie serdecznie dłonie. Tym razem wiwaty rozległy się także ze strony Skandian, którym przypadło do gustu proste,

szczere i otwarte powitanie. Will pomyślał, że rodacy Eraka z pewnością zapamiętają uroczysty moment, ba, może wspomnienie tej chwili w przyszłości sprawi, iż mniej będą skorzy do podejmowania pirackich wypraw przeciwko Araluenowi. Król Duncan odczekał dłuższą chwilę, po czym uniósł rękę. Nastała cisza. Spojrzał po twarzach przybyszów zgromadzonych na nabrzeżu, a nie ujrzawszy tam tego, którego szukał, skierował spojrzenie na pokład statku.

– Halt – odezwał się władca, dostrzegłszy go wreszcie, owiniętego jak zawsze zwiadowczym płaszczem. Sterczał samotnie na rufie, u drzewca wielkiego wiosła sterowego. Król wyciągnął rękę i dał znak, by zszedł na ląd.

– Czekamy na ciebie, Halt.

Zwiadowca jednak ani ruszył z miejsca i nie potrafił ukryć smutku w głosie, kiedy przemówił:

– Wasza wysokość… – głos mu się załamał, więc zaczął od początku: – Wasza wysokość, jeszcze całe trzy tygodnie dzielą mnie od upływu terminu wygnania, na które zostałem skazany. Dopiero za trzy tygodnie mija rok.

Przez tłum przeszedł szmer. Will, całkowicie zaskoczony, spytał od razu, bez zbędnych ceregieli:

– Jaki termin wygnania? Ty byłeś skazany na wygnanie? – powtórzył z niedowierzaniem. Spojrzał na króla. Jak to możliwe, żeby Halt, który miał na swym koncie tak wielkie zasługi i z tak niezłomną wiernością od lat służył swemu władcy, został skazany na banicję?!

– Za co? – dokończył Will.

Duncan machnął ręką, dając do zrozumienia, że idzie o rzecz niegodną choćby wzmianki.

– Halt musiał nas opuścić na rok za kilka pochopnie rzuconych słów. Nic więcej. Był pijany, a zresztą zapomnieliśmy już, co powiedział. I, cokolwiek to było, wybaczamy mu. Na litość boską, człowieku, daj już spokój, zejdź na ląd.

Halt jednak ani drgnął.

– Wasza wysokość, o niczym innym nie marzę. Ale prawo jest prawem, a ty, panie, stoisz na jego straży.

Wówczas wtrącił się nieoczekiwanie lord Anthony, królewski kanclerz.

– Halt ma słuszność, wasza wysokość – oświadczył. Lordem powodowały szlachetne przesłanki, był jednak może nieco zbyt pedantyczny, gdy przychodziło do interpretacji prawa. – Bądź co bądź, sam stwierdził przecież, że wasza wysokość jest owocem nieprawego związku między ojcem waszej wysokości i wędrowną tancerką.

Tłum zamarł ze zgrozy. Duncan uśmiechnął się blado i rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Dzięki ci, żeś nam o tym przypomniał, Anthony.

Nagle rozległ się wybuch perlistego śmiechu. Księżniczka Cassandra śmiała się i śmiała, a nawet ryczała wprost ze śmiechu, w sposób nielicujący zgoła z jej pozycją i wychowaniem.

– Błagam o wybaczenie – wykrztusiła przez łzy. – Lecz kto z was znał moją babcię, ten zrozumie. Miała twarz buldoga i takiż temperament. Nie dziwiłabym się więc, gdyby dziadzio uległ pokusie!

– Cassie – zawołał jej ojciec, tonem najwyższej dezaprobaty. Ale ona, nie zważając na wymogi etykiety, zaśmiewała się wciąż, aż w końcu na królewskim obliczu też pojawił się mimowolny uśmiech. Duncan poczuł na sobie spojrzenie Anthony'ego. Od razu spoważniał, szturchnął też Cassandrę, czym wskórał tyle, że jej głośny śmiech przerodził się w stłumione parsknięcia i chichot. Wesołość księżniczki udzieliła się zgromadzonym i potrwało nieco, nim spokój powrócił. Tymczasem, nieporuszony, Halt stał sztywno na rufie okrętu.

Duncan odezwał się do kanclerza znaczącym tonem:

– Anthony, nie wątpię, że jest w mej mocy ułaskawić Halta, darowując mu ostatnie tygodnie wyroku?

Jednak Anthony zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– To byłoby wielce niestosowne, wasza wysokość – oświadczył. – Powstałby bardzo niefortunny precedens.

– Królu Duncanie! – zagrzmiał Erak i spojrzenia wszystkich natychmiast zwróciły się ku niemu. Zdał sobie sprawę, że przemówił nieco głośniej, niż zamierzał, ale przecież dopiero wprawiał się w trudnej sztuce przemawiania podczas uroczystych okazji. Nieco już ciszej dokończył: – Może mnie wysłuchasz, jeśli poproszę, byś zechciał go ułaskawić w geście dobrej woli, jako przypieczętowanie traktatu zawartego przez nasze dwa kraje…?

– Dobra myśl! – stwierdził Duncan. Odwrócił się do lorda Anthony'ego: – I co? – spytał. Kanclerz nie odpowiedział. Musiał to stanowczo przemyśleć. W żadnym razie nie zamierzał sprzeciwiać się życzeniom króla. Starał się tylko dobrze wypełniać obowiązki i strzec prawa. Jednak, kiedy wskazano mu lukę, skorzystał z niej skwapliwie.

– Z pewnością. Sprawa wygląda całkiem inaczej, kiedy wasza wysokość spełnia w ten sposób życzenie zaprzyjaźnionego władcy. Nie jest rzeczą niezwykłą, by król okazywał swą łaskawość z wyjątkowej okazji.

– Niech więc tak się stanie! – zakrzyknął prędko Duncan i oznajmił zwiadowcy: – Halt, zostajesz ułaskawiony – więc chodź wreszcie do nas i uczcijmy nasze spotkanie kielichem wina!

Gdy Halt, po tak długim czasie, znów postawił stopę na araluеńskiej ziemi, miał łzy w oczach. Upłynęło jedenaście miesięcy i pięć dni jego wygnania. Jedenaście miesięcy i pięć dni. Owszem. Powitały go radosne okrzyki, a nagle, nie wiedzieć skąd, u jego boku pojawił się inny mężczyzna okryty szarozielonym płaszczem, który wcisnął mu do ręki jakiś drobny przedmiot.

– Ja ci go odebrałem, więc wypada, żebym to ja ci go zwrócił – rzekł półgłosem Crowley, głównodowodzący Korpusu Zwiadowców.

Halt ujrzał na swej dłoni cienki łańcuszek i srebrną odznakę w kształcie liścia dębu.

Dopiero wtedy dotarło do jego świadomości, że znów wszystko jest po dawnemu.

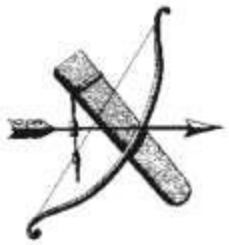

Will czuł, że na coś się zanosi. Odbyły się stosowane uroczystości, uzgodniono szczegóły dotyczące wyprawienia oddziału araluеńskich łuczników do Skandii, po czym Erak z załogą odpłynął z powrotem do swej ojczyzny. Rozpoczęły się długie narady i rozmowy, w których brał udział król oraz jego doradcy: Halt, Crowley, baron Arald oraz sir Rodney.

W tym czasie Will i Horace pozostawieni byli samym sobie, choć nie brakło wielbicieli, którzy chcieli się z nimi zaprzyjaźniać i wciąż na nowo wysłuchiwać historii o ich pobycie w Skandii oraz o zaciętej bitwie z Temudżeinami. Jednak nawet zachwyty i pochwały wkrótce znudziły się obu czeladnikom.

Teraz, gdy Horace przestał już odgrywać rolę rycerza Dębowego Liścia, przywdziewał prostą, białą tunikę, jaką nosili wszyscy uczniowie Szkoły Rycerskiej.

Evanlyn, rzecz jasna, powróciła do swych sukien i weszła w skórę księżniczki Cassandry. Przeniosła się do królewskich apartamentów, znajdujących się w jednej z zamkowych wież. Kiedykolwiek Willowi zdarzało się ją widywać, Cassandrę nieodmiennie otaczała świta rycerzy oraz dam dworu. W kosztownym stroju, pośród szlachetnie urodzonych panów i dam, wydawała mu się równie piękna, co niedostępna.

Ze smutkiem skonstatował, że ich drogi nieuchronnie musiały się rozejść. Niełatwo przyszło pogodzić się z utratą towarzyszki tak wielu przygód, współuczestniczki licznych niebezpieczeństw, niełatwo przyszło też oswoić się z myślą, że jego do niedawna przyjaciółka, w rzeczywistości była najszlachetniej urodzoną panną królestwa, podczas gdy on – tylko sierotą. Do spotkań z Cassandrą dochodziło coraz rzadziej, on zaś stawał się nieśmiały, małomówny. Gdy już w ogóle się odzywał, wychodziły mu niezręczne zdania. Usiłował wysławiać się bowiem w dwornej manierze, czego zupełnie nie potrafił.

Jego zachowanie martwiło i gniewało Cassandrę. Starała się ze wszystkich sił odnowić ich dawną przyjaźń. Była jednak zbyt młoda, by zrozumieć, że jej królewski rodowód i bogactwa, rzeczy niemające dla niej znaczenia, do których od urodzenia przywykła – nieuchronnie oddalały od niej Willa.

– Czy on nie widzi, że jestem tą samą osobą, co zawsze? – zadała pytanie swemu zwierciadłu. A przecież, tak naprawdę, nie była już dawniejszą Evanlyn, dziewczyną żyjącą w ciągłym strachu, której bezustannie zagrażało niebezpieczeństwo, która polegać mogła jedynie na sprycie i odwadze swego młodego towarzysza. Fakt, potem ona z kolei ocaliła mu życie i opiekowała się nim, gdy był chory i bezradny.

Teraz jednak stała się na powrót Cassandrą, piękną księżniczką o nieskazitelnych manierach, a jej status stawiał ją niebotycznie wyżej od Willa. Oddzielała ich teraz od siebie olbrzymia przepaść. Uświadomiła sobie z goryczą, że pewnego dnia zostanie królową i będzie rządzić Aralуenem, tak jak teraz jej ojciec. Ona sama nie zmieniła się, lecz zmieniło się wszystko inne. Oboje nie potrafili pokonać przeszkody, jaka ich rozdzieliła, mieli zbyt mało życiowego doświadczenia, by ich przyjaźń mogła przetrwać, niezmącona pomimo wszystkich przeszkód.

Co ciekawe, z Horace'em nie miała podobnych kłopotów. Młodego rycerskiego czeladnika podczas lekcji w Szkole Rycerskiej zapoznawano też z tajnikami etykiety i protokołów dworskich. Zresztą, hierarchia społeczna była dla niego czymś równie oczywistym, jak hierarchia wojskowa. Dlatego pozycja Cassandry nie zbijała go z tropu. Rzecz jasna, traktował ją z respektem należnym królewskiej córze, ale przecież nie od dziś tylko, od zawsze tak samo ją szanował. Miał proste podejście do życia, dzięki któremu bez trudu przychodziło mu zaakceptować rzeczy takimi,

jakimi są. Znał swoje miejsce w szeregu. Evanlyn była jego przyjaciółką. Księżniczka Cassandra również, choć od chwili powrotu do Araluenu zwracał się do niej w inny sposób niż dotąd. Nie widział w tym niczego niezwykłego, tak samo jak normalną rzeczą byłoby dlań, gdyby któryś z towarzyszy broni Horace'a awansował i przysługiwałby mu w konsekwencji inne tytuły oraz odrębne przywileje. Takie sytuacje mieściły się w jego horyzoncie myślowym, nie przekraczały ram rycerskiego świata.

Gdy kiedyś, w rozmowie z nim, księżniczka odważyła się nareszcie poruszyć kwestię Willa i gdy zwierzyła się przyjacielowi, że uczeń Halta tak bardzo się od niej oddalił, Horace doradził jej cierpliwość.

– Z czasem przywyknie, że teraz wszystko przedstawia się odmiennie – stwierdził. – A poza tym to zwiadowca, a oni wszyscy są… no, wiesz, inni. Poczekaj, daj mu trochę czasu.

Cassandra czekała więc cierpliwie. Jednak słowa Horace'a o zwiadowcach zapadły jej w pamięć. Postanowiła zrobić coś, by obecną sytuację zmienić.

Wiedziała, że już w bardzo bliskiej przyszłości zyska po temu okazję.

Duncan zapowiedział całemu dworowi, ze wydaje przyjęcie na cześć córki z racji jej szczęśliwego powrotu do kraju. Zaproszenia wysłano do wszystkich pięćdziesięciu baronii królestwa, co zapowiadało, że uczta będzie szczególnie uroczysta i wezmą w niej udział nader liczni goście.

Król wyznaczył datę przyjęcia za miesiąc, by każdy zdołał uporać się z bieżącymi sprawami i przybyć; a gdy nadszedł dzień biesiady, Zamek Araluen stał się świadkiem tak świetnego zgromadzenia, jakiego szacowne mury nie widziały od dnia koronacji króla Duncana.

Szlachetni goście ucztowali przez długie godziny, a służba zamkowa uwijała się, dźwigając tace pełne smażonego mięsiwa, wielkich pasztetów, zamorskich owoców i innych wyszukanych frykasów cieszących oko nie mniej niż podniebienie. Pan Chubby, kuchmistrz na Zamku Redmont i jeden z najznamienitszych kucharzy królestwa, przybył do stolicy, aby osobiście doglądać procesu gotowania, smażenia, duszenia, zarządzać

kucharzami, próbować i doprawiać potrawy. Stał w drzwiach, spoglądając z zadowoleniem na szlachetnie urodzonych panów i ich wytworne towarzyszki. Wszyscy zajadali się przysmakami, które sporządzili jego podwładni, trudząc się w pocie czoła już od tygodnia. Od czasu do czasu walił drewnianą chochlą w głowę jakiegoś nieuważnego sługę lub kuchcika.

– Nieźle, całkiem nieźle – mruczał sam do siebie, a potem posyłał kolejnego lokaja, by ten podawał jeszcze jedną szczególnie wymyślną potrawę „młodemu zwiadowcy Willowi", jak nazywał chłopaka.

Aż wreszcie nadszedł kres biesiadnej swobody. Powoli rozpoczęła się część oficjalna uroczystości. Królewski harfiarz, wielce przejęty, stroił instrument. Choć posiadł mistrzostwo w swej sztuce, czuł się onieśmielony, występując wobec tak świetnego i licznego audytorium. Powtarzał gorączkowo w pamięci strofy heroicznej ody, którą stworzył na cześć wyrwanej ze szponów śmierci królewskiej córy, z udziałem trzech bohaterów, którzy dokonali wiekopomnego czynu. Biedził się nad rymami do ostatniej chwili, a teraz ubolewał, że być może nie dość są godne niezwykłych dokonań, które przypadło mu w udziale opiewać.

Nim jednak dano mu znak, król Duncan powstał ze swego tronu, by przemówić do zgromadzonych. Jak zawsze, lord Anthony czuwał. Na pierwsze skinienie monarchy uderzył okutą w stal laską o kamienną podłogę.

– Szlachetne panie, wielmożni panowie, będzie przemawiał król! – zawołał grzmiącym głosem. Od razu ścichł gwar, zgasł śmiech, w wielkiej sali zapanowała cisza. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę tronu.

– Wy, wszyscy zgromadzeni, szlachetne panie i wielmożni panowie – rozpoczął Duncan, a jego tubalny głos słychać było w najodleglejszych zakątkach obszernego pomieszczenia. – Doznałem oto wielkiej radości. Zebraliśmy się tutaj, by uczcić szczęśliwy powrót mojej córki, księżniczki Cassandry. Zdarzenie, które przepełnia me serce szczęściem, jakiego nie da się wypowiedzieć słowami.

Sala zadygotała, wstrząsana ogłuszającymi okrzykami i poruszona oklaskami wiernych poddanych.

– Oto przemówił król! Niech żyje król! Niech żyje księżniczka Cassandra!

– Tym bardziej raduje się serce moje – ciągnął król – gdyż, wobec wszystkich was tu obecnych, mogę nagrodzić zasługi tych, dzięki którym odzyskałem ukochaną córkę i następczynię tronu!

Jeśli to w ogóle możliwe, aplauz jeszcze spotężniał. Wszyscy goście radowali się szczęściem władcy, choć wiedzieli doskonale, że usłyszeli ledwie wstęp do przemowy monarchy i byli świadomi, co się dalej wydarzy. Król skupi się teraz na głównym przedmiocie wystąpienia, wyrażając uznanie dla zasług trzech towarzyszy, dzięki którym Cassandra powróciła szczęśliwie do kraju.

– Przede wszystkim – rzekł Duncan – proszę, by zechciał wystąpić zwiadowca Halt.

Przez tłum przeszedł podniecony szmer, gdy niepozorna postać, nie skryta, wyjątkowo, na tę szczególną okazję, pod maskującym płaszczem, stanęła przed obliczem władcy. Co poniektórzy z gości wstali, żeby lepiej przyjrzeć się wybitnej personie. Halt znany był w całym królestwie, lecz niewielu jak dotąd oglądało go na własne oczy. Nic w tym dziwnego, bowiem jedną z naczelnych zasad zwiadowców była dyskrecja i nierzucanie się w oczy. Niejeden z poddanych Duncana zdziwił się teraz, widząc, jak niepozornego wzrostu jest ów słynny bohater. Większość z nich wyobrażała sobie olbrzyma, dzierżącego w potężnych dłoniach wielki łuk.

Zwiadowca skłonił głowę przed władcą. Nie pierwszy raz Duncan mimo woli zerknął na jego szpakowate włosy. Najwidoczniej zostały świeżo przycięte. Pewnie z uroczystej okazji. Lecz Duncan i tak z trudem powstrzymywał się od uśmiechu. Halt spędził w Zamku Araluen ponad miesiąc, wokół niego roiło się od sług, lokajów i nader zręcznych balwierzy. Każdy do dyspozycji zwiadowcy, na jedno jego skinienie. Jednak wszystko podpowiadało monarsze, iż Halt przyciął włosy samodzielnie, posługując się po prostu własnym nożem. Duncan uświadomił sobie, że może nieco nazbyt dokładnie przygląda się fryzurze Halta, a przecież zebrani czekają na jego dalsze słowa. Przybrał więc znów uroczysty wyraz twarzy i przemówił:

– Halt oświadczył mi już wcześniej, że nie przyjmie żadnej innej nagrody, skoro wcielony został na powrót w szeregi zwiadowców.

Odpowiedział mu zdumiony pomruk zgromadzonych.

– Nie mam więc wyboru i zapewne na zawsze już pozostanę dłużnikiem jednego z najwierniejszych sług królestwa. Nie mogę wszelako uczynić nic ponad to, by uszanować jego życzenie. Halt, zawdzięczam ci więcej, niż jakikolwiek władca tej ziemi któremukolwiek ze swych poddanych. Nigdy nie zapomnę, czego dokonałeś.

W odpowiedzi Halt skłonił się raz jeszcze, po czym niepostrzeżenie przemknął z powrotem na swoje miejsce, a uczynił to tak szybko i zręcznie, że większość z gości nawet nie spostrzegła, kiedy to nastąpiło. Oklaski rozległy się skąpo i niemal natychmiast zamarły.

– Teraz – odezwał się znowu Duncan, podnosząc nieco głos, by uciszyć szmer szeptanych komentarzy – niech wystąpi przed nasze oblicze czeladnik rycerski, imieniem Horace!

Will mocno i serdecznie klepnął przyjaciela w ramię, ponaglając w ten sposób ociągającego się Horace'a, który dźwignął się z krzesła i sprężystym krokiem podszedł, by stanąć na baczność przed swym królem. Zgromadzeni w milczeniu oczekiwali dalszych słów monarchy.

– Horace – ozwał się Duncan z kamienną twarzą, lecz w jego oczach widać było błysk rozbawienia – doszła nas wieść, że przemierzałeś ziemie gallijskie, podając się za pełnoprawnego rycerza… – ostentacyjnie zerknął na kartkę leżącą przed nim i dokończył: – …zwącego się Chevalier de la Feuille du Chêne, czyli mieniąc się Rycerzem Dębowego Liścia.

Horace nerwowo przełknął ślinę. Naturalnie, wiedział, że wieść o jego wyczynach dotarła do kraju. Miał jednak szczerą nadzieję, iż wielmożni zechcą przymknąć oko na fakt bezprawnego strojenia się w piórka pełnoprawnego rycerza.

– Wasza wysokość, błagam o wybaczenie… Zdawało mi się w tamtej chwili, że to potrzebne, bo…

Urwał nagle, uświadomiwszy sobie, że Duncan spogląda na niego, uniósłszy z przyganą brwi. Czeladnik rycerski popełnił najstraszliwszą z gaf przeciw etykiecie, przerywając samemu królowi. Umilkł poniewczasie, służbiście wyprostowany. Król zaś mówił dalej:

– Tak, tak. Jak z pewnością wiesz, jest rzeczą w najwyższym stopniu niestosowną, by uczeń Szkoły Rycerskiej obnosił się z herbem i podawał się za rycerza; czas więc najwyższy, abyśmy tak niestosownemu zachowaniu położyli kres.

Horace właśnie miał rzec: „Tak jest, panie", lecz w samą porę ugryzł się w język.

– Naradziłem się z baronem, któremu podlegasz – mówił dalej Duncan – oraz z twoim Mistrzem Sztuk Walki, a także ze zwiadowcą Haltem. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że w twej sprawie należy przedsięwziąć stosowne kroki.

Horace nie był całkiem pewien, co władca ma na myśli, lecz poczuł się mocno nieswojo. Duncan tymczasem skinął dłonią, a wówczas chłopak usłyszał ciężkie kroki zbliżających się za jego plecami zbrojnych. Zerknął na bok i ujrzał mistrza Rodneya, który stanął obok niego, dzierżąc w rękach tarczę i miecz. Horace spostrzegł herb wymalowany na tarczy – a przedstawiał on zielony liść dębu na białym polu. Oszołomiony, spoglądał na króla Duncana, który zszedł po stopniach wiodących na tron. W dłoni dzierżył paradny miecz.

– Uklęknij, czeladniku – syknął Rodney. Horace posłusznie opadł na kolano, by w następnej chwili usłyszeć słowa rozbrzmiewające niby grom, kiedy płaz miecza dotknął jego ramienia.

– Powstań, sir Horace, Rycerzu Dębowego Liścia, gdyż od tej chwili tym herbem pieczętować się będziesz jako jeden ze strażników królewskiej gwardii Araluenu.

Niby potężny wybuch zabrzmiał okrzyk zgromadzonych rycerzy. Nie zdarzyło się nigdy dotąd, żeby rycerski czeladnik po dwóch tylko latach nauki został pasowany na rycerza, a zarazem wcielony w szeregi królewskiej gwardii – doborowych sił strzegących Zamku Araluen. Wielmożni panowie i szlachetne damy nie posiadali się wprost z zachwytu.

– Wstań – syknął znów sir Rodney, a oszołomiony Horace uniósł się, bo nadszedł czas, by odebrać miecz z rąk władcy.

– Przysłużyłeś się koronie, Horace – rzekł król. – Noś swój herb z dumą, bo już niejedno chwalebne zwycięstwo odniosłeś pod owym znakiem.

Potrząsnął dłonią najmłodszego ze swych rycerzy i dał mu znak, by powrócił na miejsce. Horace widział twarze zgromadzonych jak przez mgłę, lecz radosny uśmiech Willa ujrzał wyraźnie. Przyjaciel ochoczo trzepnął go w plecy. Król znów nakazał ciszę. I obaj usłyszeli jego głos:

– A teraz niech wystąpi uczeń zwiadowcy, Will.

Will co prawda spodziewał się wezwania do stóp tronu, ale na dźwięk monarszych słów zamarł. Po chwili dopiero zerwał się z miejsca, potknął

się, ruszył niezdarnie, lecz w następnej chwili stał już przed królewskim obliczem.

– Willu, Korpus Zwiadowców, w którym służysz, rządzi się własnymi, odrębnymi zasadami. Rozmawiałem z twoim nauczycielem, Haltem oraz z dowódcą korpusu. Jasno z tych rozmów wynikło, że, niestety, nie leży w mojej mocy skrócenie czasu twej nauki, byś stał się już teraz pełnoprawnym zwiadowcą. Halt i Crowley przekonali mnie, że konieczne jest odbycie przez ciebie pełnego cyklu szkolenia.

Will znał zasady, więc tylko skłonił się przed majestatem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wiele jeszcze musi się nauczyć. Horace, ten to co innego. Naturalne uzdolnienia mogły mu zastąpić dalsze szkolne lata. Jednak zwiadowcy musieli, po prostu musieli zdobyć określony zasób wiedzy. A porządne szkolenie wymaga czasu.

– Wszelako – ciągnął Duncan – jest coś, co mogę ci zaproponować. Jeśli tak wybierzesz, mianuję cię porucznikiem królewskich wojsk rozpoznania. Twoi mistrzowie wspólnie uznali, że spełniasz wszystkie wymogi formalne oraz rzeczowe i że podołasz obowiązkom związanym z proponowaną ci funkcją. Jeśli więc tak sam wybierzesz, powiadam, wyzwolą cię z terminu.

Pośród zgromadzonych zapadło pełne zdumienia milczenie. Will aż zaniemówił z wrażenia. Królewskie wojska rozpoznania! Elitarne oddziały lekkiej jazdy! Ich zadanie polegało na szkoleniu oddziałów łuczniczych i kierowaniu ostrzałem podczas bitwy oraz, zgodnie z nazwą, na prowadzeniu szeroko pojętego rozpoznania na rzecz armii. Członkowie tych formacji rekrutowali się zazwyczaj spośród szlachty. Przyznanie Willowi stanowiska porucznika równało się więc w praktyce nobilitacji i pociągało za sobą w konsekwencji pasowanie na rycerza.

Oznaczało to honor, prestiż i poważanie – zamiast jeszcze trzech lat mozolnej nauki i nieustannych ćwiczeń.

A jednak…

W głębi duszy Will wiedział od razu, że to nie dla niego. Owszem, propozycja była kusząca. Wiedział jednak, że brakowałoby mu swobody otwartych przestrzeni, dni spędzonych na grzbiecie Wyrwija, nauk Halta – gdy wciąż i wciąż dowiadywał się czegoś nowego – a każdy dzień niósł ze sobą jakieś fascynujące wyzwania. Tak wyglądało życie zwiadowcy, jego życie. Toteż kiedy pomyślał o dworskiej etykiecie, regułach i rygorach protokołu obowiązującego na Zamku Araluen, wiedział od razu, jaką

decyzję powinien podjąć. Uczyni tak samo jak wtedy, gdy władca zaproponował mu przejście do Szkoły Rycerskiej.

– To dla mnie wielki zaszczyt, Wasza Wysokość. Pragnę jednak uczyć się dalej, żeby zostać zwiadowcą.

Większość zgromadzonych ze zdziwieniem przyjęło odmowę. Co prawda wszyscy wiedzieli, że zwiadowcy są ludźmi innego pokroju. Gościom królewskiej uczty trudno było wszakże zrozumieć powody, dla których Will dokonał takiego, a nie innego wyboru. Jednak król Duncan potrafił chłopaka zrozumieć. Chwycił go za ramię i rzekł półgłosem:

– Powiem ci w zaufaniu, Willu, że, moim zdaniem, podjąłeś słuszną decyzję. Nie powtarzaj nikomu, nie trzeba, lecz usłyszałem od twoich mistrzów, że w ciągu najbliższych kilku lat masz szansę stać się jednym z najlepszych zwiadowców w całym królestwie.

Monarsze słowa stanowiły najwyższą nagrodę, jakiej Will mógł oczekiwać. Nie pragnął niczego więcej.

– Nigdy nie dorównam Haltowi, wasza wysokość.

Król uśmiechnął się, pełen uznania dla skromności.

– Jemu zaiste dorównać niełatwo – przyznał.

Wciąż trzymając rękę na ramieniu Willa, odwrócił go w stronę Crowleya i Halta, którzy rozsunęli się, czyniąc dlań miejsce między sobą. Gdy je zajmował, towarzyszyły mu oklaski, lecz niezbyt burzliwe. Bo, w końcu, kto by tam zrozumiał tych dziwnych zwiadowców?

Tylko Duncan troszeczkę jednak posmutniał. Chciał przemówić do córki i usta jego układały się już w słowa: „Cóż, próbowałem”, gdy spostrzegł, że Cassandra opuściła salę.

Minęły dwa dni. Will oraz Halt pożegnali Zamek Araluen, kierując się do lenna Redmont. Od czasu do czasu zwiadowca spoglądał dyskretnie na swego czeladnika. Zdawał sobie sprawę, że Will podjął niełatwą decyzję i wiele teraz musi przemyśleć. Podejrzewał, iż miało to coś wspólnego z osobą księżniczki. Po uroczystym przyjęciu Will wielokrotnie próbował się z nią spotkać, wyjaśnić przyczyny swej decyzji, lecz na próżno.

Halt czuł, że na razie chłopak chce pozostać sam ze swymi myślami. Toteż nie odzywał się. Najlepszym lekarstwem na zmartwienia będzie ciężka praca, intensywny trening od świtu do nocy, który nie pozostawia zbyt wiele czasu na daremne rozważania – uznał.

Z wysokiego tarasu jeźdźcom przyglądały się dwie postacie, mikroskopijne wobec majestatycznego ogromu zamczyska, jego strzelistych wież i dachów. Evanlyn uniosła rękę w geście pożegnania, a Horace objął ją ramieniem.

– Jest zwiadowcą – rzekł nowo pasowany rycerz – a ludzie tacy jak my nigdy nie zdołają pojąć, co zwiadowcom chodzi po głowie. Zawsze jakaś część ich jestestwa przebywa w świecie, do którego my nie mamy dostępu.

Skinęła głową, ale nie odezwała się. Mgła wczesnego poranka, przez którą zmierzali jeźdźcy, jakby nagle zgęstniała. Cassandra zacisnęła powieki, bo uświadomiła sobie, że łzy przesłaniają jej widok. Gdy otworzyła oczy, przez chmury przebiło się słońce. Zamek Araluen zajaśniał w słonecznych promieniach światłem jasnego złota.

Jednak, odwrócony plecami, Will już tego nie widział.